



BEZPAŃSKI

Ballada o byłym gliniarzu

Jakub Ćwiek

Adam Bigaj

MARGINESY



BEZPAŃSKI

Ballada o byłym gliniarzu

Jakub Ćwiek

—
Adam Bigaj

MARGINESY

Redaktor prowadzący
ADAM PLUSZKA

Redakcja
KAROLINA WĄSOWSKA

Korekta
MARIOLA HAJNUS, MAŁGORZATA KUŚNIERZ

Projekt okładki i stron tytułowych
MICHAŁ PAWŁOWSKI
Łamanie | manufaktu-ar.com

Zdjęcie na okładce © Graeme Maclean / Flickr
Fragment Znaków czterech A.C. Doyle'a
w przekładzie Ewy Łozińskiej-Małkiewicz

Copyright © by Adam Bigaj
Copyright © by Jakub Ćwiek
Copyright © by Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2018

Warszawa 2018
Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65973-90-0

Wydawnictwo Marginesy Sp. z o.o.
ul. Mierosławskiego 11A
01-527 Warszawa
tel. 48 22 663 02 75

Konwersja: eLitera s.c.

Kobietom mojego życia - mamie, Dorocie, Miłce i Milence.

Książka ta powstała dzięki namowom Kuby i dzięki mu za to, ponieważ pozostanie trwały ślad po świetnych wrocławskich gliniarzach.

ADAM

Tej książki nie byłoby, gdyby nie Paulina, która poza zapoznaniem mnie z panem Adamem, w odpowiednim momencie przypomniała mi, że bycie pisarzem to nie tyle wymyślanie historii, ile ich opowiadanie. Dziękuję.

JAKUB

PROLOG

- Kto w jednostce odpowiada za wykrywalność? - zaczął bez ceregieli miejski. Zdawało mi się, że pyta retorycznie, odpowiedź była wszak oczywista, ale on najwyraźniej koniecznie chciał ją usłyszeć.

- Kryminalny. - Powstrzymałem wzruszenie ramion.

Miejski wycelował we mnie palcem, mrużąc jednocześnie oczy i krzywiąc się w pełnym satysfakcji uśmiechu, jakby udało mu się coś udowodnić.

- Właśnie! - zawołał, by zaraz powtórzyć: - Właśnie!

Udał, że spogląda w papiery, ale wiedziałem, że nic tam nie ma. Ta sztuczka była tak stara i zgrana, że właściwie powinienem się obrazić.

- W waszej jednostce - mówił wolniej, zupełnie jakby jednocześnie doczytywał jakieś dane - wykrywalność jest wyraźnie gorsza z każdym kolejnym rokiem.

Poprawiłem się na krześle, zasłaniając jednocześnie usta, by nie prowokować miejskiego trudnym do powstrzymania złośliwym uśmiechem. Wiedziałem, dokąd ta rozmowa zmierza, na długo zanim usiadłem naprzeciwko jego biurka. Mimo że byłem w pracy pierwszy dzień po urlopie, nie żyłem przecież w próżni i doskonale wiedziałem, jaka jest sytuacja w kraju i jak na to, co dzieje się na Wiejskiej, będzie zmuszona zareagować góra. A gdy jeszcze rano, po odbębnieniu odprawy kierownictwa, szefowa oznajmiła mi, że zaraz zbieramy się do miejskiego, w dodatku w mundurach, wiedziałem, że muszę się nie tylko przebrać, ale i spakować wszystkie kwity z osiągnięciami wydziału na wypadek takiej rozmowy.

Właściwie, gdy się zastanowić, cała ta konwersacja w jakiś sposób przynosiła ujmę nie tylko mnie, ale i policji jako takiej. Widać było niemal jak na dłoni, kto tutaj nigdy nie przeprowadził udanego przesłuchania. Po szybkim rzucie oka na siedzącą obok mnie milczącą szefową byłem przekonany, że i ona myśli podobnie.

Ale miejski, najwyraźniej zadowolony z siebie, uniósł wzrok znad papierów i wpatrywał się we mnie ze złośliwą satysfakcją.

- Może pan to wyjaśnić? - zapytał w końcu.

Mogłem. Sięgnąłem po teczkę, wyjąłem wszystko, co przyniosłem, i rozłożyłem na blacie. Palec wskazujący położyłem na statystykach i właśnie od nich zacząłem.

- To potwierdzone, sprawdzone dane - powiedziałem. - Wynika z nich, że z każdym rokiem wykrytych spraw mamy coraz więcej, a w rankingu jednostek cały czas pozostajemy w ścisłej czołówce. Ponadto...

Przerwałem, widząc, że miejski nawet nie patrzy na pokazane mu dokumenty, zupełnie jakby ich nie widział. Szefowa obok mnie natomiast wyprostowała się i na moment wstrzymała oddech. Najwyraźniej czekała na gwóźdź dawno ustalonego programu.

Miejski odchylił się w fotelu i zaplótł ręce.

- Na kryminalnym cięży odpowiedzialność za wykrywalność - powtórzył. - A skoro sytuacja wygląda, jak wygląda, może już czas na emeryturę?

Zrobił pauzę, jakby się namyślał, po czym pochylił się, opierając łokcie na blacie biurka.

- Propozycje mam dla pana trzy. - Uniósł dłoń z wyprostowanymi trzema palcami. - Pierwsza jest taka, że składa pan raport i podanie o emeryturę, a ja dołożę panu wszystko, co mogę zgodnie z przepisami, czyli na przykład zwiększę dodatek funkcyjny o pięćdziesiąt procent. Jest pan

bardzo dobrym policjantem, z piękną kartą kariery, więc to najlepsze z nasuwających się rozwiązań.

Kolejna pauza, po której jeden z uniesionych palców opadł.

- Wariant drugi - kontynuował miejski - czyli zwolnienie na mocy decyzji administracyjnej zgodnej z ustawą. Tu ma pan oczywiście jakieś opcje, kroki. Może się pan skarżyć, włączyć po sądach, ale ja się tego nie boję, a pan nie dostanie nic dodatkowo. I wreszcie opcja trzecia...

Tym razem pauza trwała dłużej, zupełnie jakby miejski słyszał w głowie werble poprzedzające ogłoszenie wyroku. Palec w górze został już tylko jeden. O ironio, kciuk, zwykle przecież zwiastujący, że wszystko jest w porządku.

- Jednostki kontrolne. Damy im tyle czasu, ile trzeba, aż w końcu coś tam znajdziemy. A wówczas, sam pan rozumie, dyscyplinarka, odejście w niesławie, no i oczywiście zero dodatków. - Wyrecytował tę kwestię niemal na jednym oddechu, z miną, którą musiał długo ćwiczyć przed lustrem, by była jednocześnie sroga i wyzywająca.

Znowu odczekał kilka sekund, mrużąc oczy, by zaraz się rozpogodzić, raz jeszcze odchylić w fotelu i szeroko, niemal z braterską otwartością, rozłożyć ręce.

- Ale przecież takie rzeczy nikomu nie są potrzebne. Czy nie lepiej w zgodzie? Nie jest przecież tak, że zostanie pan na łodzi, ma pan swoje plany, naukowe zainteresowania, ten doktorat. Poradzi pan sobie.

Milczałem. Jedną z technik przesłuchań, których zaprawiony w bojach kryminalny uczy się w zasadzie całe życie, jest umiejętność niezdradzania targających flakami emocji. Przydało mi się to wiele razy w przeszłości, pomogło i teraz, gdy patrzyłem wprost na kipiącego samozadowoleniem miejskiego.

Znałem przebieg jego dotychczasowej kariery,

wiedziałem, że zaczynał w prewencji, a potem przeniesiono go do pracy operacyjnej w wydziale kryminalnym jednego z posterunków. Wyleciał stamtąd szybko, wykazując się wcześniej brakiem talentu i wyjątkową odpornością na niezbędną na ulicy wiedzę. Z taką historią niezbyt długiej służby nie miał specjalnie okazji, by dowiedzieć się, jak w tej robocie zdobywa się doświadczenie, hardość, szacunek i autorytet. Co z pewnością umiał, to płynąć z prądem i czasem przykleić się tu, czasem tam, a wreszcie przyssać do dzielącego nas biurka.

I teraz ten właśnie człowiek machał paluchami przed nosem utytułowanego gliny w stopniu majora, usiłując grać w jakąś schizofreniczną wersję dobrego i złego policjanta. Gdy to skojarzenie do mnie dotarło, rozbawiło mnie i naprawdę z trudem powstrzymałem parsknięcie.

Spojrzałem na szefową. Nie zamierzała zabrać głosu. Podniosłem się z krzesła i obciągnąłem mundurową bluzę.

- No dobrze, panie komendancie - odpowiedziałem lekko, jakby miejski był nie moim przełożonym, a domokrażącą usiłującym sprzedać mi toster. - Do kiedy mam się zadeklarować?

Zawahał się, uciekł wzrokiem w bok, do szefowej. Najpewniej zakładał, że przyparty do muru decyzję podejmę od ręki.

- Do jutra - powiedział w końcu. - Jutro czekam na pańską decyzję.

- Przyjąłem.

Szefowa i ja w milczeniu zeszliśmy na dół i wyszliśmy na dziedziniec. Musiało być już po mnie widać, że targa mną wściekłość, bo kobieta obchodziła się ze mną wyjątkowo ostrożnie, nie prowokowała pytaniami czy próbami pocieszenia. Dopiero przy samochodzie wyjęła papierosy i zapytała, czy chcę zapalić. Pokręciłem głową. Wsiedliśmy

do auta i wróciliśmy do bazy, gdzie przebrałem się w cywilne ciuchy i zająłem swoją robotą.

Nie dane mi było jednak pracować w spokoju, bo zaraz zjawił się u mnie mój podwładny Sowa, dopytując, co zaszło i czemu wyglądam, jakbym miał szczerą ochotę komuś zajebać. Opowiedziałem mu wszystko, szczególnie podkreślając swoje oburzenie zaproponowanymi wariantami, tak skrajnie inaczej definiującymi moją karierę. W końcu byłem supergliną czy wszą, którą wystarczyło lekko docisnąć do blatu, by pękła? Miałem czystą, chwalebłą kartę czy brudy upchane do niedomkniętej szafy? Tak jak wszystko w tym kraju, cała moja, wydawałoby się, dawno określona przeszłość zależała nagle od tego, czy podejmę moje działania po myśli władzy czy wręcz przeciwnie. Skądś znałem to podejście do człowieka, ale wydawało mi się, że te czasy już dawno za nami.

- Kurwa, to co teraz będzie z wydziałem? - zaniepokoił się Sowa.

O to się akurat nie martwiłem.

- Wojtek, nie róbmy dramatu - powiedziałem. - Swoje już odbębniłem i od jakiegoś czasu nosiłem się z taką decyzją. Rzecz więc nie w tym, że kutas to zaproponował, tylko w jakim stylu. Jak do szczeniaka! Ale o wydział się nie martw. Byli w przeszłości lepsi ode mnie, odeszli, a firma stoi. I stać będzie, więc bez obaw. A że będzie teraz jeszcze większe bagno i zawracanie dupy polityką... Cóż, trochę wam współczuję.

Wesołość, która mnie ogarnęła, gdy wypowiadałem te ostatnie słowa, była absolutnie szczerą. Znałem swoich ludzi i wiedziałem, że jak Sowa tylko stąd wyjdzie, nie zdąży sobie nawet kawy zrobić i już wszyscy będą wiedzieć. A potem dyskutować, rozważać, analizować i snuć mniej

lub bardziej czarne scenariusze przyszłości własnej, jednostki i policji w ogóle. Gdyby im pozwolić, robiliby to do końca służby, ale ja nie zamierzałem dawać złodziejom prezentu w postaci wolnego dnia od nas.

Zrobiłem kawę i spokojnie ją piłem, rozmyślając nad swoją sytuacją i następnymi krokami, jakie powinienem podjąć. Gdy skończyłem, pogoniłem ludzi w teren i zabrałem się do roboty, wychodząc z założenia, że to przecież normalny dzień na służbie.

Następnego poranka też zachowywałem się jak gdyby nigdy nic, robiłem swoje, choć przyznaję, czerpałem pewną satysfakcję z tego, jak bardzo szefowa usiłowała mi udowodnić, że o temacie rozmowy z miejskim nie miała wcześniej pojęcia, że sama nie wie, co tam robiła i co ma z tym wspólnego. Aktorka z niej żadna, więc im usilniej się starała, tym wyraźniejsze stawało się dla mnie, że nie tylko wiedziała, ale wręcz że to ona mogła wyjść z podobną inicjatywą.

Wreszcie pod koniec dnia zjawiała się u mnie pod pretekstem jakiejś sprawy, ale oczywiście szybko zeszło na temat mojej decyzji i tego, co powinna powiedzieć miejskiemu.

- Że wybieram wariant pierwszy - odparłem. - Od jakiegoś czasu już się nad tym zastanawiałem i ta wczorajsza farsa przyspieszyła tylko moją decyzję.

- Farsa? - Szefowa sprawiała wrażenie, jakby moje słowa ją zabolaly. Brakowało tylko, by przyłożyła dłoń do serca i rozdziawiła buzię, wyrzucając z siebie zdumione „och!”.

- Farsa - powtórzyłem. - Oboje wiemy, że gdyby mi się chciało kopać z koniem, w końcu wyszłoby na moje, ale raz, że szkoda mi życia, a dwa, że właściwie nie warto. Walczyć o to, żeby pozostać pod komendą takich ludzi jak on? Zresztą ta rozmowa wczoraj... Ten ton, ten obrzydliwy

szantaż... Jedyne, czego żałuję, to że wczoraj rozsądek i poczucie przyzwoitości powstrzymały mnie przed wybicciem mu zębów. To i nagranie.

Szefowa zmarszczyła czoło.

- Jakie nagranie? - zapytała wyraźnie zaniepokojona.

Wzruszyłem ramionami.

- No nagranie - odparłem z całą nonszalancją, na jaką było mnie w tym momencie stać. - Przecież wiedziałem, co się święci, i nagrałem tę rozmowę. Kto by mi inaczej uwierzył w to, z jaką impertynencją traktuje się zasłużonych gliniarzy?

Niesamowite było patrzeć w tamtym momencie na jej twarz. Na to, jak skamieniała w zaskoczeniu, a oczy z każdą chwilą stawały się większe, jakby unosiła się kotara na scenie. W wyobraźni niemal widziałem w jej oczach nagłówki gazet, czołówki interwencyjnych programów, wszystkie te media, które rzuciłyby się na taki materiał jak wygłodniałe psy tylko po to, by pokazać patologię w policyjnych strukturach.

Niczym na przesłuchaniu dałem jej tyle czasu, ile potrzebowała na zwizualizowanie sobie wszystkich potencjalnych scenariuszy i wariantów. Czy zastanawiała się, co ona sama wtedy powiedziała? Czy dokonywała skrupulatnego rachunku sumienia? A może już obmyślała, jak się w tej sytuacji ustawić tak, by jej dupa była z tyłu?

- Przekażę komendantowi decyzję - powiedziała w końcu i wyszła.

Niedługo potem zostałem ponownie wezwany na rozmowę do komendanta miejskiego. Nowego, bo okazało się, że przyssawka trzymająca przy biurku tamtego impertynenta nie była specjalnie mocna i gdy rozeszła się wieść o nagraniu, facet raz-dwa poleciał ze stanowiska. Jego

miejsce zajął dotychczasowy zastępca, do tej pory nadzorujący służbę kryminalną. O nim przynajmniej można było powiedzieć, że to fachowiec, a do tego - co stanowiło rzadkość - cechował go bardzo wysoki poziom kultury osobistej.

Na spotkaniu zjawiłem się o wyznaczonej godzinie, w przepisowym umundurowaniu. Gdy wszedłem, miejski obszedł biurko i podał mi rękę, zachęcił, żebym usiadł. Oprócz nas dwóch był jeszcze kadrowiec z kompletem moich akt.

Rozmowa przebiegła grzecznie, miło i konkretnie, a mina miejskiego, podobnie jak uważnie dobierane słowa wyrażały dobitnie jego stosunek do tego, co się tutaj odbywało. Był szczery, przynajmniej w najoczywistszych kwestiach.

- Wie pan, w jakiej sprawie pana zaprosiłem, i jest pan świadomy, że muszę przeprowadzić tę rozmowę - powiedział, a ja skinąłem głową.

- Tak, znam powód, dla którego tu jestem.

Podobnie jak on, musiałem mówić głośno, bo tuż po tym, jak wszedłem i się przywitaliśmy, miejski podkręcił potencjometr w stojącej na szafce wieży. Przyjąłem tę próbę zabezpieczenia przed nagraniem z lekkim rozbawieniem.

- Przeprowadziłem już szereg takich rozmów, wszystkie są trudne, bo wiem, że żegnam prawdziwych fachowców, ale obaj zdajemy sobie sprawę, jaka jest sytuacja polityczna i jak bardzo obecna władza obstaje przy tym, by pożegnać się z każdym, kto służbę rozpoczął jeszcze w milicji.

- Tak, panie komendancie, wiem, jak wygląda sytuacja i jakie pomysły ma minister. Byłbym zobowiązany, gdybyśmy przeszli do meritum.

Tak się też stało, choć nie obyło się bez kilkukrotnego

przypomnienia, że komendant zna nienaganny przebieg mojej służby, że decyzję podejmuje z prawdziwym żalem i że to dla niego ogromna strata. Zapewnił, że bardzo mu zależy, bym odchodząc, czuł nie tylko satysfakcję, ale i to, że zostałem należycie doceniony. Zaproponował maksymalne podwyższenie dodatku i sam z siebie obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by wojewódzki zatwierdził tę podwyżkę. W dalszej kolejności ustaliliśmy warunki mojego odejścia, a miejski przyjął zasugerowany przeze mnie termin, czyli luty kolejnego roku. Zastrzegł jednak od razu, że do końca grudnia muszę być oddelegowany do jego dyspozycji, bo zgodnie z postanowieniem ministra od nowego roku żaden skurwieli z niechlubną milicyjną przeszłością - choćby i kilkudniową - nie może pełnić służby na stanowisku kierowniczym. On to oczywiście ubrał w inne słowa, ale przekaz był jasny i nie zamierzałem oponować. Ponownie uścisnęliśmy sobie dłonie, kadrowiec przyjął polecenia do realizacji i spotkanie dobiegło końca.

Tak oto, przy wtórze ryczącej wieży, która zagłuszała nasze słowa radiowymi przebojami, formalnościom stało się zadość. Za kilka tygodni, po trzech i pół dekady służby, miałem zdjąć z szyi psią obrozę.

I

1

Jakiś mądrała z telewizji powiedział kiedyś, że ludzie wstępują do policji, by za pomocą munduru stać się autorytetami na ulicy i zyskać społeczny szacunek. Mocno mnie to, pamiętam, ubawiło. Pewnie właśnie z tego szacunku w świadomości społecznej funkcjonujemy jako psy, a wdzięczna młodzież pisze na murach HWDP. Takie koślawe graffiti to przecież prawie jak pomnik zasług.

Ktoś powie: no tak, ale to teraz. Bo przecież kiedyś było inaczej. I ma rację, faktycznie było. W marcu na przykład, gdy po ukończeniu wszystkich testów stawilem się konkretnego dnia o wskazanej godzinie przed komendą Wrocław Śródmieście, przed oczami wciąż miałem wykrzywione niesmakiem twarze kumpli z dzielnicy, a w głowie ciągle słyszałem te same pytania: „Pojechało cię? Do psiarni?”.

Rzeczywiście mój wybór ścieżki zawodowej mógł dziwić. Czasy przecież niespokojne, w sklepach pusto i wszystko w drugim, wymiennym obiegu. Kombinatoryka stosowana to chleb powszedni, inaczej się nie da. Zawiniesz z zakładu nadwyżkę papy, to może uda ci się wybębnić cukier. Masz świętą ikonę po dziadku? Będzie z tego z pięćdziesiąt rolek toaletowego.

Wódka za kartki na mięso, ser na dziecko w książeczkę zdrowia, cinkciarze i spekulanci powoli wyrastają na panów i jeszcze nieświadomie szykują sobie grunt pod szalony kapitalizm lat dziewięćdziesiątych. A w tym wszystkim

władza na pasku ruskich miota się coraz bardziej, bo już pokazała, że może krwawić i nie jest nie do ruszenia. W kraju robi się goręcej, wszystko się polaryzuje, a najgorzej mają oczywiście ci, co są na pierwszej linii frontu. Powiedzieć, że lud nie kochał milicji i jakoś nie dowierzał w zawarty w jej nazwie przymiotnik „obywatelska”, to nic nie powiedzieć.

U mnie dochodziła jeszcze specyfika dzielnicy. Gdy byliśmy dziećmi, z kumplami bawiliśmy się w Indian i kowbojów, podczas gdy starsi zupełnie na poważnie grali z władzą w policjantów i złodziei. Śródmieście niby znajdowało się w środku wielkiego miasta, ale życie w tych naszych przedwojennych kamienicach, niegdyś zamieszkiwanych przez Niemców i Żydów, toczyło się jak na dalekiej wsi. Wszyscy wiedzieli o sobie wszystko, pożyczali sobie jajka i cukier, chlali i chodzili na włamy. Gdy wracali z łupem, chlali jeszcze więcej i opowiadali, jakie to kiedyś były czasy.

„Mówię ci, młody, kiedyś tu takie zakapiory mieszkaly, że jak psiarnia chciała wejść, to zaraz stadem, tak się wpierdolu bali” - mówili starzy, gdy któryś z nas się przypałał. A my, w tych zawiniętych rodzicom kapeluszach albo z kurzymi piórami we włosach i w barwach wojennych namalowanych na twarzy węglem i rdzą, wyobrażaliśmy sobie te epickie zadymy, jakby to były średniowieczne rycerskie bitwy.

Tak, Śródmieście trzymało się razem niczym jedna wielka patologiczna rodzina. Wszystkie dzieciaki były wspólne i można było od sąsiada dostać zarówno jabłko, jak i poślizgowym przez łeb. Gdy jakiś dobry chłopak szedł do pierdła, reszta dbała o rodzinę, bo przecież wiadomo, dziś ten wpada za włam, jutro tamten za rozbój - nigdy nie wiesz, co przyniesie kolejny dzień.

My, najmłodszy, niczym sieroty z powieści Dickensa, poznawaliśmy okolicę w sposób iście ekstremalny. Do dziś, gdy przechodzę koło mostu Grunwaldzkiego, mam ciarki na wspomnienie, jak wspinaliśmy się po jego przęsłach, by odkryć znajdujący się tam tunel pełen gołębic odchodów i jaj. Te ostatnie były wyśmienitą amunicją i mieliśmy masę frajdy, rzucając jajkami w niespodziewających się niczego przechodniów.

Potem, gdy podrośliśmy i zmieniły nam się priorytety, obławowani rajskimi jabłkami z ogrodu botanicznego chodziliśmy na kurwidołki podglądać bzykające się parki. Skoro im nie przeszkadzało, że ruchają się w centrum miasta, czemu my mielibyśmy się z tym czuć źle? Jaraliśmy podkradzione papierosy, chlaliśmy, co udało się podebrać starszym z maszynki, i gadaliśmy o dupach. Nakręceni coraz mocniej akcjami z krzaków i opowieściami kolegów, coraz śmielej podejmowaliśmy pierwsze próby seksualnych podbojów.

Gdzieś w tym wszystkim wciąż przewijał się temat tego, co się robi na dzielni. Byliśmy już w takim wieku, że ten czy tamten dołączał do jakiejś grupy, którą ciężko nawet nazwać gangiem. Było ich w naszej dzielnicy kilka, wszyscy wiedzieli, która czym się na parafii zajmuje. Byli tacy, co schlani na umór walili klientów na ulicy, inni specjalizowali się we włamach do mieszkań.

Żartowaliśmy, że u nas to tylko tacy, co siedzieli, siedzą albo siedzieć będą, i nikogo specjalnie ta perspektywa nie przerażała.

„W pierdłu, jak nie jesteś cwel albo polityczny – mówili stali bywalcy – to nie ma tragedii”.

Oczywiście, jak łatwo się domyślić, przy takim stopniu otwartości i zażyłości największym dobrem i najwyższą wartością była lojalność. Kapusia traktowano gorzej niż

wesz i jeśli padał na ciebie choć cień podejrzenia, robiłeś wszystko, by się spod niego wydostać. Jeśli nie, jedyną formą kontaktu z dzielnicą było, gdy jeden z drugim brali cię na buty.

Jak więc to możliwe, że mimo deklaracji, że chcę zostać milicjantem, udało mi się nie tylko przeżyć, ale i utrzymać kontakt z dawnymi znajomymi? Mówiąc szczerze, nie wiem. Może chodziło o to, że od początku grałem w otwarte karty, żadnych podchodów, ściemniania, donoszenia na boku - ja wprost, co zamierzam, oni, co o tym sądzą i że chyba mnie posrało. A może wierzyli, że będę takim Hansem Klossem? W zniechęconym mundurze, ale grającym na dwa fronty, by wspierać swoich? Czego by jednak nie myśleli, choć na mój pomysł na życie patrzyli krzywo, że mną samym większego problemu nie mieli.

Miało to znaczenie o tyle, że aby wstąpić do milicji, musiałem poddać się szczegółowej weryfikacji. Dzielnicowy kłął w żywy kamień, robiąc środowiskowy wywiad wśród sąsiadów, sprawdzano wszystkich członków mojej rodziny z nieżyjącymi włącznie. Robiono to tym uważniej, że właśnie nastał stan wojenny i pilnowano, by w struktury nie wpełzł żaden wywrotowy Wallenrod. Przyznam, że nie raz się zastanawiałem, jak przebiegał ten cały proces. Musiała być z tym cała masa zabawy dla kogoś patrzącego z boku - a stężenie nisko latających kurew pewnie mocno przekraczało dopuszczalne normy.

Słodką polewą na tym torcie były badania lekarzy specjalistów współpracujących z milicją, a swoistą wisienką - konfrontacja z psychiatrą, panią życia i śmierci. Tak naprawdę od jej decyzji wszystko zależało. Stwierdziła, żeś debil, i mogłeś wracać z lornetką w krzaki obok kurwidołków, bo w milicji nie miałaś czego szukać. Co gorsza, wiadomości, jak ci poszło, nie dostawałeś od ręki,

kazali czekać, aż zostaną podjęte stosowne decyzje.

W końcu jednak zostałem przyjęty i przydzielono mnie do służby. Zaczynać miałem w kryminalnym w komendzie blisko mojego miejsca zamieszkania i byłem z tego powodu tak szczęśliwy i dumny, że mało nie eksplodowałem. Tym bardziej że całą tą nadymającą mnie radością nie miałem się z kim podzielić.

I wreszcie przychodzi ten dzień. Pierwszy marca, ja po wszystkich testach stoję przed komendą - niepozorną szarą willą, zupełnie nijaką na tle okolicznych budynków. Przed oczami, jak wspominałem, skrzywione miny kumpli. W uszach ich opinie na temat mojego zdrowia psychicznego mieszają się z wyciem i ujadaniem psów. Opóźniając moment symbolicznego przekroczenia progu komendy, obszedłem budynek i zobaczyłem trzy kojce, a w każdym z nich pięknego owczarka niemieckiego. Na co się tak wściekały, nie mam pojęcia, ale wtedy obstawiałem, że nikt ich nie nakarmił po nocnej robocie. A dla psa, wiadomo, pełna micha jest ważna, podobnie jak docenienie jego dobrze wykonanej pracy.

Gdy w końcu zdecydowałem się wejść do budynku, już od progu uderzyła mnie gęsta, dławiąca fala smrodu dochodząca z piwnicy. Gdy zapytałem o to później, w odpowiedzi usłyszałem, że „tak jebie zbrodnia”. Na dole, rzecz jasna, znajdował się dołek dla złodziei.

O ile z zewnątrz komenda wyglądała po prostu normalnie i niczym się nie wyróżniała, w środku było zwyczajnie biednie. Ponure korytarze skąpane w niedoświetlonej szarości, farba odłaząca ze ścian, odrapane drzwi wyglądające jak z szabrow na poniemieckich ruinach. Nie spodziewałem się złotych klamek czy klimatów rodem z amerykańskich seriali, ale i tak całość robiła wrażenie dość przynębiające.

Nie zrażałem się jednak. Skierowany przez dyżurnego na pierwsze piętro, zapukałem do właściwych drzwi i wszedłem do środka. Wewnątrz siedziało kilku mężczyzn, niektórzy skupieni na przeglądaniu papierów, inni pogrążeni w rozmowie.

Przedstawiłem się i zapytałem o naczelnika wydziału, a wtedy zza jednego z biurków podniósł się szpakowaty mężczyzna z wąsem o barwie soli z pieprzem. Uśmiechnął się przyjaźnie i wyciągnął rękę.

- To pan jest tym nowym funkcjonariuszem? - zapytał.

Potwierdziłem, a wtedy on również się przedstawił, a następnie zapoznał mnie ze swoim zastępcą, porucznikiem Piotrem. Ten również podał mi rękę, powiedział, że ma nadzieję, że będzie mi się dobrze pracowało, i życzył powodzenia w służbie. Obaj zachowywali się tak, jakby naprawdę cieszyła ich moja obecność, a po kilku słowach byliśmy już niczym starzy koledzy, znający się od zawsze. Oczywiście byłem zadowolony z takiego stanu rzeczy, ale również trochę zaskoczony. Dopiero później dotarło do mnie, że zachowywali się tak, bo oto właśnie zmieniłem stronę. Nie stałem już w linii bandziorów z dzielni, zawracających dupę upierdliwych petentów czy tych, którzy na widok munduru zaplatają palce i plują przez lewe ramię. Dla tych dwóch byłem już „swój”.

- Zaraz, kochany, przedstawię pana pozostałym kolegom z wydziału - zapowiedział naczelnik. Musiałem mieć głupią minę, gdy usłyszałem słowo, jakim mnie określił, ale szczęśliwie obaj milicjanci albo nie zwrócili na to uwagi, albo nie dali nic po sobie poznać. Później dowiedziałem się, że ten „kochany” to stały wtręt naczelnika, używany wobec wszystkich podwładnych tak często, że pewnie nawet go już nie rejestrowali.

To jednak, jak zaznaczyłem, nastąpiło dopiero później. W tamtym konkretnym momencie, od chwili rozpoczęcia służby w tej znienawidzonej powszechnie formacji, jaką była Milicja Obywatelska, trzeba było ledwie kwadransa, bym dla niej samej został „kochanym”.

Jurek, dwóch Krzyśków, Remek i ktoś jeszcze. Pięciu gości, w tym jeden na tyle gruby, że mógłby uchodzić za dwóch. Wszyscy upchnięci za masywnymi biurkami w pomieszczeniu tak ciasnym, że procedura wstawiania przez każdego z nich, by mnie przywitać na służbie, stanowiła logistyczne wyzwanie. Widać jednak, że robili to nie po raz pierwszy, bo wszystko zdawali się mieć przećwiczone. Kto kiedy wciąga powietrze i jak długo musi wytrzymać na bezdechu, kto wbija bebech w blat, a kto prostuje się i podwija nogi.

Można by pomyśleć, że skoro sprawilem im tyle fatygi, powinni mnie z miejsca znienawidzić. Ale nie, sen trwał, wszyscy się uśmiechali, rzucali miłe komentarze, poklepywali po ramieniu i witali na służbie. Ja ze swojej strony starałem się zapamiętać ich imiona, wyczuć atmosferę i na razie bezskutecznie wychwycić subtelne sygnały zdradzające niekoniecznie formalną hierarchię w zespole. A może wcale nie? Może moją jedyną myślą było wtedy: jak ja się tu do cholery wcisnę z dodatkowym biurkiem? Albo chociaż krzesłem?

Naczelnik jakby czytał mi w myślach. W pewnej chwili dał znak, że dosyć tego dobrego, polecił funkcjonariuszom wracać do pracy, a mnie zaprowadził do pokoju obok. Pomieszczenie było sporo mniejsze niż kłitka, z której właśnie wyszedłem, i mieściły się w nim tylko dwa biurka. Za jednym z nich siedział elegancki mężczyzna w ciemnym garniturze i białej koszuli, wyglądający, jakby zaraz miał się urwać na jakąś poważną rodzinną uroczystość. Dopiero po chwili dostrzegłem lekko poluzowany krawat oraz ten

rodzaj eleganckiej swobody ruchów, jaki zwykli prezentować ludzie, dla których garnitur jest codziennym strojem.

Gdy weszliśmy, mężczyzna podniósł się zza biurka, jednocześnie wprawnym ruchem zapinając guzik marynarki.

- To jest pan Kazimierz - przedstawił mężczyznę naczelnik. - Z nim będzie pan pracował i na pewno dużo się pan od niego nauczy. Panie Kazimierzu, to nasz nowy funkcjonariusz, od teraz pod pana opieką.

- Rozumiem. - Mój nowy mentor uważnie, acz bez ostentacji, zmierzył mnie wzrokiem. - Dzień dobry.

- To ja już panów zostawię. - Naczelnik uznał najwyraźniej, że ceremoniał dobiegł końca, jeszcze raz życzył mi powodzenia i wyszedł.

Pan Kazimierz wrócił za biurko, usiadł, rozpinając guzik marynarki, i wyciągnął ręce nad blatem, prezentując mankiety nieskazitelnie białej koszuli. To właśnie za sprawą takich drobnych gestów, na każdym kroku podkreślających szyk i krawaciarski styl, mój mentor, jak się później dowiedziałem, dorobił się na komendzie ksywki Szyfcik.

- Pan sobie siądzie. - Wskazał mi wolne miejsce przy drugim biurku. Nie zabrzmiało to jak propozycja; Szyfcik miał głos jakby stworzony do wydawania poleceń służbowych. - Umie pan pisać na maszynie?

Przejęty, zawahałem się, choć przecież było to proste pytanie.

- Tak, umiem - przyznałem w końcu.

Mój mentor przyjrzał mi się uważnie, mrużąc oczy, po czym przesunął po biurku stos notatek.

- Dobrze, tu ma pan na brudno wszczęcie i plan opracowania operacyjnego, proszę to przepisać.

Kategoryczność tonu w połączeniu z wcześniejszym badawczym spojrzeniem sprawiły, że nie odważyłem się zapytać, co u diabła znaczy owo „rozpracowanie operacyjne”. Miałem nadzieję, jak się okazało, słusznie, że uda mi się to wywnioskować samemu już w trakcie przepisywania. I rzeczywiście. Choć samo stukanie w klawisze nie było moim ulubionym zajęciem, z każdą linijką wklepanego tekstu czułem narastającą dumę. Nie było opieprzania się, już pierwszego dnia dostałem prawdziwy konkret! Solidną milicyjną robotę w wykonaniu prawdziwego fachury!

Przepisując brudnopisy, dowiedziałem się na przykład, że w orbicie zainteresowań pana Kazimierza znajdowała się grupa przestępcza zajmująca się włamami do mieszkań. Właściwie wszystko było już niemal przygotowane do realizacji. Szyfcik miał w notatkach kompletne zamiary na każdego z członków bandy i szczegółowo opisany modus operandi. Wiedział, który paser wypożycza im kłamoty na akcję – takie jak przyrządy do otwierania zamków – i jaka jest za to jego dola. Miał też w ekipie swojego kapusia, który o wszelkich ruchach bandy na bieżąco go informował. Słowem: konkret, a do tego masa materiału do analizy dla takiego żółtodzioba jak ja.

Cieszyłem się jak cholera, że karierę kryminalnego zaczynałem właśnie w ten sposób, a nie od liczenia słoików w piwnicy, i na każdym kroku starałem się pokazać, że zasługuję na daną mi szansę. Dreptałem za swoim mentorem jak piesek, nie odzywając się niepytany i karnie wykonując wszelkie polecenia, nawet takie, które z początku wydawały mi się niezrozumiałe. Znałem swoje miejsce w szeregu, wiedziałem, że jestem najmłodszy w wydziale i sierżanci, paniska, to zupełnie inna liga. Szyfcik był chyba zadowolony, bo po jakimś czasie uznał,

że wystarczy tego „panowania” i kazał mi mówić do siebie po imieniu. Tak został Kaziem, a ja, choć jeszcze wciąż musiałem się dużo nauczyć, uznałem, że w jakiś sposób zakończył się dla mnie okres próbny.

Przez cały ten czas oswajałem się z komendą. Nauczyłem się, jak się wcisnąć do pokoju z pięcioma biurkami i zająć tam miejsce na tyle wygodne, by udało się przetrzymać codzienną odprawę. Naczelnik każdego ranka informował nas o nowych zdarzeniach oraz o tym, kogo z dołka należy wziąć na rozliczenie, bo delikwent już odpowiednio skruszał. Tak, pobyt na dołku potrafił zmiękczyć i nakłonić do rozmowy. Już sam wspomniany smród, mieszanina potu, moczu, kału i innych wydzielin, doprawiona piwniczną wilgocią, robił swoje. Do tego dochodziło jeszcze towarzystwo: równie dobrze mogli się trafić menele z Albercika, wokół których smród był tak gęsty, że wyglądał jak mgła, co elegancki pan czy damulka jakby zupełnie z innej bajki. Wszyscy dostawali na noc koce z przydziału, prane może raz na rok. Dotknij taki koc, a żołądek przypomni sobie wszystkie posiłki od czasów dzieciństwa. Spędź pod nim noc, a rano, wyglądając jak przeżuta i wysrana przez krowę wersja siebie, będziesz tak miękki i skory do współpracy, jak to tylko możliwe.

O ile w piwnicy, gdzie mieścił się dołek, zdarzało mi się bywać często, na strych zaglądałem sporadycznie, a z początku wcale. O tym, że jest tam jeszcze jeden pokój należący do wydziału kryminalnego, dowiedziałem się, gdy zapytałem o trzech nieznanym mi wcześniej gliniarzy, którzy co rano zjawiali się na naszej odprawie. Byli to, jak się okazało, poszukiwacze, czyli goście szukający czy to zaginionych, czy już rozpracowanych i poszukiwanych złodziei i bandytów, których należało wsadzić do pierdła. Zwykle mieli swoją robotę, a my swoją, więc poza

odprawami właściwie się nie widywaliśmy. Czasem tylko, w przypadku grubszych operacji, gdzie liczyła się każda para rąk, wykorzystywaliśmy ich jako fizyczną pomoc.

Uczenie się komendy to jedno, ale najbardziej zależało mi oczywiście na dobrym poznaniu wydziałowych towarzyszy broni. Nie było to z początku proste, bo choć mili i uprzejmi, nie garnęli się specjalnie do zwierzeń, zwłaszcza żółtodziobowi. Z czasem i z kolejnymi sprawami przetykanymi biurokratyczną codziennością poznawaliśmy się jednak coraz lepiej.

Na przykład Jurek. Mógłbym subtelnie określić go słowem „masywny”, ale gdy go poznałem, był zwyczajnie gruby i właśnie tak na niego mówiono. Sympatyczny, rubaszny wręcz sierżant miał czasem w oku taki błysk, że podświadomie się prostowałeś. Powiedziano mi, że był kiedyś bokserem, na co on sam bardzo się oburzył.

- Bokser to, kurwa, taki pies. Ja byłem pięściarzem! - zawołał i jakby na dowód uniósł zaciśniętą, wielką jak chleb i na oko twardą jak kamień pięść. Pamiętam, że pomyślałem wtedy: jak zwał, tak zwał, ale za nic nie chciałem się znaleźć w zasięgu tej łapy.

Gruby miał w swoim przydziale służbowym spory teren, szczególnie na peryferiach miasta, w zabudowie rolniczej, i trzeba przyznać, był tam trochę jak szeryf z miasteczka na Dzikim Zachodzie. Znał wszystkich, od lekarza po lumpa i złodzieja, i wszyscy znali jego, odnosząc się z szacunkiem nie tylko do jego funkcji i munduru, ale zwłaszcza do niego jako człowieka. Dla wszystkich był tam panem Jurkiem.

Z czasem dowiedziałem się o nim czegoś jeszcze - Gruby miał fuchę na boku. Nic niezwykłego, każdy starał się jakoś dorabiać i w miarę możliwości korzystać z nadarzających się okazji. Dla Jurka okazję stanowiły firma jego żony i jej zgniłokapitalistyczny zmysł handlowy.

Ich biznesplan nie był specjalnie skomplikowany. Ona dysponowała towarem, czyli prażonym słonecznikiem, a także prażynkami i chrupkami produkowanymi w należącej do niej przetwórnicy. On miał rynek zbytu i pewien, nazwijmy to, specjalny atut, czyniący z niego doskonałego sprzedawcę. W swojej wąskiej handlowej specjalizacji i na określonym terenie, przypadkowo ściśle pokrywającym się z jego rewirem, nie miał specjalnie konkurencji. No bo kto byłby na tyle szalony, by podejmować rywalizację z człowiekiem powszechnie szanowanym, wzbudzającym sympatię, a do tego reprezentującym twardą literę prawa?

Widok bagażnika jego fiata wypełnionego po brzegi workami słonecznika był dla nas tak powszedni, że nawet już z tego nie żartowaliśmy. Ot, koloryt.

Zresztą powiedzmy sobie szczerze: wobec praktyk jednego z Krzyśków, zwanego przez nas Szyjką, działalność Grubego wydawała się dziecięcą amatorką. Szyjka był niski, masywny, ale nigdy nie przekroczył cienkiej granicy dzielącej człowieka tęgiego od grubasa. Zaprawiony w boju glina, fachura, o oczach, w których raz po raz błyskał figlarny ogień. Czasem oznaczał on cwaniackie rzucenie wyzwania światu, bywało, że kpinę i lekceważenie dla takich czy innych zachowań przełożonych. Gdyby skupiał się całkowicie na robocie, miałyby wyniki godne pozazdroszczenia, jako że świetnie sobie radził, zwłaszcza ze złodziejami.

On jednak nie miał na policyjną robotę zbyt dużo czasu, bo ciągle był zajęty ważniejszymi sprawami. I trzeba przyznać, że w tych innych tematach miał jeszcze większą skuteczność. Smutne czasy komuny i pustych sklepowych półek? Powszechny brak towarów luksusowych? Przy Szyjce można było o tym wszystkim zapomnieć, bo jeśli się

czegoś naprawdę chciało i udało się z Krzyśkiem dogadać, nie istniały dla niego rzeczy niemożliwe.

Miał łeb jak sklep. Dosłownie. Wystarczyło posłuchać jego rozmów telefonicznych, by wiedzieć, co gdzie ma wzięcie, ile tego za tamto i co jest obecnie artykułem pierwszej potrzeby, a więc walutą, za którą dostaniesz pozostałe dobra. Czasem na mieście wchodziliśmy do jakiegoś sklepu i byliśmy świadkami, jak pralkę czy kolorowy telewizor Szyjka przeliczał na przykład na salami. Które żadną miarą nie było finalnym przedmiotem transakcji, a jedynie ogniwem łańcucha, którego koniec znał tylko Krzychu.

Szyjka był też, warto to podkreślić, znakomitą doradcą. Nawet jeśli załatwiał się cokolwiek bez jego pośrednictwa, zawsze można się było od niego dowiedzieć, jaki jest na przykład najlepszy wzór na firany i z czego powinny być wykonane. Znał się na wszystkim i nieraz się zastanawialiśmy, dlaczego robił u nas, w kryminalnym, a nie został po prostu pegowcem, jak nazywaliśmy tych z wydziału przestępstw gospodarczych.

Bywało, że Szyjka balansował na krawędzi. Raz, po kilkudniowym urlopie, przyznał się po cichu, że był za granicą, wybrał się na Węgry na handel. Miał swoje kontakty na tamtejszych targach, wiedział, co najlepiej tam chodzi, więc zapakował towar i pojechał. Pech chciał, że nasze mundurowe bratanki akurat wtedy zdecydowały się na zrobienie nalotu na stoiska, swoją szczególną uwagę poświęcając handlarzom znad Wisły. Szyjka wpadł, stracił cały towar i przesiedział na węgierskich dechach czterdzieści osiem. Byłoby gorzej, ale był na tyle rozsądny, że nie wziął gliniarskiej legitymacji ani też nie przyszło mu do łba powoływać się na zawodową solidarność. Odsiedział swoje, wypełnił kwity i wrócił do kraju, ostatecznie uznając całą akcję za wliczone ryzyko.

Czy to doświadczenie go zmieniło? W żadnym razie! Nadal, gdy doprowadzano mu kogoś z dołka, pierwszym pytaniem, jakie Szyjka zadawał delikwentowi, było:

- Gdzie pan pracuje i co tam można załatwić?

To, czy ostatecznie przechodził do powodu zatrzymania, zależało już tylko od odpowiedzi.

Zdarzyło się też kiedyś, że Krzysiek dostał pacjenta, akurat gdy prowadził bardzo obiecującą rozmowę telefoniczną. Chodziło bodaj o kielbasę krakowską. Okazało się, że jest interes, więc wstał jak gdyby nigdy nic, ubrał się, teczka pod pachę, czapa z królika na łeb.

- Czekał tu, zaraz wracam - powiedział do zatrzymanego i wyszedł.

Bywało, że jego „zaraz” faktycznie oznaczało dość krótki odcinek czasu, ale tym razem minuty szły w godziny, a te powoli w całą dniówkę. Facet siedział, kuląc się w sobie, nudząc i bojąc zapytać choćby o łazienkę. Doszło do tego, że już nawet naczelnik pytał, co to za jeden i co tu właściwie robi.

W końcu zadowolony z siebie Szyjka wrócił, zdjął czapę, kurtkę i już miał usiąść za biurkiem, gdy nagle zmarszczył czoło.

- A ty to kto? - zapytał. - Co ty tu robisz?

Zatrzymany zrobił wielkie oczy.

- Noo, kazał mi pan tu rano czekać, więc czekam i...

- Kurwa, chłopie - zirytował się Szyjka. - Idź mi stąd! Na dechy wracaj!

Zabrał faceta na dół, profosowi na dołku przekazał, że sprawa rozwojowa, ale trzeba będzie jeszcze jutro nad gościem popracować, bo temat szeroki.

Mimo komplikacji i niedogodności skłamałbym jednak, twierdząc, że zarówno nam, jak i przełożonym działalność kolegi Krzyśka przeszkadzała. Nieraz jego niezwykle

umiejętności okazywały się wręcz bezcenne.

Na tle barwnego Szyjki drugi z Krzyśków mógł uchodzić za postać nijaką i nieciekawą. By się przekonać, że to nieprawda, trzeba go było lepiej poznać, co mi się udało. Mimo że Barbi, jak na niego mówiliśmy, był w stopniu porucznika - a to znaczyło, że w korpusie dzieliła nas przepaść - dość szybko przekonałem się, że jest dobrym kolegą, który nie zadziera nosa, i sprawnie wypracowaliśmy płaszczyznę porozumienia. Ta z czasem przerodziła się w solidną przyjaźń. Do zawodowych zainteresowań Barbiego zaliczali się przede wszystkim złodzieje samochodów, których tropił skrupulatnie i cierpliwie, z niezwykłą zawziętością.

No i był jeszcze Fred. Ten jednak zasługuje na osobny rozdział.

Chyba każdy słyszał przynajmniej jeden dowcip o milicjantach. Za niektóre, zwłaszcza te rzucone mi czasem w twarz z wyzywającym uśmiechem na dokładkę, powinienem się pewnie nawet obrazić. Rzecz w tym, że nie mogłem, bo... znałem Freda.

Czasem myślę, że podczas gdy wielu Polaków wychowywano na Trylogii Sienkiewicza czy Panu Tadeuszu czytanych im za młodu, Fred miał przy łóżku wielką encyklopedię dowcipów o milicjantach. Tyle że zamiast się z nich śmiać, traktował je jak cholerny podręcznik.

Fred, zwany przez nas czasem Kulapetą, bo zdarzało mu się kuleć i ciągnąć za sobą jedną nogę, był postawnym facetem o zmęczonej, poszarzałej twarzy, której wątpliwą ozdobę stanowił smutnie opadający wąs. Skóra na policzkach zwisała mu smętnie, pod oczami ciemniały wory, nadające mu wygląd chorego spaniela. Ktoś mógłby mu wtedy zrobić zdjęcie, podpisać „Szare życie w komunizmie” i wysłać na Zachód. Inna rzecz, że praca z Fredkiem rzadko kiedy była nudna.

Był poszukiwaczem, który jednak - widać to było już na pierwszy rzut oka - strasznie się w swoim fachu męczył. Nudziło go szukanie przestępców na polecenie prokuratury. Jego ambicje sięgały znacznie, znacznie wyżej. Niczym Borewicz z 07 zgłoś się Fred chciał rozbijać grupy przestępcze, brać udział w grach operacyjnych, wielkich medialnych sprawach zapisujących się potem na stałe w historii i podręcznikach szkoły w Szczytnie.

Tego poziomu nie osiągnął nigdy, ale jedno trzeba mu było przyznać: opowieści o nim wykraczały daleko poza

macierzystą komendę. Jedna z nich głosiła, że w pewne wolne popołudnie wybił sobie zęby sprzętem do ćwiczeń na mięśnie brzucha.

Zorientowaliśmy się, że coś jest nie tak, gdy podczas odprawy zamiast normalnie jeść herbatniki, zaczął je moczyć w herbacie. Zapytany, dlaczego to robi, najpierw się krygował, ale potem pokazał braki w uzębieniu i zreferował, co zaszło.

- No bo byłem na strychu - mówił - i tam znalazłem takie kółko, wiecie. Z rączkami. Łapiesz za te rączki, wyciągasz łapy i tak na leżąco jeździsz tam i z powrotem, a mięśnie robią się same. Tylko że moje było zepsute. Wjechało mi pod brzuch i wyrznąłem pyskiem o podłogę.

- I od razu wybiłeś zęby? - Jakoś mu niedowierzaliśmy.

- No... w sumie nie. Ale się wkurwiłem, rzuciłem tym kółkiem w szafę, ono się odbiło i... Ej, będziesz jadł to ciastko?

Innym razem dostaliśmy cynk, że ktoś na ścianie jednego z budynków namalował wielkimi literami napis „Precz z komuną”. Oczywiście wobec zbrodni tej klasy należało podjąć natychmiastowe działania, zanim sprawa pójdzie wyżej i trafi na jakiegoś nadgorliwego partyjnego półgłówka, chcącego potem bawić się w bezwzględnego szeryfa.

Rzecz w tym, że szef komendy, pułkownik Henryk, mający na głowie dużo pilniejsze sprawy, po prostu wychylił się z biura i z charakterystycznym dla siebie wschodnim zaśpiewem pełnym „wicie, rozumicie” kazał się tym komuś zająć i kogoś tam wysłać. Zgłosił się Fred, któremu akurat się nudziło. Wziął farbę i pojechał.

Kilka godzin później szef zawołał do siebie Grubego.

- Ten napis na murze. Kto tam pojechał?

Gruby podrapał się po potylicy i wrzusił ramionami.

- Nie wiem, ale Fred pytał, skąd ma wziąć farbę, więc pewnie on.

Pułkownik westchnął z rezygnacją.

- No tak, mogłem się domyślić - skonstatował po swoim, a melodyjne „l” po kresowemu przeszło w „1”. - Właśnie miałem telefon, że jakiś skończony dureń zamiast zamalować napis, po prostu go przemalował i teraz już nie jest biały, tylko czerwony. Ale każdą literę nadal widać. Nawet jeszcze, wicie, wyraźniej!

Gruby pokiwał głową i wyszedł, by znaleźć kogoś, kto zrobi to porządnie. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, uznalby, że ktoś zakpił z pułkownika, ale w głupotę Freda wierzył bezgranicznie.

Pytanie, które w tym momencie można by sobie zadać, brzmi: jak to możliwe, że Kulapeta utrzymał się w robocie? No cóż, nie bez zaciskania zębów powiem, że... miał swoje sposoby.

Mieliśmy kiedyś na przykład taką realizację - dość poważna sprawa związana z groźną grupą włamywaczy wdzierających się do pawilonów handlowych przez dziury w dachach. Akcja poszła sprawnie, podejrzanych zatrzymano i zostawiono ich na następny dzień do przesłuchania. Wszyscy zbierali się już do domu, a tu Fred zadeklarował nagle, że właściwie to jemu się nie spieszy, więc weźmie sobie tego najbardziej opornego i trochę z nim pogada. Naczelnik udzielił mu zgody, więc Kulapeta zabrał gościa z dołka do nory na strychu.

Następnego dnia na odprawie pojawili się wszyscy oprócz Freda. Bardziej nas to zdziwiło niż zaniepokoiło, ale zagadka rozwiązała się szybko, gdy tylko poszedłem na strych.

Stanąwszy w progu drzwi do nory, zastałem następujący widok: pacjent siedzi przy biurku, pochylony do przodu, na

twarży rozpacz doprawiona pierwszymi oznakami szaleństwa. Naprzeciwko, z rękami splecionymi na brzuchu i z oczami spaniela wlepionymi w delikwenta, siedzi, kołysząc się na krześle, Fred.

- Odprawa była - powiedziałem, dając znać, że tu jestem.

Na te słowa klient gwałtownie się odwrócił, głowę tulił w ramionach niczym spłoszony zwierzak, oczy miał wielkie jak spodki.

- Proszę, panie władzo, zabierz mnie pan od tego wariata. On całą noc do mnie gada, calušką! Gęba mu się nie zamyka, a ja już nie mogę wytrzymać. Wszystko powiem, poddam się, tylko niech on się wreszcie zamknie!

Na te słowa Fred przestał się bujać, rozplótł ręce i wstał, zaciskając oraz rozluźniając pięści i trzaskając zastałym karkiem. Wyglądało, jakby zamierzał gościa za te słowa walnąć, ale on tylko podszedł do mnie i mijając mnie w progu, klepnął w ramię i puścił oko.

- Widzisz? Tak się, kurwa, rozwała przestępców.

A potem poszedł prosto do naczelnika z prośbą o przekazanie sprawy.

Dlaczego wspomniałem wcześniej o zaciskaniu zębów? Bo włamywacze z pawilonów to była moja sprawa. Robiłem przy niej przez przeszło rok i był to mój pierwszy tak duży temat. I poszło mi, nie chwaląc się, naprawdę dobrze. Krok po kroku ustaliłem skład grupy, wszystkie fakty, zebrałem dowody i przedstawiłem rzecz do realizacji, a naczelnik po zapoznaniu się z materiałami przystąpił do niej. Kawał roboty, którą Fred ukradł w jedną noc.

Co gorsza, sprawę uznano za rozwojową i podjęto decyzję, że dalej pociągnie ją wydział kryminalny wojewódzkiej. By zachować ciągłość, ze sprawą pójdzie od nas najlepiej obeznany z nią milicjant, czyli... oczywiście Fred. Krew mnie zalała, bo jak człowiek szedł tam ze sprawą, to już

zostawał i to była naprawdę wielka szansa na awans, która przeszła mi koło nosa. Jak się okazało, jedna z wielu.

Z czasem, gdy ta historia przyschła, przerodziła się w anegdotę ku przestrodze. Zwłaszcza że takie numery Fred odwałwał regularnie, raz po raz kradnąc kolegom ich tematy. Sam był operacyjnie słaby, swoich uchołi na mieście nie miał, więc sam się po trosze stał uchołem, nasłuchując i pilnie gromadząc informacje o sprawach kolegów. Oprócz mojej akcji szczególnie znana była sprawa Zbyszka, który przyszedł do nas z prewencji.

Gość był ambitny, zawzięty i pracowity, co w końcu zaowocowało tym, że zrobiono z niego komendanta. Nadawał się. Miał w sobie coś z twardego, filmowego gliny, za którym oglądały się kobiety, a jednocześnie przykładał się do roboty i miał do niej dryg. Obeznany z ulicą i jej rytmem, szybko rozpoznał teren, zwłaszcza w temacie złodziei.

Pewnego dnia pod koniec szychty Zbyszek dostał od kapusia cynk, że namierzył altankę, gdzie znani nam bracia włamywacze zdołowali fanty z ostatnich robót. Zbyszek, nieznający wtedy jeszcze brudnego sekretu Freda, poprosił go o pomoc w realizacji. Mimo późnej pory Kulapeta przystał na to aż nazbyt ochoczo i we dwóch zrobili wjazd do altany, gdzie faktycznie znaleźli kupę skarbów. Zabezpieczyli je skrzętnie i pojechali zawinąć braci, by mieć komplet.

Poszło łatwo; włamywacze, znając rozkład naszych szycht, nie spodziewali się wizyty o tak późnej porze, więc zaskoczeni nie robili problemów. Zbyszek i Fred dowieźli ich do fabryki, wypełnili niezbędne kwity i wrzucili braci na dechy do dokładnego rozliczenia na następny dzień.

- Cholera, już dwudziesta pierwsza? - zdziwił się Zbyszek, zerkając na zegarek. - Pora się zawijać, bo jutro będzie huk

roboty.

- Ano, pora - zgodził się Fred. - Dobra, to leć, ja jeszcze tylko pozbieram graty i zamknę na szybko jeden temat.

Owym tematem okazało się rozłożenie sobie na górze spania, by o szóstej trzydzieści, ledwie pojawi się szef, jako pierwszy złożyć mu raport z wczorajszej akcji.

- Szefie, melduję, że wczoraj pod koniec zmiany dostałem od kapusia info o braciach i miejscu, gdzie ukryli fanty. Realizacja poszła pomyślnie, towar zabezpieczony, bracia w celach, a teraz będę ich rozliczał.

Ani słowa o Zbyszku, który jak się potem o wszystkim dowiedział, był tak wściekły, że pewnie mało brakowało, a do kolejnego trupa nie musielibyśmy nawet wychodzić na podwórko.

O ile wiem, cały proceder podkradania przez Freda spraw ukrócili dopiero wojewódzcy, stosownie uprzedzeni.

Któregoś dnia ktoś niby przypadkiem palnął, że ma cynk o kradzionym polonezie. Fred oczywiście z miejsca zastrzygł uszami, a potem skrętnie zanotował na karteczce wymienione w rozmowie numery rejestracyjne.

- Dobra, tylko niech nikt nie mówi majstrowi, bo jeszcze nam każe zostać i będziemy doginać do nie wiadomo której - rzucił ktoś, a Fred skwapliwie przyznał mu rację. Co będą jak leszcze siedzieć po godzinach? Do jutra temat nie wystygnie.

Oczywiście nie minął kwadrans, a Fred już był u majstra, jak nazywano kierownika sekcji, starego i doświadczonego milicjanta.

- Kierowniku - wysapał Fred z dumą w głosie. - Mam cynk od uchola, gdzie jest jumany polonez o numerach - sprawdził na kartce - WRA7658. Tylko trzeba ogarnąć szybko, by nie wcięło.

Majster podpalił się do tematu i mimo że zegar na ścianie

pokazywał kilka minut po końcu szychty, zadzwonił z miejsca po pozostałych chłopaków. O dziwo, nikt jeszcze nie wyszedł i stawili się wszyscy co do jednego. Z grobową powagą wysłuchali raportu, po czym jeden z nich podszedł do wiszącego pod zegarem kalendarza ze zdjęciami samochodów FSO.

- Przepraszam, kierowniku, ale czy to aby nie ten wóz? - zapytał, pokazując na zdjęcie poloneza. Na czarnej tablicy rejestracyjnej białe litery i cyfry układały się w ciąg: WRA7658.

Właściwie w tym miejscu mógłbym skończyć o Fredzie, ale doszedłem do wniosku, że w ten sposób nie oddałbym mu sprawiedliwości. Fred miał swoje sprawy. Takie od początku jego, oparte na własnych kontaktach. Jedną z nich była akcja w mieszkaniu pewnego geja na ulicy Podwale.

Cynk mówił, że jeden z poszukiwanych listem gończym delikwentów miał się tam w najbliższym czasie zjawić. Kiedy dokładnie? Tego uchol nie wiedział, najsensowniejszą opcją było więc urządzenie kotła, czyli wbicie na mieszkanie, zamelinowanie się tam i czekanie na zbira do skutku. Na akcję pojechał Fred, drugi poszukiwacz - Młody, i Jędrzek z jedyńki, czyli sekcji zabójstw i rozbojów.

Jak na psa z tej sekcji Jędrzek był wielki i solidny. Mocarny na pewno, ale nie powiem posągowy, bo jednak życie dało mu się we znaki. Wódka jako lekarstwo się nie sprawdziła, za to weszła w nawyk i wychodziła bokiem. Chłanie nawet ponad nasze normy nie przeszkadzało mu jednak wykonywać swojej roboty dobrze i skutecznie. W dodatku był uczynny, chętny do pomocy i można było na nim polegać.

Jędrzek, trzeba też przyznać, umiał robić odpowiednie wrażenie. Gdy chłopaki już się zjawili na miejscu i weszli do mieszkania, gospodarz mało nie narobił pod siebie i gdyby

Jędrak sam tego dobrowolnie nie zrobił, tamten pewnie nawet nie poprosiłby ich o wylegitymowanie. Potem facecik już tylko patrzył smętnie, jak trzech milicjantów przeszukuje mu dokładnie mieszkanie. I nawet jeśli odetchnął z ulgą, gdy nic nie znaleźli, to zaraz na nowo spochmurniał.

- No to co, panowie? Kocioł - zakomenderował Fred, rozsiadając się na kanapie.

Gospodarz wiedział, co to znaczy - być może z autopsji, choć zdecydowanie bardziej z przygód Hansa Klossa i akcji smutnych panów w czarnych płaszczach - i wcale mu się to nie uśmiechało. Kocioł oznaczał nie tylko, że ci trzej będą tu siedzieć nie wiadomo ile, ale też, że ktokolwiek się pojawi, zostanie z nimi, dopóki sprawa się nie rozwiąże. A że bywali u niego różni goście, sytuacja dość szybko mogła stać się naprawdę problematyczna.

Można było odnieść wrażenie, że na razie sprawa przebiegała wzorcowo, ale należy pamiętać, że odpowiadał za nią Fred. To na nim ciążył obowiązek zgłoszenia o prowadzeniu działań jednostce, na której terenie owe działania się odbywały. Powiadomienie to nie było kurtuazyjne, wiązało się z bardzo konkretnymi procedurami i skutkami, które z takiego kotła mogły wyniknąć. Mogłoby na przykład zapobiec pojawieniu się w zabezpieczonym mieszkaniu... listonosza, mającego przy sobie, oprócz listów, pieniądze na emerytury, blisko trzy miliony złotych.

Fred jednak nie dopilnował i listonosz się zjawił. Co właściwie jeszcze nie było aż takim problemem. Z podobnej sytuacji można było pewnie jeszcze jakoś wyjść, ale zero siedem Fred Borewicz, podekscytowany akcją, uznał, że to nie może być przypadek, listonosz na bank jest w zмовie z przestępcami, i że jeśli teraz dadzą mu odejść, to od razu zawiadomi poszukiwanego o kotle. Więc go zatrzymał i tak

siedzieli już w pięciu na mieszkaniu.

W zasadzie było im tam wygodnie, zwłaszcza Fredowi, który szybko poczuł się jak u siebie. Zdjął buty, rozsiadł się w fotelu, kawę czy herbatę zamawiał jak w restauracji. Ponieważ nade wszystko był jednak człowiekiem czynu, szybko zaczął się nudzić i dumać, co by tu zrobić. W końcu wyciągnął z kieszeni płaszcza sfatygowane karty i zaproponował grę. Wszyscy przystali na propozycję, a wtedy Fred wyjął z kabury pistolet, trzepnął nim o stół i kategorycznym tonem ogłosił:

- W tym gronie, nikt, kurwa, oszukiwał nie będzie!

A potem na spokojnie przetasował karty i rozdał, raz po raz denerwując się na gospodarza, że ten gra, jakby nie umiał się skupić.

W ciągu tych godzin, które w mieszkaniu wlokły się niemiłosiernie, poza nim wydarzenia nabierały rozpędu. Powodem był telefon na pobliską komendę od zaniepokojonej naczelnik urzędu pocztowego, która szczerze martwiła się o zaginionego w akcji listonosza. Sprawę potraktowano priorytetowo, bo potencjalny motyw ewentualnych sprawców był jasny - doręczyciel miał przy sobie pokaźną kwotę na emerytury. Do akcji poszukiwawczej włączono więc z początku wszystkich na służbie, a potem ściągnięto także tych z innych zmian. Gorączkowe przetrząsanie krzaków, bram, pukanie do domów, rozmowy ze świadkami z czasem zawężyły pole poszukiwań do ulicy Podwale.

Zanim jednak nocną porą milicjanci dotarli do właściwego mieszkania, w tym zjawił się wyczekiwany pacjent. Fred z chłopakami zawinęli go i dumni z siebie ogłosili koniec kotła.

- Możesz już iść - Kulapeta zwrócił się do listonosza i nie oglądając się na gospodarza i kolegów, wyszedł

z mieszkania. Dochodziła trzecia.

Następnego dnia, gdy cała afera wybuchła mu w twarz, nie krył wzburzenia.

- Ale ja to przecież wszystko zgłosiłem zgodnie z procedurami! - zapewniał naczelnika. - To wszystko z zazdrości o sukces, szefie! I dlatego, że mają tam taki burdel i nie przekazują sobie informacji. Ale to przecież nie nasze zmartwienie. Ja ich uczyć roboty nie będę, nie?

Z tym naczelnik mógł się bezwarunkowo zgodzić. Fred nigdy nikogo milicyjnego fachu uczyć nie powinien.

Naczelnik wydziału, ten sam, który powitał mnie pierwszego dnia słowem „kochany”, odznaczał się wyjątkową cierpliwością i ponadprzeciętną charyzmą. Byliśmy przecież, co łatwo można wywnioskować z poprzednich opowieści, grupą prawdziwych indywidualistów o różnych celach. A mimo to, gdy Hrabia – tak go bowiem nazywaliśmy – zjawiał się w biurze, wystarczyło, że rzucił hasło i wszyscy z miejsca brali się do roboty, nawet po godzinach. Bez wymówek, że dziecko trzeba ze szkoły, teściową z dworca albo że rocznica i baba w domu w peniuarze i z kolacją. Hrabia tyle razy stawał za nami murem, a teraz każe, znaczy trzeba. Bez powodu by nie trzymał.

Jeśli ktoś uznał właśnie, że to wrodzonej szlachetności, charyzmu i zdolnościom przywódczym naczelnik zawdzięczał swoją ksywkę, już wyprowadzam z błędu. Psie imiona rzadko są dowodem uznania, zwykle biorą się z przypadku, z gadania w przerwach, a potem przyklejają się niczym mokry strzępek gazety do podeszwy buta.

Z naczelnikiem było tak, że odziedziczył dom. Żaden tam dworek, ot zwykły domek w zabudowie szeregowej, ale dla nas i tak naczelnik jawił się z miejsca jako pan na włościach.

- Jak hrabia jakiś – rzucił ktoś kiedyś, wypuszczając z płuc obłok papierosowego dymu. I tak zostało.

Wbrew ksywce Hrabia nigdy nie nabrał złych arystokratycznych nawyków, traktował wszystkich równo niezależnie od wieku, stażu pracy czy zasług. Wszyscy byliśmy „kochani”, a naczelnik doskonale orientował się

w naszych codziennych sprawach, interesował się naszymi rodzinami, a nawet dbał o to, byśmy wszyscy stanowili jedną wielką wydziałową rodzinę. Temu ostatniemu służyły organizowane raz po raz weekendowe wyjazdy, na które, zgodnie z założeniem, zabieraliśmy żony, partnerki, dzieci, pieski, koty czy co tam kto miał i czym chciał się pochwalić lub czego z jakiegoś powodu nie chciał opuszczać nawet na dwa dni.

Oczywiście każdy taki wypad stanowił w tamtych czasach poważne wyzwanie logistyczne, bo i ośrodek trzeba było znaleźć, i z góry zarezerwować, i nade wszystko zadbać o zaopatrzenie. O ile do tego pierwszego wystarczał ledwie jeden telefon, za resztą trzeba się było nachodzić i podjąć wspólny wysiłek. Tu jednak, przyznaję, sprzyjały nam ustrój i twarda litera prawa.

Alkohol na przykład. Jak powszechnie wiadomo, wyłącznie w trosce o zdrowie i samopoczucie obywateli, państwo bardzo poważnie strzegło - i wciąż strzeże - swego monopolu na wyrób i dystrybucję alkoholu, tępiąc za pomocą funkcjonariuszy i armii urzędników wszelkie rodzinne interesy i piwniczne manufakturki.

Oczywiście w zalewie spraw dużo poważniejszego kalibru mało kto miał czas na bimbrowników, ale gdy tylko pojawiała się zapowiedź rodzinnego wypadu, robiło się zrzutkę do kapelusza. Na stole lądowały jednak nie pieniądze, a kartki z adresami melin, na które każdy z nas miał oko. Szast-prast, realizacja i po ledwie paru godzinach okazywało się, że wydział dysponuje kilkoma setkami butelek gotowego wyrobu. Oczywiście zgodnie z procedurami przeznaczonego do utylizacji, ta jednak odbywała się we własnym zakresie. Znaczyło to mniej więcej tyle, że po przejściu wszystkich procedur bimbrownicy należało wylać do kanału i sporządzić stosowną notatkę.

A na czym polegała procedura, opowiem na przykładzie. Otóż każdorazowo po zarekwirowaniu alkoholu trzeba było z niego dostarczyć próbkę do badań laboratorium kryminalistycznemu. Jeździł z nimi ten, kto miał akurat po drodze, i któregoś dnia wypadło na mnie, więc pojechałem zaopatrzone w dwie zaplombowane butelki.

- Dlaczego dwie? To ten sam bimber przecież - zapytałem dochodzeniowca, który mi je wręczył.

- A jak będzie dobry, to co? - zdziwił się tamten. - Ci w laboratorium chorzy są? Pić, kurwa, nie mogą?

Palnąłem się w czoło, bo w sumie logiczne. Kto by dobry bimber do kanału spuszczał. Gdzie jak gdzie, ale w laboratorium kryminalistycznym dokładnie to sprawdzą. Oceniają procenty, stopień zanieczyszczeń, pewnie odsączą wszystkie fuzle, odwirują, a wszystko to, przelewając trunek z kolby do kolby, oglądając próbki i dodając odczynniki. No cóż, rzeczywistość wyglądała trochę inaczej.

- Co tam ma? - zapytała pani w laboratorium.

Pokazałem butelki, a ona wzięła jedną, odkorkowała i upiła solidny łyk. Chwilę bełtała alkohol w ustach, wypluła i otarła wargi rękawem.

- Dobry - zaopiniowała. - Około siedemdziesięciu wolt, zanieczyszczenia w normie. Zostawi tę butelkę, zaraz wypiszę papier.

Już z kwitem wróciłem do fabryki, dołączając zachowaną, wciąż zaplombowaną próbkę do pozostałych osiemdziesięciu litrów tego samego bimbrowu, i wypełniłem kwity o komisijne zniszczenie.

Ale przecież nie samym alkoholem człowiek żyje! Nawet jeśli nam samym mógł on w zasadzie wystarczyć, by dobrze się bawić przez dwa dni, to przecież na wyjazdach były z nami rodziny. Dziecku nie polejesz, a zawsze to

przyjemniej, gdy coś tam nad ogniskiem skwierczy tłuszczem.

Szczęśliwie dla nas komenda, w której służyliśmy, obejmowała swoim rejonem nie tylko osiedla mieszkaniowe, ale również typowo rolnicze peryferia. A wiadomo - gdzie rolnicy, tam i PGR. Ten „nasz” w dodatku wyjątkowo prężnie działający i mający w zarządzaniu zarówno pola oraz sady, jak i hodowlę trzody oraz masarnię. A że z racji częstych przypadków podkradania tamtejszego dobra przez miejscowych byliśmy w tych okolicach służbowo dość częstymi gośćmi, niektórzy z nas - jak choćby Szyjka - całkiem szybko wypracowali sobie z dyrektorem PGR-u płaszczyznę porozumienia opartą na wzajemnych przysługach.

I tak na przykład, gdy zbliżał się wyjazd, wysłani milicjanci jechali na miejsce z pieniędzmi, by dokonać jak najbardziej legalnego zakupu świniaka. Dyrektor wyszukiwał wtedy specjalnie dla nas taką mizerną chudzińkę, nie cięższą niż trzydzieści kilo, i wprowadzał na wagę. Wartość wagowego jęczyczka wpisywano, dopełniano formalności, a w tym czasie świnka dyskretnie tyła sobie w kącie, aż osiągała dorodne sto kilo. I taka właśnie ostatecznie stanowiła dla nas podstawę do kaszanek, salcesonów i innych. Te wyrabiał dla nas zaufany masarz, kiełbasę natomiast robiliśmy sami, mieszając mięcho w wannie w domu jednego z kolegów. Zwykle takie mieszanie i nabijanie w kiszki przeciągało się do późnej nocy, a kwestią dyskusyjną pozostawało, czy flaszki przyniesione przez dogląającego nas Hrabiego pomagały podczas tych czynności czy wręcz przeciwnie.

W końcu nadchodził dzień wyjazdu. Ten konkretny odbywał się zimą w zaprzyjaźnionym ośrodku w górach. Pogoda ładna, mroźna, dzieciaki podekscytowane, bo

przecież zaplanowaliśmy dla nich szereg typowo zimowych atrakcji. To wszystko miało się jednak zacząć następnego dnia, bo zaraz po przyjeździe większość z nas zasiadła do suto zastawionego powitalnego stołu, by nadrobić wszystkie towarzyskie zaległości, jakie narosły od ostatniego wypadu. A że było ich sporo, a stół wręcz się ugiął - tym razem za organizację i zaopatrzenie odpowiadaliśmy Szyjka i ja - powitalny posiłek płynnie przeszedł w wieczorną nasiadówkę.

Wtedy zjawił się wcześniej zaproszony szef ośrodka wraz z małżonką i dodatkowym gościem, oficerem Wojska Polskiego.

Oficer, którego nam przedstawiono - choć wątpię, by ktokolwiek to w tamtym momencie zarejestrował - mimo że w mundurze, nie prezentował się najlepiej. Gębę i szyję miał czerwone, guziki niedopięte, a spojrzenie tak szkliste i jednocześnie mętne jak u trupa. Wydawało się, że długo nie usiedzi, tak się zrazu gibał i kołysał, ale posadzony przy stole i podkarmiony, czym chata i stół bogate, częściowo odzyskał animusz.

I wtedy wylazło, że mimo munduru i pagonów żaden z niego oficer, a zwyczajna ciura! Najpierw próbowaliśmy go lekceważyć, zbywaliśmy jego próby bratania się, pijackiego obściskiwania i wznoszenia durnych, bełkotliwych toastów. Trudniej było znieść, gdy przystawiał się do naszych partnerek, a to ordynarnie je komplementując, a to bez skrępowania składając wulgarne propozycje. Instynktu miał na tyle, że jak któremu z nas zacisnęła się pięść czy naprężył kark, to zaraz ręce przed siebie i że żartował. Bełkotał przy tym i pluł się tak, że obrzydzenie brało nawet i w mordę dać. No ale gość, przyjaciel gospodarza, w dodatku oficer Wojska Polskiego.

W końcu jednak nadeszła długo wyczekiwana przez nas

chwila. Żołnierz, zupełnie przekraczając granice przyzwoitości, złapał szklanę i wylawszy z niej herbatę, zaczął do niej zlewać... zawartość naszych kieliszków. I nie robiło mu różnicy, czy to czysta wódka, czy damskie, kolorowe drinki. Sunął wzdłuż stołu, szarpiąc obrus, łapał kieliszki, coś tam krzyczał i chlup do szklanki. Gdy w końcu dwóch doskoczyło do niego, by go powstrzymać, żołnierz uniósł palec na znak, by zaczekali, podniósł szklanę do ust i wypił wszystko duszkiem. A potem wyprężył się jak do zasadniczej, błysnął białkami oczu i byłby runął jak długi, gdyby go tamci nie złapali.

- Co z nim? - zapytał jeden, chyba Szyjka.

Hrabia zerknął z ukosa na gospodarza, jakby upewniał się, co on na to. W końcu machnął ręką.

- Posadźcie go, kochani, na krzesła w kącie i niech śpi. Tylko tak, co by się nie zadławił.

Polecenie wykonano i mimo tego incydentu miły dla wszystkich wieczór, wciąż jeszcze całkiem wczesny, nadal trwał. Toczyły się luźne rozmowy, dzieciaki bawiące się na korytarzach zamkniętego dla obcych ośrodka raz po raz wpadały, a to po ciasto, a to żeby coś rodzicom opowiedzieć lub wziąć klucze do pokoju. Niemal już zapomnieliśmy o śpiącym oficerze, kiedy nagle z kąta dobiegł nas głośny dziecięcy wrzask i zaraz potem histeryczny płacz.

Odwrociliśmy się wszyscy w tamtą stronę i zobaczyliśmy, jak ten skurwiel z półprzymkniętymi oczami obmacuje niezdarnie trzymaną na kolanach kilkuletnią córkę poszukiwacza Mańka. Dziewczynka wpadła chwilę temu do sali po coś słodkiego i wciąż jeszcze trzymała schwyte ciastko w dłoni, gdy wojskowy, zapewne w pijackim widzie zakładając, że to któraś z żon, najpierw złapał ją i przyciągnął do siebie, a następnie chwycił ją za krocze.

Poderwali się wszyscy, a rzucone w stronę gnoja

wyzwiska bardziej niż słowa przypominały psie warczenie. Nawet wtedy jednak, w całym tym wzburzeniu, wiedzieliśmy, do czego nie można dopuścić. Gdyby teraz ten pijany zboczeniec znalazł się w zasięgu rąk Mańka, ani chybi nasz kolega poszedłby siedzieć jak za człowieka. Dlatego ktoś go przytomnie przytrzymał, ktoś inny wyrwał rozhisteryzowaną małą oficerkowi i oddał ją pod opiekę mamy, a Szyjka i ja, czując się za tę imprezę odpowiedzialni, wzięliśmy gnoja pod ramiona i wyprowadziliśmy z budynku na oblodzone, zaśnieżone podwórze.

- Powinniśmy go, kurwa, rozebrać do gołej dupy - zauważył Szyjka. - Choćby z szacunku do munduru.

- Powinniśmy - zgodziłem się. Ale że na zewnątrz robiło się coraz chłodniej, za godzinę mogło być nawet i trzydzieści stopni na minusie, więc ograniczyliśmy się do wypalenia mu solidnego kopa w dupę, a potem zamknięcia za sobą drzwi na klucz, by więcej kutasa nie widzieć. Wróciliśmy do towarzystwa powoli dochodzącego do siebie po tym incydencie i obaj wzięliśmy po kielichu, zakładając, że ostatecznie zamknęliśmy temat tego kutafona. Jakże byliśmy naiwni.

Następnego dnia rano obudziło mnie łomotanie do drzwi pokoju. W progu stał Szyjka, trochę wczorajszy, ale całkowicie rozbudzony.

- Afera jest - powiedział. - Miejscowy przyszedł i prokurator jakiś. Chcą nas widzieć.

- Nas, czyli kogo? - Wyrwany ze snu i trochę skacowany, potrzebowałem chwili, by zacząć normalnie myśleć.

- No, mnie i ciebie. Organizatorów. Chodzi o tego pedofila z wczoraj. Chyba ktoś mu po nas wpierdol spuścił.

Zamknąłem oczy i westchnąłem głośno.

- Daj mi chwilę, ubiorę się.

W pokoju kierownika, dokąd nas wezwano, faktycznie znajdował się komendant miejscowej policji, a obok niego prokurator – tych zawsze łatwo było rozpoznać, bardziej nawet po twarzy niż po garniturze, nie musieli się nawet przedstawiać – jeszcze jeden facet, no i oczywiście, pan „obmacujący małe dziewczynki”. Tym razem nie miał na sobie munduru, siedział taki skulony, a gęba faktycznie, jakby kto po ekranie telewizora magnesem przejechał. Wszystkie kolory i odcienie rozlewające się w jedną napuchniętą, koślawą maskę.

I dobrze ci tak, chuju, pomyślałem. Ale na zewnątrz pełna powaga.

– Co się stało i jak możemy pomóc? – zapytałem.

Miejscowy napuszył się jak indyk.

– Pomóc? Pomóc, kurwa?! Żadne pomóc! Wczoraj w nocy ktoś na terenie ośrodka pobił tego oto oficera. A tylko wy tu jesteście!

Wycelował we mnie palcem niczym detektyw ze starej powieści kryminalnej, który po długim procesie dedukcji wreszcie wskazuje sprawcę zbrodni.

Nie przejąłem się specjalnie tym gestem i tylko uważnie przyjrzałem się oficerkowi, jakbym musiał najpierw go sobie przypomnieć.

– Faktycznie, ten pan był u nas wczoraj na imprezie, prawda, Krzysiek?

Szyjka pokiwał głową.

– Był gościem pana kierownika – potwierdził, posyłając przy tym wymowne i pełne wyrzutu spojrzenie gospodarzowi. – I przyjęliśmy go jak gościa.

– Ale ponieważ nie umiał tego uszanować – podjąłem – ponieważ był, wybaczą panowie, napierdolony jak świnia, narzucał się naszym paniom, robił syf wokoło, a w końcu zabrał się za obmacywanie kilkulatki, zdecydowaliśmy się

go... wyprosić.

- I przy okazji natrzaskać po ryju? - wtrącił się prokurator.

- Nie będę kłamał, kusiło - przyznał Szyjka - ale szacunek do munduru zwyciężył.

To powiedziawszy, posłał długie nienawistne spojrzenie oficerkowi. Takie, na jakie tylko było stać skacowanego, zaprawionego w bojach psa, którego ktoś usiłował przesłuchiwać, w dodatku w dniu wolnym od pracy. „Ale teraz munduru już nie ma”, zdawała się mówić ta mina. I Szyjka był na tyle przekonujący, że tamten jeszcze mocniej ukrył głowę w ramionach.

- Wyprowadziliśmy go na zewnątrz i zamknęliśmy za nim drzwi na klucz. Co później się stało, nie wiemy.

- Ktoś go pobił - podpowiedział miejscowy.

- Możliwe - zgodziłem się. - Albo próbował w tym stanie, nawalony jak szpadel, wsiąść do swojego auta i gdzieś się rozbił. Albo po prostu wyrznął na chodniku, bo wszędzie ślisko. Wszystko jest możliwe!

Miejscowy się zagotował. Łypał to na mnie, to na Szyjkę, wreszcie na milczącego prokuratora, jakby szukał w nim wsparcia. W końcu podszedł do żołnierzyka i nakreślił w powietrzu okrąg wokół jego opuchniętej gęby.

- To - powiedział - to są wyraźne ślady powstałe od uderzeń. Żadne tam potknął się i wyrznął. Uderzeń! Słyszysz pan?

- Słyszę. A w jakich dokładnie okolicznościach zadanych?

- Tego nie wiemy. - Miejscowy spuścił z tonu. - Poszkodowany w wyniku otrzymanych ciosów stracił w pewnym momencie świadomość.

Na te słowa Szyjka parsknął, co zaraz zamarkował kasznięciem. Ja też ledwie się powstrzymałem od śmiechu.

- Ze świadomością to on się zegnał, jak do nas przyszedł -

powiedziałem w końcu. - A potem już tylko usiłował zachlać się na śmierć.

- Tak - skwapliwie przyznał mi rację Szyjka. - W którymś momencie nawet prawie mu się udało.

Stało się jednak na tym, że w sprawie miało zostać wszczęte postępowanie, a ponieważ dotyczyło ono funkcjonariuszy, czynności miał przeprowadzić obecny w pomieszczeniu prokurator. Przyjrzałem mu się wtedy jeszcze raz. Nie wyglądał jakoś strasznie upierdliwie.

- Czy to już wszystko? - zapytałem w końcu, przenosząc wzrok na oficera. Myślałem, że się odezwie albo coś, ale jego obita gęba nie wyrażała niczego poza bólem i zdezorientowaniem. Za to pierwsze odpowiadał pewnie jeszcze gorszy niż u nas kac. Za drugie prawdopodobnie usilne i jak dotąd bezowocne próby przypomnienia sobie wczorajszego wieczoru.

- Na razie wszystko - powiedział miejscowy.

Wyszliśmy.

Resztę dnia spędziliśmy tak, jak było to wcześniej zaplanowane. Dla dzieciaków zorganizowano kulig, zabawy na śniegu, kto chciał, to spacerował, a kto nie, zamykał się w pokoju. Wieczorem, już bez gości, a więc i incydentów, kontynuowaliśmy zaczęłą wczoraj konsumpcję, a pijak w mundurze powoli stawał się imprezową anegdotą. Jak się okazało - przedwcześnie.

Szambo wybiło zaraz po naszym powrocie do pracy. Okazało się, że oficerek swojego kapitana dochrapał się za sprawą taty - jakiegoś ważnego generała w Warszawie. Stamtąd poszedł sygnał, żeby sprawą jednak się przejąć, więc się prowincja przejęła i zaczęła ciągać nas na wycieczki. Jeździliśmy zatem do miasteczka, w którym znajdował się ośrodek, odpowiadaliśmy za każdym razem na te same pytania, czasem rozbawieni tym, jak koledzy

próbują na nas już dawno zgranych sztuczek, a innym razem wściekając się na marnowanie naszego czasu. Przesłuchano, kogo się dało, ale najwięcej razy oczywiście Szyjkę i mnie jako organizatorów i „ostatnich, którzy widzieli poszkodowanego przed zdarzeniem”. Nikt nie wierzył, że po prostu wyprosiliśmy go za drzwi. I w zasadzie ja sam dziwiłem się temu coraz mocniej. Kto wie, może świadom tych późniejszych kłopotów, które i tak nas dopadły, uznałbym, że przynajmniej było warto? Z rozmów z Szyjką wychodziło, że i on myśli podobnie.

Podczas gdy my jeździliśmy na prowincję i z powrotem, nad naszymi głowami toczyła się poważna polityka. Generał tata w Warszawie pieklił się i ciskał gromy, śledztwo tkwiło w martwym punkcie, bo wszystko już powiedziano i właściwie trudno było czymkolwiek uzupełnić tamtejsze wydarzenia, co mogłoby przeważać szalę w jedną lub drugą stronę. Szefostwo, aby wyjść z impasu, wysłało naszych przełożonych z flaszką do jednostki oficerka, by zażegnać konflikt albo po prostu rozważyć dostępne opcje. Podczas spotkania wypłynęło na jego temat parę historyjek, a ogólna konkluzja była taka, że dobrze się stało, bo ktoś to wreszcie zrobić musiał. I z pewnością było tak, jak mówimy, czyli facet sam sobie obił ryj o oblodzony chodnik, ale gdyby jednak nie, na tego, co synkowi generała sprął gębę, na wsiakij słuczaj będzie w jednostce czekała dobra wódka.

I wtedy właśnie pojawił się świadek! Prokurator prowadzący sprawę nie posiadał się z radości.

- Jest świadek, który was rozpoznał - powiedział, gdy już z Szyjką stawiliśmy się przed nim na specjalne wezwanie. Jeszcze zanim weszliśmy, słyszeliśmy, jak przez telefon, zapewne do Warszawy, z dumą odtrąbił przełom w śledztwie. W połączeniu z tym, co właśnie usłyszeliśmy,

nie brzmiało to najlepiej. Czyżby kogoś podstawili?

- Świadek? - zapytałem. - Niby kto?

Prokurator zmrużył oczy, jakby chciał przeczytać moje myśli, i uśmiechnął się chytrze. „Nie ze mną te numery, Brunner”, mówił ten grymas. W końcu jednak nie wytrzymał.

- Palacz z ośrodka. Rozpoznał was na zdjęciach.

Wymieniliśmy z Szyjką spojrzenia.

- To chyba dość jasne, że nas rozpoznał - nie wytrzymał Krzysiek. - Byliśmy tam dwa dni i co najmniej pięć razy z panem w ciągu ostatnich, kurwa, trzech tygodni! Widział nas tyle razy, że mógłby nas z własną żoną pomylić.

Prokurator nie dał się zbić z pantaląku. Zatarł ręce.

- Ale on widział zdarzenie!

- To znaczy, co dokładnie widział?

- Że to wy dwaj wyprowadziliście poszkodowanego z ośrodka.

Przez chwilę nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Przecież to do cholery zeznaliśmy. Że go odprowadziliśmy do drzwi, wystawiliśmy za nie i zamknęliśmy ośrodek na klucz. Jeśli to właśnie widział, to chyba dobrze dla nas, prawda?

Wydawało się logiczne, do czasu, aż zobaczyliśmy to potem w aktach. Według zeznań świadka byliśmy ostatnimi, którzy widzieli oficera przed pobiciem, a nasze nastroje i motywacje wyraźnie wskazywały na chęć zrobienia mu krzywdy. Tak właśnie brzmiały zeznania świadka, które - jak można wnioskować po konstrukcji zdań - zostały podyktowane przez kogoś z prokuratury.

Widząc te dokumenty, spodziewaliśmy się już naprawdę poważnych kłopotów, dlatego zwróciliśmy się o pomoc do znajomego karnisty, profesora wykładającego na wrocławskim uniwersytecie. Ten orzekł, że jeśli nic więcej

nie wyskoczy, to powinien się rozprawić z aktem oskarżenia raz-dwa. I tak też się stało, bo najwyraźniej postawienie nam zarzutów i postraszanie nas zaspokoiło zapędy tatusia generała, tak że więcej nie naciskał, a i sam kapitan Pijus wydawał się z każdą chwilą coraz bardziej zmęczony całym zamieszaniem i tym, że w zasadzie niczego nie pamięta. Przeszkadzało mu też pewnie, że wytoczywszy takie ciężkie działa, zderzył się z wydziałowym murem, a do naszej solidarności doszła jeszcze ta międzyinstytucjonalna niechęć do dupków załatwiających swoje sprawy poprzez tatusia w stolicy.

Gdy przyszło co do czego, prokurator stracił więc zaplecze z Warszawy, musiał zmierzyć się z wybitnym karnistą i sromotnie poległ. A my solidnie opiliśmy to wódką.

- Słuchajcie, ale już tak poza sprawą - zagadałem wtedy - to naprawdę nie macie pojęcia, co się właściwie gościowi stało?

- Najmniejszego - powiedział ktoś, nie pamiętam kto. - Ale wiecie, może Gruby będzie coś wiedział, bo wyszedł wtedy zaraz po was, wkurwiony jak chyba jeszcze nigdy i potem długo nie wracał.

Zapytaliśmy, ale Gruby też nic nie wiedział.

Odkąd zacząłem służbę, wszyscy mówili, że ta ekscytacja, jaką miałem wypisaną na twarzy, szybko mi minie. Że raz-dwa wpadnę w koleiny rutyny i tak już będzie aż do emerytury. Kolejne dni, tygodnie i miesiące zupełnie jednak na to nie wskazywały, bo co i rusz działy się rzeczy, które mnie zaskakiwały czy wręcz zmieniały o sto osiemdziesiąt stopni mój dotychczasowy światopogląd.

Weźmy takich ucholi. Człowiek wychowujący się na ulicy, zwłaszcza takiej ulicy jak moja, szybko uczy się do nich pogardy i wyrabia sobie nawyk, by trzymać się jak najdalej od wszelkiej maści kapusiów. Nawet jeśli nie robisz nic złego, niczego nie przeskrobałeś, ktoś naznaczony piętnem kabla jest trędowny.

Oczywiście nie byłem głupi, wiedziałem, że komuś tacy ludzie muszą kapować, więc pewnie jako milicjantowi przyjdzie mi z nimi pracować. Ale że stanowią właściwie podstawę wszelkich sukcesów w robocie operacyjnej? To był, przyznaję, prawdziwy szok i wymagało ode mnie przełamania jakiejś wewnętrznej blokady, by w ogóle zacząć gromadzić własną bazę ulicznych donosicieli, a potem jeszcze utrzymywać z nimi kontakty. Ale gdy już zacząłem, szybko przyniosło to pożądane skutki.

Jako że takie bliskie kontakty z ulicą mogły stanowić pokusę do nadużyć, pieczę nad naszymi relacjami z ucholami sprawował Dzielnicowy Urząd Spraw Wewnętrznych. Zastępcą szefa tego wydziału był major Jaroszyński, któremu w rzeczonych kwestiach bezpośrednio podlegaliśmy. Oczywiście oryginał, bo jakżeby inaczej.

Nikt w ogóle nie wie, jakim cudem major dostał się do

służby, bo do regulaminowego minimalnego wzrostu stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów kwalifikującego do przyjęcia do służby w milicji brakowało mu minimum decymetra. Korpulentny, z włosami zaczesanymi do tyłu z falą, miał niezwykłą słabość do swojego kota Orfeusza, który wedle relacji właściciela inteligencją przewyższał niejednego człowieka i zawsze, gdy major dzielił się z nim swoimi spostrzeżeniami, wsłuchiwał się z uwagą i kocią mimiką dawał do zrozumienia, czy się zgadza czy nie. Zażartowałem kiedyś, że skoro jest taki inteligentny, to pewnie nie potrzebuje kuwety, bo załatwia się w łazience i sam spuszcza wodę. Major przyjrzał mi się wtedy uważnie, jakby analizował, czy mówię poważnie, czy szydę. Ostatecznie stwierdził, że jeszcze się tak nie dzieje, ale Orfeusz jest na dobrej drodze.

Trzeba mu było przyznać, że major Jaroszyński ciężko walczył o zaznaczenie swojej mikrej obecności na posterunku. Raz podczas przesłuchania świadka, które przeprowadzaliśmy z Barbim, wparował nam do pokoju, doskoczył do siedzącego na krześle pracownika budowy i złapał go za koszulę.

- To ten złodziej? Z takimi to nie będzie pierdolenia... - I jak się nie odwinie, jak nie wyrżnie facetowi w twarz.

Cios nie był za mocny, głowa budowlańca ledwie drgnęła, ale na nieogolonym policzku zostały czerwone odciski serdelkowatych palców. Przez moment widziałem w oczach gościa mieszaną zaskoczenia, gniewu i strachu, ale słowem się nie odezwał.

- Ekhem, panie majorze - wtrącił się grzecznie Barbi. - To nie jest złodziej. To świadek.

Major Jaroszyński otworzył usta, by coś gniewnie odpowiedzieć, ale zaraz je zamknął. Cofnął się o krok i z tej perspektywy jeszcze raz, uważnie, przyjrzał budowlańcowi.

- Nic nie szkodzi - stwierdził w końcu. - Jemu też się pewnie należało.

I wyszedł. A my kolejne pół godziny zamiast na przesłuchaniu spędziliśmy na przekonywaniu świadka, żeby nie wnosił skargi, bo nic dobrego z tego nie wyjdzie ani dla niego, ani dla nas.

Innym razem major wpadł do biura i zażądał do kontroli dokumentacji spraw Szyjki. Po kilku godzinach wrócił, taszcząc ze sobą stos teczek, stanął za Krzyśkiem i cisnął mu je na biurko. Część dokumentów poleciała na podłogę, część rozsypała się na blacie. Jedna z teczek mało nie przewróciła szklanki z fusami po kawie.

- To ma być praca operacyjna? To?! - wydarł się Jaroszyński, dysząc w kark siedzącemu przy biurku Szyjce.
- To gówno jest, a nie praca operacyjna.

Zamarliśmy. Znaliliśmy naszego kolegę i wiedzieliśmy, że czasem ładował się w kłopoty tą swoją porywcznością. Kark Krzyśka poczerwieniał niczym w uczuleniowej reakcji na oddech i kropelki śliny majora. Jego mięśnie napięły się i rozluźniły.

Szyjka wstał, przetarł ręką purpurową z gniewu twarz i spojrzał na majora z góry. Potem zagarnął te z teczek, które leżały na biurku, cisnął nimi w majora i wrzasnął jeszcze głośniej niż tamten chwilę wcześniej:

- Sam jesteś gówno!

I wyszedł.

Kolejnym poważnym zaskoczeniem było, gdy w pewnym momencie uświadomiłem sobie, że w twierdzeniu, które mówi o tym, że mimo hierarchii, stopni i lat służby bycie psem czyni nas równymi, mowa jest również o... prawdziwych psach. Dokładniej tych, które siedziały w kojcach za budynkiem i tak strasznie ujadają mojego

pierwszego dnia tutaj. No ale gdy już to do mnie dotarło, szybko stało się oczywiste. Wykonywały naszą psią robotę wzorcowo i sumiennie, należał im się wikt, opierunek i zrozumienie.

To ostatnie przychodziło mi czasem z trudem. Pokój numer sześć, czyli pomieszczenie, które zajmowaliśmy z Kaziem na dwa biurka, mieścił się dokładnie nad psią kuchnią, to jest specjalnym miejscem, gdzie gotowano, sądząc po smrodzie, najobrzydliwsze organiczne odpady, jakie udawało się znaleźć. Czuć było tym cholerstwem wszędzie, ale u nas oczywiście najmocniej i bywało, że nawet po wielokrotnym praniu ciuchy miały we włókna wpisaną tę niesubtelną zapachową nutę.

Dlaczego, mimo szacunku dla pracy psiaków, karmi się je taką padliną? Powodów nietrudno się było domyślić. Choć w wielu sytuacjach byliśmy na uprzywilejowanych pozycjach, gdy przychodziło co do czego, nas również obowiązywały narzucone odgórnie obostrzenia, takie jak chociażby przydziały na mięso. I mówiąc „nas”, mam na myśli wszystkich, wszystkie psy. Także te czworonożne. Zasadnicza jednak różnica między nami a owczarkami z kojców sprowadzała się do tego, że my potrafiliśmy mówić i załatwiać interesy, a one nie.

Wymieniano więc te psie kartki na kiełbasy krakowskie czy co tam akurat było na wyższych półkach, a przy okazji zabierano też, w ramach przysługi, to, z czym wiele się już zrobić nie dało. Potem wszystko wędrowało do psiej kuchni, gdzie opiekunowie odkrawali całkowicie niejadalne części, a resztę gotowali i wrzucali do misek. Spektakularne zatrucia się nie zdarzały, więc generalnie można było uznać, że wszyscy są zadowoleni. A smród z czasem zaczęliśmy traktować jako nasze ustępstwo w tym mięsnym kompromisie.

Czasami jedna czy druga zaskakująca sytuacja niosła ze sobą też cenną lekcję. Jedną z nich była dla mnie sprawa pegowca Wojtka.

Przestępstwa gospodarcze stanowiły osobny wydział ze swoim naczelnikiem i podwydziałami. Jak łatwo wywnioskować, zainteresowania naszych kolegów kręciły się wokół wszelkich przestępstw godzących w ekonomiczny interes Polski Ludowej. I trzeba im przyznać, przykładali się oni do roboty jak mało kto! Regularnie, choć bez wcześniejszych zapowiedzi, odwiedzali prywatne firmy, sprawdzali wszystkie kwity, pozwolenia, legalność dostaw i każdej transakcji. A że nie da się przecież skrupulatnie i szybko, jeden czy drugi przedsiębiorca uznawał w końcu, że należy im się przerwa i poczęstunek, najlepiej z wkładką. A potem jeszcze coś na wynos, do domu.

Owe przejawy bezinteresownej uprzejmości przedsiębiorców zdarzały się chłopakom na tyle często, że gdyby kto w tamtym czasie wszedł do biura pegowców i rzucił kamieniem, ani chybi trafiłby w rozwiedzionego alkoholika z marskością wątroby. Albo, ostatecznie, w świeżo opróżnioną flaszkę.

Miało być jednak o Wojtku. Ten pił często i solidnie jak wszyscy, ale wyróżniała go szczególna bojowość po spożyciu. Nie zawsze, to nie tak, że każde picie z nim kończyło się awanturą, ale alkohol jednocześnie skracał mu lont i budził lwa.

Pewnego razu, gdzieś pod wieczór, patrol przywozi do nas jakiegoś krewkiego jegomościa, który rzekomo wszczął awanturę w karczmie w Świętej Katarzynie, jak nazywa się wioska pod Wrocławiem, w której Wojtek mieszkał. Podobno pokłócił się tam w lokalu z kilkoma miejscowymi i przekonywał ich do swoich racji za pomocą dużej

drewnianej ławy. Wezwany patrol podczas dokonywania czynności zorientował się, że awanturnik jest milicjantem, więc przywieziono go do macierzystej jednostki, pozostawiając wszelkie decyzje pułkownikowi Henrykowi.

Ten, wściekły, że telefon zmusił go do zjawienia się w fabryce po godzinach, zmierzył pegowca wzrokiem, po czym zakomenderował, że porozmawia sobie już z funkcjonariuszem, bo na razie stoi przed nim pijany lump. Następnie, wezwawszy służbę dyżurną, kazał posłać Wojtka na śmierzzące z daleka dechy.

Od tamtej pory wiedziałem już, że nawet któryś z nas może tam trafić. Wcześniej nie bardzo to sobie wyobrażałem.

Największym zaskoczeniem byli jednak ludzie zwracający się do nas ze sprawami. Wśród nich zdarzali się stali bywalcy, jak choćby kobieta mieszkająca na klatce schodowej jednego z bloków na osiedlu na Popowicach. Nie to że była bezdomna i szukała ciepłego schronienia. W budynku, który tak sobie upodobała, w jednym z mieszkań rezydował pewien lekarz, miłość jej życia. Z tego, co przy okazji kolejnych, częstych, acz nieregularnych wezwań udało się mniej więcej ustalić, faktycznie się znali, ale raczej przelotnie. Być może dla pana doktora była to akcja na jedną noc, może wspólne gorące upojne lato na kurwidołkach? Co jednak dla niego stanowiło przelotną znajomość, o której najchętniej zapomniałby chwilę po zapięciu rozpornika, dla niej stało się przyczynkiem do wieloletniej love story. Tak, wieloletniej, bo sprawa owego fatalnego w skutkach zauroczenia wracała do naszej dyspozytorni przez dwanaście lat! W końcu jednak niezliczone skargi lokatorów zmęczonych obecnością niechcianej sąsiadki i jej kolejnymi

dziwactwami doprowadziły do tego, że kobietą zajęła się opieka społeczna.

O ile sprawa kobiety z popowickiego osiedla wracała do nas nieregularnie, o tyle przynajmniej raz w tygodniu mogliśmy się spodziewać telefonu z prośbą o interwencję Lucka, naszego laboratoryjnego technika. Dzwoniącym był pewien starszy pan z objawami starczej demencji, który zgłaszał, że obrabowano go ze... słoika ze złotem. Gdy tylko wpływało zawiadomienie, Lucek odrywał się od mniej pilnej roboty i jechał do staruszka. Tam udawali się do ogrodu z łopatą i wykopywali słoik spomiędzy korzeni jabłoni, gdzie zakopali go we dwóch przy okazji ostatniego zawiadomienia. Lucek zawsze cierpliwie czekał, aż staruszek starannie przeliczy złote monety, a potem z powściągliwą uprzejmością przyjmował serdeczne podziękowania od wzruszonego właściciela. Następnie wracał do pracy i na jakiś czas przeobrażał się na powrót z poszukiwacza skarbów w policyjnego technika.

Swoją drogą, jeśli Fred mógł być podstawą wszystkich dowcipów o policjantach, Lucek mógłby stanowić modelowy wzór niewzruszonego technika kryminalistycznego. Nieważne, czy pochylał się nad obsranym, obszczanym samobójcą świeżo zdjętym z żyrandola czy kilkudniowym, napęczniałym trupem powoli zespalającym się z fotelem, na którym siedział – jeśli akurat jadł kanapkę, to ją kończył, konieczne czynności wykonując drugą ręką. Apetytu nie tracił chyba nigdy, a jeśli zdarzało się, że Lucek gdzieś się zawieruszył, wystarczyło pójść śladem łupinek słonecznika. Pewnie kupionego bezpośrednio z bagażnika Grubego.

Wracając jeszcze na chwilę do ucholi, to w ich pozyskiwaniu prawdziwą krecią robotę odwalala nam esbecja.

Zacznijmy od tego, że jak każde dobro luksusowe w tamtych czasach, kapusie mieli swoje druki ścisłego zarachowania. Zgodnie z odgórnym rozporządzeniem każdy operacyjny miał posiadać - i tym samym zarejestrować i wpisać do dokumentacji na potrzeby ewentualnych kontroli - dziesięciu informatorów. Nie znaczyło to, że nie mógł opierać się na informacjach zdobytych z innych źródeł. Ale dobry, zorientowany kapuś, uchol czy też koń - zamiennie używaliśmy wszystkich tych nazw - stanowił podstawę pracy operacyjnej.

Rzecz w tym, że jeśli ktoś był zorientowany w milicyjnych strukturach, miał świadomość pewnych niuansów nieznanymi postronnym. Na przykład dla nas, funkcjonariuszy wszelkich maści i wydziałów, robota w kryminalnym stanowiła wyróżnienie. Powszechnie, acz wciąż tylko wewnątrz wiadomo było, że niełatwo się do tego wydziału dostać, a pomijając zdarzające się wszędzie wyjątki, w środku liczyła się zarówno pracowitość, smykałka do ludzi i spraw, jak i odrobina szczęścia. Mogliśmy też o sobie powiedzieć, w przeciwieństwie do innych wydziałów, że nasza wytrwałość i skuteczność faktycznie przekładały się na poprawę sytuacji na ulicach.

Podobno w normalnych czasach o szczególnym znaczeniu wspierania kryminalnych wiedzieli też zwykli ludzie. Początki mojej służby nie przypadły jednak na normalne czasy. Wtedy na całego toczyła się bowiem wojna między

Służbami Bezpieczeństwa a Solidarnością i bycie ucholem, podpisywanie kwitka stawało się dla niektórych z miejsca sprawą polityczną. A że na dodatek wielu esbeków dobierano do służby spośród naszych, metody pozyskiwania informatorów mieliśmy z gruntu takie same.

Samo w sobie utrudniało to werbunek, a w którymś momencie zrobiło się jeszcze gorzej, bo pojawiły się polecenia, by tych naszych ucholi, zwerbowanych naciskiem czy obietnicą gratyfikacji, podpytywać też obowiązkowo o nastroje polityczno-społeczne i czy coś wiedzą albo słyszeli o akcjach dywersyjnych przeciw ustrojowi lub o czymś, co mogłoby skompromitować ważnych działaczy opozycji. Akurat do tej części nie przykładaliśmy się zbytnio ani my, ani nasi uchole, bo po pierwsze, to tak naprawdę nie była nasza sprawa - polityczne sympatie, z którymi mało kto się w fabryce obnosił, mieliśmy różne - a po drugie, w niczym interesie nie leżało składanie potem stosownych raportów dla bezpieki. Gdy coś się trafiało i trzeba było odnotować, kosztowało nas to tylko czas i energię, a niekiedy i prowadzoną sprawę, bo polityczne pierdoły miały wyższy priorytet. Po pochwały i premię za uzyskane w ten sposób informacje rękę wyciągał już ktoś z bezpieki.

Słowem, z ucholami było czasem ciężko i pozyskiwało się ich trudniej. Ale jakoś szło i gdy już zaczął mnie obowiązywać wymóg posiadania własnych współpracowników, zdobyłem ich w miarę szybko. Różnymi sposobami, spośród których najpowszechniejszym było tak zwane przyzwolenie pozysku na materiałach obciążających.

Oto jak to działało w praktyce. Każdego ranka podczas odprawy z naczelnikiem dowiadywaliśmy się od Hrabiego, kto siedzi na dołku, czekając na rozliczenie, i w jakiej sprawie. Największe branie mieli zwykle ci, którzy wpadli

za jazdę po pijaku. Prawdziwe święto następowało, gdy taki delikwent był do tego kierowcą zawodowym i od posiadania prawa jazdy zależało jego utrzymanie. Brało się go na towarzyskie ploteczki o gościu, który na budowie czy w magazynie podkrada materiały, ciągnie paliwo albo przyznaje się do pędzenia bimbru. Kiedy już znajdowało się wspólne tematy, kiedy zawiązała się nić porozumienia, proponowało się długofalową współpracę i podtykało pod nos kwit do podpisu w zamian za zwrot prawka.

Oczywiście taki pozysk był w większości przypadków gównem wart, bo ledwie nowy współpracownik odzyskiwał prawko, przechodziła mu chęć na pogaduchy. Możliwe, że zaczynał pilnować się bardziej, by znowu nie wpaść - zawsze to jakaś korzyść - ale więcej niż raz, dwa razy rozmawiać zwykle nie chciał. Ale był, podpisał i teraz, żeby zadowolić naszych przełożonych, w raportach donosił regularnie, czy wiedział o czymś czy nie. Oficjalnie informował o zasłyszanych tu i tam plotkach, wieściach od babci z okna, co wszystko widzi i chętnie o tym opowie, ale przecież nie w dokumenty, bo donosić nie zamierza. Taki nieobecny uchol miał też zwykle miły zwyczaj gorliwego potwierdzania informacji pozyskanych od innego uchola, jeśli zachodziła taka potrzeba.

Ten teatrzyk, owszem, ściągał nam z głowy biurokratów, ale oczywiście kluczowego problemu nie rozwiązywał. Potrzebni byli też prawdziwi, skłonni do współpracy kapusie. I tu zwykle nie wystarczał pijany kierowca. Za to bimbrownicy sprawdzali się wyśmienicie!

Z jednej strony pędzenie zagrożone było wyrokiem do roku, co nikomu się raczej nie uśmiechało, z drugiej - pędziło wielu, bo jednak potrzeba w narodzie była niemała. No i teraz pytanie: kto powinien pójść do paki i poprawić milicyjne statystyki? Ja czy sąsiad? Kiedy więc ssanie brało

górze nad uliczną lojalnością, bywało, że sam z siebie pojawiał się donos, z którego chętnie korzystaliśmy.

Warto też pamiętać, że nie każdy bimbrownik ograniczał się do własnych potrzeb, niektórzy mieli większe ambicje. I tych milicjanci odwiedzali i zawijali, już zawczasu snując dalekosiężne plany. No bo jeśli pędzi więcej, to pewnie na sprzedaż. A jak sprzedaje nielegalny alkohol, to komu? Przecież nie szanującym prawo obywatelom. Zwinięty ostrożnie, stosownie postraszony rokiem w pierdłu, jeden z drugim tracił rezon i podpisywał, a potem opowiadał. Czasem o jumaczach, czasem o szykującym się włamie lub już zrobionym, który trzeba było opić. O poszukiwanym listem gończym przestępcy, którego rodzina właśnie zamówiła czterdzieści litrów, bo idą chrzciny. Albo, jak wspominałem, o sąsiedzkiej konkurencji.

Pamiętam jedną taką akcję. Donos sąsiedzki, ktoś na osiedlu pędzi. Dostaliśmy z Barbim dokładny adres, polecenie od Hrabiego, żeby doprowadzić, i poszliśmy „święcić tradycję”. To ostatnie znaczyło pukanie do drzwi o szóstą rano, co robiła w zasadzie tylko milicja. No bo kto inny normalny?

Otwiera nam facet, cały pomięty i niewyspany, tylko gęba rozbudzona, strach w oczach. To samo w sobie jeszcze niczego nie udowadniało, bo przecież czasy były takie, że tylko głupi by się nie bał, jakby mu milicja robiła poranny najazd, choćby i przez pomyłkę.

Szybko przeszliśmy do tematu.

- My po bimber. I maszynkę.

- Bimber? Panie władzo, to pomyłka jakaś! Ani ja nie piję, ani tym bardziej nie pędzę. - Głos mu się trochę załamał, nogawki piżamy drgnęły.

Barbi chwilę się gościowi przyglądał, po czym pociągnął nosem, jakby miał zamiar ten bimber wyniuchać, i wszedł

do mieszkania.

- To co, od kuchni? - zapytał.

- Od kuchni - odparłem, po czym pouczyłem gospodarza, że przystępujemy do przeszukania i co mu grozi, jeśli okaże się ono dla niego niekorzystne. Nie skończyłem mówić, a Barbi wrócił z butelkami w obu rękach.

- Z wyjęciem maszynki będziesz mi musiał pomóc - powiedział.

Przeszliśmy z teraz już niemal białym, rozedrganym z nerwów gospodarzem do kuchni i na jego oczach wyciągnęliśmy niespecjalnie ukrytą aparaturę i kolejnych kilka butelek. Po chwili w kuchni zjawiała się kobieta w szlafroku i mocno zaawansowanej ciąży.

- Co tu się dzieje? Kim panowie są?

Przedstawiliśmy się i poinformowaliśmy, że oczywiście jest nam przykro, że musimy jej przekazać taką wieść, ale zmuszeni jesteśmy zabrać jej małżonka ze sobą i zważywszy na ciężar dowodów, może się okazać, że wcale szybko nie wróci. Pani się to, rzecz jasna, nie podobało, ale biorąc pod uwagę okoliczności, przyjęła to wyjątkowo spokojnie.

Daliśmy się bimbrownikowi ubrać, po czym zabraliśmy go ze sobą do fabryki, gdzie po krótkiej rozmowie poinformowaliśmy, że zaraz jedzie do proroka i pewnie posiedzi sobie kilka miesięcy. Zanim jednak cokolwiek w tej sprawie zdążyło się wydarzyć, zjawiała się u nas zaokrąglona małżonka bimbrownika, informując, że cały sprzęt i alkohol był jej, a mąż o niczym nie wiedział i nie brał udziału w procederze. Pędziła sama, wyłącznie dla siebie, bo potrzebowała alkoholu na chrzciny.

Pewnie wiedziała, co robi, bo faceta musieliśmy teraz puścić, a choć jej samej prokurator postawił zarzuty, odstąpił od skierowania sprawy do sądu przez wzgląd na jej

stan.

Cóż, bywało i tak.

Jak wyglądała na co dzień praca z ucholami, pokażę na konkretnym przykładzie.

Miałem takiego jednego, nazwijmy go Wąski. Chłopak z ulicy, czasem gdzieś przy czymś pracował, był niezły, ale kilka razy wpadł. W końcu wymyślił, jak zminimalizować ryzyko i pozyskać właściwych przyjaciół, tak na wszelki wypadek.

Głupi nie był, nie pucował na wszystkich i za każdym razem, bo ulica zaraz by się połapała co i jak, a kapuś, jak już mówiłem, życia potem specjalnie nie ma. Ale jak się kroilo coś grubszego, a ryzykownego, w dodatku z udziałem kogoś i tak obserwowanego, Wąski wiedział, kiedy bardziej mu się opłaca przyjść do mnie niż liczyć na działkę łupu.

No i raz przyszedł.

- Dobry, ja sprawę mam - powiedział, splatając ręce przed sobą, jakby miętolił czapkę.

Pokazałem mu miejsce po drugiej stronie biurka, a sam zamknąłem teczkę z czytаныmi aktami. Kablowanie jak kij ma dwa końce, a jak sprzedaje ulicę mnie, to czemu by nie miał też w drugą stronę?

- Coś się kroi? - zapytałem.

Pokiwał głową i jak zawsze zawiesił się na chwilę, jakby wahał się, czy mi powiedzieć. Dałem mu czas na ten teatrzyk. Spokojnie dopiłem zimną resztkę herbaty.

- Pamięta pan tego Piotrka? Ten z Nowego Dworu, co ma pan na niego oko, nie? I się pan kazał zakumplować? To się zakumplowałem i wie pan, tak w chuj, bo mnie teraz na robotę chce.

Urwał i patrzył na mnie, licząc, że zapytam jaką. Nie

zapytałem.

- Dom kultury taki chce zrobić. Radia, magnetofony, mikrofony jakies. Ciężkie jak sam skurwysyn pewnie, ale sporo warte.

Skończył, rozparł się na krzesło i wyszczerzył. Ani chybi czekał na pochwałę, której jednak nie dostał.

- Oczywiście wiesz kiedy i jak, nie, Wąski? - zapytałem zamiast tego.

Chłopak pochylił się do przodu, jednocześnie drapiąc się po zarosniętym policzku.

- Rzecz w tym, szefie, że niby wiem, ale jest jeszcze coś. On chce mnie ze sobą. Ten Piotrek znaczy. Chce mnie i tylko mnie.

- Romantycznie, Wąski.

Prychnął cicho.

- Nie no, w sensie na czujce mam być, bo on twierdzi, że to robota na dwóch. Znaczący wchodzi jeden, tam jest takie okienko, a kawałek dalej drzwi zamknięte od wewnątrz na zasuwkę. Stare takie, nieużywane i zarosnięte krzaczorami. Ale to park, zawsze się kto może napatoczyć i jak wyjdzie z radiem prosto na kogoś, to chuj, za tym, no, przeproszeniem...

Zamyśliłem się. Temat był interesujący, ale uchol biorący udział w akcji mógł wpaść, a wtedy nie byłoby gadania, że pracował dla mnie. Tak to mogło działać na filmach. A Wąski słuchał dobrze, przynosił konkrety, szkoda by go było.

- Dasz się radę z tego wyłgać? - zapytałem. - Żeby wziął za ciebie kogoś innego?

- Nie ma szans - odparł Wąski, niby z żalem, ale jednak przebijała złodziejska duma. - On mówi, że albo ze mną robi, albo wcale.

- Może faktycznie na ciebie leci?

- Gdzie tam. To kwestia zaufania jest. Beze mnie nie pójdzie.

Sięgnąłem po ołówek, kilka razy obróciłem go w palcach. Zajrzałem do szklanki, ale były w niej tylko napęczniałe wodą fusy.

- Rzecz w tym, Wąski, że jak pójdziemy w temat, to zrobimy zasadzkę. On wchodzi, ty spierdalasz - powiedziałem w końcu, a widząc, że chce się odezwać, uniosłem palec. Uchol zamknął usta. - Problem jest taki, że jak go zawiniemy na dołek, a potem pogaduchy, on może nam powiedzieć, z kim tam był. A wtedy to już w raporcie, skręcić się tego nie da i będziemy musieli przyjechać po ciebie.

Wąski przyglądał mi się chwilę z niedowierzaniem, po czym parsknął śmiechem.

- Że niby Piotrek? Z psiarnią miałyby gadać? - zdziwił się. - Nie ma szans, żeby mnie wydał. Chuja pod nóż kładę, że słowa nie piśnie.

Przyglądałem mu się z uwagą, aż przestał się śmiać, a potem kazałem mu zaczekać na zewnątrz, a sam poszedłem nadać temat Hrabiemu. Ustaliliśmy, że do realizacji wezmę jeszcze dwóch z wydziału, i zaproponował Barbiego, co mnie ucieszyło. Zaraz jednak uśmiech spelzł mi z twarzy, bo dołączyć miał do nas Fred, który wtedy jeszcze u nas pracował. I nie, to już nie była propozycja.

Na następnny dzień mieliśmy się stawić na osiemnastą, od razu na realizację. Myślałby kto, że dzień wolny, ale ja głowiłem się, jak temat rozegrać, bo sprawa, choć z pozoru prosta, miała mnóstwo niuansów, na których wszystko się mogło wysypać. Włamywacza trzeba było złapać na gorącym uczynku, najlepiej z fantami, bo wystarczyło się trochę pospieszyć i zwinąć go za wcześnie, a już włączy się stara śpiewka: „Spać nie mogłem, po parku nocą łązę,

gołębie chlebem dokarmiam”. Druga sprawa to Wąski i jego zniknięcie w porę, żeby nie było przypału i straty dobrego uchola. Wreszcie Fred.

Byłem z nim na paru realizacjach, w kilku zasadzkach i wiedziałem, że jest wtedy jak wielkie, tłuste pięcioletnie dziecko. Wierci się, gada, masuje nogę, znowu gada, znowu się wierci i narzeka, że on tu się kłaść nie będzie, bo igły, szyszki czy co tam jeszcze, no i potem nie wstanie. Z tym ostatnim nie przesadzał, jak już się kładł na glebie i próbował wstać, to jakby żółwia, co się przewrócił, na nogi stawiać.

Tak było i tym razem. Doszło jeszcze to, że Fred ledwie przyszedł, zaczął mnie ustawiać i mówić, jak to jego zdaniem będzie i jak się ustawimy. Wtedy już wiedziałem o jego praktykach, więc szybko go naprostowałem i przedstawiłem, jak to faktycznie będzie. Pomarudził, ponarzekał, ale się zgodził. Barbi nie miał obiekcji.

Na miejscu, na Nowym Dworze, zjawiliśmy się około dwudziestej pierwszej. Obejrzelśmy wszystko dokładnie, wybraliśmy sobie krzaki naprzeciwko budynku, po drugiej stronie niewielkiego, jasno oświetlonego placyku. Mieliśmy zająć miejsca wzdłuż całego budynku, ale Fred stwierdził, że sam siedział nie będzie, i przylazł do mnie. Może i dobrze, bo gdyby tak gderał, marudził i trzaskał gałązkami z dala ode mnie, nie mógłbym go raz za razem uciszać. A tak zmusiłem go w końcu, by zaległ, sam położyłem się obok i czekaliśmy.

Zjawili się o umówionym czasie. Szli jak ludzie przemieszczający się w deszczu, od jednego schronienia do drugiego, z tym że oni szukali zacienionych punktów. Pomiędzy jednym a drugim szli szybko, powstrzymując się jednak od biegu, i rozglądali nerwowo.

Gdy w końcu dotarli na placyk, Piotrek zaczął badać

teren. Wydawało mu się pewnie, że robił to dyskretnie, nonszalancko, ale gdyby ktokolwiek go teraz zobaczył, wiedziałby, że coś się kroi. W końcu, obczaiwszy plac i ścieżki, chłopak wszedł w krzaki... prosto na nas. Dosłownie centymetry dzieliły go od głowy Freda, który aż sapnął z przejęcia. Byłem już pewien, że temat spalony, ale trzask gałązek wszystko zagłuszył, a Fred dał radę jak nigdy.

Poważnie, nie ruszył się, nawet gdy Piotrek rozpiął rozporek i zaczął się odlewać, co prawda nie na Freda, ale tuż obok, tak że rozpryskujące na ziemi krople leciały mu na koszulę i spodnie. A Fred nic, nawet nie drgnął. Patrzył tylko na mnie, oddalonego o kilka krzaków, a jego spojrzenie miotало gromy. Wiedziałem już, że jeśli nam się uda i zawiniemy Piotrka, bardziej niż tego, żeby nie zwał, trzeba będzie pilnować, żeby nie znalazł się sam na sam z Kulapetą.

W końcu zaczęła się właściwa akcja. Upewniwszy się, że są sami, Wąski i Piotrek podeszli do okna, a potem Piotrek wspiął się po kracie i wybił okienko, a Wąski stanął na czatach. Daliśmy im chwilę, a potem wyszliśmy z krzaków. Wiedzieliśmy dobrze, że ponieważ wszystkie inne okna są za kratami, jedyną drogą ucieczki z budynku dla Piotrka było okienko, przez które wszedł. Nie spieszyliśmy się zatem i nie certoliliśmy z ostrożnością.

Wąski ledwie nas zauważył, zgodnie z umówionym wcześniej protokołem wrzasnął:

- Spierdalaj, gliny! - I sam rzucił się do panicznej ucieczki.

Krzyknąłem za nim:

- Stój, milicja. Stój, bo będę strzelał! - Ale nawet się w jego stronę nie odwróciłem. Żaden z nas tego nie zrobił, wszyscy skupieni na okienku. Szliśmy oświetlonym

placykiem niczym rewolwerowcy z westernu.

- No dalej, wychodzisz! - zawołałem. - Naprawdę nie chcesz, żebyśmy tam weszli.

- No dalej, kurwa, przecież wiesz, że nie masz którejdy wyleźć - zauważył Barbi. - Sprawdzałeś to, nie?

Długo nie dawał się przekonać, ale nam się już nie spieszyło. Mieliśmy go dokładnie tak, jak zaplanowaliśmy, zamkniętego w pułapkę, bez drogi ucieczki, złapanego na gorącym. Wystarczyło poczekać, aż się złamie.

W końcu pękł i się wychylił. Zlustrował sytuację, przeanalizował opcje i zaczął się gramolić, pozornie niezdarnie i powoli. Ledwie jednak zszedł na tyle, by mieć pewność, że nie skręci kostki, a już hyc na ziemię i próbuje spieprzać.

Dorwaliśmy go jednak w moment. Najpierw ja powaliłem go na ziemię, a potem, zanim jeszcze udało mi się go skuć, wylądował na nim Fred, wyduszając z niego jęk i reszkę powietrza. Dobrze, że go wtedy nie połamał.

Zawiadomiliśmy dyżurnego, że mamy jeńca, a on przysłał nam radiowóz, którym zawieźliśmy chłopaka na dechy. Siedział cicho, z markotną miną, bo wiedział, że jego sytuacja maluje się nieciekawie. Co prawda, nie miał przy sobie żadnych fantów, ale raz, że złapaliśmy go na włamie, a dwa, że następnego dnia podczas oględzin w domu kultury znaleźliśmy całą kupkę fantów przygotowanych tylko do podania Wąskiemu.

Którego, notabene, Piotrek faktycznie nie sypnął. Zrządzenie losu, zważywszy na to, że Wąski był dla mnie naprawdę użyteczny i wsypanie akurat jego mogłoby poważnie utrudnić złapanie kilku innych ludzi z ulicy.

Moją pierwszą samodzielnie wykrytą sprawą było włamanie do mieszkania, przez co właśnie ten typ przestępstw na długie lata stał się moją specjalizacją.

Prawdę mówiąc, akurat to wykrycie zawdzięczałem przypadkowi, ale nie było w tym nic niezwykłego. Często sprawy rozwiązywały do spółki szczęście i wyczulony psi nos.

To był czas, gdy wciąż jeszcze terminowałem u Kazia, uważnie obserwując go przy robocie i pilnie notując zarówno w kajecie, jak i w głowie jego spostrzeżenia, obserwacje i praktyki.

Był dla mnie prawdziwym mistrzem, co tu kryć. Zawsze elegancki w tych swoich równiutko odprasowanych, lśniących białą koszulach, marynarce i starannie zawiązanym krawacie, pasował na bohatera serialu detektywistycznego. Był również błyskotliwy i wnikliwy, a czasem oględziny z nim wyglądały, jakby zostały napisane przez scenarzystę.

Jak choćby wtedy, gdy dokonując realizacji w domu pasera swojej grupy włamywaczy, zorientował się, że w mieszkaniu, gdzie powinny być fanty, wbrew cynkowi i jego wiedzy nic nie udało nam się znaleźć.

- Szukamy dalej, musi coś tu być - mówił, a my przetrząsaliśmy pomieszczenie po pomieszczeniu, ciągle z tym samym skutkiem. Kaziu natomiast chodził tam i z powrotem niczym tygrys w klatce i główkował.

W którymś momencie wszedł do pokoju, z którego ja właśnie wychodziłem. Nieomal zderzyliśmy się w drzwiach.

- Tu było szukane? - zapytał, a ja przytaknąłem.

- Nic nie ma - powiedziałem, a on zmierzył mnie wzrokiem, wyrzucił do przodu ręce, odsłaniając mankiety koszuli.

- To się jeszcze okaże - powiedział i przekroczył próg. A potem jeszcze raz zaczął trzepać cały pokój.

Przyglądałem się temu po trosze z gniewem, bardziej jednak z dziką satysfakcją, gdy odchodził od kolejnych miejscówek z niczym. Wreszcie podszedł do okna, do stojącego pod nim stolika z telewizorem. Przyjrzał mu się uważnie, przyklęknął i wsunął rękę pod blat, gdzie na zamocowanych magnesach sprytnie wkomponowane w stolik znajdowało się... pudełko z fantami.

- Co to, kurwa, jest? - zapytał. - Kto tu niby szukał?!

Wszystkie te słowa powiedział, patrząc na mnie, a ja czułem, że ze wstydu pieką mnie uszy. I więcej już starałem się nie popełnić takiego błędu.

No ale miało być o mojej pierwszej sprawie. Pewnego razu robiliśmy przeszukanie w mieszkaniu na osiedlu Muchobór Mały. Chłopak podejrzany o włamanie do pobliskiej szkoły siedział spięty w kacie, a my przetrząsaliśmy chatę, ale nie znaleźliśmy niczego z listy. W pewnej chwili jednak dostrzegłem coś, co nie pasowało mi do obrazka. Damski kozuch. Podniosłem go, przyjrzałem mu się i zobaczyłem nietypowe rozcięcie długie na kilkanaście centymetrów.

- To matki - powiedział chłopak. - Dziurawy, do zrobienia leży.

Brzmiało logicznie, więc odłożyłem i zabrałem się do dalszego szukania. W końcu po bezowocnym grzebaniu stwierdziliśmy, że nic nie ma, zostawiliśmy dzieciaka w spokoju i wróciliśmy do bazy.

Następnego dnia rano Hrabia jak zawsze zrobił odprawę. Mówił o tym, co się działo u nas, kto na dołku, jakie rozliczenia. Do tego, też tradycyjnie, czytał telefonogramy

z innych jednostek z informacjami, co działo się u nich, i z prośbami o pomoc w ustaleniu sprawców. Normalna rzecz, musimy współpracować, a przestępcy nie mają przecież administracyjnie wyznaczonych granic.

W pewnej chwili Hrabia czyta wieści ze Śródmieścia, a tam informacja o włamie, w którym zakoszono szereg fantów, a dalej lista. A na liście... kozuch z charakterystycznym rozcięciem. Gdy to usłyszałem, wyprostowałem się i poczułem falę gorąca. Już się miałem zerwać, ale Hrabia pokręcił głową i gestem kazał poczekać.

- Co jest, kochany? Co cię tak nosi? - zapytał.

- Widziałem ten kozuch - powiedziałem podekscytowany i pokrótce zreferowałem wczorajsze przeszukanie. Na koniec zaferowałem, że jestem gotowy, by już tam teraz, zaraz...

- Autobusem będziesz jechał? Czekaj chwilę, trzeba siły i środki przygotować na realizację - zadecydował. Złapał za telefon, zadzwonił po specjalny wóz, a odkładając słuchawkę, ponownie na mnie spojrzął. - Za pięć minut na dole.

I pojechaliśmy. Poszło gładko, bo chłopak był już pewien, że mu się upiekło i daliśmy spokój. A tu niespodzianka, bo nie dość, że wpadliśmy znienacka po raz drugi, to jeszcze z konkretem. Wparowałem do pokoju i podniosłem kozuch z fotela. Podstawiłem go dzieciakowi pod nos.

- Matki, tak? Matki, kurwa?

No i się okazało, że jednak nie matki. Jeszcze raz przeszukaliśmy mieszkanie, tym razem pod kątem fantów ze Śródmieścia. Znaleźliśmy dość, by chłopaka zabrać na bazę. Byłem dumny i choć po wypełnieniu kwitów sprawa i sprawca przeszli na Śródmieście, bo to ich włamsko, sukces był mój i stosownie go odnotowano.

A, ważna sprawa do rozwinięcia. Wspomniałem o tym, że

na akcję Hrabia załatwił auto, i pewnie dziś zabrzmiało to banalnie. Ważne jednak, żeby zaznaczyć, jak w tamtych czasach wyglądały nasze przemieszczanie się po terenie na akcję i powroty z realizacji.

Otóż najczęściej na rejon dostawaliśmy się autobusem komunikacji miejskiej numer 126, a swoje rewiry musieliśmy po prostu wychodzić. Normalka, i z czasem przywykliśmy, zwłaszcza że ułatwiało to zespalandie się z dzielnicą. Chcąc na przykład chwilę odpocząć, wpadaliśmy do lokalu zaprzyjaźnionego Bogusia, mistrza kuchni, który robił najlepszą grochówkę na świecie i który po długich namowach zdradził nam kilka kulinarnych sekretów. A szukając informacji, wiedzieliśmy, że nie ma lepszego miejsca niż pijalnia piwa Jurka, gdzie już od rana zasiadała pospołu osiedlowa rada meneli. Radiowóz tylko by ich wszystkich rozpraszał i spinał.

Dużo ciekawiej robiło się, gdy wracaliśmy skądś z jeńcem, również autobusem. Wtedy trzeba było delikwenta zamocować gdzieś w kącie i dla pewności przypiąć kajdankami do górnej poręczy, by mu do głowy nie przyszło po drodze nic głupiego. Ludzie zerkali z ukosa, coś tam czasem jeden z drugim szeptał, a my zajęci rozmową wyglądaliśmy właściwego przystanku.

Przyzwyczailiśmy się do takiego podróżowania i gdy po kilku latach mojej służby na komendzie pojawił się wreszcie oznakowany duży fiat, korzystaliśmy z niego tylko w ostateczności, gdy jeńców było więcej albo z jakiegoś powodu nie nadawali się do środków komunikacji miejskiej. W innych przypadkach, jak choćby obserwacje czy większość realizacji, więcej by ten wóz robił kłopotu niż dawał pożytku.

Wóz, który tamtego dnia załatwił Hrabia, nie był oznakowanym radiowozem, a czarną wołgą z rodzaju tych,

jakimi na podwórkach straszyły się dzieci. Pojazd ten, z którego my sami korzystaliśmy grzecznościowo w wyjątkowych sytuacjach, był do wyłącznej dyspozycji pułkownika Henryka, szefa komendy. Kierowcą przypisanym do wołgi był imiennik szefa i to właśnie on woził nas na te akcje, gdy było trzeba. Zwykle jednak woził albo pułkownika, albo pocztę do wojewódzkiej czy prokuratury, albo wykonywał inne ważne zadania. Czasami, gdy po naradzie, jaką pułkownik odbywał z szefem lokalnego PGR-u, bagażnik wołgi pachniał sezonowymi owocami lub świeżymi wędlinami, samochód, wraz z kierowcą, zniknął potem na wiele godzin. I tylko dwaj panowie H. wiedzieli, gdzie wtedy się znajdował.

Zasadniczo każdy wydział zajmował się ściśle określonym rodzajem przestępstw, ale bywało i tak, że konkretne sytuacje wymagały od nas zaciśnięcia międzywydziałowych więzi. Jednym z takich głośno wówczas komentowanych lokalnych wydarzeń było otwarcie na naszym terenie dużego domu handlowego z mocno rozwiniętym i znakomicie wyposażonym działem RTV i AGD. Dobra luksusowego zapowiadano mrowie: telewizory, lodówki, pralki, nic więc dziwnego, że szykowałą się wielka impreza z udziałem oficjeli.

Wieść niosła się po mieście, wracała echem i brzmiała już nie jak cichy, plotkarski szum strumyka, ale jak wzburzone morze powszechnego zainteresowania. Na kilka dni przed otwarciem ludzie już okupowali budynek, pojawiły się listy i komitety kolejkowe, składane krzeselka, koce, śpiwory i koszyki z termosami i wałówką. Choć do poważniejszych ekscesów w tłumie nie doszło, napięcie aż skrzyło w powietrzu i szefostwo domu handlowego słusznie wyrażało obawy, co się stanie, gdy otworzą drzwi.

- Przecież jak oni wszyscy tam, rozumiecie, wpadną, to czego nie ukradną, to stratują - gorączkował się kierownik nowo otwieranego przybytku.

Ale od czego jest zawsze skora do pomocy Milicja Obywatelska? Zwrócono się o pomoc, prośba poszła w górę, bo sprawa prestiżowa, i wróciła z odpowiedzią: zabezpieczeniem otwarcia zajmą się kryminalni do spółki z pegowcami.

To znaczy tak brzmiała część oficjalna, do której jeden z szefów dołączył personalną dyspozycję ustną stanowiącą

jego prywatne zapotrzebowanie. Składało się na nią bodaj pięć kolorowych telewizorów, tyle samo pralek automatycznych i siedem lodówek. Lista dość szybko się rozrosła, bo okazało się, że asortyment sklepu pokrywa się z potrzebami milicjantów, ich rodzin, bliskich i znajomych. Gdy więc z kartki zrobił się już solidny zeszyt, pegowcy, zaprawieni w takich sprawach, poszli ustalać temat z kierownictwem sklepu. A ci, jeśli nawet mieli coś przeciwko, wiedzieli, że pegowcy to ludzie z darem przekonywania i snucia alternatywnych wizji rzeczywistości. Tym koronnym, kluczowym argumentem „co, jeśli nie” była zawsze solenna obietnica patrzenia na ręce i ścisłych kontroli, tak że nagle handlowcom zniknęła opcja kupienia bokiem choćby mieszadeł do miksera.

- Nie ma co sobie robić kłopotów przecież - przekonywali na koniec spece z gospodarczego. - Zwłaszcza że jeśli państwo chcą, mogą sami dopisać to i owo do listy. Jest jeszcze parę kartek.

W końcu stanęło na tym, że o świcie, na kilka godzin przed otwarciem, z jednej strony domu handlowego budził się podekscytowany kolejkowy tłum, a z tyłu, od zaplecza, milicjanci zabezpieczali towar z listy i ładowali go do milicyjnych wozów.

Trzeba jednak przyznać, że po wykonaniu tej ciężkiej fizycznej pracy nadal pozostawali zdolni do wykonywania obowiązków i pilnowania otwarcia. Gdy więc ostatecznie sklep otworzono i dziki tłum wdarł się do środka, tak jak się spodziewano, nie odnotowano kradzieży ani zniszczeń. Po prawdzie dlatego, że demolować czy kraść nie było czego. Garść szczęśliwców szybko dorwała się do resztek sprzętu, a większość odeszła rozczarowana, że jak zawsze szumne zapowiedzi okazały się rozdmuchaną bzdurą.

Skala akcji z domem handlowym była oczywiście

wyjątkowa, jak wyjątkowe było i samo wydarzenie. Codziennosc nie wygladala tak spektakularnie i radykalnie, a nasze relacje z handlowcami duzo bardziej przypominaly symbioze niz pasozytnictwo. Obok komendy mieliśmy na przyklad taki typowy miesny nazywany przez nas „U Ziuty” od imienia szefowej. Na tej samej zasadzie pawilon handlowy nieopodal nazwalismy „U Sylwii”, a inny, na Nowym Dworze, „U Marii”. Do tego ostatniego zagladalem najczesciej, bo znajdowal sie na moim terenie. I tam, zawsze w milej atmosferze, robilem typowe zakupy spozywcze z milym poczuciem, ze jako staly klient, z rodzaju tych nieawanturujacych sie, a w razie potrzeby i pomocnych, moglem liczyc na kilogram pieknego schabu w zamian za kartke na dwieście gramów miesa.

No ale ja mialem potrzeby normalne, typowe. Nie to co Szyjka. Ten regularnie wpadal do kolejnych placówek i ogarnial to, na co mial akurat zbyt. A jak juz wspominalem, mial zwykle na wszystko. Pamietam, jak pewnego razu wstapilem do pawilonu przed sylwestrem i do normalnej listy zakupów dołożyłem zapotrzebowanie na wódke i radzieckiego szampana. Przy tym ostatnim pani Maria wyraźnie sie zawahala.

- Coś sie stalo? - zapytalem. - Nie ma?

- Nie no, wie pan... - Wahala sie, raz po raz zerkajac na zaplecze. - No jest i dam panu oczywiscie, ale prosbe mam goraca przy okazji.

- Slucham.

- Jakby pan mogl nie mowic panu Krzysiu, bo mam ostatnie dwie skrzynki, a jeszcze dziewczynom musze dac. A on jak przyjedzie...

Nie musiala konczyc, a ja obiecalem, ze slowkiem Szyjce nie pisne. I nie pisnalem, choc po prawdzie wtapilem, czy to ma znaczenie. W przypadku Szyjki wyniuchiwanie

potrzebnego mu dobra nie było na naszym typowym psim poziomie. W tej kwestii miał szósty zmysł.

Bez związku z sylwestrową sprawą jakiś czas później pani Maria odeszła do innej placówki. Trochę się martwiłem koniecznością zadzierzgnięcia nowego kontaktu w miejsce tak dobrego i sprawdzonego, ale nowy kierownik, Boguś, okazał się świetnym, kumatym chłopem, a do tego gościnnie witającym nas wódeczką z mnogością pierwszorzędnych zakąsek, ilekroć doń zawitaliśmy.

Czasem bywało tak, że przy okazji spławiony został jakiś klient, ale Boguś miał zasadę, że co się będzie przejmował.

- Nasz klient, nasz cham - zwykł mawiać, machając ręką.
- Wróci, bo gdzie pójdzie?

I faktycznie, klient wracał, bo możliwości miał mocno ograniczone.

Tak się złożyło, że to właśnie Bogusiowi przyszło się przekonać, że uprzejmość i koleżeństwo w naszej relacji działa dwukierunkowo. Któregoś dnia dostaliśmy wezwanie pod znajomy adres, a tam Boguś na tle resztek wystawowej szyby, rozbitej betonowym blokiem, gapi się na pracującą w środku ekipę operacyjno-dochodzeniową.

- Co tam, kierowniku? - zapytałem, choć wiedziałem już z odprawy u Hrabiego, że w zgłoszeniu był włam z kradzieżą piw i wódki.

Boguś zreferował nam sytuację w kilku słowach, w większości niecenzuralnych, a my zapewniliśmy go, że martwić się nie musi, bo sprawy nie zlejemy, tylko przyłożymy się tak po koleżeńsku. A wiadomo, że jak komuś zależy, to i robota idzie sprawniej.

Tu zresztą na naszą korzyść działało dobre rozpoznanie terenowe. Szybka analiza miejsca - brak finezji, kradzież wyłącznie alkoholu - od razu zawęziła listę podejrzanych. Z niej musieliśmy wytypować, od kogo zaczynamy, bo

wiadomo, że czasem, jak już zaczynają się działania operacyjne, wieść się po osiedlu niesie i może do kogoś dotrzeć zawczasu. Zaproponowałem wizytę u dobrze mi znanych i wyjątkowo pasujących tu braci Ziętków. Prócz skłonności do alkoholu i prymitywnych metod działania na ich niekorzyść przemawiało to, że mieszkali w pobliżu, w zasadzie w bloku obok. Wszyscy się zgodzili, więc ruszyliśmy windą i schodami na ósme piętro, pod właściwy numer, a potem zapukaliśmy tak pokazowo, że pootwierają się wszystkie drzwi od dachu po piwnicę. Wszystkie, tylko nie te właściwe.

Nie było ich? Pozabijali się w pijackim widzie? Trudno było powiedzieć, więc na wszelki wypadek nacisnąłem klamkę. Drzwi otworzyły się, więc pchnąłem je mocniej, pozwoliłem, by z wnętrza wydostały się gęste, szczypiące w oczy wyziewy, i wszedłem do środka. Bracia spali, ale nie potrzebowaliśmy ich przyznania się do winy, by stwierdzić, że trafiliśmy. Na podłodze wały się butelki po piwie, w kącie leżała skradziona plastikowa skrzynka, niedopita flacha poturlała się pod łóżko. Szybkie przeszukanie doprowadziło nas do innych, wcześniejszych fantów, które dokładnie spisaliśmy i przygotowaliśmy do wyniesienia przez zawezwanych mundurowych. My w tym czasie podjęliśmy próby obudzenia braci, które jednak spełzły na niczym i trzeba ich było, rozlałe, zionące wodą zwłoki, nosić.

Umęczyliśmy się z choleraми strasznie, a ledwie dotarliśmy na dół, doszło do bardzo nieprzyjemnej akcji. Otóż jeszcze na górze, gdy zabezpieczaliśmy fanty, wpisałem w protokół znaleziony sprzęt radiofoniczny i pudło kaset. Potem wręczyłem te ostatnie jednemu z mundurowych, Maćkowi, by zniósł je do wozu. Szczerze powiem, nie wiem, co ten dureń sobie myślał, ale gdy

zszedłem na dół i sprawdziłem, co jest na wozie, okazało się, że kaset brakuje.

- Ty, Maciek, a gdzie kasety? - zapytałem.

A ten ze zdziwioną miną, że o czym ja w ogóle mówię. No i tym już mnie wkurwił nielicho.

- Kurwa, Maciek, osobiście dawałem ci to pierdolone pudło, co ty, durnia ze mnie robisz?

- Ale ja naprawdę nie wiem...

- Dobra, jak sobie, kurwa, chcesz. Ja tego na garba nie biorę, temat jest w protokole, więc wzywamy inspektorat i z nimi się baw w ciuciujebkę! Dwie minuty i łapię za radio.

Zamrugnął, otworzył usta, by zaraz je zamknąć, aż w końcu zniknął w wozie i wyjął pudełko spod siedzenia.

- Przepraszam - powiedział. - Ja naprawdę nie myślałem, że to coś ważnego.

- Co, protokół nie jest ważny? - zadrwiłem, biorąc pudło. - Podpierdalanie fantów nie jest ważne?!

Odpuściłem mu jednak, zastrzegając, że mam go na oku i jeszcze jeden taki numer i... Nie musiałem kończyć, wiedział.

Zawieźliśmy Ziętków na dechy, a potem do Bogusia pochwalić się, że w dwie godziny zamknęliśmy temat. On na to, że fantastycznie, że on też nie próżnował, zrobił remanent i mu wyszło, że złodzieje zawinęli skrzynkę piwa i trzydzieści butelek wody.

- Trzydzieści? Jak tyś to, Boguś, policzył? Tam góra pięć flaszek na chacie było.

Boguś wzruszył ramionami.

- Ja tylko policzyłem, co było i czego nie ma. Znaczy wziąć musieli oni, nie? Bo jakby nie wzięli, to co będziemy teraz pić?

Logika tych słów była niepodważalna. I choć Ziętkowie,

gdy już wytrzeźwieli, zarzekali się, że oni tylko we dwóch i przecież by trzydziestu flaszek nie wynieśli, to kto by tam wierzył dwóm złodziejom, ochlajtusom, gdy ich słowom przeczył papier z remanentu?

Powiedzieć, że w minionym systemie pewne granice prawnomoralne były dość rozmyte, to nic nie powiedzieć. Zdarzali się jednak i tacy, którzy słupki graniczne mieli przesunięte dużo dalej niż reszta.

Któregoś dnia z samego rana ściągnięto nas na osiedle Kuźniki, gdzie ktoś włamał się do pawilonu RTV i AGD. Pojechaliśmy tam we dwóch, nie pamiętam z kim, i na miejscu okazało się, że faktycznie szyba wybita, część półek pusta, inne połamane w drzazgi. Byliśmy tam wcześniej, więc nie wiedzieliśmy jeszcze, co dokładnie zwinęto. Na razie stał tam jeden radiowóz i zabezpieczał miejsce przed przyjazdem operacyjno-dochodzeniowej.

Postanowiliśmy zrobić wstępne rozpoznanie, biorąc za dobrą monetę, że sklep znajduje się w środku osiedla, pomiędzy blokami, a takie wejście na chłama, z tłuczeniem szyby, musiało postawić na nogi całą okolicę. Okazało się, że nic bardziej mylnego. Drzwi w drzwi podobna śpiewka. Tak, hałas ich zbudził, ale zanim się zebrali, nikogo już nie było.

W końcu znalazł się jeden, który hardo patrząc nam w oczy, powiedział, co zobaczył. I ledwie zaczął, wiedzieliśmy już, skąd ta hardość. Okazało się, że już po rozbiciu szyby na miejscu zjawili się milicjanci i sami wynieśli część towaru do bagażnika. Czy to oni się włamali, czy po prostu dobili złodziejom „do równego rachunku”, nie mamy pojęcia. Na pewno nie był to nikt z naszej komendy, a ludzie z miasta, w dodatku mieliśmy tylko jedno zeznanie, i to bez szczegółów typu rysopis czy numery radiowozu.

Więc choć było nam głupio, uznaliśmy, że jedyne, co byśmy w tej sprawie uzyskali, to narobili sobie wrogów na innych komendach.

Bez tego sprawy rzecz jasna nie można było rozwiązać, ale wielu z nas utwierdziło się w przekonaniu, że nawet w tak rozmytych, kombinatorskich czasach na coś się trzeba zdecydować. Bo takie akcje były szczytem kurewstwa.

Tak naprawdę byliśmy z naszej pracy dumni. Nie wiem, czy po poprzednich rozdziałach można odnieść takie wrażenie, ale większość z nas naprawdę przykładała się do roboty i to, co stanowiło naszą misję – łapanie bandziorów – szło nam zwykle całkiem sprawnie, sprawiało radość i dawało nielichą satysfakcję.

A gdy już została wykryta jakaś naprawdę fajna sprawa i wszystko w niej zamknięto – co znaczyło, że kwity były porobione, a jeńcy na dechach – nasza radość była tak wielka, że urządzaliśmy z tej okazji imprezę. Wtedy jeszcze dawało się zrobić dyskretną popijawę w fabryce, która jeśli to nie wystarczyło, przechodziła w huczne świętowanie gdzieś na mieście. Jechaliśmy wtedy na kilka samochodów, bezkarni – kto nas niby zatrzyma – i bawiliśmy się do rana, by czasem płynnie ze świętowania wrócić prosto na fabrykę. W końcu służba nie druźba.

Któregoś razu zjawili się na posterunku nasi dwaj koledzy pegowcy. Poprzedniego dnia coś dużego zamknęli, więc raczej się ich w dobrym stanie nie spodziewaliśmy, ci jednak wyglądali, jakby ich kot dachowiec zjadł i wyrzygał. Rozczochrani, nieświeży, zarost na ogorzałych od wódki twarzach, języki pobieleałe, a oczy, jakby je kto czerwonym atramentem zakropił. Jeden kołysze się jak boja na spokojnej wodzie, w przód, w tył i na boki, drugi, trochę trzeźwiejszy, krzywi się, jakby miał zaraz w spodnie popuścić.

- Słuchajcie – wybełkotał. – Jest, kurwa, sprawa.

Okazało się, że faktycznie jest, i to dość poważna, bo wyszło na to, że po pijaku jeden z nich posiał gdzieś

magazynek służbowej broni, a za to według regulaminu mina była straszna. Nie zamierzaliśmy zostawiać kumpli w potrzebie, więc wszystkie sprawy zaraz poszły na bok i podjęliśmy odpowiednie kroki.

Najpierw ustaliliśmy z pegowcami, gdzie byli i co robili. Regularne przesłuchanie, nie pierwszy raz z pijakami przyszło gadać i dla ich własnego dobra nie traktowaliśmy ich wtedy specjalnie lepiej. Co, gdzie, jak, dlaczego, z kim, trasa krok po kroku i powtórka. Potem podzieliliśmy się zadaniami i wedle tego podziału ruszyliśmy na poszukiwania. Wszystkie miejsca, jakie podpowiadała intuicja, wszystkie krzaki, studzienki, śmietniki i przestrzenie pod ławkami. Centymetr po centymetrze, rutynowa milicyjna robota, która jednak tym razem nie przyniosła żadnego rezultatu. W końcu po wielu godzinach wróciliśmy na fabrykę, usiedliśmy z pegowcami i poinformowaliśmy ich, że nic, nul, zero. Magazynek zapadł się pod ziemię.

- No to chuj - powiedział wtedy Andrzej, bo tak miał na imię jeden z feralnych pegowców. - Co, kurwa, teraz?

- Nie wiem - przyznałem. - Ale jak nie ma na trasie ani w twoim samocho... Czekaaj, a kto właściwie sprawdzał twoje auto?

Andrzej podrapał się po nieogolonym podbródku.

- No ja sam. Zaraz, jak się zorientowałem...

Poderwałem się z krzesła.

- Znaczy taki najebany?! Dawaj, kurwa, kluczyki. Już!

Sięgnął do kieszeni i podał mi kluczyki do wozu, a ja wyszedłem, otworzyłem drzwi od strony kierowcy i pochyliwszy się, obmacałem dywanik i przestrzeń pod siedzeniami najpierw kierowcy, a potem pasażera. Magazynek leżał pod tym drugim, przyblokowany gumowym dywanikiem.

Wziąłem go do ręki i tryumfalnie przeniosłem przez posterunek, by rzucić na stół przed Andrzejem. Ten spojrzał na magazynek, na mnie, znowu na magazynek.

- Niech mnie, jeśli to nie jest zajebista okazja, by się napić
- stwierdził.

Innym razem bohaterem podobnej imprezy stał się kolega Roman. To znaczy ta konkretna akcja nie przeniosła się na miasto, kulturalnie balowaliśmy w fabryce, aż w pewnej chwili Roman stwierdził, że się zmywa, bo ma gdzieś na mieście ogarnięte walenie. Nikt go specjalnie nie zatrzymywał, bo wszyscy wiedzieliśmy, jaki z niego pies na baby i że przedkładał dobrą dupę nad najlepszą nawet wódkę z kumplami. Nikt go za to szczególnie nie winił, a w sumie byliśmy już w takim stanie, że było nam wszystko jedno. Roman poszedł, my zrobiliśmy jeszcze kilka flaszek i rozeszliśmy się do domów.

Następnego dnia, zaraz po odbiciu karty, zobaczyliśmy Romana. Był już na miejscu, wyglądał jak kupa i po prawdzie podobnie śmierdział. Zobaczywszy nas, zadarł łeb i przepiłą chrypą oznajmił:

- Chłopaki, jaja są, ukradli mi samochód.

- Co ty pieprzysz? Kto ci ukradł, gdzie? Gdzie byłeś?

- No normalnie. - Roman wzruszył ramionami, by zaraz zdać sobie sprawę, że to nie za mądra aktywność na tak ciężkim kacu. - Na Murarskiej zostawiłem, tyle co na ruchanie pod wódkę, i jak wyszedłem... to nie było. No co tak, kurwa, patrzycie? Chcecie, to wam pokażę gdzie, wszystko pamiętam.

Udaliśmy się po Barbiego, bo on był specem od kradzieży samochodów, choć zwykle niekoniecznie maluchów, a potem razem z Barbim i Romanem przedstawiliśmy sprawę Hrabiemu. Ten z oporami, ale zgodził się, byśmy

poszli się rozejrzeć. No to poszliśmy.

- O, tu zaparkowałem - pokazał nam Roman, gdy dotarliśmy na miejsce. - Tu się ustawiłem, trochę pod kątem, ta latarnia. Tu. Było, wracam, nie ma.

Spojrzeliliśmy z Barbim po sobie i mój przyjaciel wzruszył ramionami.

- Ty tu sprawdź, ja idę się rozejrzeć - powiedział i faktycznie poszedł, by... wrócić po niespełna kwadransie.

- Ty obchlejtusie pierdolony, chodź no tu na chwilę. Ty też, Adam, chodź! - zawołał, a potem poprowadził nas dwie ulice dalej i pokazał fiata 126p.

- To nie twoje aby? - zadrwił. - Ci złodzieje to nie byli za sprytni, skoro tylko przeparkowali dwie ulice dalej. No ale przynajmniej pozamykali wszystko. Ciekawe tylko czym?

W swoim obecnym stanie Roman nie przyswajał ironii za grosz.

- No nie? - zgodził się z Barbim. - Pojebani jacyś.

Czas mijał, a ja powoli zdawałem sobie sprawę z tego, że psem stawałem się dwuetapowo. Najpierw nominalnie, po ukończeniu szkoły i przyjęciu do służby, a potem fizycznie i duchowo z każdym kolejnym dniem w tej robocie.

Wspominałem już, że ludzie z dawnego podwórka traktowali mnie teraz z dystansem, właśnie jak takiego bezdomnego dużego kundla, co siedzi na dzielnicy już od dawna, więc ludzie przyzwyczaili się do widoku. Czasem ktoś rzuci mu jakiś kasek, ale na wszelki wypadek wszyscy omijają go, przechodząc na drugą stronę ulicy, bo wie człowiek, co takiemu nagle odwali? Przyzwyczajałem się do tego stopniowo, a im bardziej stawało się to dla mnie normalne, tym bliżej mi było do chłopaków z wydziału czy w ogóle fabryki niż do tych, z którymi wyrosłem.

Mimo to czułem w sercu jakiś brak i gdy któregoś dnia usłyszałem na ulicy, jak ktoś za mną woła po imieniu, obejrzałem się z zaciekawieniem, ale i podekscytowaniem. Nie rozpoznałem głosu, więc to żaden z chłopaków, a uchole czy reszta półświatka ani by mnie na ulicy nie zaczepiła, ani tym bardziej nie zwracała się po imieniu.

Pomyślałem nawet, że mogło chodzić o jakiegoś innego Adama - imię popularne jak ospa w przedszkolach - ale obejrzałem się i dostrzegłem, że woła do mnie taksówkarz oparty o stojącą przy krawężniku skodę 100MB. Zmrużyłem oczy, by mu się przyjrzeć, a umysł nerwowo przeszukiwał szafkę z aktami, zanim dopasował imię do twarzy. Bogdan. Kumpel z dzielnicy.

Choć właściwie to nie, Bogdan był skądinąd, to jego kuzyn, nie pamiętam teraz imienia, mieszkał z rodzicami

w tej samej kamienicy co ja, piętro niżej. Widywałem go czasem na schodach, czasem na podwórku, ale zakumplowaliśmy się, dopiero gdy obaj mieliśmy po paręnaście lat, a on częściej niż u kuzyna zaczął bywać u Janki, mieszkającej na moim pięttrze vis-à-vis. Wtedy nie było to jeszcze nic zobowiązującego, ot, szczeniackie smalenie cholewek, więc gdy już wychodził od niej, szliśmy na miasto, gapiliśmy się na inne dziewczuchy, czasem wpadaliśmy na dyskoteki. Trochę mniej niż przyjaciel, ale na pewno dobry kumpel, więc ucieszyłem się z tego spotkania. Rozmawialiśmy o pracy – dokładnie pokazał mi swoją taksjarską czerwoną skodę, którą niedawno kupił – o życiu prywatnym i codziennych pierdołach. Okazało się, że nadal jest z tamtą Janką, mają dziecko i żyje im się całkiem dobrze. Oczywiście jak na otaczające nas szarość i marność.

Najbardziej cieszyło mnie, że rozmawiał ze mną swobodnie, choć wiedział, że jestem gliniarzem. Nie czuło się tego skrępowania towarzyszącego podobnym rozmowom, legitymacji MO wiszącej nad nami niczym miecz Damoklesa.

Staliśmy tam przez dobrą godzinę, a żegnając się serdecznie, zapewniliśmy się wzajemnie, że tym razem obaj zadbamy, by ten kontakt nie przygasł, choć z żadnej ze stron nie padła ani konkretna propozycja, ani też nie wymieniliśmy się niezbędnymi kontaktami. Będzie co ma być, pomyślałem, ale to spotkanie sprawiło, że poczułem, że te dwa życia, zawodowe i dawne prywatne, można jakoś pogodzić.

Tymczasem na fabryce żyliśmy od sprawy do sprawy i ani się obejrzałem, jak od spotkania minął dobry miesiąc. Czy widziałem gdzieś w międzyczasie czerwoną skodę z napisem „taxi”? Pewnie raz czy drugi, ale mówiąc

szczerze, zapierdol mieliśmy taki, że ostatnie, na co miałem czas i ochotę, to spotkania towarzyskie. A wtedy jeszcze doszła sprawa miękkiego kelnera.

O jego obecności na komendzie poinformował nas Hrabia, mówiąc, że w poczekalni jest facet i zgłasza kradzież dokonaną na jego szkodę.

- Zajmijcie się nim, kochani - polecił mnie i Barbiemu, a potem zniknął, by zaraz przyprowadzić do nas szczupłego, dobrze ubranego i wyperfumowanego gościa koło trzydziestki. Facet trzął się jak osika, łypał nerwowo na boki, a z powodu tego dygotu musiał raz po raz osadzać na nosie osuwające się drogie chromatyczne okulary.

- Pan sobie siądzie - wskazał mu miejsce Barbi - i opowie, co się stało.

Facet usiadł, noga na nogę, ciasno, wysoko, ręce mu latają, wzrok ucieka na boki. Przykłada palce do ust, spleta dłonie, jakby je załamywał, wierci się na krześle, a wszystko to na miękko, kobieco. W końcu, gdy się odzywa, jego głos też uderza w wyższe, zniewieściałe rejestry.

- Panowie milicjanci kochani, w was teraz jedyna moja nadzieja. Pomóżcie, bo mnie jak nic Rysio za-mor-du-je! - zaakcentował ostatnie słowo tak komicznie, że aż musiałem się odwrócić i zamaskować parsknięcie kaszlem.

Barbiemu udało się zachować powagę.

- Nikt nikogo mordować nie będzie - zapewnił facecika, który przedstawił się nam jako Zenobiusz. Przez trzy „ze” na początku z tych całych nerwów. - Ale jeśli mamy pomóc, musi nam pan powiedzieć, co się stało. Jak najbardziej szczegółowo.

- Oczywiście, panie milicjancie kochany. - W jego ustach ulubiony zwrot Hrabiego nabierał zupełnie innego znaczenia. - Oczywiście, już wszystko mówię. Wszyściutko.

Pracuję jako kelner w takim drogim hotelu. Mamy tam fantastyczną atmosferę, mówię panom. Prawdziwe koleżeństwo. No to sobie, panowie kochani rozumieją, tak po pracy, na pożegnanie, z kolegami i koleżankami chlapnęliśmy po małym kielichu. No może dwóch, ale nie więcej, co to, to nie. No i jakoś tak po północy wziąłem taksówkę, żeby się jakoś do domu dostać. No i ten taksówkarz to on był taki, wiecie panowie, miły i sympatyczny i miał w sobie coś... No ja nie wiem, jak to panom wyjaśnić, panowie nie rozumieją pewnie...

- Pewnie nie - przyznał Barbi i zakręcił palcami młynka. - Ale proszę nie przerywać. Rozmawialiście?

- Tak, rozmawialiśmy, i tak nam dobrze ta rozmowa szła, że ja się, wiecie panowie, ośmieliłem i mu zaproponowałem, żeby do mnie wstąpił. Bo jakoś mi te dwa kielichy taki niedosyt w sercu obudziły, że jeszcze chciałem. No i on się wzbraniał przez chwilę, ale w końcu mówi, że właściwie to i tak miał już kończyć, alkoholu może nie, ale na kawę by wstąpił. Powiedziałem, że dobrze, że jasna sprawa, że może być i kawa, co tylko sobie życzy, ale gdy wjechaliśmy windą do mnie na górę, to go i tak zapytałem jeszcze raz, czy aby nie chce, tak na rozluźnienie, po ciężkim dniu. Bo to wiecie panowie, cały dzień za kierownicą, na postojach, człowiek kostnieje tak bez ruchu. No ale panowie aktywni tacy, to pewnie nie rozumieją.

- Pewnie nie - zgodziłem się tym razem ja. - I co? Wziął tego drinka?

- Gdzie tam wziął, panie kochany. Nadal przy tej kawie. No to mu zrobiłem i zanim się zagotowała woda, mieszkanie mu pokazałem, tak swobodnie, bo mojego partnera nie ma, na kilka dni wyjechał, to mogłem. A potem tak sobie siedzieliśmy i gadaliśmy. Przenieśliśmy się na

kanapę, bo zaproponowałem film na wideo, ale niech mnie panowie zabiją, nie pamiętam jaki. Trochę mi już ten alkohol w głowie zaszumiał, trochę się senny zrobiłem, więc mówię temu taksówkarzowi, żeby on oglądał dalej, a ja sobie na moment przysnę. Pokiwał głową i jak się kładłem, to faktycznie dalej patrzył w telewizor. Ale jak się obudziłem... Panowie kochani, ja nie żartuję, że mnie mój Rysio zabije, jak się dowie. Nie dość, powie, że sobie kogoś sprowadzam, to jeszcze okraść się daję jak, jak... No panowie milicjanci kochani, jak nie wiem kto, ale jak mi zaraz nie pomożecie, to będziecie mieli sprawę o zabójstwo, jak Boga Kocham!

Wymieniliśmy z Barbim spojrzenia, obaj z trudem kryjąc rozbawienie. Zenobiusz zdecydowanie nie był pierwszym gejem, którego sprawą się zajmowaliśmy – milicja była dość wyczulona na to środowisko, dokładnie je inwigilując, rzekomo dla jego dobra – ale zdecydowanie należał do tych barwniejszych przedstawicieli swojej mniejszości. Zabawny sposób, w jaki akcentował słowa, przewracał oczami i machał rękami, tak że dłonie majtały bez życia jak szmacianki, bawił nas niepomierne.

Nade wszystko byliśmy jednak profesjonalistami znającymi się na swojej robocie. Jako pierwszy dał tego dowód Barbi, przewracając stronę w notesie i prosząc o wymienienie rzeczy, które zginęły z mieszkania.

– Już, panie władzo kochany, ja to wszystko sobie zapamiętałem – powiedział Zenobiusz, zakładając nogę na nogę i jednocześnie palcem wskazującym lewej ręki stukając się w skroń. – Wszy-ściut-ko! Zaczniemy od walizki, do której spakował całą resztę. Następnie kasety wideo...

Rzeczywiście musiał to sobie wszystko dobrze sprawdzić i zapamiętać, bo leciał z pamięci nie tylko liczbami skradzionych kaset, płyt czy innych drobiazgów, ale

i konkretnymi tytułami, skazami na przedmiotach, a także – co z czasem zrobiło się irytujące – anegdotami na temat tego, kto z licznych zagranicznych znajomych i w jakich okolicznościach obdarował nimi obu panów.

Gdy w końcu lista była gotowa, Barbi z wyraźną ulgą poszedł ją przepisać, a ja przeszedłem do następnego obowiązkowego punktu na liście.

– Czy mimo swojego stanu udało się panu zapamiętać jakiegokolwiek szczegóły dotyczące czy to kierowcy, czy pojazdu? – zapytałem.

Zenobiusz spojrział na mnie tak, jakbym dał mu w twarz.

– Ależ oczywiście! – obruszył się. – Byle kogo bym przecież do domu nie zaprosił!

Skinąłem głową, powstrzymując się od cisnącego się na usta komentarza, i zachęciłem gestem, by podzielił się zapamiętanymi informacjami.

– A zatem kierowca to mężczyzna około trzydziestki, wzrostu mniej więcej metr siedemdziesiąt pięć, średniej budowy ciała, ani za chudy, ani za gruby, włosy ciemne, mocno kręcone, tak wie pan, na murzyna czy baranka. Samochód to skoda, czerwona, z tych nieco starszych modeli... Czy coś się stało, panie władzo?

Pokręciłem głową.

– Nie, niech pan kontynuuje. Wszystko jest w porządku – skłamałem, bo oczywiście wcale tak nie było. Zenobiusz, byłem tego pewien, właśnie opisał Bogdana i jego taryfę.

Jakoś dokończyliśmy zeznania, a gdy zostaliśmy sami, opowiedziałem Barbiemu o moim niedawnym przypadkowym spotkaniu na ulicy i tej niefortunnej zbieżności, jaka tu miała miejsce. Krzysiek zbył moje wątpliwości machnięciem ręki.

– Że niby skoda na taryfie? Chłopie, tego jedna czwarta miasta teraz jeździ. A opis równie dobrze mógłby do ciebie

pasować, gdybyś sobie trwałą wykrecił. Nic się nie martw.

To powiedziawszy, złapał za telefon, docisnął słuchawkę ramieniem do ucha i jak przystało na specjalistę do spraw kradzieży samochodów, z pamięci wybrał numer Zrzeszenia Taksówkowego.

- Pani Małgosiu, z tej strony... a miło, że pani poznaje. Uszanowanie. Pani Małgosiu, potrzebne nam są akta personalne kierowców, wszystkich, którzy jeżdżą czerwonymi skodami. Da się to w ogóle tak zrobić? No jak na kiedy, pani Małgosiu kochana. No oczywiście, że na wczoraj... Tak, jutro o dziewiątej będzie idealnie. Dziękuję pięknie, rączki całuję.

Odłożył słuchawkę i mrugnął do mnie porozumiewawczo.

- Twoja kolej, Adaś. Umów nas z miękkim na schadzkę.

Następnego dnia rano Zenobiusz ponownie zjawił się na komendzie i we trzech, prywatnym samochodem Barbiego, udaliśmy się do centrum do siedziby Zrzeszenia Taksówkowego. Krzysiek przywitał się z panią Małgosią, wymienili kilka uprzejmości, a potem udaliśmy się, prowadzeni przez jakiegoś pracownika, do osobnego pomieszczenia, gdzie na biurku piętrzył się stos cienkich teczek. Przyznam, że trochę mi ulżyło, bo było tak jak mówił Barbi: rzeczywiście skodziarzy zebrało się we Wrocławiu niemało. Może wcześniej ich po prostu nie zauważałem?

Barbi szybko przejął rolę gospodarza. Pracownika poprosił o trzy kawy dla nas, Zenobiusza usadził za biurkiem i podsunął mu pod nos pierwszą teczkę.

- W każdej z nich jest zdjęcie - powiedział. - Pan się teraz na spokojnie przyjrzy i jak uzna, że to nie ten, to połóż teczkę o tu, na podłodze. A jak pan pomyśli, że możliwe, to tutaj w kąciku. Proszę się nie spieszyć, uważnie przyglądać.

Mamy czas.

Zenobiusz pokiwał głową gorliwie i zabrał się do pracy, a my usiedliśmy przy pustym stoliku, czekając na obiecaną kawę, której jednak nie dane nam było skosztować.

- To on! - zawołał tryumfalnie Zenobiusz, wbijając w zdjęcie palec wskazujący. Była to trzecia spośród przejranych teczek, może czwarta.

Poderwałem się z miejsca i energicznym krokiem obszedłem biurko, by spojrzeć pokrzywdzonemu przez ramię, ale już idąc, dostrzegłem to, czego się najbardziej obawiałem. To rzeczywiście był Bogdan.

Barbi również wstał, a jego brwi uniosły się w niemym pytaniu. Skinąłem głową, a wtedy on podszedł do Zenobiusza, pochylił się nad nim i najbardziej urzędowym tonem, jaki potrafił z siebie wydobyć, zapytał:

- Czy jest pan absolutnie pewien, że osobnik na zdjęciu to ten sam obywatel, który wiozł pana owej feralnej nocy do domu taksówką marki skoda, a następnie zaproszony przez pana przebywał w pańskim mieszkaniu i był jedyną osobą, która pana zdaniem mogła pana okraść?

Tak sformułowane pytanie miało obudzić w Zenobiuszu wątpliwości. Na ich podstawie moglibyśmy nakłonić go do odłożenia akt na stosik „prawdopodobne” i szukania dalej. Nie chodziło tu jednak o zmanipulowanie świadka i chronienie kolegi za wszelką cenę, a jedynie o upewnienie się, że mężczyzna się nie myli.

Zenobiusz był jednak pewien swego.

- Jestem przekonany, że to jest właśnie on - zapewnił, po czym przechylił głowę na bok niczym sroka. - I co teraz będzie, panowie?

- Teraz pan się uda do domu i będzie czekał na informacje - poinformował go Barbi. - Spokojnie, damy znać.

Zenobiusz wydawał się niepokieszony. Sprawiał wrażenie,

jakby liczył, że wsiądziemy w samochód i dokonamy widowiskowego aresztowania niczym w amerykańskim filmie.

- Ale zdążą panowie, zanim Rysiu wróci? - upewnił się.
- Damy znać - odparłem.

W drodze powrotnej do fabryki targały mną mieszane uczucia. Z jednej strony jako śledczy powinienem się cieszyć, że sprawa idzie dobrze, z ogromnymi szansami na wykrycie. Z drugiej - Bogdan to jednak kumpel. Znałem jego, jego żonę, rodzicom wciąż mówiłem dzień dobry. Gdy się ostatnio spotkaliśmy, nie przeszkadzało mu, że jestem psem, a ta wcale przecież niekrótka pogawędka sprawiła, iż nabrałem przekonania, że warto odnowić tę znajomość. A tu teraz takie coś?

- Ty, a gdyby on te wszystkie fanty oddał? - zapytałem w pewnej chwili Barbiego. - Odniósł grzecznie, przeprosił, może loda zrobił w ramach zadośćuczynienia, no cokolwiek!

Krzysiek pokręcił głową.

- Dupa, Adaś. Sprawa poszła oficjalnie, mamy w kwitach, Hrabia będzie chciał wyników. Do tego świadek jest pewny swego, widział, potwierdził, zezna. Po cichu to już tego nie ukręcimy bez nadstawiania własnych karków.

Niechętnie przyznałem mu rację.

Gdy dojechaliśmy do komendy, Barbi zapytał mnie jeszcze, czy chcę się z tej sprawy wymiksować. Że jakby co, byłem z boku, nie wiedziałem, nie mogłem pomóc.

Uznałem jednak, że wolę dalej współprowadzić tę sprawę. Może w kluczowym momencie, pomyślałem, nie dopuszczę do tego, by Bogdan sam sobie zaszkodził? Liczyłem też na to, że dzięki naszej znajomości łatwiej się otworzy i może licząc na moją pomoc, szybciej pozwoli mi zamknąć ten

niezręczny dla nas obu temat.

Po uzupełnieniu papierologii jeszcze tego samego dnia ponownie pojechaliśmy z Barbim do centrum, tym razem pod starą, przedwojenną kamienicę, w której według akt ze Zrzeszenia mieszkali obecnie Bogdan z Janką. Musiałem przyznać, że dobrze im się trafiło. Trochę było przy tych mieszkaniach roboty, ale za to były duże, przestronne i po odremontowaniu naprawdę ładne. No i rzecz jasna, lokalizacja. Tę trudno przecenić.

Gdy się zjawiliśmy, Bogdana nie było. Otworzyła nam Janka i widziałem, że potrzebowała chwili, by mojej, znajomej przecież, twarzy przypisać właściwe personalia. Uśmiechnęła się nawet na ułamek sekundy, ale zaraz spoważniała, najpewniej przypominając sobie, czym się trudnię. Zanim jednak któreś z nas zdążyło cokolwiek powiedzieć, inicjatywę przejął Barbi.

- Dzień dobry, my do męża - powiedział rzeczowo, ale nie sucho. Doprawianie takich rutynowych, chłodno brzmiących formułek tonem z nutką serdeczności to coś, czego można się było nauczyć tylko na ulicy. - Zastaliśmy go?

Wiedzieliśmy, że raczej nie, bo pod domem nie było jego samochodu. Janka potwierdziła nasze przypuszczenia, po czym marszcząc czoło, zapytała z niepokojem w głosie:

- A co się stało? Czego właściwie od niego chcecie?

- Pogadać - wtrąciłem się, uśmiechając się przy tym uspokajająco. - Mamy taki taksówkarski temat i istnieje szansa, że będzie miał nam coś do powiedzenia.

Przez chwilę przyglądała mi się niepewna, w końcu przesunęła się na bok, robiąc nam miejsce w drzwiach.

- Bogdan jeszcze na taryfie jest - powiedziała. - Ale zaraz powinien być. Coś do picia?

Bogdan zjawił się po mniej więcej godzinie, gdy Barbi zdążył się już wynudzić jak mops, a ja z Janką przegadać wszystkie stare podwórkowe tematy i wspomnienia. Widząc mnie, wyszczerzył się w szerokim uśmiechu i wyciągnął rękę na powitanie, ale miałem wrażenie, że po jego twarzy przemknął jakiś cień. Niepokój? Zakłopotanie? Strach?

- Adam! Czemuż zawdzięczamy tę miłą wizytę? - rzucił na pozór wesoło, ale słysząc było, że badał grunt.

Dałem dyskretny znak Barbiemu, że to ja będę mówił, i podniosłem się z kanapy, podając koledze rękę.

- Sprawa jest, Boguś, służbowa. Musimy pogadać.

Udałem, że nie zauważam, jak najpierw się płoszy, a potem szuka spojrzeniem wzroku żony. To samo w sobie nie musiało jeszcze nic znaczyć, bo nawet niewinni zwykli tak na nas reagować. Ja jednak z każdą chwilą nabierałem coraz większej pewności, że tu o niewinności nie mogło być mowy. Nawet jeśli wcześniej miałem jakieś wątpliwości, mimo pewności, z jaką Zenobiusz wciskał palec w fotkę Bogusia, teraz rozviała je blada twarz kolegi z dawnych dni.

- O co chodzi, Adam? Jaka to sprawa?

Wzruszyłem ramionami, jakby chodziło o zwykłą formalną błahostkę.

- No temat mamy taki, zdarzenie - rzuciłem wymijająco. - Byłeś na miejscu, więc mógłbyś nam pomóc. Załatwimy to raz-dwa, skoczmy na komendę, dochodzeniowiec cię przesłucha...

- Zaraz, jakie przesłucha? - wtrąciła się Janka. - I po co na komendę? Ja mogę wyjść, jak to jakaś straszna tajemnica. Do sąsiadki pójde.

- Komenda to niestety mus, bo takie mamy przepisy - przyszedł mi w sukurs Barbi, który również wstał. - No już, nie demonizujmy, panie Bogdanie. Pan się nawet jeszcze

nie rozebrał przecież.

Widziałem po koledze, jak się waha, szuka argumentów. Wreszcie jednak się poddał, potrząsając głową jak zmęczony koń grzywą.

- Wrócę, jak tylko to załatwię - powiedział w końcu do żony.

Pomyślałem, że w zasadzie nie skłamał, choć wiedziałem już, że załatwienie tej sprawy i zamknięcie jej zajmie mu najpewniej kilka dobrych lat. Ale oczywiście ani mi w głowie było o tym teraz wspominać.

Pojechaliśmy na komendę, a ja przez całą drogę wszystkie pytania Bogdana zbywałem zapewnieniem, że dowie się wszystkiego, jak już będziemy na miejscu. Wyraźnie go to nie satysfakcjonowało, ale nie zamierzałem ustępować.

Gdy w końcu dotarliśmy na miejsce, Barbi zajął się papierami, czyli notatką z zatrzymania, protokołem zatrzymania w celu osadzenia na czterdzieści osiem i inne takie. Ja sam zabrałem Bogdana do siebie, posadziłem go po drugiej stronie biurka i z miejsca przystąpiłem do meritum.

- Boguś, przedwczoraj wieczór, po dwudziestej drugiej, wiozłeś pasażera z hotelu na Kozanów, prawda?

Wzruszył ramionami i podrapał się po potylicy. Wzrok uciekł mu na moment w bok, na wiszący na ścianie kalendarz.

- Możliwe - przyznał niechętnie. - Wiesz, musiałbym się zastanowić, bo wożę wielu ludzi. Jako taksówkarz...

- Słuchaj, Boguś, zrobimy tak - wszedłem mu w słowo. - Ja cię tu teraz na chwilę zostawię, pójdę zapalić, a jak wrócę, ty przestaniesz pierdolić smutki i powiesz mi, jak było z tym kolesiem, który zaprosił cię do siebie, a potem się ululał. Żeby ci jeszcze rozjaśnić, mówię o facecie, z którego mieszkania wyniosłeś walizkę rzeczy. Kojarzysz,

tak? To jak już będziesz gotowy, daj znać.

Przez chwilę Bogdan patrzył mi prosto w oczy, jakby upewniał się, czy nie robię mu jakiegoś kawału. Potem uważnie przyjrzał się swoim paznokciom i wnętrzom dłoni. Wreszcie z początku spokojnie, ale potem coraz bardziej emocjonalnie zaczął mówić:

- Faktycznie, teraz sobie przypominam. Była taka sytuacja, wiozłem gościa, straszna była z niego gaduła, ale z takich wiesz, sympatycznych na krótką metę. Zaprosił mnie do siebie, powiedział, że ma jakieś fajne filmy na wideo i że mogę wpaść i zobaczyć. No to poszedłem, ale już na górze on się zrobił trochę namolny i zauważyłem, że ma na mnie ochotę. Pewnie bym się zawinął wcześniej, ale facet chlapnął dwa drinki i zasnął, a ja jeszcze chwilę oglądałem, choć nie do końca, bo film był nudny. No to się zawinąłem do domu. Cała historia, Adam, naprawdę. Nic mu z domu nie wzięłem, tylko go tam zostawiłem. Pewnie po moim wyjściu ktoś skorzystał z okazji, wszedł i gościa okradł. Ale to nie ja, Adam, kurwa, znasz mnie przecież!

No znam, pomyślałem. A właściwie znałem, bo przecież kawał czasu się nie widzieliśmy. Ale jednak kumpel za dawnych dni dobry, teraz też się zachował w porządku. Przemknęło mi więc nawet przez myśl, czy nie uznać tej jego historyjki za choć mgliście prawdopodobną. Tyle że nie mogłem! Instynkt psa warczał, że kto obcy miałby się pałętać po klatce schodowej po północy i jeszcze na chybił trafił sprawdzać mieszkania, licząc, że któreś będzie otwarte, a gospodarz akurat przytnie komara. Cholera, do tego nawet psiego instynktu nie było trzeba, zwykły rozsądek i prawdopodobieństwo!

Westchnąłem ciężko, by dać mu do zrozumienia, że swoim kłamstwem sprawia mi osobisty zawód.

- Boguś, obaj wiemy, że było inaczej. Możesz iść

w zaparte, ale wtedy zamiast skupić się na tym, jak spróbować ci pomóc, będę musiał obalać te twoje bzdety. Bez szwanku się nie da, mleko się rozlało. Ale jeśli wszystkie przedmioty wrócą do właściciela, a ty okażesz skruchę i chęć współpracy z nami, to nikt nie będzie robił chryi. Coś ci zwyczajnie odjebało, w zasadzie nie wiesz, jak to się stało, i...

- Adam, kurwa, ale ja niczego nie wziąłem. No przysięgam, że nie. Znasz mnie przecież, na cholerę miałbym coś komuś podpierdalać?!

Patrzyłem na niego długo. Chciałem mu wierzyć, naprawdę. Widziałem, jak drży, jak się poci, jak usilnie stara się patrzeć mi w oczy, nie odwracać głowy. Patrzyłem i niczym wytrawny papug próbowałem sam sobie przedstawić wszelkie wątpliwości, okoliczności łagodzące, wszystko, co mogło przemawiać na korzyść kolegi. Problem jednak w tym, że Bogdan śmierdział. Przenośnie, bo jego historia nie trzymała się kupy, ale i całkiem dosłownie. Dawno temu zauważyliśmy, że ci, którzy się najbardziej boją, pocą się i śmierdzą w specyficzny sposób. Coś tam się dodatkowo wydziela, nie wiem, ale psi nos czuje. A najbardziej boją się sprawcy, bo w innych przypadkach jest w ludziach jakaś nadzieja, jakaś wiara w system. Oczywiście nikt by na psim węchu oskarżenia pod sąd nie zbudował, ale mnie smrodek Bogdana coraz bardziej utwierdzał w smutnym przekonaniu, że mój kolega nie tylko zawalił wtedy, przedwczoraj wieczorem, ale i teraz postanowił do końca iść w zaparte.

W międzyczasie pojawił się Barbi. Dołączył do rozmowy, ale odzywał się mało, dając mi prowadzić sprawę. Czasem tylko coś wtrącił, przypomniał o konieczności oddania fantów i poparł mnie w twierdzeniu, że wiele da się zdziałać, jeśli Bogdan pójdzie na współpracę. Męczyliśmy

się tak jeszcze z dobrą godzinę, aż w końcu do pokoju wszedł kolega Antek i zapytał, co nam tu tyle zajmuje.

Gdy wyjaśniłem mu na stronie sytuację, pokręcił tylko głową.

- Do dupy takie gadanie, jak się znacie, Adam. On się przyssał do ciebie i słowem nie piśnie. Liczy, że go jakimś cudem wyciągniesz z gówna bez szwanku. Dajcie mi go do szóstki, ja sobie z nim pogadam.

Zabrał Bogdana do siebie i nie minęło pięć minut, jak wrócił, otrzepując ręce, jakby się przy łopacie ubrudził.

- Załatwione. Pakujcie się, jedziemy na Krzyki.

- Po co na Krzyki? - zdziwiłem się.

Antek uśmiechnął się z pobłażaniem.

- No po fanty. Przyznał się do wszystkiego i jedziemy odzyskać zrabowane mienie.

Aż się we mnie zagotowało. Pięć minut. Pięć pieprzonych minut! Minąłem Antka, wybiegłem na korytarz i wpadłem do szóstki.

Na mój widok Bogdan najpierw się zląkł, ale zaraz ukrył twarz w dłoniach.

- Brawo, idioto! - zawołałem. - To ja ci próbuję pomóc, jakoś z tego gówna wyciągnąć, choćby częściowo, a ty przez godzinę nic? A potem pięć minut. Pięć, kurwa, minut i...

Urwałem zasapany. Otarłem usta i jeszcze przez chwilę stałem tam, dysząc wściekle.

Bogdan długo przyglądał się swoim dłoniom i w końcu bardziej do nich niż do mnie powiedział:

- Wstydzilem się przed tobą, Adaś. Po prostu było mi głupio. Bo było tak, jak powiedziałaś, nie wiem, jak to się stało. Po prostu w pewnej chwili taki impuls jakiś...

- Teraz to sobie ten impuls w dupę wsadź - warknąłem i wyszedłem, z całych sił powstrzymując się przed

trzaśnięciem drzwiami.

Fanty rzeczywiście były tam, gdzie wskazał, zakopane pod dechami w garażu domku jednorodzinnego na Krzykach. Bogdan utrzymywał, że to chata jego kumpla, ale że ten nic nie wie o sprawie. Wykopane rzeczy porównaliśmy z listą i wróciliśmy na bazę.

A tam nie koniec dramy, bo na miejscu czekała już na nas, a właściwie na mnie, matka Bogdana, gotowa mnie błagać na klęczkach i zaklinać, żebym jakoś jej synowi pomógł się wykaraskać. Że przez wzgląd na koleżeństwo, na dawne czasy, że przecież wiem, że to nie jest zły człowiek, tylko pobłądził zwyczajnie.

Poczekalem, aż skończy, i spojrzałem jej prosto w oczy.

- Próbowałem, proszę pani - powiedziałem. - Ale kiedy ja do niego jak do kolegi, on do mnie jak do psa. I teraz to ja już nic nie mogę.

Nie wiem, czy zrozumiała, ale mnie ta sytuacja nauczyła wiele.

Była z tej całej, smutnej w sumie, akcji jedna korzyść, mianowicie znajomość z Zenobiuszem i jego partnerem Rysiem. Do końca nie wiem, jak to się między nimi rozstrzygnęło, czego się delegacyjny rogacz dowiedział, a czego nie, ale po kilku dniach Barbi i ja dostaliśmy od panów zaproszenie na opicie odzyskanego mienia i naszego gorzkiego sukcesu. A że w grę wchodziły hotelowe frykasy i morze wody, z ochotą skorzystaliśmy z zaproszenia.

Czas spędziliśmy w na tyle fajnej atmosferze, na picciu, jedzeniu i oglądaniu filmów, że gdy gospodarze zaproponowali kolejny wieczorek u nich, z przyjemnością się zgodziliśmy. I tak wpadaliśmy do nich regularnie, w coraz większym wydziałowym gronie, gadaliśmy, oglądaliśmy zagraniczne nowości filmowe, a po odkryciu

u panów wielkiej kolekcji porno - nie tylko gejowskiego - naszym wieczorom zaczęły coraz częściej towarzyszyć dochodzące z głośników ekstatyczne jęki.

Czy przez te wszystkie lata znajomości z Zenobiuszem i Ryśkiem przeszkadzała nam orientacja gospodarzy? Zupełnie nie. Zresztą właściwie poza kilkoma żarcikami, czy to naszymi, czy gospodarzy, temat w zasadzie nie wpływał.

Raz tylko solidnie już porobiony Zenobiusz usiadł przy mnie na kanapie, gdy oglądałem film, i tak niby przypadkiem położył mi dłoń wysoko na udzie i zaczął sunąć w górę.

- Coś ci się pomyliło, Zen - powiedziałem zupełnie spokojnie. - A jeśli pomyli ci się tak jeszcze raz, stracisz i kolegę, i zęby.

Błyskawicznie cofnął rękę i wyszedł, a gdy wrócił po paru minutach, włosy miał mokre, a oczy jakby trzeźwiejsze.

- Nie możesz mnie winić, że spróbowałem. Teraz już wiem na pewno.

- To wcześniej nie wiedziałeś? - Nie byłem pewien, czy powinienem się oburzyć, czy zwyczajnie parsknąć śmiechem.

Zenobiusz wzruszył ramionami.

- No wiesz, jeden z waszych chłopaków, nie powiem ci który, też wyglądał na heteryka. Ale jak przyszło co do czego... - Przewrócił oczami i uśmiechnął się psotnie. - Powiem tylko, że na wiele mi pozwolił.

Długo próbowaliśmy z Barbim ustalić, o którego z chłopaków chodziło. I przyznam, że mimo całego swego psiego doświadczenia, do dziś nie mam pojęcia.

Sprawa z Bogdanem dość mocno wryła mi się w pamięć i na zawsze uświadomiła, jak ważne jest oddzielenie życia prywatnego, towarzyskiego od pracy. Nie tylko z powodów moralnych, ale przede wszystkim dla zdrowia psychicznego. W domu czasem należy wyłączyć psie zmysły, nie dociekać, nie wnikać, po prostu pozwolić sprawom toczyć się swoim biegiem.

Zbyt wiele znałem przypadków kolegów, którzy choć w pracy byli świetnymi fachowcami, po godzinach nie potrafili odpuścić i często wręcz paranoicznie reagowali na zwykłe codzienne sprawy. Wiele żon takiej postawy nie wytrzymało, wiele dzieciaków miało dość ojców śledczych i na przekór szło na zwadę. A potem wszystko toczyło się utartym schematem – gdy nie chcesz iść do domu, na fabryce po godzinach zawsze znajdzie się ktoś, kto zaproponuje wyjście w miasto. Nie wrócisz, będzie awantura i kolejny powód, by nie wracać. I tak krok po kroku, coraz szybciej po równi pochyłej.

W grę wchodziły też same sprawy, to, czego doświadczaliśmy, oglądając na co dzień paskudne rzeczy, babrając się w nich. Gdzieś ta frustracja i gniew musiały znajdować ujście, a że czasem tematy ciągnęły się długo, intensywnie zajmując nasze myśli, obrywało się, czasami niestety dosłownie, Bogu ducha winnym najbliższym. Świadomi tego, staraliśmy się wytyczyć granice i oddzielić obie sfery grubą kreską.

Najtrudniejsze było to chyba w przypadku ofiar przemocy seksualnej i gwałtów, bo tam częściej niż przy innych przestępstwach podświadomość podsuwała nam czarne

myśli i podstawiała w miejsce ofiar nasze kobiety - żony, partnerki, córki... Być może ta właśnie perspektywa, nie tylko funkcjonariuszy na służbie, ale i zatroskanych mężów, partnerów, ojców, pozwoliła nam zbudować w sobie szczególną postawę wobec ofiar takich przestępstw. Podchodziliśmy do nich zawsze z pełną powagą i wrażliwością...

No, prawie zawsze.

Któregoś razu zwyrodnialec zaatakował w Leśnicy kobietę wracającą do domu z pracy, wciągnął w krzaki i zgwałcił. Pokrzywdzonej udało się z nami skontaktować, ale niestety jej zeznania na niewiele nam się zdały. Była, co oczywiste, w wielkim stresie, a to w połączeniu z panującą wokół ciemnością utrudniało stworzenie portretu pamięciowego sprawcy czy chociażby wskazania cech umożliwiających nam jego identyfikację. Ponieważ jednak, jak mówiłem, takie sprawy traktowane były nieomal osobiście, a kilka szczegółów mimo wszystko ustaliliśmy, wiadomość poszła w miasto i zaczęliśmy sprawdzać kapusiów, których fortunnie w tamtym rejonie miasta mieliśmy wielu. Rozstawieni byli oczywiście pod bardziej znane osoby - każdy znany przestępca miał swój podzbiór nadających na niego ucholi - ale ponieważ półświatkiem rządziły pewne niepisane reguły, kapusie pomagali czasem w identyfikacji pomniejszych, akurat poszukiwanych sprawców.

Jedna z owych niepisanych reguł mówi, że prestiż buduje się poprzez łamanie prawa i czegokolwiek by dany sprawca nie zrobił, jeśli jest na dorobku lub musi dbać o wizerunek, w końcu się gdzieś przed kimś wysypie.

Tak było i tym razem, bo oto niedługo po rozpuszczeniu wici dostaliśmy sygnał, że ktoś chwalił się ostatnio, jak to zerznął jakąś dupę w krzakach, ale trochę mu żal, bo był tak schlany, że niewiele z tego pamięta. Sprawdziliśmy

gościa, recydywa, ale raczej od rozbojów i włamów, w zgwałceniach, przynajmniej według papierów, świeżynka. Donos jednak dał nam podstawę, by wysłać ekipę z jedyńki, czyli sekcji pierwszej, która zajmowała się podobnymi tematami, żeby faceta zawinęli.

Gdy już był u nas, próbowaliśmy z nim pogadać w taki sposób, by się przyznał i oszczędził kłopotu i nam, i pokrzywdzonej. On jednak szedł w zaparte tak długo, że trzeba się było zdecydować na okazanie.

I tu pojawiał się problem, bo na komendzie brakowało – znanego chociażby z filmów – pokoju do okazań, to jest dwóch pomieszczeń: jasnego i ciemnego, przedzielonych lustrem fenickim, czy też, jak zwykle się mawiać, weneckim. Nie mieliśmy opcji, by pokrzywdzona mogła się przyjrzeć potencjalnym sprawcom, sama będąc dla nich niewidoczna; pozostawały oględziny twarzą w twarz. Pani była jednak zdeterminowana i mimo tej trudności zdecydowała się na okazanie. Znaleźliśmy więc czterech podobnych do podejrzanego facetów, ustawiliśmy ich w rzędzie i zaprosiliśmy pokrzywdzoną na okazanie. Oprócz niej i czterech mężczyzn w pomieszczeniu było jeszcze czterech funkcjonariuszy zabezpieczających czynności i dochodzeniowców w roli protokolanta.

- Proszę się uważnie przyjrzeć tym mężczyznom i wskazać spośród nich sprawcę – polecił Gruby. - Możliwie bez pośpiechu i dodatkowych nerwów. Jak pani widzi, jesteśmy tutaj i nie ma się pani czego obawiać.

Kobieta skinęła głową i ruszyła wzdłuż szeregu, mierząc kolejnych mężczyzn od stóp do głów. Każdemu przyglądała się uważnie, żadnemu jednak nie poświęciła więcej czasu niż innym. W końcu, po trzeciej czy czwartej rundzie, podeszła nagle do Grubego i poprosiła go, by nastawił ucha. Ten wykonał prośbę, ale szept kobiety i tak był na

tyle donośny, że usłyszeliśmy go wszyscy, z trudem powstrzymując nerwowe rozbawienie.

- A czy ja mogę prosić, żeby oni wszyscy zdjęli spodnie? Bo ja bym go wtedy na pewno poznała po... no wie pan po czym.

Gruby odruchowo parsknął, ale udał, że to kaszel.

- Obawiam się... - zaczął, ale musiał się powstrzymać, bo przypadkiem spojrzął na nas i nasze miny sprawiły, że mało nie roześmiał się w głos. - Obawiam się, że takie okazanie nie będzie możliwe.

- Ech, rozumiem - odparła pani i ponownie ruszyła wzdłuż szeregu. Gdy w końcu zdecydowała się wskazać jednego z mężczyzn, był to ten podejrzewany przez nas. To, w połączeniu ze zgromadzonymi w dalszym postępowaniu dowodami, pozwoliło nam na pociągnięcie go do odpowiedzialności.

Inny przypadek dotyczył gwałciciela grasującego na Nowym Dworze, który zaczął się na ścieżce wiodącej na skróty, przez krzaki między dwoma ulicami. Ponieważ w krótkim czasie gnój zaatakował kilka kobiet i nic nie wskazywało na to, że zamierza przestać, zapadła decyzja o przygotowaniu zasadzki. Zamierzaliśmy czaić się w okolicy przez kilka dni i zatrzymać drania, najlepiej na gorącym uczynku. Wyznaczyliśmy dyżury i każdego kolejnego wieczoru, do późnych godzin nocnych, kiedy ustawał wszelki ruch, kilku naszych a to chowało się w krzakach, a to krążyło gdzieś w okolicy.

Przez pierwsze dwa dni była cisza, ale trzeciego, tak koło dwudziestej drugiej, usłyszeliśmy nagle krzyk, potem odgłosy szamotaniny i nieudolnie tłumione wołanie o pomoc.

- Jazda! - Barbi wydał polecenie przez radio. Rzuciliśmy się więc w te krzaki, każdy ze swojego stanowiska. Pędzimy

wszyscy w stronę hałasu najszybciej, jak się dało, ale nie było to łatwe, bo wokół ciemno, tak że ledwie widać ludzkie sylwetki, pod nogami korzenie, na wysokości głowy gałęzie.

Biegnę jednak, przedzieram się, krzaki szeleszczą jak ortalionowy dres, ale już dawno nie chodzi o to, by być cicho. Teraz liczy się szybkość. W biegu dobywam broni i nagle dostrzegam typa, sylwetkę, mniej więcej tam, skąd dobiegał krzyk.

- Milicja! - drę się. - Stój, bo strzelam!

Facet odwraca się gwałtownie, w rękach też coś trzyma. Pistolet? Celuje nim we mnie! Powinienem się domyślić, ale w tej krótkiej chwili działa raczej instynkt, więc już mam strzelać, ale na szczęście typ odzywa się głosem Barbiego:

- Ej, kurwa, to ja!

Opuściłem broń, on też i razem pokonaliśmy ostatni odcinek przez chaszczę.

Zaatakowana, trzeba jej przyznać, była bardzo waleczna, co ułatwiło nam pracę. Dostarczyliśmy do gościa, ściągając go z kobiety. Szczęśliwie dla nas szamotał się i próbował wyrwać, więc wszelkie środki zaradcze, jakie zastosowaliśmy, były całkowicie zasadne. Rzuciliśmy go na glebę, wbijając mu głowę w ściółkę, wykręciliśmy łapy do tyłu i skuliśmy go akurat, gdy nadbiegli pozostali.

Wezwaliśmy transport, zabraliśmy pacjenta do bazy i zaczęła się żmudna policyjna dłubanina. Robienie kwitów, długie rozmowy zmiękczające, przygotowanie do okazania sprawcy wszystkim poszkodowanym kobietom.

Jedna z nich, taka nie za młoda, niska i, jak stwierdziliśmy gremialnie, nienachalnej urody, odpowiedziała na wezwanie z wyjątkową gorliwością i energią. Nie wyglądała na zdruzgotaną i załamana, co często zdarza się wśród ofiar tego paskudnego czynu. Ta, zadziorna i waleczna, pałała wściekłością. Oczywiście zgodziła się rozpoznawać

gwałciela na żywo, twarzą w twarz, i gdy tylko jej to umożliwiliśmy, wparowała do pomieszczenia, minęła wszystkich podstawionych mężczyzn i od razu skierowała się do sprawcy, zaciskając pięści.

- Ty chuju! - ryknęła. - Nie dość, że robotę spierdoliłeś, bo cipa z ciebie, nie mężczyzna, to jeszcze okulary mi zniszczyłeś! Oddawaj, gnoju, za okulary!

I tyle było z powagi. Sekunda ciszy, wszyscy spojrzeliśmy po sobie, my na podstawionych, oni na nas, wszyscy na okazanego i na dyszącą przed nim z wściekłości kobietę ledwie sięgającą mu brody, a potem ktoś parsknął i wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem. I nie był to jedynie krótki rozbłysk wesołości. Zupełnie jakby ktoś wtoczył do pokoju gaz rozweselający, gięliśmy się tam to w przód, to w tył, jak cynowe żołnierzyki w ogniu, i dosłownie ryczeliśmy ze śmiechu.

Kobieta po chwili szoku dołączyła do nas niepewnie i ostatecznie tylko sprawca stał czerwony jak burak, łypiąc na nas spode łba i zaciskając pięści. Możliwe, że była to najgorsza chwila w jego życiu, a jeśli tak, postaraliśmy się mu ją przedłużyć.

Od tego momentu każdy, kto uczestniczył w czynnościach z udziałem sprawcy, rozpoczynał je od jakiegoś żartu na temat jego potencji. A potem, gdy zorientowaliśmy się, że te żarty zaczynają mu doskwierać bardziej niż perspektywa pudła, której przede wszystkim powinien się bać, roztoczyliśmy przed nim wizję tego, co go czeka.

- Te, miękka faja, ale wiesz, że w więzieniu nie będziesz się musiał martwić, czy ci stanie? - zapytał mężczyznę w którymś momencie jeden z chłopaków. - Cwele to raczej dupą pracują dla grypsery i żrą z kibla. Fajnie będzie poznać drugą stronę tego, co?

Miękka faja nie wyglądał na przekonanego.

Któregoś dnia dostaliśmy z Kaziem, u którego wciąż wtedy terminowałem, do zrobienia domknięcie sprawy grupki włamywaczy. Ekipa siedziała już na dechach, trwały czynności, ale wciąż pozostawał temat odzyskania zaginionych przedmiotów. W toku dochodzenia ustaliliśmy, że przynajmniej część fantów może być przechowywana w mieszkaniu znajomego jednego ze sprawców, więc oczywiście udaliśmy się tam, nie bacząc na porę.

Był wieczór, nie jakiś szczególnie późny, mieszkanie znajdowało się w starej kamienicy nad Odrą, co oznaczało oczywiście brak windy. Z jednej strony nie za fajnie, bo musieliśmy się wdrapać na piąte piętro. Z drugiej, do wyjścia tylko jedna droga, co często wiele ułatwia.

Choć tu akurat komplikacji nie było. Delikwent siedział w domu i uciekać nie zamierzał, choć nasza wizyta niespecjalnie mu się spodobała. Był jakiś nerwowy, spięty, szedł w zaparte, ewidentnie jak człowiek mający zbyt dużą wiedzę o sprawie, o której, gdyby był niewinny, nie powinien wiedzieć nic. Usadziliśmy go więc w jednym miejscu i podjęliśmy czynności. Chwila moment, szast-prast i rzeczywiście zebraliśmy stosik fantów z listy. Spojrzeliśmy z Kaziem na gościa, a ten nadal spięty.

I tu małe wyjaśnienie. Jest pewien rodzaj nerwowości towarzyszący nadziei, że może jednak się uda, los będzie sprzyjał, śledczy coś przeoczą. To taki rodzaj iskierki w oczach, serii nerwowych tików, u każdego trochę innych. I zwykle, gdy już odkrywamy to, co mamy odkryć, sprawca nieco się rozluźnia, kurczy, jakby zrzucił z barków jakiś ciężar.

Tak powinno się stać i tym razem, wszak leżał przed nami

obciążający faceta stosik fantów. A jednak nie, gość nadal się spinał i łudził nadzieją, że coś uda mu się ukryć. Kaziu, wyczuwszy go, ruszył na dalsze poszukiwania, do kolejnych pomieszczeń. I wtedy natknął się na drzwi zamknięte na klucz.

- Co tam jest? - zapytał. - Proszę otworzyć.

Facet wyprężył się jak struna. Czyli trafione.

- Nie wiem, co tam jest - wystękał. - Ja ten pokój tylko wynajmuję i wszystko, co się w nim znajduje, należy do wynajmującego. On ma klucz, ja nie, bo to nie moja sprawa.

Kaziu przytaknął i przez moment wyglądał, jakby przystał na taką wersję wydarzeń. Nagle ruchem głowy przywołał mnie do siebie i napał na drzwi. Po kilku naszych wspólnych próbach okazało się, że drzwi wcale nie były zamknięte, a wręcz uchylone. Uznaliśmy to za zaproszenie i weszliśmy do środka.

- Kurwa - jęknąłem na widok tego, co zastałem na miejscu.

- W rzeczy samej - mruknął Kaziu.

W środku nie było fantów z włamań. Były za to tony zadrukowanych ulotek, odezw, pism Solidarności, powielacz, maszyny do pisania, radia, radiostacje i inne takie. W kącie pokoju leżały natomiast torby z puszkami, kartonami i paczkami żywności długoterminowej. Wszystko „Made in USA”.

Procedury w przypadku takiego znaleziska były jasne. Nie nasz temat, więc grzecznie wyszliśmy, przez radiostację zgłosiliśmy temat dyżurnemu, informując go, że fajnie, gdyby przykazał esbekom, żeby się pospieszyli, bo pora późna i chcielibyśmy się sprawnie zawiąć.

Dyżurny, jakby nie dosłyszał albo nie zrozumiał, kazał nam czekać na funkcjonariuszy SB z komendy wojewódzkiej. Podkreślił to tak wyraźnie, jakby naprawdę

się obawiał, że sobie pójdziemy i zostawimy mieszkanie puste, by ktoś mógł szybko i dyskretnie wszystko posprzątać. A przecież gdyby tak się stało, nie mielibyśmy później życia.

Przyjechali. Pięciu albo sześciu, z minami takimi jak zwykle, znużeni, wszystkowiedzący, ponurzy panowie. Wkurzali nas zawsze tą swoją postawą, tym „my jedyńi robimy rzeczy, które się liczą, reszta robi drobnicę”. No ale przecież nikt nie zamierzał podskakiwać.

Weszli do pokoju, obejrzeni go bez ekscytacji, wyrazili dezaprobatę, że będą to wszystko musieli teraz tachać na komendę i zniszczyć. Ot, rutyna.

Tyle że nie do końca, bo gdy potem z pewnego oddalenia słuchałem ich rozmów między sobą, wychodziło na to, że esbecy odstawiają tu mały teatrzyk, a w rzeczywistości są podekscytowani, bo lokal należał do ich wysoko ustawionego w opozycji figuranta. Zastanawiali się, czy ta wpadka bardziej mu się przysłuży czy przeciwnie. Niezależnie od tego, co ostatecznie ustalili, nam nie dostało się ani dziękuję, ani pocałuj mnie w dupę. Jedyne, co wyjęliśmy z tematu, to trochę odzyskanych fantów, bo nawet gospodarza nie dali nam wziąć na dechy za paserkę.

Z powyższego łatwo wywnioskować, że nie lubiliśmy się specjalnie z kolegami ze Służby Bezpieczeństwa. Podzielaliśmy w tym trochę pogląd narodu, choć nasze powody do tej niechęci były zgoła inne. W swoim przekonaniu esbecy byli od nas lepsi. Więcej, oni jedyńi wykonywali ważną dla kraju służbę, my wszyscy mogliśmy dla nich najwyżej warować, aportować i, gdy trzeba, dawać głos.

Co więcej, aparat państwowy też ich tak pozycjonował. Dochodziło do kuriozalnych sytuacji, na przykład zastępca szefa wojewódzkiego, od spraw SB, w praktyce był

ważniejszy od swojego szefa i ten drugi trochę się go nawet obawiał. Jeżeli byłeś z esbecji, stopnie, doświadczenie i wysługa lat schodziły na drugi plan. Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa mieli realną władzę, z której nieustannie korzystali.

Nie znaczy to, że nie było wśród nich w porządku chłopaków. Kaziu miał w esbecji szwagra, toteż po wielokroć zdarzało nam się z nimi imprezować i pić, a czasem i odzywać się, gdy była jakaś sprawa pozornie nie do załatwienia. I przyznaję, w chlaniu i robieniu na boku, choć wielu naszych miało w tych kwestiach sporo za uszami, pokornie uznawaliśmy ich wyższość. Jak to było? Każda władza deprawuje...

Na służbie, oprócz sytuacji takich jak ta opisana, najczęściej mieliśmy do czynienia z esbekami zajmującymi się Kościołem. Ci wręcz pasjami uwielbiali się nami, operacyjnymi, wysługiwać. A że nasi przełożeni przyklepywali zapotrzebowanie na nas od ręki, szliśmy, zgrzytając zębami. I wcale nie chodziło tu o kwestie ideologiczne, a o zwyczajne marnowanie naszego czasu.

I tak na przykład zdarzało się, że szefostwo kazało nam się stawiać na służbę w niedzielę. Przychodziliśmy na ósmą, a tam już czekał kolega z SB przeprowadzający odprawę. Klasyk, zabawa w ministranta, czyli służenie do mszy.

Każdemu z nas przydzielano jeden z kościołów znajdujących się na naszym terenie i kazano odbyć swoją drogę ku świętości. Trzy msze w ciągu dnia, a potem detaliczny raport z każdej, dotyczący zarówno wystroju świątyni, ze szczególnym uwzględnieniem ewentualnych motywów solidarnościowych, jak i liczby wiernych, ich nastroju, treści kazań, potencjalnych wywrotowych okrzyków. Słowem, wszystko, do czego można by się dopieprzyć. Świetna robota, zwłaszcza że jak akurat nie

dostaniesz sprzętu do nagrywania, lecis z pamięci. No bo jak niepostrzeżenie robić notatki w trakcie mszy?

Jak to wyglądało w praktyce? Trochę zabawnie, bardziej zenująco. Ja na przykład dostałem do obsługi kościoła w Jerzmanowie. To osiedle rolnicze, właściwie oddzielona od Wrocławia wioska, gdzie wszyscy od urodzenia znają się jak łyse konie, wiedzą o sobie wszystko, a przy niedzieli tym uważniej się obserwują, żeby było o czym przy obiedzie gadać. Każda nowa gęba to temat do plotek. A nowa znudzona gęba w kościele? Umówmy się, nie trzeba tu było Holmesa, by się zorientować, co się dzieje. No i jeszcze trzy msze w ciągu dnia?!

No ale pan każe, pies musi. Stawiam się na miejscu na wskazaną godzinę. Pierwsza msza na dziesiątą do odhaczenia. Stoję trochę z boku, ludzie przychodzą grupkami, ubrani odświętnie, przyglądają mi się z ukosa, sprawdzają, z kim przyszedłem. Ja nic, udaję, że nie widzę. Potem wchodzę z tłumem, siadam bardziej z tyłu, ale nie na samym końcu, rozglądam się, że niby podziwiam ołtarze, a w rzeczywistości próbuję je zapamiętać i odróżnić. Zdaję sobie sprawę, że ordynarnie mówiąc, чуja wiem o rytuałach i zwyczajach, nie wiem, czy ten posążek ma szarfę, bo święto, czy to tajny sygnał dla Bujaka. A te kwiaty? A kolor ornatu, czy jak to się tam nazywa? Siedzę, gapię się to tu, to tam, a ludzie jak ta otchłań. Ja na nich, oni na mnie. Już widzą, że przyszedłem sam, już czują pismo nosem.

Wchodzi ksiądz, ruszają organy i się zaczyna. Wstajemy, otwarcie, rytuały, powitanie.

- Witam wszystkich tych, którzy przyszli z własnej woli, i tych, którzy zawitali dziś do kościoła służbowo - zagaja pyzaty klecha, a wszyscy na mnie. Ktoś pokazał na mnie palcem, ktoś coś warknął.

A ja? Nic, niewzruszony, obejrzałem się, jakbym sprawdzał, czy to akurat za mną nie usiadł ten Judasz esbecki.

I tak jeszcze dwa razy, o dwunastej i szesnastej. Księżulo ma coraz większy ubaw, improwizuje te swoje powitania, ludzie z minami, jakbym im krowy ukradkiem w nocy doił. W końcu, po całym zmarnowanym dniu, uznałem: nigdy więcej.

Ale oczywiście co ja miałem do gadania? Gdy jednak następnym razem dostał mi się ten sam kościół, jechałem zawczasu, przed mszą, wpadałem, by obejrzyć wnętrze, a potem jazda do domu, przeczekać do siedemnastej i szedł raport, wedle którego ksiądz mówił cały czas wyłącznie o religii.

Z niedzielnymi mszami tak się jeszcze dawało. Z uroczystościami było gorzej. Takie na przykład Boże Ciało. Przydział jest, zabezpieczenie operacyjne uroczystości. Bo oczywiście, wszyscy to wiedzą, opozycjoniści najchętniej spiskują przeciwko władzy ludowej, wędrując ulicami w skwarze, w ciasnym tłumie, skuteczniejąc ołtarzowe „powstań”, „klęknij”, podczas gdy wokoło babcie zawodzą, jakby zagłuszały Wolną Europę.

No więc, nie bacząc, że dzień wolny, koszula, marynarka i dalej w sam środek tej wylęgarni zła. I niby źle nie było, człowiek się przejdzie przy wolnym, a przecież nogi nawykłe. Ale robota nieomal szpiegowska, więc trzeba się wtapiać, a to znaczy, że swobodnie człowiek raczej nie pogada, czasem tam nawet poudawać trzeba, że się śpiewa. I oczywiście przyklęknąć przed kolejnymi ołtarzami.

I raz tak, ledwie żeśmy z Andrzejem, z którym mnie zestawiono, zgięli kolana – Jędrak, masywny, dupę wypiął – a tu za nami jakiś szczył teatralnym szeptem:

- Ty, patrz, jakie fajne kajdanki.

Zamarłem. Andrzej, widzę, też. Szybka analiza, czy on, czy ja, ale więcej przemawiało za Jędrkiem. Jemu, z racji postury, marynarka się podwijała, a przecież obaj mieliśmy kabury pod pachami na szelkach, a za paskami z tyłu kajdanki właśnie. Podnieśliśmy się powoli, a tymczasem, choć ścisk na wypełnionej po brzegi ulicy był wręcz niebywały, wokół nas zdążyła się nagle zrobić wielka pusta przestrzeń. I mogę śmiało powiedzieć, że żadna para wpatrzonych w nas oczu nie sugerowała ani miłosierdzia, ani nadstawiania policzka. Ktoś tam coś syknął o ubekach, a my zamiast się głupio tłumaczyć, skorzystaliśmy z tego, że wszyscy brzydzą się nas dotknąć, i tak szybko, jak się dało, by zachować w tej sytuacji resztki godności, wynieśliśmy się z procesji. Na szczęście dla nas po naszej wpadce nic później nie zakłóciło ceremonii, więc mogliśmy resztę raportu dossać z palca.

Gdybym miał wskazać centralny, związany z Kościołem punkt oporu wobec ówczesnej władzy, to była to świątynia przy alei Pracy. To tam odbywały się, zwykle przy okazji uroczystości, wielkie manifestacje gromadzące tysiące ludzi z całego Wrocławia. I tam esbecja miała używanie!

Na wydarzenia w tym akurat kościele nasi „lepsi koledzy” chadzali sami. Nie dziwota, bo nawet przy spokojniejszych manifestacjach dało się a to złapać jakąś dobrą fotkę, a to wyjątkowo nieprawidłny fragment kazania. Były okazje do zweryfikowania donosów od księży i „przyjaciół Kościoła i opozycji”, możliwości wyhaczenia nowych informatorów. Słowem, takie „idź na całość”, tylko z awansami. Masz szczęście, dobrze wybierzesz bramkę, to wygrasz przynajmniej pochwałę i wdzięczność przełożonych. Źle? Przepadło popołudnie, ale uwaga! Możesz grać dalej

w następnej edycji.

Myliłby się jednak ten, kto by uznał, że skoro kwestia łapania opozycjonistów była dla władzy tak ważna, to ją należycie dofinansowywali. Wynikały z tego czasem całkiem zabawne sytuacje.

Ponieważ lokalni księża doskonale wiedzieli, o jaką stawkę toczy się w tym miejscu gra dla esbecji, szybko nauczyli się nie tylko wypatrywać esbeków w tłumie wiernych, ale i należycie dawać im do zrozumienia, że wiedzą. Prowokować ich do dekonspiracji. Często używanym w tym celu narzędziem stało się... kropidło. Gdy taki ksiądz szedł wzdłuż naw, kropiąc ludzi święconą wodą, i nagle zauważał agenta, zatrzymywał się i tak długo machał kropidłem z tego akurat miejsca, aż delikwent przed nim dosłownie ociekał jak po ulewie. I wtedy nie dość, że był oznaczony i ośmieszony, to jeszcze stał tak na mokro do końca mszy.

No ale stał, bo nie miał innego wyjścia. Nawet po tak jawnym sygnale nie mógł narazić się na dekonspirację i musiał udawać, że po prostu ksiądz wyjątkowo zadbał o jego świętość.

Raz jednak, co poszło później po wszystkich komendach wizgiem rykoszetującej anegdoty, nawet to karne stanie nie pomogło, bo w kontakcie z wodą gówniany, zdezelowany magnetofon w kieszeni funkcjonariusza zwarł się i zaczął wydawać z siebie dziwne rżenie i opętańcze piski, zupełnie jakby w płaszczu wił się i skręcał egzorcyzmowany diabeł. Funkcjonariusz zmył się oczywiście jak niepyszny, a nas, samych esbeków i opozycję, z którą walczyli, długo łączyło rozbawienie, jakie wywoływała ta, puchnąca z czasem, historia.

A skoro już o okołosesbeckich anegdotach mowa, moja absolutnie ulubiona nie dotyczy Kościoła, a instalacji

podśluchu w domu opozycjonisty. To miała być czysta, szybka robota, jakich wiele - otworzenie zamków, zamocowanie pluskiew, wyjście, bez śladu, bez szelestu, bez zwracania uwagi. I faktycznie fachowcy weszli, swoją robotę wykonali raz-dwa i już się mieli zbierać, gdy nagle się okazało, że... nie ma kota. Musiał czmychnąć, ledwie otworzyli drzwi, prześliznąć się między nogami i zniknąć. Pozostały miski i kuwety.

Funkcjonariusze oczywiście w panice zastanawiają się, co zrobić, bo przecież brak kota, gdy gospodarz wróci, to totalna dekonspiracja i robota psu na budę. No więc zapadła decyzja: szukamy. I tak też zrobili. Sprawnie, jakby tropili drukarnię bibuły, przetrząsnęli budynek od strychu po sufit i gdzieś tam na dole w końcu znaleźli przestraszonego zwierzaka. Zanieśli do mieszkania, ogarnęli, by nie wyglądał jak siedem nieszczęść, pozamykali i poszli.

Afera wybuchła, gdy właściciel wrócił do domu i zorientował się, że ktoś u niego był. Poznał to po wałęsającym się po mieszkaniu kocie. Ładnym, czystym. Ale nie jego.

Andrzej, ten od kajdanek na procesji, był w zasadzie dobrym gliną, ale miał słabość do... Dobra, bez owijania w bawełnę, o żadnej słabości mówić tu nie można. Andrzej po prostu lubił się nawalić. Czasem mawiał, że pracuje w ten sposób nad swoim niskim głosem, który i bez wody był lekko ochryply. Ludziom jak on, pracującym w jedyńce, czyli od zabójstw i rozbojów, budzący respekt głos pomagał niemal tak bardzo jak solidna postura. W każdym razie Jędrak kielicha nie odmawiał w zasadzie nigdy.

No i któregoś razu była taka sytuacja, że Barbi zawiął melinę, a z niej dwadzieścia flaszek, które zdeponował u siebie w metalowej szafce. Jędrak jakoś się o tym dowiedział i przy różnych okazjach wpadał pożyczyc. I to faktycznie pożyczyc, bo dzień, dwa później, czasem upomniany, czasem sam z siebie, odkupioną flaszkę przynosił i odstawiał, by się zgadzało w dokumentacji. Tak to sobie działało jakiś czas, w końcu Jędrak przestał przychodzić.

I być może nikt nie zwróciłby na to szczególnej uwagi, gdyby dochodzeniowiec nie wziął się wreszcie za sprawę, nie zażądał dowodów, a potem nie przyleciał z pyskiem:

- Co ty mi tu, kurwa, Barbi?! Wodę mi w butelkach dajesz? Ochujalesz?!

Krzysiek, długo się nie zastanawiając, pognął do Jędrka, ale ten w zaparte, że to nie on, że przecież on by nigdy... Ostatecznie sprawa trafiła do Hrabiego, który uznał, że jak nikt się nie przyznaje, to znaczy, że sprawcy nie ma. Ale że tematu tak zostawić nie można, cały wydział solidarnie uzupełni depozyt prawdziwą wodą. Andrzej, który nagle

poczuł ducha drużyny, stwierdził, że to świetny pomysł.

Innego razu mieliśmy imprezkę w Leśnicy. Suto zakrapiana, ale bez ekscesów, po skończeniu balangi wszyscy udaliśmy się do domów. No, prawie wszyscy, bo Andrzejowi i Grubemu odpalił się szwędaczek i ruszyli przed siebie. Pierwsze kroki skierowali do Adaśka, znajomego rolnika ze Wschodu, który nie miał nic przeciwko ugoszczeniu ich u siebie w ogrodzie.

Siedzieli więc, pili, a wtedy w radiu podano wiadomość, że nasza reprezentacja piłkarska, wracająca akurat z jakichś mistrzostw, wylądaje na Okęciu z opóźnieniem. Andrzej spojrział wtedy na Grubego i takim poważnym ponoć głosem zakomunikował, że w takim razie oni operacyjnie ściągają milicyjny śmigłowiec i lecą, to jeszcze na to powitanie zdążą.

Traf chciał, że akurat chwilę później coś im nad głowami przelatywało, więc Andrzej zdjął marynarkę i zaczął nią machać, wskazując na ogród jako lądowisko. A Adaś, który różne rzeczy o ekscesach milicji już słyszał, a i kilku był świadkiem, łyknął zgrywę na tyle, że zaczął błagać:

- Panowie, panowie, tylko nie na moje wisienki!

W końcu Andrzej z Grubym dali się przekonać, za co w podzięce dostali jeszcze wódki. Uznawszy to za dobry omen, postanowili sprawdzić, czy i inni dawno nieodwiedzani znajomi okażą się równie hojni. Tak zaniósł ich na Nowy Dwór, gdzie najpierw trochę zabarłżyli, a potem, w trzeźwym przeblysku świadomości, postanowili zatelefonować. Dokąd? Do kogo? W sumie nikt nie wie, ale potrzeba była ponoć na tyle silna, że musieli już i teraz.

Udali się więc do budki, chwilowo niestety zajętej. W środku stał jakiś facet i perorował z ożywieniem, intensywnie przy tym gestykulując. Z początku uznali, że dadzą mu dokończyć, ale trwało to i trwało, więc w końcu

któryś zapukał w drzwiczki.

- E, panie, długo jeszcze?

Gość ostentacyjnie się odwrócił, przykładając słuchawkę do drugiego ucha.

Zapukali znowu i ponownie bez rezultatu. W końcu Jędrrek nie wytrzymał.

- Słuchaj no, jesteśmy z milicji i mamy ważną sprawę służbową.

Gość zmierzył ich wzrokiem z pogardą.

- Spierdalać, pijaki - warknął i spróbował zamknąć drzwi budki. Nie dał rady, bo Andrzej już tam wparował z butem.

- Spierdalać? Do milicji, chuju bez kultury? Że niby my mamy spierdalać?!

Wlazł do tej budki, a za nim Gruby. Jak oni się we trzech pomieścili tam w środku, to dla wszystkich pozostało zagadką. Jeszcze większą, jak w tym ścisku udało im się gościa tak sponiewierać. Gruby utrzymuje, że wynieśli go stamtąd na kopach, ale, przyznaję, mój psi nos mówi mi, że tu już pieprzy farmazony.

Ale samo poturbowanie typa było faktem niepodlegającym dyskusji. Gość zgłosił skargę i dwa dni później pułkownik Henryk wezwał do siebie Grubego.

- Jurek, byliście przedwczoraj z Andrzejem na Nowym Dworze? - zapytał tym swoim ślicznym wschodnim zaśpiewem.

Gruby przejechał ręką po karku.

- No ściemniać szefowi nie będę - wydukał. - Trochę żeśmy wypili, a wtedy szwędaczek... No a co?

- Zgłoszenie jest, że dwóch takich po pijaku obywatela w budce telefonicznej poturbowało i porwało mu marynarkę. Z opisu jakby wy. Wasza robota?

Gruby trzasnęła zdziwioną minę jak rasowy aktor. Trochę mu pomogło to, że autentycznie nie wiedział i był w szoku,

jak ta sprawa w ogóle wyszła.

- Poturbować? Szefie! Nigdy w życiu, pierwsze słyszę!

Pułkownik przewrócił oczami, kazał Grubemu stanąć w kącie i siedzieć cicho, a do biura wezwał Jędrka. Te same pytania, najpierw o Nowy Dwór, potem o typa w budce. I Andrzej z początku szedł niemal słowo w słowo jak Gruby. Dopiero przy tej marynarce się zawiesił.

- Ej, ale jaka marynarka, przecież on, kurwa, w swetrze...

- Urwał i łypnął na Grubego, który już słał mu z oczu promienie śmierci.

Ale było za późno, sprawa się ryła. Pułkownik przesunął po blacie pismo i odwrócił je palcem w ich stronę.

- Tu macie skargę od obywatela, który twierdzi, że dwóch grubasów podających się za milicjantów pobiło go w budce telefonicznej i zniszczyło mu marynarkę. Od razu pomyślałem o was. Załatwcie to.

Gruby podszedł i pochyliwszy się, naprędce przeczytał pismo. Podniósł głowę.

- Jak mamy to załatwić? - zapytał.

Pułkownik wzruszył ramionami.

- Szybko.

I tak też się stało, wszystko poszło szybko i sprawnie. Zatelefonowano do skarżącego, by umówić się na następny dzień na okazanie i złożenie wyjaśnień. Dobrano stosownych typów do okazania, pasujących do zawartego w skardze opisu, i ustawiono ich w równiutkim szeregu. Wszystkiego tego dokonał prowadzący czynności Gruby, odpicowany, elegancki, konkretny. On też powitał skarżącego i rzeczowo, cierpliwie przeprowadził go przez kolejne etapy składania zeznań.

- Teraz proszę powiedzieć, czy rozpoznaje pan wśród okazanych sprawcę? - zapytał na przykład.

Albo wskazał na miejsce przy biurku, tuż obok

pracującego intensywnie Andrzeja.

- Proszę, pan teraz usiądzie i dokładnie opowie, co pan pamięta z tamtego zdarzenia.

Wyglądało to wszystko jak żart, jak kabaretowa scenka, ale o dziwo, nikt się nie śmiał. Wszyscy natomiast starali się być pomocni i działać wspólnie na rzecz wyłowienia tych zgniłych owoców z milicyjnego koszyczka. Zwarci i gotowi w poczuciu wspólnej misji. Jak palce jednej ręki.

I facet to wyczuł, bo trudno, żeby nie. Coraz częściej drapał się po głowie, przestępował z nogi na nogę, wreszcie wyznał przejętemu Grubemu:

- Ja bardzo pana przepraszam, ale było ciemno, ja sam trochę wypilem, więc teraz nie jestem w stanie wskazać panom sprawców.

Jerzy wykazał się pełnym zrozumieniem.

- Czasem tak jest - powiedział, kładąc mu po przyjacielsku rękę na ramieniu i lekko ściskając, na co tamten, wciąż obity, trochę się skrzywił. - Najważniejsze to mieć odwagę się do tego przyznać.

Polecił facetowi napisać oświadczenie, że nie jest w stanie rozpoznać sprawców, zapewnił, że w razie postępów w sprawie skontaktuje się z nim, i zadowolony z siebie poleciał do szefa z kwitami.

Kolejny rozdział tej opowieści muszę rozpocząć od deklaracji: jestem racjonalistą. Przez wszystkie lata służby, wykonując swoją pracę, opierałem się na wnioskach wyciągniętych z obserwacji, naukowych badań i łączeniu tego wszystkiego w logiczną, spójną całość. Poznane metody śledcze w połączeniu z przychodzącą z doświadczeniem intuicją w zdecydowanej większości przypadków wystarczały mi do rozwiązywania spraw.

Czasem jednak życie i niezwykłość pracy sprawiały, że do głowy przychodził mi znany cytat z twórczości Arthura Conan Doyle'a: „Gdy odrzucisz to, co niemożliwe, wszystko pozostałe, choćby najbardziej nieprawdopodobne, musi być prawdą”. I faktycznie, w czasie służby zdarzały się niekiedy rzeczy nieprawdopodobne i przeczące naszemu dość prostemu oglądowi świata.

O wielu takich sprawach opowiadali mi koledzy, ale ponieważ wiele z nich brzmi dość szaleńczo i przypomina ogniskowe opowieści o duchach, nie będę ich przytaczał, skupię się na swoim własnym spotkaniu z niezrozumiałym.

Któregoś razu wykonywałem ustalenia związane z włamaniem do domu na osiedlu Kuźniki. Tradycyjnie wymagało to obejścia okolicy, przesłuchania sąsiadów, więc wędrowałem od domu do domu, aż trafiłem do takiego zajmowanego przez rodziców z grupką dzieci. Gospodarz, który mnie wpuścił, był miły i komunikatywny, więc po zadaniu kilku służbowych pytań wdałem się z nim w krótką pogawędkę. Tak dowiedziałem się, że ma na imię Jerzy, jest bioenergoterapeutą i zajmuje się leczeniem ludzi. Radził sobie dobrze, podobno miał też gabinet w samym

Wrocławiu, ale tam ta metoda leczenia nie została specjalnie, jak to ujął, ciepło przyjęta.

- Trochę się nie dziwię - przyznałem. - W mieście ludzie są bardziej skłonni ufać medycynie.

Jerzy zaśmiał się pogodnie, dając mi do zrozumienia, że nie pierwszy raz słyszy podobne słowa.

- Ależ ja nie jestem jednym z tych szarlatanów, którzy każą odrzucić lekarzy i leki. Moje metody mają na celu wspomagać ich działania, czasem przyspieszać pewne procesy czy naprawiać przeoczenia. Zresztą niech pan wejdzie.

Zaprosił mnie do środka i w swoim gabinecie pochwalił się kilkoma zagranicznymi listami i dyplomami. Powiedział też, że często jeździ do pewnej kliniki onkologicznej w Szwecji, bo pracujący tam lekarze są bardzo zadowoleni z rezultatów, jakie przynosi jego praca.

- A jasnowidzenie? Tym też się pan zajmuje? - starałem się, by w moim głosie nie pobrzmiwało powątpiewanie czy kpina, i zrobiłem to chyba skutecznie, bo choć się zawahał, ostrożnie podjął temat.

- Zdarzało mi się czasem skierować energię na poszukiwanie kogoś, kto zaginął, albo zerkanie w przyszłość, ale... rzadko. Raczej się czymś takim nie zajmuję, bo to zbyt wiele niewiadomych. Zna pan tego z Człuchowa, prawda? On jest taki niby pewien swoich możliwości, a ja panu powiem, że w większości spraw pozostaję sceptyczny.

Uśmiechnąłem się na ten dobór słów, ale nie ciągnąłem tematu, nie chcąc w którymś momencie zrazić do siebie gospodarza. Robił coś, w co nie wierzę, co mnie nie przekonuje, ale poza tym wydawał się całkiem w porządku. W tamtych czasach o wielu moich znajomych mogłem powiedzieć coś takiego.

Rozstaliśmy się po kolejnym kwadransie, wróciłem do swojej pracy, a po kilku dniach niemal w ogóle zapomniałem o bioenergoterapeucie Jerzym. Wspomnienie o nim wróciło do mnie dopiero kilka tygodni później w związku ze sprawą zaginięcia pewnego małżeństwa, po którym nie został żaden ślad. Od jakiegoś czasu kręciliśmy się w kółko, chodząc po ludziach, każdy operacyjny ze swoim zestawem zdjęć małżonków, więc gdy trafiłem na Kuźniki, pomyślałem, bardziej dla żartu czy z przekory: a co mi tam. Zapukałem do Jerzego i zapytałem, czy nie zechciałby mi pomóc.

Akurat był w domu i przywitał mnie jak starego znajomego. Gdy wyjawilem mu cel swojej wizyty, trochę kręcił nosem, ale w końcu machnął ręką i wziął ode mnie zdjęcia.

- Później wyjaśnię - zastrzegł, podchodząc do okna, po czym odchylił głowę, zamknął oczy i przyłożył zdjęcie do oświetlonego słońcem czoła. Przytrzymał je tak kilka minut. Następnie to samo zrobił z fotografią numer dwa. Przy tym zdjęciu westchnął, potrząsnął głową i opuścił rękę wzdłuż ciała. Następnie wrócił do stolika.

- Oboje nie żyją - oznajmił, oddając mi zdjęcia. - On wisi na cienkim białym sznurku głęboko w lesie, najpewniej w pozycji półkłępczącej. Jej ciało jest w jakimś rowie, ale takim betonowym, przy szosie. W budynku obok znajduje się dyskoteka.

Westchnął ciężko i potrząsnął głową, jakby próbował wytrząsnąć z siebie resztki paskudnej wizji, a następnie posłał mi smutny, zmęczony uśmiech.

- Nie wierzysz mi, prawda?

Wzruszyłem ramionami.

- Co robiłeś z tymi zdjęciami? To przykładanie do czoła?

- Chodzi o słońce - wyjaśnił. - Pracuję na energii

słonecznej i to właśnie ona jest nośnikiem wizji.

Liczyłem, że może dostrzegę u niego drgnięcie oka lub choćby rozbłysk błakającego się w kącikach ust uśmiechu, sugerujący, że Jerzy ze mnie drwi. Ale niczego takiego nie zauważyłem. Mówił poważnie. Naświetlał fotografię słonecznymi promieniami, uwalniając z niej wizje w postaci mentalnych projekcji, które... Nie, tego było za dużo. Pożegnałem się z nim, dziękując za poświęcony czas – no bo przecież nie za pomoc, są granice – i poszedłem.

Małżeństwa nie znaleźliśmy. Ani wtedy, ani dzień czy dwa później. Dopiero trzeciego, gdy akurat pełniłem służbę w grupie dochodzeniowej, odezwał się do nas dyżurny z informacją, że w lesie w pobliżu Kątów Wrocławskich jakiś miejscowy ujawnił wisielca.

Nie zaskoczyło nas to specjalnie. Ludzie miewają takie pomysły regularnie i potem weź wytłumacz dziecku, które zabrałeś na spacer do lasu, co to był za pan i dlaczego nie będziecie się huśtać na jego huśtawce. Dla nas znaczyło to wyprawę z dochodzeniowcem i technikiem kryminalistyki, aby wykonać wszystkie czynności mające na celu ustalenie okoliczności zdarzenia.

Dojechaliśmy na miejsce, pod lasem czekał już na nas ów miejscowy, by zaprowadzić nas na miejsce ujawnienia, oraz lekarz z zawezwanej przez dyżurnego karetki. Lokals nie był specjalnie rozmowny, ale roztrzęsiony też nie. Gdy przyjechaliśmy, palili z lekarzem i rozmawiali o grzybach.

Przywitaliśmy się, panowie skiepowali i weszliśmy między drzewa. Miejscowy las znał, poruszał się po nim pewnie, a na pytania zadane po drodze odpowiedział konkretnie, bez przegadywania. Był zły, że mu wisielec plany na dzień zepsuł.

Szliśmy może z kilometr, w końcu lokals przystanął.

- Za tym drzewem - powiedział i sięgnął po papierosy, ale

rozmyślił się w pół ruchu. – Panowie se obejdą, ja się już naoglądałem.

Obeszliśmy i rzeczywiście, wisielec. Zawieszony nisko, kołysał się lekko na wietrze, śmierdział i... no, dyndał. W zasadzie tyle.

Oczywiście puściliśmy przodem lekarza, by stwierdził, czy na pewno facet nie żyje, choć umówmy się, kwestia nie budziła wątpliwości. Lekarz raz-dwa wykonał całą swoją pracę, to jest wypisał kartę zgonu, jako przyczynę podając niewydolność oddechowo-kръżeniową.

– No to ja już, panowie, miłej pracy – powiedział i ruszył w drogę powrotną.

Podszedłem do ciała. Jak wspomniałem, mężczyzna wisiał nisko, tak nisko, że musiał zginać kolana, by się nie podpierać o ziemię. Widać bardzo musiał chcieć się zabić, bo w każdej chwili mógł się uratować. Szyję oplatał mu wpijający się w ciało cienki jasny sznurek.

Przyznaję, w tym momencie niczego jeszcze nie skojarzyłem, ale gdy technik odciął wisielca i zabrał się za oględziny, okazało się, że denat miał przy sobie dokumenty, dzięki którym mogliśmy go zidentyfikować. I tak, to był nasz zaginiony, którego szukaliśmy. W dodatku, co dotarło do mnie w jednej chwili niczym uderzenie w twarz otwartą ręką, znaleziony w okolicznościach, które opisał mi bioenergoterapeuta Jerzy!

Oczywiście w tamtej chwili nie powiedziałem o tym nikomu, zastanawiając się raczej, czy to nie była jakaś próba manipulacji i czy nie wpisać Jerzego na listę podejrzanych. W toku śledztwa wykluczaliśmy jednak możliwość udziału osób trzecich, a mnie pozostawało przyjąć, że choć nadal podstawą wszystkich moich działań będzie racjonalizm i metody empiryczne, to zdarzają się czasem rzeczy, które po prostu trudno wyjaśnić. Nie należy

się na nich opierać ani tym bardziej budować policyjnej pracy, ale czasem może nie warto ich od razu odrzucać? Bo bywa, że trudno odróżnić to, co niemożliwe, od tego, co nieprawdopodobne. Chociaż z drugiej strony - promienie słońca skanujące zdjęcie? Ech...

Domykając jeszcze temat: zwłoki żony wisielca znalazły się dwa dni później. Tak jak to przewidział Jerzy, leżały w wybetonowanym kanale burzowym przy drodze. Jedyne, co się nie zgadzało, to owa dyskoteka, bo w pobliżu nie było żadnych budynków czy obiektów.

Ale cóż, widać słońce też się czasem gubi w szczegółach.

Praca gliniarza to jeden z tych zawodów, gdzie na pytanie: „To co będziesz dzisiaj robił?“, możesz jedynie wzruszyć ramionami. Bo nawet jeśli zaplanujesz sobie ślęczenie nad kwitami czy inne czynności, zawsze może się zjawić nowy angażujący pokrzywdzony, uchol z ciekawą informacją lub zdarzyć zaskakujący przełom w starszej sprawie. Doliczając do tego braki kadrowe i sprzętowe – jedno i drugie wymagające czasem od nas solidnej roboczogodzinowej ekwilibrystyki – jedyne, czego mogłeś być pewny, idąc do pracy, to przechwałek Grubego, tego, że Szyjka znowu się na czymś obłowi, a od słów Hrabiego powieje Wschodem. A, no i smrodu z psiarni i z dołka.

Wychodząc na służbę, właściwie nigdy nie wiedziałeś nawet, kiedy wrócisz i, jakkolwiek dramatycznie by to brzmiało, czy wrócisz. I nie chodzi od razu o to, że ktoś mógł na służbie oberwać. To ryzyko wkalkulowane w zawód, ale nie w tym rzecz. Problemem było raczej to, że mocno angażujące sprawy siadają na psychikę, nie da się nagle zredukować myślenia na pełnych obrotach, bo skończyła się dniówka i kobieta chce jechać do parku, a dzieci potrzebują pomocy w odrabianiu lekcji. Ciągłe myślami jesteś w robocie, ciągle pod telefonem, a czasem zwyczajnie dajesz znać, że nie wrócisz przez najbliższe dwa czy trzy dni, bo dłubiesz przy zabójstwie. Rzadko kiedy opowieści o psiej robocie w filmach są prawdą, ale akurat stwierdzenie, że kluczowe są zwykle pierwsze dwie doby, to fakt. Im dalej od tej granicy, tym robota żmudniejsza, dłuższa i coraz bardziej beznadziejna.

Do tego dochodzi jeszcze to, jacy jesteśmy lub bywamy.

Wiele milicyjnych czy policyjnych małżeństw poszło w rozsypkę, bo właściwie okazywały się próbą nerwów i nieustannymi sprawdzianami wzajemnego zaufania. Czy na pewno jest na służbie? A może odreagowuje sprawę, więc zabarłóżyl gdzieś, chleje i wali kurwy? Nie ukrywajmy, obie opcje były prawdopodobne, a nasze partnerki zwykle nie były głupie i wiedziały, jak toczy się ta gra. Część z nich po prostu w pewnym momencie dochodziła do wniosku, że nagroda nie jest warta trudu i głupio być całe życie tą drugą, po pracy.

Miało być jednak o niespodziankach służby. Ten dzień był właśnie taki jak większość w mojej dotychczasowej służbie. Nieprzewidywalny.

Zaczęło się od tego, że zamiast przeprowadzić typową odprawę Hrabia poinformował nas, że mamy zabójstwo w hotelu pracowniczym jednego z dużych miejskich zakładów przemysłowych. A że większość rzeczonych zakładów znajdowała się na naszym terenie, zostaliśmy wszyscy, jak tam siedzimy, wysłani na miejsce zdarzenia.

Ja byłem tam trochę na doczepkę, większość stanowili chłopaki z jedyńki, czyli od zabójstw. Dla mnie, choć widywałem już trupy, miała to być pierwsza taka sprawa. Szczęśliwie poprzedni wieczór nie zakończył się imprezą, spałem normalnie i byłem rześki i wypoczęty. No, przynajmniej jak na psie standardy.

Budynek, pod który podjechaliśmy, był kilkupiętrowym, jednolitym kłocem, burym i nieciekawym jak perspektywy zamieszkujących go ludzi. Samo życie w nim jednak toczyło się dość barwnie, bo należy pamiętać, że takie miejsca zamieszkiwała zbieranina osób skierowanych tu przez socjalnego z zakładu, a łączyła je jedynie praca w tym samym miejscu.

Mieszkańcy hotelu, w większości młode małżeństwa,

gnieźdzące się razem w maleńkich pokoikach, podczas największej próby swoich związków, przybyli za pracą z różnych rejonów i regionów, mieli więc zupełnie inne podejście do szeregu spraw. A tu nagle trafili do nowo powstałej społeczności, czegoś na kształt współczesnego plemienia, tyle że niekoniecznie z usystematyzowaną hierarchią, i każdy czuł się jak skrawek innego materiału użyty przez przedsiębiorczą babcię do nowej, szytej właśnie narzuty.

Lokatorzy dzielili ze sobą nie tylko pracę i wiążące się z nią sytuacje, ale też łazienki i kuchnie. W tych pierwszych trzeba się było zawsze starannie zamykać, w tych drugich pilnować, by nie zostawiać niczego na gazie czy blatach zupełnie bez opieki, bo komunistyczne poczucie wspólnoty dóbr było w ludziach znacznie silniejsze niż wyniesione z książeczki do nabożeństwa „nie kradnij”.

A skoro już o przykazaniach mowa, szóste też traktowano dość swobodnie. Ściany między pokojami były w hotelach na tyle cienkie, że i życie intymne poszczególnych młodych par często stawało się kwestią wspólną. Do tego stopnia, że dzisiejsi swingersi wiele by się mogli od lokatorów hotelów pracowniczych nauczyć.

W takim właśnie miejscu, hałaśliwym, szarym z zewnątrz, ale wielobarwnym w środku, przyszło nam prowadzić sprawę zabójstwa.

Ofiarą była młoda kobieta, jej ciało znaleziono we wspólnej łazience. Wtedy, na wejściu, gdy dojechaliśmy, dowiedzieliśmy się, że jako milicja jesteśmy drudzy, po mundurowych; dochodzeniowo-operacyjna z technikiem była dopiero w drodze. Ale przybył już lekarz. Stwierdził zgon na karcie, przyczyną była – niespodzianka – niewydolność krążeniowo-oddechowa. Ja naprawdę czasem się dziwię, że oni nie mają tego już wklepanego na stałe

w druk.

Pamiętam, jak szedłem w stronę łazienki, korytarz szeroki, po obu stronach drzwi, część uchylona lub nawet po prostu otwarta, w progach lokatorzy i lokatorki uważnie się nam przyglądający, rozmawiający między sobą przyciszonymi głosami. Tu i tam bawią się dzieci, stoi trójkołowy rowerek, leżą jakieś lalki na kocu, jakieś pudła. W powietrzu zapachy z kuchni mieszały się z wonią moczu i odkażaczy z toalet. Kilka osób paliło przy otwartym oknie.

Zatrzymaliśmy się przy wejściu do łazienki, przed mundurowymi, czuwającymi, by nikt nie wchodził do środka. My też nie zamierzaliśmy, aby nie pozacierać śladów i nie porobić nowych. Zamiast tego ustaliliśmy, że rozejrzemy się po hotelu i spróbujemy poczynić jakieś ustalenia.

Nie było to trudne, bo jak powiedziałem, do części pokoi nie trzeba było nawet pukać, po prostu podchodziliśmy i wpraszaliśmy się do środka, by porozmawiać. Tam, gdzie było zamknięte, okazywało się, że i tak nikogo nie ma, bo lokatorzy tkwili w pracy na drugą zmianę.

Dość szybko udało się nam ustalić, że w jednym pokoju na końcu korytarza odbywała się w nocy głośna i tłumna impreza. Tu oczywiście należało wziąć poprawkę, że słowo „tłumna” określało stosunek liczby osób do metrażu małego pokoiku. Kilkanaście osób. Uczestnicy przyjęcia zachowywali się głośno i nie reagowali na upomnienia, byli też wśród nich ludzie spoza, niebędący lokatorami hotelu.

Ustaliliśmy właśnie numer pokoju, gdy na piętrze pojawiło się czterech z wojewódzkiej, z kryminalnego. Ucieszyłem się, bo była to dla mnie okazja do podpatrzenia prawdziwej policyjnej roboty, o której tyle już słyszałem, a to, uważam, zawsze w cenie. Od kogo ma się człowiek uczyć, jak nie od fachowców? Tu jednak się nie wykazali. Podpytali nas

o wstępne ustalenia, potem zaczęli się bez ładu i składu kręcić po korytarzu, czekając, aż przybyły właśnie technik skończy mazać wszystko proszkiem i robić zdjęcia i powie, że można wejść do łazienki.

Niedługo potem przybył medyk sądowy. Ten konkretny miał opinię fachowca najwyższej klasy, co nas ucieszyło, bo mogliśmy być przynajmniej pewni, że nic mu nie umknie i jeśli da się coś z oględzin wywnioskować, on to zrobi. Potem zjawiała się też biołożka z kryminalistyki i na sam koniec prokurator, który przejął dowodzenie.

Przydział prokuratora zazwyczaj jest loterią i wszystko zależy od tego, kto się trafi. Zwykle nie chcieli im się w ogóle przyjeżdżać, wymagali, aby przywozić im kwity, i podpisywali, w razie potrzeby, skierowania na sekcje sądowo-lekarskie. Gdy już się zjawiali, często kazali sobie oddawać do dyspozycji radiowóz z kierowcą, który ich przywiezie, odwiezie, a potem snuli się jak smród po gaciach, dawali do zrozumienia, jak bardzo mają nas, psy, w pogardzie i jak to cały czas trzeba nas trzymać na krótkiej smyczy i pilnować, byśmy nie narobili na dywan. Przez całą swoją służbę tylko raz miałem do czynienia z prokuratorem, który z szacunkiem i wolą współpracy uczestniczył we wszystkich czynnościach, łącznie z nocnymi poszukiwaniami. Najczęściej traktowani byliśmy jak zło konieczne i mniej lub bardziej pożyteczni idioci, w dodatku nierzadko potwornie leniwi. Nie powiem, że był to osąd całkowicie niesłuszny, ale jednak jako stereotyp często krzywdzący.

Ten, który zjawił się przy owej sprawie, pozwolił nam zająć się swoją robotą i jak powiedział, ufał, że wiemy, jak wykonywać swoją pracę.

Wiedzieliśmy, a przynajmniej większość z nas wiedziała, bo ja wciąż byłem świadom swojego statusu uczniaka i po

prostu wykonywałem polecenia. Gdy technik ze specjalistami w końcu zrobili swoje i mogliśmy wejść do łazienki, pospieszyłem wraz z innymi, by zobaczyć, jak wygląda ofiara i co się właściwie mogło stać. Oczywiście, że miałem w głowie tę ulotną myśl, że oto właśnie ja, niczym porucznik Borewicz, po prostu wejdę i zauważę coś, co doprowadzi nas raz-dwa do rozwiązania sprawy, ale już zgromadzone doświadczenie, potwierdzone praktyką i opowieściami kolegów, zepchnęło tę myśl daleko w kąt. Prawdziwa praca psa jest żmudna i zwykle wymaga działania zespołu. No ale i tak chciałem popatrzeć.

Łazienka była brudna, jakby nikt od dawna o nią nie dbał. Zasyfione ściany, zacieki na umywalce i nadkruszonym na rogach lustrze, tu i tam wulgarne napisy zrobione długopisem lub wydłubane w olejnej lamperii. A przy tym wszystkim tak intensywny, że niemal namacalny, smród charakterystyczny dla publicznych toalet - szczyry pospiesznie zalane kręcącą w nosie i wywołującą łyzy chemią.

Za wąskim gardłem przedsionka z umywalką znajdowało się długie pomieszczenie z pięcioma kabinami rozdzielonymi jedna od drugiej paździerzowymi płytami. Z drugiej, do której drzwi stały otwarte na oścież, wylewała się kałuża krwi. Uważając, by w nią nie wdepnąć, podszedłem bliżej i zajrzałem do wnętrza.

Jak się okazało, ciało wciśnięto pomiędzy ściankę kabiny a muszlę sedesową. Kobieta znajdowała się w pozycji półsiedzącej, nogi miała nienaturalnie wysoko uniesione do góry, jakby w parodii pozy charakterystycznej dla pacjentek gabinetu ginekologicznego. Przez głowę przemknęła mi absurdalna myśl, że ktoś usiłował włożyć denatce nogi aż za głowę. Od pasa w górę kobieta była ubrana normalnie, miała też spódnicę, teraz podciągniętą

tak, że zwracał uwagę brak bielizny.

Spróbowałem sobie to wszystko ułożyć w głowie, jednocześnie słuchając jednym uchem, o czym rozmawiają medyk sądowy z protokołującym dochodzeniowcem. Ofiara miała między trzydzieści a trzydzieści pięć lat, na pierwszy rzut oka brak było widocznych obrażeń na głowie czy innych częściach ciała mogących spowodować ten stopień wykrwawienia.

Powiodłem jeszcze wzrokiem wzdłuż kałuży i krwawych śladów ciągnących się od kabiny aż do wyjścia, a potem wycofałem się, by porozmawiać ze śledczymi na korytarzu, którzy w luźnych pogadankach snuli domysły, co właściwie mogło się wydarzyć. Nikt nie wysunął jednak konkretnej hipotezy, a jedynym pomysłem na czynności, jaki wszyscy mieliśmy, było kontynuowanie wywiadu środowiskowego. Nie oglądając się więc na innych, poszedłem robić swoje.

Jedną z osób, które odwiedziłem, była młoda mama z maleńkim dzieckiem. Z początku zareagowała na mnie bardzo nieufnie, ale udało mi się luźną rozmową jakoś ją do siebie przekonać, bo wpuściła mnie do środka, uznając, że w sumie to może i nawet wie o czymś, co mogłoby pomóc.

Dość szybko przekonałem się, że Jola, bo tak się przedstawiła, to istna skarbnica standardowo zbędnej, ale teraz jakże pożytecznej wiedzy o hotelu i jego mieszkańcach. Krzątając się po niewielkiej przestrzeni pokoiku, to coś sprząając, to zajmując się dzieckiem, mówiła o różnych rzeczach, co i raz robiła dygresje, powtarzając plotki, i z każdą chwilą czuła się coraz swobodniej, by w pewnej chwili niemal otwarcie zacząć mnie kokietować.

Tak się składało, że mieszkanie Joli znajdowało się zarówno w pobliżu łazienki, w której znaleziono ofiarę, jak i niedaleko pokoju, w którym toczyła się huczna impreza.

Co więcej, wyszło nawet, że Jola zawitała na chwilę na tym party, bo zna gospodarza, który ją zaprosił. I faktycznie było tam kilkanaście osób, z czego dwie albo trzy z zewnątrz.

Jedna z nich, chyba Mariola, była znajomą gospodarza i kiedy Jola przyszła do imprezowego pokoju, kobieta już znajdowała się w stanie wskazującym. Śmiała się, dowcipkowała i ogólnie czuła się bardzo swobodnie, trochę jak królowa tego małego balu.

Obok niej, co skrzątnie odnotowała w swej pamięci moja interlokutorka, siedział i ślinił się na Mariolę pewien chłopak z piętra, który na co dzień mieszkał z żoną i małym dzieckiem w pokoju na końcu korytarza. Zanotowałem jego dane, a potem jeszcze nazwiska kilku osób, które według Joli były na przyjęciu. Podziękowałem i zacząłem się zbierać do wyjścia, czując psim nosem, że coś chyba w tym notesie mam.

- W razie jakichś dodatkowych pytań... - zacząłem, a ona uśmiechnęła się zalotnie, kusząco opierając się o framugę.

- Zapraszam ze wszystkimi pytaniami - powiedziała, po czym po krótkiej pauzie dodała: - Bez pytań też.

No wreszcie, cholera. Wreszcie poczułem się przez moment jak ten przeklęty Borewicz.

Z listą nazwisk i numerów pokoi ruszyłem na kolejną rundkę rozmów, ale niestety większości osób, z którymi chciałem porozmawiać, akurat nie było.

W międzyczasie, czego dowiedziałem się od wciąż stojących przy łazience gliniarzy, medyk sądowy ustalił, skąd wzięło się tyle krwi. Podczas badania odkrył, że w narządach rodnych kobiety znajdował się sporych rozmiarów pęk kluczy. Wepchnięty dość głęboko, przy użyciu naprawdę sporej siły fizycznej, spowodował poważne uszkodzenia wewnętrzne, a że podczas tego aktu

kobieta jeszcze żyła, nastąpiło bardzo intensywne krwawienie. Medyk przekazał jeszcze, że kobietę również duszono, ale co było przyczyną zgonu – uduszenie czy wykrwawienie – będzie można stwierdzić dopiero podczas sekcji.

To stanowiło wyraźny krok do przodu. Zarówno użyta siła, jak i kontekst seksualny sugerowały, że sprawcą był mężczyzna, w dodatku mógł mieć poważne zwichrowania psychiczne, czyli być może jakąś medyczną przeszłość w tym zakresie, co należało sprawdzić.

Póki co dla mnie ważniejsze było jednak dokończenie swojej listy i porozmawianie z ostatnimi osobami, których jeszcze nie odwiedziłem. Ostatecznie zastałem tylko jednego mężczyznę, który w większości potwierdził to, co powiedziała mi Jola, prostując jednak, że nagabywana dziewczyna – jak się w międzyczasie okazało, nasza ofiara – miała na imię nie Mariola, tylko Marta. I rzeczywiście Mariusz, czyli typ od żony i dziecka, ślinił się na jej widok jak pies ze wściekliczną, a nawet kilkakrotnie wychodził za kobietą, gdy ta szła do toalety. Na pewno jednak za każdym razem wracali, a gdy mój rozmówca opuszczał przyjęcie przed jego zakończeniem, oboje wciąż na nim byli i pili.

Oczywiście mocno śmierdział mi ten Mariusz, ale na razie moje dotychczasowe ustalenia nie stanowiły żadnego konkretnego i na pewno nie mogło być mowy o zatrzymaniu czy choćby rozmowie z nim w innym charakterze niż reszta odbytych konwersacji. Mimo to poszedłem do niego zaraz, odkładając na później ostatnie dwa nazwiska z listy. Stałem pod drzwiami, zawczasu wyjąłem legitymację milicyjną. Zapukałem.

Otworzyła mi młoda, na oko dwudziestopięcioletnia kobieta w zaawansowanej ciąży. Ubrana po domowemu, z dzieckiem opartym na biodrze i z miną, jakby była zbyt

zmęczona na to całe zamieszanie wokół, nie wyglądała szczególnie atrakcyjnie. Była jednak uprzejma, bez dodatkowych pytań zaprosiła mnie do środka i przesunęła się tak, bym zmieścił się w wąskim przedpokoju.

Nie musiałem pytać, czy zastałem jej męża, bo od razu zobaczyłem go siedzącego na wersalce. Młody, dobrze zbudowany, gdy wstał, okazało się, że całkiem wysoki. Blond włosy nadawały jego okrągłej twarzy młodzieńczy wygląd.

- Dzień dobry - powiedziałem i przedstawiłem się. - Przeszedłem porozmawiać o wydarzeniach z ostatniej nocy.

Kątem oka zerknąłem na jego umęczoną żonę, ale ta sprawiała wrażenie zbyt wyczerpanej, by mogło ją to w ogóle obchodzić. Po jego twarzy z kolei przemknęło zakłopotanie. A może nawet niepokój? Cokolwiek to jednak było, mową ciała starał się to za wszelką cenę zamaskować. Uśmiechnął się nawet przyjaźnie i poprosił, bym usiadł.

- Był pan ostatniej nocy na tej imprezie? - zapytałem, podając jednocześnie numer pokoju, gdzie odbyło się przyjęcie, i dobierając do całości taki ton, by nie było wątpliwości, że bardziej oznajmiam i potrzebuję tylko jego potwierdzenia.

- Tak, byłem. Damian, gospodarz znaczy, to kolega, zaprosił mnie. Było parę osób z hotelu, trochę spoza.

Zapisałem tę informację, ukradkowo zerkając na klienta znad notesu. Był wyluzowany. Całym ciałem nad tym pracował.

- O której pan wrócił do siebie? - zapytałem.

- Koło dwudziestej trzeciej, może bliżej północy, nie pamiętam dokładnie, ale jakoś tak.

Zacząłem pisać, gdy usłyszałem gniewne prychnięcie. Uniosłem głowę.

- Coś nie tak? - zapytałem pani na włościach.

- No co ty wymyślasz, jak nad ranem wróciłeś. - Kobieta zamiast do mnie, zwróciła się bezpośrednio do męża, a ja dostrzegłem, że po jego twarzy raz jeszcze przebiegł ten sam grymas co wcześniej, który szybko zamaskował uśmiechem.

- Spałeś już, to ci się tak mogło wydawać - powiedział. - Wróciłem najpóźniej koło północy i...

- Po czwartej było, prawie piąta - sprzeczała się z nim, ale wszystkie jej słowa były jakby kierowane do mnie. Co i rusz upewniała się, że notuję, i w jej oczach nie było już śladu po zmęczeniu. - Przyszedłeś i zaraz zabrałeś się za pranie.

- Pranie? - zdziwiłem się.

Spojrzałem na Mariusza, lekko przekrzywiając głowę. Wciąż próbował robić dobrą minę do złej gry, ale bił już od niego wyraźny niepokój. Strach, którego woń psy uczą się wyczuwać w pierwszej kolejności.

- Mogę wiedzieć, gdzie teraz to pranie jest?

- Schnie - odparła gospodyni. Posadziła dziecko na wersalce obok męża i przecisnęła się bokiem w stronę przeszklonych drzwi wiodących na niewielki balkon. - Wszystko wyprane, łącznie z kapciami. Chce pan zobaczyć?

Chciałem. Wyszedłem na balkon i rzeczywiście, pranie było jeszcze mokre, a z filcowych kapci ciekła woda. Przyjrzałem się jej i dostrzegłem, że ma lekko różowe zabarwienie.

Wróciłem do mieszkania, utrzymując pozę, jakby nic się nie stało, ale jednocześnie czujny i spięty, na wypadek gdyby Mariusz postanowił się na mnie rzucić. On jednak siedział spokojnie, głowa w ramionach, skulony taki, i czekał jak na ścięcie.

Wychyliłem się na korytarz i wezwałem ekipę techniczną, a gdy ta, na czele z panią biolożką, pojawiła się w mieszkaniu, wróciłem do rozmowy z gospodarzami.

To znaczy właściwie z gospodynią, bo mężczyzna siedział i łypał tylko nerwowo to na techników na balkonie, to na mnie, to na swoje ręce. Mnie w to graj, bo nie zamierzałem z nim rozmawiać. Jeszcze nie.

Rozmowa z kobietą toczyła się natomiast wyjątkowo zaskakująco. Nie wiem, może to widok techników, może coś we mnie, a może wreszcie uświadomienie sobie, że może to w końcu z siebie wyrzucić, ale gdy już zaczęła mówić, nawijała jak katarynka, zupełnie nie bacząc na to, że jej mąż siedzi obok i wszystko słyszy.

- On, widzi pan, czasem jest taki strasznie dziwny. Jak miałam rodzić pierwsze dziecko, to powiedział...

- Och, daj spokój, to bzdura - zaprotestował Mariusz, ale bez energii i jakoś tak od niechcienia.

Ja z kolei zachęcałem, aby kontynuowała.

- Nie, proszę, niech pani mówi.

- No, chciał sam odbierać poród. Tak mi powiedział. Że bardzo go ciekawi, jak to jest, gdy dziecko przychodzi na świat i jak się przeciska przez... no wie pan.

Skinąłem głową.

- W ogóle czytał o tym i chciał mi tam zaglądać, sprawdzać. Jak lekarz, rozumie pan.

- Weź przestań! - tym razem Mariusz zaprotestował ostrzej, ale to już nie miało szczególnego znaczenia, bo worek się rozwiązał. Czy też, by określić to dosadniej, szambo się wylało.

Po kolejnych minutach wiedziałem już, że mam sprawcę i właściwie mogę go zabierać. Poinformowałem Mariusza, że jedzie ze mną, żeby porozmawiać na posterunku, a on spokojnie na to przystał.

Gdy go wyprowadziłem, zauważył mnie Zbyszek, który dowodził naszą małą grupką. Zapytał, co mam, odpowiedziałem mu, a on, że dobrze, że świetnie, ale teraz

czeka nas ciężka praca i inne takie. Wszystko, co mówił, dla mnie znaczyło tylko tyle, że już nie jest to mój sukces, już dzielę go ze Zbychem. Ale nie miałem żalu, bo przecież ekipa jedna, to i sukces de facto wspólny. Co, z kolegą się nie podzielę?

Nie uszliśmy nawet kilku metrów, a dokleili się do nas ci z wojewódzkiej, wyjadacze, co to większość czynności przestali pod łazienką. Benek, Karol i Wiesiek, bo akurat było ich trzech, powiedzieli, że gratulują i świetna robota, a gdy się dowiedzieliśmy, że musimy zadzwonić po wóz do fabryki, ochoczo zaofiarowali swój, który stał na dole. Wezmą gościa tylko na chwilę do siebie, żeby wypełnić stosowne kwity, ale będziemy na łączach. Po czym, nie bacząc na nic, zakuli i zawinęli Mariusza, i tyle ich widzieliśmy.

Zdurniałem. To znaczy ja, jako gówniarz, w zasadzie gówno mogłem, bo za skargę dostałbym zębę i wiadomość, że takie było polecenie naczelnika wojewódzkiej. Ale że, kurwa mać, Zbyszek?! Był oficerem, psia jego mać. Mógł się postawić i po prostu polecić im, by zawieźli typa do nas. Albo faktycznie zadzwonić po auto do fabryki. A tak skurwiele zwyczajnie nas okradli z naszej... gdzie naszej, z mojej sprawy!

W końcu Zbyszek uznał, że chuj, trudno, mleko się rozlało, dzwoniemy do Hrabiego, niech on teraz odkręca i odzyska nam typa. I trzeba powiedzieć, że Hrabia, wysłuchawszy nas, ostro zabrał się do działania, kazał nam sporządzić stosowne notatki i zaraz zadzwonił do wojewódzkiego. Rozmowa była jednak krótka i nie zakończyła się dla nas satysfakcjonująco.

- Nic się nie da zrobić - powiedział, odkładając słuchawkę. - Typ się przyznał, ledwie go dowieźli, więc rozwiązanie sprawy jest ich.

Tak oto zostałem ograbiony ze swojej pierwszej sprawy.
Dupki z wojewódzkiej nie dopisali mnie nawet do listy
premiowej.

Jak nauczyłem się przez lata, moja sytuacja z wojewódzkimi była w zasadzie normalną praktyką. Numer, jaki mi wycięli, stosowano tak powszechnie i był tak skuteczny, że właściwie nikt nie podejmował się interwencji. Szkoda się było narażać, bo jeszcze ktoś sobie człowieka, zwykle młodego, ambitnego milicjanta, zapamięta jako pyskacza i mu przyblokuje karierę. Zamiast tego większość uznawała, że to frycowe, i parła do przodu, licząc na szczęście albo że sami wespną się po szczebelkach kariery na tyle wysoko, by móc zawijać sukcesy młodszym.

Jeśli miałbym wskazać rzeczy, z których jestem naprawdę dumny zawodowo, na liście na pewno znalazłoby się to, że nigdy żadnemu koledze nie podkradłem sukcesu i zawsze, wedle swojej najlepszej wiedzy, wskazywałem odpowiedzialnych za rozwiązanie sprawy. Choć w sumie, gdyby się zastanowić, to, że zwyczajnie nie byłem fiutem dla kolegów, powinno być normą, a nie powodem do dumy, prawda?

Nie chciałem sprawiać mylnego wrażenia. W komendzie wojewódzkiej pracowało mnóstwo świetnych gliniarzy, angażujących się w powierzone im sprawy. Ci jednak, a było ich naprawdę wielu, którzy przez większość służby krążyli niczym sępy, przechwytywali robotę młodych i przypisywali sobie zasługi, skutecznie psuli opinię tym dobrym.

Najbardziej łakomym kąskiem były oczywiście świeże sprawy pierwszej kategorii, przy których wszyscy doginali do oporu. Do nich fachowcy z wojewódzkiej przyjeżdżali

jako nadzór i wsparcie. Zgodnie z założeniami powinni tyrać wraz z resztą, ale wielokrotnie byłem świadkiem, gdy pojawiali się ze sporym opóźnieniem, bez choćby szczątkowej wiedzy o sprawie, a potem albo krzatali się gdzieś w pobliżu bez celu, albo bez ceregieli szli pić. Pamiętam takiego jednego kapitana z wojewódzkiej, który ulokował się w pobliskim barze, gdzie chlał i tylko co jakiś czas ściągał do siebie kogoś z nas, by zapytać, jak nam idzie, czy są postępy i czy mamy już jakieś podejrzenia, poszlaki, wyjścia na sprawców. Gdy okazało się, że tak, wstał, zatoczył się i pijackim krokiem włączył do sprawy, by zaraz ją przejąć.

Oczywiście z chwilą, gdy jedna czy druga sprawa traciły świeżość - to jest, gdy mijały kluczowe pierwsze dwie doby - wojewódzcy nagle tracili zainteresowanie. Wiadomo, wtedy szanse na sukces drastycznie malały, a jednostkę podstawową czekała żmudna wielomiesięczna praca, często kończąca się umorzeniem ze względu na niemożność wykrycia sprawcy. Zwykle siedział nad tym już nie zespół, a jeden gliniarz, i dłubał sobie pod większym lub mniejszym naciskiem. Nie znaczyło to jednak, że taki ktoś mógł stracić czujność, bo jeśli udawało mu się dokonać przełomu i do czegoś dojść, wojewódzcy potrafili wrócić i przez chwilę sprawiać wrażenie udziału w robocie. Pomagali przy kwitach, przesłuchaniach i zbieraniu nowych dowodów, po czym wracali do siebie, zostawiając już tym z dołu zajmujące czas i nudne jeżdżenie po prokuratorach czy arestach śledczych. A gdy już kolejny etap sprawy się domykał, z wojewódzkiej przychodził kwit z poleceniem przekazania całości sprawy komendzie wojewódzkiej, która jako jedyna dysponowała środkami i możliwościami do jej kontynuowania. Jeśli prowadzący sprawę gliniarz z niższej jednostki miał szczęście i trochę siły przebiccia -

a w wojewódzkiej było akurat miejsce – mógł pójść w górę za sprawą i wtedy od niego już zależało, jak sobie poradzi i czy uda mu się tam zostać. Zwykle jednak kończyło się tym, że robotę mu zwyczajnie zawijano i zostawał z palcem w dupie i awanturą na chacie.

Wspominałem już o tym wcześniej, ale to warto podkreślić. Rodziny nigdy nie miały z nami łatwo. Do zwykłej roboczej nerwówki, często po godzinach, w wyjątkowym napięciu, z historiami siadającymi na psychikę, dochodziły jeszcze frustracja po podkradaniu spraw i oślepiająca wręcz wściekłość, gdy padało pytanie: „A właściwie czemu się nie postawiłeś? A nie mogłeś tego gdzieś zgłosić?”. Co mądrzejsze partnerki szybko oduczały się takich pytań, wiedząc, że to stuprocentowa droga do awantury albo cichych dni.

Trudno powiedzieć, ale myślę, że wielu gliniarzy mogłoby liczyć w domu na większą wyrozumiałość, gdyby ich bliscy wiedzieli, że cięższa praca teraz, to możliwość premii i awansu, a więc zmiany sytuacji być może nawet w bliskiej przyszłości. Tego jednak nikt zagwarantować nie mógł.

Oczywiście brak przełożenia pracy na płacę miał też drugi aspekt. Połowice musiały wierzyć na słowo, że wracający do domu po trzech dniach, śmierdzący jeszcze trawionym alkoholem chłop większość czasu spędził jednak w robocie, na rozwiązywaniu sprawy, i tylko ostatniego wieczoru musiał sobie odreagować.

Te, które nie wierzyły, bywało, że wykazywały się sprytem i przy różnych towarzyskich okazjach podchwytliwie podpytywały czy to kolegów, czy inne żony i partnerki o drobne szczegóły, rzucając się na każdą niezgodność jak charty na zająca. Gdy udało im się zebrać dość poszlak, czasem decydowały się na wizytę wprost u Hrabiego, by podpytać o temat, ale tu akurat nieodmiennie trafiały kulą

w płot, bo nasz dowódca wiedział, wobec kogo ma być lojalny, i tak długo operował ogólnikami i frazą: „Niestety nie mogę tego ujawnić, tajemnica śledztwa”, aż w końcu uspokojone kobiety wracały do domu. Dopiero wtedy Hrabia wzywał do siebie delikwenta, domagając się wyjaśnień, dlaczego zmuszony był w tak ordynarny sposób łąać biednej kobiecie i gdzie też, do kurwy nędzy, się rzeczony delikwent faktycznie podziewał. Potem następowało kajanie się milicjanta, połączone z podziękowaniami za uratowanie dupy i solenną obietnicą, że już więcej na kurwy nie pójdzie.

Wspomniałem już, że prawdą jest podkreślana we wszelkiej maści filmach czy książkach policyjnych istotność dla rozwiązania sprawy pierwszych czterdziestu ośmiu godzin. Innym filmowym elementem bliskim rzeczywistości jest współpraca między kolegami i wzajemne zaufanie.

Gdy idziesz w miasto na realizację, potrzebna jest stanowczość i szybkie, pewne działanie. Nie można się zastanawiać, czy po przekroczeniu progu nie zostaniesz sam, bo ten, z kim przyszedłeś, nie wytrzyma presji. Nie możesz się wahać, nieważne, czy to ty jesteś tym pierwszym i idziesz w niepewne, czy jako drugi widzisz, że musisz zainterweniować, bo coś idzie nie tak. Zaufanie w takich sytuacjach musi być bezgraniczne.

Równie ważne jest porozumienie, znajomość swojej mimiki, gestów, zagrywek. Ileż to przesłuchań, rozmów ze świadkami poszło dobrze dzięki temu, że z którymś z kolegów wymieniliśmy we właściwym momencie kilka porozumiewawczych spojrzeń i dostosowaliśmy taktykę do sytuacji i osoby. Tego nie da się po prostu wyćwiczyć jak strzelania na strzelnicy. Za tym musi stać solidnie zbudowana relacja, może nawet przyjaźń.

W owym czasie nie miałem przydzielonego partnera, ale wyjątkowo często współpracowałem z Krzyśkiem „Barbim”. Ta relacja, z początku oparta na zawodowym porozumieniu, stopniowo przerodziła się w przyjaźń. Częściej niż z innymi spotykałem się z Krzyśkiem prywatnie, także całymi rodzinami, znaleźmy nawzajem swoje historie, czasem zwierzałyśmy się sobie z problemów, innym razem po prostu piliśmy. Barbi miał w sobie psią zawziętość, a do

tego, co bardzo sobie cenilem, sprawiał, że zacierała się między nami różnica wynikająca z doświadczenia i dystansu w korpusach. On był wszak porucznikiem, ja wciąż szeregowym. A jednak pracując z nim, tak długo, jak przykładałem się do roboty, ta kwestia zdawała się niewyczuwalna, nieistniejąca. Traktowaliśmy się wzajemnie na równi.

Tak było chociażby w przypadku sprawy pewnego wojskowego, pułkownika, któremu ktoś pod jego nieobecność ogołocił chatę. I to nie tak, że jakiś rabuś wszedł na klasyczny włam i zabrał parę co cenniejszych drobiazgów. Tu akcja poszła na totalnie beczelnego! Podczas pobytu pułkownika w sanatorium pod jego dom zajechała w biały dzień ciężarówka przeprowadzkowa i w jedno popołudnie wyniesiono z domu wszyściuteńko, zostawiając puste ściany i podłogę z prostokątami kurzu spod szaf i regałów. I to wszystko na oczach czujnych rzekomo sąsiadów!

Hrabia nadał sprawie priorytet z dwóch powodów. Po pierwsze, pułkownik był dość ważny i wpływowy. Po drugie, odwalanie takiego numeru w biały dzień to jak nasranie nam na wycieraczkę. Po mieście już się wieść poniosła i pozostawienie sprawy niedomkniętej przylgnęłoby do nas na lata jako dowód naszej nieudolności.

Łatwiej jednak powiedzieć niż zrobić. Gdy wyszło, że sąsiedzi właściwie nikogo nie widzieli i niespecjalnie potrafią odpowiedzieć na podstawowe pytania, a uchole rozpuszczeni po mieście raz po raz wracali z niczym, zaczęliśmy się kręcić w kółko jak te bączki puszczane na dywanie. O tym, jak bardzo beznadziejna była to sprawa, niech świadczy fakt, że nawet gdy jeszcze była gorąca, nie pofatygował się do nas nikt z wojewódzkiej. Czyli i tam nie

wróżono nam specjalnie powodzenia.

Ale dłużyć trzeba było i potrzebowaliśmy jakichś wniosków. Postawiliśmy więc na hipotezę: cała akcja mogła się udać, tylko jeśli ktoś dokładnie wiedział, gdzie jest pułkownik, kiedy wraca i że na pewno nie zjawi się przypadkiem w trakcie. Idąc tym tropem: kiedy oficer mógł się nie zorientować, że stracił klucze do domu? Przecież nie wtedy, gdy był na miejscu i codziennie z nich korzystał. A tam, gdzie przebywał podczas włamania, pęk kluczy był mu zupełnie na nic i nawet gdyby zniknął, pułkownik mógłby tego nie zauważyć do końca turnusu!

Tak od słowa do słowa doszliśmy do koncepcji, że za przeprowadzką niespodzianką stoi najprawdopodobniej ktoś z sanatorium. I to raczej nie kuracjusz, a ktoś z personelu. Ktoś, kto w aktach miał pełne dane pułkownika, włącznie z adresem, i postanowił, możliwe, że nie pierwszy raz w taki sposób, skorzystać z okazji.

Stało na tym, że Barbi i ja dostaliśmy przydział do sanatorium. Załatwił to swoimi kontaktami pułkownik, my wzięliśmy delegacje i pojechaliśmy powęszyc na miejscu.

Tu warto wspomnieć, choć chwały mi to nie przynosi, że sprawa mogła się rypnąć już na początku, i to z mojej winy. Otóż mimo że posiadałem bilety na pociąg, w wyniku splotu różnych okoliczności zupełnie zapomniałem o naszym wyjeździe i o tym, że nasza sanatoryjna przygoda ma się rozpocząć następnego dnia o szóstej rano na dworcu. Dzień poprzedzający wyjazd spędziłem więc normalnie, od porannego śniadania i wyjścia do pracy, po danie w palnik z okazji świętowania kolejnego sukcesu przy jednej ze spraw. A że sukces nielichy – nic to, że nie jestem sobie w stanie go teraz przypomnieć – dopiero nad ranem w przebłysku trzeźwości zdałem sobie sprawę, że za godzinę mam pociąg. Tak więc szpula do domu, szybki

zimny prysznic, cap za torbę, taksówka i: jedzie pan, ile fabryka dała, mandaty biorę na siebie.

Na peron wpadłem w ostatniej chwili, pociąg już prawie odjeżdżał. Właściwie to nawet by odjechał, ale Barbi, solidnie już podkurzony, skutecznie sabotował start zgodnie z rozkładem.

- Gdzieś ty, kurwa, był? - zapytał, gdy już wrzucił mnie do pociągu. - Wiesz, jak by było przesrane, gdybyś nie zdążył? I jeszcze ty masz bilety. Gdzieś był?

- Zachlałem - odparłem zgodnie z prawdą i, o dziwo, Krzysiek natychmiast spuścił z tonu. Usiadł naprzeciwko, coś tam zażartował i więcej nie drążył, zapewne zakładając, że to, co nastąpi teraz, czyli powolne trzeźwienie w rozklekotanym, stukającym pociągu będzie dla mnie wystarczającą karą. I było! Do tego stopnia, że gdy wysiadaliśmy, wyglądałem jak ktoś, kto potrzebował nie tyle sanatorium, ile hospicjum. Łeb mnie napięprzał, w pysku sucho, a tu nie ma czasu, trzeba iść się zameldować.

Dostaliśmy osobne pokoje. Bez telewizorów, ale ładne, schludne. Po ogarnięciu się zjedliśmy obiad w stołówce i zrobiliśmy wstępne rozeznanie, przy założeniu, że dziś jeszcze nie pracujemy, zabierzemy się za robotę jutro. O tym, kim naprawdę jesteśmy, wiedziała tylko dyrekcja i na razie pasowało nam, żeby tak zostało. Pospacerowaliśmy więc sobie po uzdrowisku, korzystając z jego uroków, a wieczorem wzięliśmy udział w kolejnym już chyba wieczorku zapoznawczym tego turnusu, na którym byliśmy, z racji świeżości i aury tajemniczości, nieomal gwiazdami. Problem był tylko taki, że wśród kuracjuszek, co stwierdziliśmy z Barbim zgodnie, nie było zupełnie na kim oka zawiesić.

Honoru pięknych, ponętnych Polek broniły za to dumnie

pielęgniarki! A bronić miały przed kim, bo zwłaszcza Krzysiek był psem również na baby. Od razu przypuścił szturm - trzymając się świętej zasady, że w delegacji to przecież nie grzech - i w dodatku zrobił to z werwą, której przy całym moim pragnieniu, by wyjść na równie przebojowego, mogłem mu tylko pozazdrościć.

Wieczór zakończył się na wypiciu w pokoju kilku kielonków wody - byliśmy jednak przygotowani do delegacji - i nawiązaniu perspektywicznych kontaktów z personelem. Ponieważ jednak naprawdę planowaliśmy zabrać się do pracy, nie siedzieliśmy za długo.

Następnego dnia rano zaczęliśmy od przeglądania akt personalnych wszystkich zatrudnionych w sanatorium, ze szczególnym uwzględnieniem każdego, kto mógł mieć dostęp zarówno do pułkownika, jak i jego danych adresowych. Wytypowaliśmy kilka osób, z którymi mieliśmy zamiar porozmawiać w pierwszej kolejności, i po kolei zapraszaliśmy je do naszego zaimprovizowanego gabinetu urzędowego w jednym z nieużywanych pomieszczeń biurowych.

Oczywiście z chwilą, gdy pierwsza zaproszona osoba opuściła pokój przesłuchań, całą konspirację szlag trafił, ale nie przejmowaliśmy się tym specjalnie. Nawet nas cieszył ten status gwiazd, tych, jak to mówiono, „dwóch gliniarzy z Wrocławia na tropie jakiejś grubszej afery”, bo w pracy to nie przeszkadzało, spanikowany sprawca mógł zacząć robić głupie, nerwowe ruchy i tym samym wszystko nam ułatwić, a i pielęgniarki dużo łatwiej było bajerować metodą na twardego glinę.

I tak to szło, ciężka praca w dzień, potem wieczór, setka albo dwie na start i łowy. Krzychu narzucał przy tym takie tempo, że naprawdę ciężko było dotrzymać mu kroku. Łeb miałem zawsze dużo słabszy, więc nawet trochę bardziej

się pilnując, na następnym dniu rano przeżywałem katusze. Ale nie odpuszczałem, bo honor ma się jeden, a służba nie drużba. Czy jakoś tak.

Żeby jednak nie było wątpliwości, do pracy przykładaliśmy się solidnie. Nawiązaliśmy kontakt z lokalną milicją, która wspierała nas transportem, ludźmi i aktami. Po odbyciu wszystkich rozmów skupiliśmy się na tych spośród pracowników sanatorium, którzy pasowali nam do obranej wersji, i starannie prześwietliliśmy ich relacje rodzinne, sytuację materialną i przeszłość. Wieczorami, przy udziale lokalnych, zrobiliśmy kilka przeszukań po domach i w pomieszczeniach gospodarczych, a z każdej podjętej akcji składaliśmy na koniec dnia telefoniczny raport Hrabiemu. Konkluzja była jednak zawsze taka sama: nic nie mamy i raczej nic nie wskazuje na to, byśmy mieli znaleźć.

W końcu Hrabia uznał, że wystarczy, i polecił nam wracać. Smutno było, ale cóż, rozumieliśmy tę decyzję, więc karnie spakowaliśmy rzeczy i umówiliśmy się na ostatni wieczór z dwiema miłymi pielęgniarzkami.

Spotkanie miało się odbyć w pokoju Barbiego i zanim jeszcze panie się zjawiły, strzeliliśmy po siecie dla animuszu. Potem przyszły dziewczyny, czyli Ola, którą sobie Krzysiu upatrzył, i jej koleżanka Magda. Z początku wodzirejem na tym spotkaniu była flaszka, ale potem krok po kroku kolejki zeszły na dalszy plan, bo Krzysiu z Olą zabrali się do rzeczy. Mnie i Magdzie, parze trochę sklejonej z dwóch przyzwoitek, nie szło tak sprawnie. Coś tam pogadaliśmy, pośmialiśmy się i zdecydowaliśmy, że idziemy spać, każde do siebie.

Rankiem zjawiłem się u Krzyśka. Zapukałem do drzwi, a gdy nie doczekałem się reakcji, złapałem za klamkę. Drzwi ustąpiły, więc wszedłem do środka. Krzysiek leżał

w bezruchu, ewidentnie sam, a skopana częściowo kołdra odsłaniała jego owłosioną nogę i... sporych rozmiarów plamę krwi.

Doskoczyłem do niego i potrząsnąłem za ramię. Obudził się nieco skołowany, potrzebował chwili, by się zorientować, gdzie jest i co ja tu robię.

Nie dałem mu na to czasu.

- Co wyście tu robili? - ryknąłem.

Wzruszył ramionami.

- Kurwa, Adam. To, co dorośli ludzie robią w łóżku.

- Tak? - spytałem. - Znaczą chlastają się nożami czy jaki chuj?

Wskazałem na plamę, a Krzysiek odchylił kołdrę i zobaczył jeszcze więcej krwi. Podrapał się po głowie, usiłując rozwiązać tę zagadkę. W końcu albo zrozumiał, albo sobie przypomniał, bo uśmiechnął się szeroko i powiedział:

- Stary, a ja myślałem, że jak w dzisiejszych czasach chcesz dziewicę, to musisz w przedszkolu szukać. Powiedz mi, ryj też mam brudny?

Parsknąłem śmiechem, pokazałem na zegarek i wyszedłem, dając mu chwilę, by się ogarnął.

A sprawa? Po powrocie do Wrocławia jeszcze jakiś czas się nią zajmowaliśmy, ale temat stygł i stygł, aż w końcu się poddaliśmy. Brawurowa przeprowadzka niespodzianka nigdy nie została podpisana nazwiskami artystów, którzy jej dokonali.

Mój kolejny wyjazd w Polskę z Barbim miał zgoła inny charakter niż ten pierwszy. Oto bowiem przyszło nam, wraz z setkami innych milicjantów oddelegowanych do tego zadania, zabezpieczać wizytę papieża.

Wbrew temu, co się obiegowo podówczas mówiło, akurat wtedy nie byliśmy na wysługach esbecji i rzeczywiście naszym zadaniem było pilnowanie porządku i bezpieczeństwa pielgrzymów. Nikt nie oczekiwał od nas raportów, co kto miał na sobie, z kim rozmawiał, mieliśmy tylko stać, dobrze wyglądać i dbać, by nic złego się nie stało.

Mimo że byliśmy operacyjnymi, na tę okoliczność ubrano nas w mundury i dołączono do zabezpieczenia prewencyjnego. Krzysiek został dowódcą jednego z plutonów, mnie włączono właśnie do tej formacji, więc pracowaliśmy razem.

W wyznaczonym dniu zebrali nas wszystkich, ubranych w mundury polowe, i upchnięto do milicyjnych starów i nysek, którymi pojechaliśmy niemiłosiernie wlokącą się kolumną do Tarnowa, a potem do Częstochowy. O dziwo, po drodze większość ludzi nas pozdrawiała, machała do nas i się uśmiechała. Zaskoczyło nas to miło, bo nie była to typowa reakcja na kolumnę milicyjnych wozów. Z drugiej strony, tym razem kolumna jechała chronić papieża Polaka, a nie pacyfikować strajki - to jakby troszkę zmieniało optykę.

Jak już wspomniałem, podróż wlokła się niemiłosiernie. Zwłaszcza że bardzo restrykcyjny zakaz spożywania jakiegokolwiek alkoholu dotyczył też piwa. A bez piwa to

o czym w rozklekotanym wozie, w dodatku z szumem wiatru w uszach, gadać? Siedzieliśmy więc jak te ciołki, gapiąc się na siebie i uzupełniając niedobory wody.

Na szczęście, gdy dojechaliśmy pod Tarnów, okazało się, że obóz już na nas czekał. I to taki prawdziwy, z równymi rzędami wieloosobowych namiotów, z kuchnią i drzewami wokół. Przez moment poczułem się jak na obozie harcerskim, a potem to uczucie jeszcze się nasiliło, bo zaczęły się podchody.

To, że na terenie jednostki był zakaz spożywania alkoholu, było jasne. Gorzej, że i w mieście na czas wizyty dostojnego gościa pozamykano odgórnie wszystkie monopolowe i zakazano dystrybucji. Istna prohibicja! Ale przecież wiadomo, milicja jest od tego, by sobie radzić w trudnych sytuacjach, więc zaraz się okazało, a to, że ktoś zna jakiegoś lokalsa, a to, że przezornie przywiózł z domu troszkę więcej.

Ustawiliśmy więc czujki, znowu jak na obozach harcerskich, i zaczęło się chłanie. Chociaż nie, właściwszym słowem będzie jednak „picie”, bo nie było towarzyszących zwykle chlaniu ekscesów, awantur czy nawet przyspiewek. Wszyscy nałoiли się kulturalnie, potem zalegli, na następny dzień powtórka, ale już na uszczuplonych zapasach, więc jeszcze grzeczniej. Gdy po dwóch dniach przybył papież, byliśmy gotowi i zaprawieni w boju.

Zabezpieczaliśmy głównie papieskie przejazdy, co sprowadzało się do tego, że staliśmy w tych mundurach jak ciołki po obu stronach ulicy, przez kilka godzin w pełnym słońcu, po to, by przez chwilę być świadkiem przejeżdżającej kolumny.

Panował spokój, nie zapowiadały się żadne chryje, co jeszcze potęgowało uczucie nudy. Do tego kusił lokalny

browar znajdujący się na końcu naszego odcinka.

Niby był zamknięty na czas wizyty, jak monopole, ale przecież dobry śledczy, jak mu na czymś zależy, dowie się, jak sytuacja naprawdę wygląda. No i dowiedzieliśmy się, że właściwie to zamknięte dla klientów, ale w środku ludzie pracują. A że z nas były kontaktowe, otwarte chłopaki i również ludzie pracy, to podczas tego dyżuru większość rzeczywiście stała jako te niebieskie słupy, ale delegaci nawiązywali perspektywiczne kontakty dyplomatyczne. Sytuacji sprzyjał fakt, że nasze samochody stały akurat na parkingu przy browarze. Co to był więc za problem wykombinować kanister, taką czy inną butelkę albo słoik i po mrówczemu znosić łupy przez cały czas służby? Jediną zagwozdką było, jak to piwo potem schłodzić, ale tym zajmowaliśmy się już po powrocie do obozu we własnym zakresie.

Następnego dnia kolumna ruszyła pod Częstochowę i tam znowu najpierw luz, spanie, żarcie i opalanie, czyli aklimatyzacja do nowych warunków polowych, a potem sterczenie w słońcu przy zabezpieczaniu odcinka.

Przynajmniej papieża widziałem z bliska, a to było coś. Wielki zaszczyt, co mówię bez przekąsu, bo i postać niezwykle ważna, i zwyczajnie mądry człowiek. Nawet wtedy, przytępiony prażącym słońcem, zdawałem sobie sprawę z tego, że oto w jakiś sposób uczestniczyłem w tworzeniu się historii. Dziwne uczucie. Trochę jak kac.

Zaraz po powrocie nastąpiła w moim życiu zawodowym poważna zmiana. Dostałem stałego partnera. Było to miłe, bo znaczyło, że zaczynam funkcjonować jako autonomiczna jednostka, nie terminator Kazia czy ktoś na doczepkę. Dysponowałem już pewnym doświadczeniem, miałem za sobą sporo lekcji, kilka sukcesów i porażek, z których mogłem wyciągnąć wnioski, więc można mnie było puścić na głębsze wody.

Andrzej, którego mi przydzielili, miał ode mnie dłuższy staż, ale w innym pionie - był wywiadowczym w wojewódzkiej. To oznaczało spore rozpoznanie na mieście, choć z nieco innym kierunkiem zainteresowań. Jak sam mówił, ostatni okres swojej służby w pionie spędził na przesiadywaniu w samochodzie pod domem największego działacza solidarnościowego na Dolnym Śląsku. Oficjalnie po to, by nic mu się nie stało, bo przecież tylu szaleńców łązi po ulicach. Nieoficjalnie... no, wiadomo.

- Źle nie było, Adam - mówił Andrzej. - Facet był w porządku, rozumiał i nawet kanapki przynosił, herbatę ciepłą. Pogadał też czasem. Mądry chłop, trochę się nawet polubiliśmy.

I kto wie, może właśnie to „polubienie” zafundowało mojemu nowemu partnerowi zmianę przydziału.

Andrzej był dobrze zbudowanym chłopem, schludnym, podobno przystojnym, choć jak zwykłym czasem mawiać, mnie lustro nauczyło wymagać więcej. Gliniarzem był nie przez przekorę dla środowiska jak ja, ale pełnej krwi, z tradycjami, bo i ojciec, i jego dwaj bracia służyli w milicji. Nasiąknął, przeszedł psim smrodem i oddał się całej tej

robocie.

Dogadywaliśmy się świetnie. Jak spędzasz z kimś tyle czasu każdego dnia, więcej niż z rodziną i z dziećmi, w dodatku nieraz narażeni jesteście wspólnie na stres i zagrożenia, wiążesz się naprawdę mocno. W pewnym sensie partner staje się najbliższą ci osobą, przyjacielem, bratem, ale i kimś na kształt spowiednika, tylko bez konfesjonału, za to z wódką i przeklinaniem. Zresztą wiele razy nie trzeba było słów - wystarczyło, że rano na siebie spojrzeliśmy i już było widać, że stara wczoraj zrobiła drakę o pierdoły. Dla wprawnego oka partnera twoja wczorajsza myśl: „A gdybym ją tak pchnął teraz, gdy myje okna. Kto się dowie?“, była niczym odcisk poduszki na opuchniętej od snu twarzy. Inni mogli nie dostrzegać, ale partner widział i wiedział.

W pracy też trzymaliśmy to samo tempo. Obaj ambitni, sumienni, obu nam się chciało. Szybko zapoznałem Andrzeja z terenem, z ludźmi, zaczynając oczywiście od tych, którzy się liczą, czyli od kierownictwa placówek handlowych. Codziennie robiliśmy po nich obchód, podejmując zarówno kwestie egzystencjalne - co przywieźli, ile, co się da bokiem po znajomości - podtrzymując kontakty towarzyskie przy kawie, jak i oczywiście gromadząc dane środowiskowe.

Na przykład odwiedzając bar Bogusia, codziennie przyglądaliśmy się przez okno klientom pobliskiej pijalni piwa. Dziwiło nas, jak przy powszechnym obowiązku pracy aż tylu z nich mogło tam przesiadywać od samego rana. Zastanawialiśmy się, ilu z nich miało fałszywe pieczętki - za co groziła sprawa, bo to fałszowanie dokumentów - a ilu w ogóle nie miało pieczętek, choć zarzekało się przed legitymowaniem, że w papierach u nich wszystko w porządku - tu pyk, kolegium za wprowadzanie milicjanta

w błąd. Takie sytuacje to istne skarbnice uchoi i chętnie z nich korzystaliśmy.

Tym chętniej, że przypadł nam w udziale naprawdę wielki teren. W wyniku kadrowych niedoborów i tego, że administracja nie nadążała za rozwijającym się miastem – większość naszego terenu stanowiły nowe osiedla – obsługiwaliśmy we dwóch obszar większy niż niejedna powiatówka! To wymagało nieustannego trzymania ręki na pulsie, możliwie największej siatki kapusiów oraz oczywiście szacunku i posłuchu. Ten zaś zdobywało się w akcji, właściwymi reakcjami.

Jednym ze sprawdzianów naszego zgrania z Andrzejem była sytuacja, gdy weszliśmy do nowo otwartej pijalni piwa i zauważyliśmy, że przy jednej z ław siedzi kilku nieznanym nam wcześniej typów. Sześciu mężczyzn, w różnym wieku, przedział od dwudziestu do czterdziestu lat, sądząc po twarzach i ruchach, solidnie już porobieni. Podeszliśmy do nich, przedstawiliśmy się, okazaliśmy legitymacje, ale to nie wywołało żadnej reakcji. Ten, który akurat mówił, nawet nie ściszył głosu, żaden z mężczyzn też nie skierował na nas wzroku.

- Poproszę panów o dokumenty - kontynuowałem niezrażony. Ludzie przy pobliskich stolikach, znając nas, zaczęli się nam przyglądać, obserwując rozwój sytuacji. Scena trochę jak w westernach, brakowało tylko muzyki Morricone.

Powtórzyłem swoją prośbę i wtedy jeden z siedzących przy ławie mężczyzn, na oko dwudziestopięciolatek o posturze i prezencji bramowego zbója, odwrócił się do nas - wcześniej siedział bowiem tyłem - i warknął ostro:

- Spierdalać, psy! - A potem parsknął śmiechem do kumpli, oczekując aprobaty i uznania za to, jak to właśnie nam dowalił.

I wtedy to się objawiło. Bez choćby jednego porozumiewawczego spojrzenia Andrzej zrobił krok w moją stronę, tak że znalazł się dokładnie za lewym ramieniem chłystka. Ja już stałem za prawym i wyciągnąłem ręce. Niemal równocześnie, wyćwiczonymi chwytami, wykręciliśmy facetowi obie ręce do tyłu, ściągnęliśmy z siedziska i rzuciliśmy na glebę, ryjem w nieoheblowane dechy podłogi. Andrzej go przytrzymał, ja sięgnąłem po kajdanki, tłum zgromadzony wokół zamarł w absolutnej ciszy.

- Dobra, kurwa, już - próbował krzyknąć pyskacz, ale Andrzej zamiast go puścić od razu, podciągnął mu wykręcone ręce jeszcze wyżej, aż zatrzeszczały stawy. Cwaniak zawył i zaraz spuścił z tonu, zapewniając, że chętnie okaże dokumenty, bardzo, bardzo, kurwa, chętnie, ale są w kieszeni kurtki. I że bardzo przeprasza, że nie chciał i że prosi, nie, błaga, żeby mu pozwolić te dokumenty okazać.

No to pozwoliliśmy. Wstał, potarł czerwone, odrapane ryło i rzeczywiście sięgnął po kurtkę. Papiery miał w porządku, ale i tak spisaliśmy dane zarówno jego, jak i kolegów. Następnie głośno poinformowaliśmy wszystkich obecnych, że kontrola i żeby przygotowali dokumenty. Wszyscy sięgnęli po dowody w absolutnej ciszy i grzecznie czekali, aż skończymy czynności.

Wieść się rozniosła. Od tamtej pory nie tylko nie było już podobnych sytuacji, ale też gdy wchodziliśmy do którejś z pijalni na naszym terenie, robiło się nagle jakoś ciszej i grzeczniej. Jak to mawiają, siłę wystarczy okazać raz, byle w dobrym momencie. Potem swoje zrobi ludzka pamięć.

Ważne, by podkreślić, że nam naprawdę zależało na tym terenie, a wszelkie przestępstwa traktowaliśmy jako ujmę na swoim honorze. Ludzie mieli tego świadomość i choć nie

każdy pałał do nas sympatią, wiedzieliśmy, że możemy czuć się bezpieczni, wchodząc do melin czy mieszkań przestępców. Bo też, gdy ktoś miał problem, nie zlewaliśmy, a szukaliśmy rozwiązań.

Sami zgłaszaliśmy się na nocki, pomagaliśmy gorliwie chłopakom z innych wydziałów, kiedy ich sprawy wchodziły na nasz teren, i dbaliśmy, by nękanymi byli tylko ci, którzy sobie na to zapracowali. I to naprawdę owocowało.

A, jeszcze jedna ciekawostka odnośnie do Andrzeja i mnie. Mieliśmy takiego kolegę, Zbyszka z poszukiwaczy. Jego ojciec był zapalonym myśliwym. Jako taki musiał mieć oczywiście psa do polowań. I miał, wysokiej klasy jamniczkę, która wyśmienicie się sprawdzała jako posokowiec. Któregoś razu suczka urodziła kilka pięknych szczeniaków, z których dwa psy akurat się ostały ojcu Zbyszka. Postanowiliśmy z Andrzejem, że je weźmiemy, a te niesłychanie szybko i precyzyjnie zaczęły się upodabniać do swoich właścicieli. Mój na przykład był pieprzonym uciekinierem, korzystał z każdej okazji, by gdzieś nawiać i nacieszyć się wolnością, oraz erotomanem. Ileż godzin ja się go naszukałem po osiedlu, trudno zliczyć, niejeden bandzior nie ukrywał się przede mną tak długo. Zawsze też musiałem mieć od osiedlowych psiarzy pełną informację, czyja suka ma akurat cieczkę, bo było pewne, że ten mały skurwiel będzie siedział pod jej klatką, telepiąc się z żądzy. Sąsiedzi nadali mu z tego wszystkiego ksywkę Dzielnicowy i śmiali się, widząc, jak latam po osiedlu i jak to pies psa próbuje przechytrzyć.

Zwierzak Andrzeja z kolei dostawał spazmów na dźwięk kościelnych dzwonów. Ilekroć te zaczynały bić, pies wypadał na balkon i ujadał. Podobnie reagował na wszystkich przechodzących księży, a nawet na samo słowo „czarny” wypowiedane przez mojego rozbawionego,

nieznoszącego kleru partnera.

Nie wiem, czy psy miały świadomość więzów krwi, ale gdy się widywały, a miały ku temu wiele okazji, gdyż ja i Andrzej widywaliśmy się często także po pracy, traktowały się z respektem, a w końcu zalegały gdzieś niedaleko siebie w bezsłownym porozumieniu.

Psiaki były z nami kilka lat, a potem oba zmogły jakieś ciężkie, nieuleczalne choróbska.

Nadszedł taki czas, gdy przyszło mi na trzy miesiące pożegnać się z wydziałem i swoją robotą i podjąć naukę w szkole podoficerskiej, na szczęście również we Wrocławiu. Zostałem skoszarowany w starym obiekcie po drugiej stronie miasta, przy cmentarzu żydowskim. Na swoim terenie też mieliśmy taki, z podobnego czasu - niewiele wcześniej trafiła się nam tam sprawa - ktoś rozkopywał groby i kradł nagrobki. Po śledztwie okazało się, że to lokalni kamieniarze stosujący grobowy recykling. I to na długo, zanim poznaliśmy znaczenie tego słowa!

Lokalizacja była więc ciekawa, same zajęcia, trwające do południa, również. Pozostawał jednak problem, czym się zająć w pozostałym czasie, po zajęciach. No bo szczerze, ileż można chlać? Robiliśmy, co się dało, jakaś aktywność fizyczna na stadionie, kombinowanie przepustek do domu czy na wypadki za miasto, granie w karty. Ja, poniekąd pod przymusem, skorzystałem z możliwości dokszałcenia.

Tak się bowiem składało, że każdy absolwent szkoły podoficerskiej musiał posiadać prawo jazdy, zarówno na samochody osobowe, jak i motocykle. Ja podówczas nie posiadałem żadnego, więc tym chętniej zapisałem się na przysługujące mi zajęcia. I to był strzał w dziesiątkę.

Mój instruktor zaprosił mnie do oznakowanego po naszymu dużego fiata, z tą różnicą, że zamiast kogutów radiowóz miał na dachu elkę. Pokrótkce wyjaśnił mi, na czym polega ruszanie, jak działają gaz, sprzęgło, biegi i hamulec.

- Rozumiesz? Świetnie, to jedź.

No to pojechałem. Z początku żabkami, jak każdy, ale raz-

dwa opanowałem i jazdę, i manewry, a potem szybko na ulicę. I tak się zaczęło. Każdą wolną chwilę spędzałem za kierownicą, bo z instruktorem złapaliśmy świetny kontakt, polubił mnie i mi zaufał.

Wielokrotnie zdarzało się tak, że gdy nudziłem się po zajęciach, on przychodził i pytał kpiąco, czy jestem zajęty, bo przydałoby mi się doszkolenie. Ja odpowiadałem, że nauka zawsze chętnie, i szedłem z nim. Siadałem za kółkiem, a instruktor podawał mi trasę przejazdu, najpierw w jedno miejsce, skąd braliśmy jakieś rzeczy, potem w kolejne, dokąd je przewoziliśmy. Żadna tam kontrabanda, robiłem bardziej za bagażową taksówkę, tyle że podmiejską. A czasem w ogóle międzymiastową, bo zdarzało się, że jechaliśmy kawał drogi. Kiedyś zawieźliśmy na wieś lodówkę do rodziny instruktora, ale zwykle były to rzeczy drobniejsze.

Trzaskałem kilometry jak szalony, z każdym kolejnym kursem gromadząc doświadczenie. Jeździłem coraz szybciej i pewniej, a swoistym testem było dla mnie spotkanie drogowe z wozem telewizji.

- Weź no wyprzedź tych gamoni z telewizji - polecił mi instruktor, mimo że wóz przed nami i tak jechał powyżej dozwolonej prędkości. - Nie będziemy się za nimi wlec.

Skinąłem głową i zrobiłem wszystko, co trzeba. Sygnalizacja, redukcja, gaz, zjazd na przeciwny pas i szpula. Silnik wył, zrównaliśmy się z wozem telewizji. Na liczniku ponad stowa.

- Dajesz, dajesz - podpuszczał mnie instruktor. - Tam jedzie ta, no... - Nie mógł sobie przypomnieć nazwiska znanej telewizyjnej dziennikarki. - No weź ich wyprzedź.

Wbiłem pedał w podłogę i przyspieszyłem, a potem dłuższą chwilę jechałem jeszcze lewym pasem, nim wróciłem na swój. Ręce miałem spocone, trząsałem się, nie

wiedziałem, czy od wybojów, czy z nerwów, i nawet nie spojrziałem na licznik. Ale jadący z nami łeb w łeb stową samochód telewizji szybko zniknął gdzieś z tyłu.

- No i tak się jeździ, chłopie - pochwalił mnie instruktor. - Tak się, kurwa, jeździ.

Ktoś się może zastanawiać, dlaczego zamiast opowiadać o szkółce podoficerskiej, skupiam się na robieniu prawa jazdy. Odpowiedź jest prosta: przez całe trzy miesiące miało miejsce tylko jedno wydarzenie warte odnotowania. Za to jak już wypaliło, to z naprawdę grubej rury.

Tak się złożyło, że pod Łagiewnikami, gdzieś na polach, rozbił się samolot wojskowy. Zgodnie z kompetencjami była to sprawa dla służb wojskowych i teoretycznie nikt nie powinien się wtrącać. W tej konkretnej sytuacji pojawił się jednak pewien dość istotny szkopuł, który uczynił tę sprawę absolutnym priorytetem dla nas wszystkich. Otóż pilot podczas katapultowania się zahaczył o coś spodniami i rozdarł sobie specjalną boczną kieszeń, w której miał mapy. I to nie takie zwyczajne, a zawierające wszystkie, zarówno jawne, jak i tajne, lotniska Układu Warszawskiego.

Nie trzeba było nikomu tłumaczyć, co by się stało, gdyby takie dane trafiły w niepożądane ręce, więc natychmiast postawiono naszą szkolną kompanię w stan gotowości i wysłano na teren katastrofy w poszukiwaniu zagubionych map. Do Łagiewnik jechaliśmy na sygnale, a potem przez wiele godzin przetrząsaliśmy zagajniki, krzaki, kępy traw, brodziliśmy w bajorkach. Sądząc po zaciętości wojskowych, szukalibyśmy tych map do usranej śmierci, więc naprawdę ucieszyliśmy się, gdy znalazły się względnie szybko. W dodatku podobno wyglądały na nienaruszone.

Gdy skończyłem szkołę, wróciłem do pracy, tyle że już

z nominacją podoficerską i stopniem starszego kaprała. No i z nową umiejętnością prowadzenia pojazdów, którą bardzo chciałem wykorzystywać teraz w praktyce. Okazja nadarzyła się dość szybko, bo Andrzej, mój partner, miał samochód, starą warszawę, której w zasadzie nie używał. Gdy dostrzegł błysk w moim oku, uznał, że to świetna okazja, by mi ją pchnąć.

I nie przeliczył się. Kupiłem samochód od ręki, nawet mu się specjalnie nie przyglądając, co było błędem, bo wiele rzeczy przy Babci, jak pieszczotliwie nazywałem warszawę z sześćdziesiątego dziewiątego, trzeba było zrobić. Gdy już jednak wyprowadziłem ją na prostą, gdy przemałowałem na jasny zielony groszek, starsza pani odmłodziła i poszła w tany. A ponieważ jeżdżenie mi się spodobało, a wydziałowo nadal nie dysponowaliśmy autem, wraz z Andrzejem uczyniliśmy z Babci nasz radiowóz operacyjny. Długo nikt nie wypłacał nam za to żadnych dodatków, naprawy za swoje, paliwo za swoje - nawet gdy potem się to zmieniło, przydział był gówniany i zryczałtowany według Bóg wie jakiego systemu - ale przynajmniej nie woziliśmy już zatrzymanych autobusem, nie musieliśmy prosić o wóz czy dawać się wkręcać wojewódzkim, że nam kogoś podwiozą. Przewóz zatrzymanych prywatnym wozem był co prawda zakazany, ale póki delikwenci trafiali na miejsce, nikt nie dociekał, jak do tego doprowadzono.

Niedługo potem Babcia była już na dzielnicy tak rozpoznawalna, że lokalsi reagowali na jej widok tak jak na zwyczajne radiowozy. No, może trochę mniej pluli przez ramię.

Jako komenda rośliśmy w siłę i w pewnej chwili doszło do tego, że willa nie była nas już w stanie wszystkich razem pomieścić. Zwyczajnie nie było już miejsca na kolejne biurka, nie wspominając o niczym innym. Decyzją administracyjną przeniesiono więc część kryminalnego, pegowców i niełatów do innego obiektu.

Umieszczono nas wszystkich na dole normalnego budynku mieszkalnego, w starej, zniszczonej kamienicy. Pomieszczenia były częściowo przystosowane, bo wcześniej urzędowali tam dzielnicowi i wykroczeniowcy, ale i tak, mówiąc delikatnie, nie była to fortunna decyzja.

My z Andrzejem dostaliśmy mały pokój, w którym mieściły się jedynie dwa biurka i metalowa szafa. Co gorsza, żeby w ogóle się do nas dostać, trzeba było przejść przez pokój zajmowany przez niełatów. Do czego to prowadziło, łatwo sobie wyobrazić. Bo czy to nie brzmi jak wstęp do okrutnego dowcipu: jak przeprowadzić złodziei do rozliczeń przez pokój pełen niegrzecznych dzieci? A z tym, jak i ze zmianą formy prowadzenia rozmów operacyjnych, borykaliśmy się podówczas na co dzień. Było ciasno, głośno i duszno, a dodatkowo musieliśmy ustalać dyżury, kto i kiedy będzie robił zatrzymania i realizacje, by nie wchodzić sobie w paradę.

No i jeszcze sąsiedztwo. To znaczy nam nie przeszkadzało, że nasze biura znajdują się w normalnym budynku mieszkalnym, ale sąsiedzi, co tu kryć, mieli z nami ciężko. Imprezy do późnych godzin, śmiechy, krzyki i wrzaski tym gorsze, że komu się na to wszystko poskarżysz, milicji?

Zdarzały się też sytuacje komicznie żenujące. Po drugiej

stronie ulicy mieliśmy na przykład ważny przystanek komunikacji miejskiej, będący centrum przesiadkowym dla osób mieszkających na sporym wrocławskim osiedlu. I pewnego razu oczekujący na autobus na tym właśnie przystanku byli świadkami, jak dwóch naszych, z niewiadomych przyczyn, postanowiło przenieść z nowych pomieszczeń do starej komendy wielkie ciężkie biurko. Nie pomagało oczywiście, że obaj byli narąbani jak szpadle i nieśli to biurko, jakby szli pokładem Daru Młodzieży w czasie sztormu. Nie pomagały kurwy, chuje i „japierdole” ciskane ani chybi jako podpórki. Dobrze przynajmniej, że nie byli w mundurach, choć i tak wszyscy na przystanku wiedzieli, kim są. Ta historia długo się potem niosła po osiedlu i może do dziś mieszkają tam tacy, co pamiętają improwizowaną pijacką etiudę Dwóch mężczyzn niosących biurko.

Ekscesy ekscesami, ale pracy nikt nie odpuszczał. W dodatku to, że dzieliliśmy tak małą przestrzeń z innymi wydziałami, sprawiało, że częściej sobie w drobnych kwestiach pomagaliśmy.

Była na przykład taka sprawa, że w jednej ze szkół jakiś gnojek dla zabawy podpalił toalety, powodując spore straty i zniszczenia. Dyrekcja szkoły zwróciła się do nas, oczekując, jak to ujęto, „stanowczych działań w celu zatrzymania łobuza”. Nie zajęło to długo, raz-dwa ustaliliśmy z Andrzejem, który to, i doprowadziliśmy gówniarza do rozliczali z niełatów. Gdy ci wzięli się już za robotę, a my wróciliśmy do siebie, pod naszą placówkę podjechała luksusowa zagraniczna bryka z przyciemnianymi szybami. Wysiadł z niej elegancik, obciągnął mankiety i z niejakim obrzydzeniem wszedł do budynku.

Okazało się, że był to tatuś łba podpalacza.

- A co tu się w ogóle dzieje? - ryknął już od progu. - Natychmiast proszę zwolnić mojego syna, on jest niewinny.

- Proszę się uspokoić i... - zaczął jeden z rozliczali, ale facet nie dał mu dojść do słowa.

- Jakie uspokoić? Jakie, kurwa, uspokoić? Biznesmenem jestem, mój czas kosztuje, a wy mi tu syna zawijacie? Za niewinność? Proszę go natychmiast zwolnić albo przejdę się z tym wyżej i zaraz to z waszą górą załatwię. Sponsoruję was. Nie zostawię tego w ten sposób.

Tak się składa, że całą rozmowę słyszałem dobrze, bo nie zamknąłem drzwi do naszej klitki. A że głos biznesmena wydał mi się znajomy, wstałem i wyjrzałem zza framugi. Uśmiechnąłem się, bo wrażenie mnie nie myliło.

- Dzień dobry - zacząłem łagodnie. - Rozumiem pana wzburzenie, ale pana syn popełnił poważne przestępstwo i będzie traktowany jak inni przestępcy. O zwolnieniu nie może być mowy.

Facet spojrział na mnie, jeszcze raz obciągnął mankiety koszuli, poprawił krawat. Po jego wzroku wiedziałem, że mnie nie rozpoznał.

- Sponsoruję was - powtórzył. - Sponsoruję i mam prawo żądać, żeby sprawę zamknąć, a mojego syna...

- Możesz sobie wsiąść w tę swoją furę i spierdalać w podskokach, fajansiarzu. Ty mnie może nie pamiętasz, łajzo, ale ja doskonale wiem, kto tu po mieście cynkował, i tak się składa, że za handel obcą walutą kłopoty możesz mieć większe niż synalek. To co, dalej będziesz się tu strzępił i mamy ci szykować miejsce czy pójdiesz grzecznie w pizdu?

Gościu w pierwszej chwili zamarł, a potem sapnął, jakby symbolicznie wypuścił z siebie resztę pogroźek. Następną wypowiedź zaczął już zupełnie innym tonem.

- Panowie kochani, ale przecież to dzieciak jest. Dogadać

się możemy. Wynagrodzę...

- Wypierdalaj - warknął Andrzej, który wyrósł za moimi plecami. - Ale już!

Facet się zawahał, ale uznał, że nic więcej nie wskóra, bo odwrócił się na pięcie i wyszedł, a w oczach syna, który odprowadził go wzrokiem, zgasła ostatnia isierka nadziei.

Przedwcześnie, bo ostatecznie tatuś znalazł sposób, jak gówniarza wyciągnąć. Udał się do dyrekcji szkoły, zaofiarował, że nie tylko odremontuje całą łazienkę, ale też kupi do szkoły telewizor z magnetowidem w ramach rekompensaty. Dyrekcja wycofała zarzuty, gnojek nie poniósł konsekwencji, a my dostaliśmy w łeb pierwszą kroplę ulewy, która miała dopiero nadejść - galopującego kapitalizmu.

Dziś, z perspektywy lat, można stwierdzić już z całą pewnością, że to właśnie takie zuczki gnojkarze jak ten cinkciarz jako pierwsze wyczuły wiatr nadchodzących zmian i już wtedy, na jakiś czas przed ostateczną zmianą ustroju, skierowały swoje kulki z gówna ku przyszłości. A gdy nadszedł czas, miały go już tyle, by nas w nim wszystkich unurzać.

Póki co jednak nadszedł czas, gdy mieliśmy pożegnać Hrabiego. Robiliśmy to z żalem, bo był dla nas wzorem przełożonego, ale też rozumieliśmy go, bo szedł w górę, i to wysoko. Nowym naczelnikiem został Piotrek, dotychczas zastępca, co ułatwiało wiele spraw, bo nie musiał się wdrażać i do tego utrzymywał podobny kierunek jak Hrabia, to jest nie wtrącał się specjalnie w realizacje i pozwalał wykazywać się ludziom.

Problem z nim był jednak taki, że wyłaził z niego czasem panikarz i histeryk i pod obstrzałem przełożonych zachowywał się irracjonalnie. Ot, pierwsza z brzegu

sytuacja:

Kiedyś spóźniłem się do roboty. Nie za dużo, kilka minut, ale tak się złożyło, że przy wejściu stał pułkownik Henryk i gdy dopadałem schodków, wymownie spojrział na zegarek i pokręcił głową. Nic nie mówiąc, zwiesiłem głowę i przyspieszyłem. Wpadłem na odprawę, gdzie już czekał tłumek, zająłem miejsce. I wtedy wpada naczelnik Piotr. Wparował wściekły, trzymanymi kwitami pizdnął o biurko i huknął:

- To niedopuszczalne! Żeby młody gliniarz tak lekceważył przełożonych!

I patrzy na mnie.

- Młody milicjant Adam - mówił, jakby nikt mnie tu nie znał. - Wchodząc do komendy. Spóźniony, wchodząc, nawet przełożonemu dzień dobry nie powiedział! Spóźniony! Niedopuszczalne!

Nic nie miałem na swoją obronę przy tej straszliwej zbrodni, więc powiedziałem tylko, że jak pułkownik tak lubi spoglądać na zegarek, może mógłby to robić także, gdy siedzimy tu po godzinach. Będzie miał więcej liczenia.

Piotrek spróbował coś na to odpowiedzieć, ale reakcja sali, całkowicie po mojej stronie, sprawiła, że tylko się zasapał, a potem wziął do normalnej odprawy.

Swoją drogą, korzystając z okazji, powiem, że niewiele rzeczy wkurzało mnie w pracy bardziej niż takie właśnie wybiórcze podejście do czasu pracownika. Niektórzy potrafili cię rozliczyć z każdej minuty spóźnienia i jednocześnie zupełnie nie zauważyć, że wczoraj wyszedłeś sześć godzin po czasie, a dziś, jak będzie ich mniej niż cztery, to będzie cud. Nie było pieniędzy na nadgodziny i wszyscy o tym wiedzieliśmy. Ale tym bardziej należało nam się zrozumienie.

Piotrek nie pobył zresztą naczelnikiem długo, bo na

solidnych plecach, które miał, szybko wyciął się do wojewódzkiej, a potem wrócił jako zastępca komendanta do spraw operacyjno-śledczych. W jego miejsce naczelnikiem został Heniek, który prywatnie był nawet w porządku, nie mieliśmy zastrzeżeń, ale wcześniej robił w prewencji i opiekował się ORMÓ.

Który z szefów był tak bezmyślny, by szefem kryminalnych uczynić prewencjusza, do dziś nie wiem. Była to decyzja tak idiotyczna, bo chodziło o skrajnie inną robotę, wymagającą zupełnie innego podejścia. U nas nie czekało się na skierowanie do działania, tylko szukało roboty na mieście. Efektów nie liczyło się w wystawionych mandatach czy wnioskach do kolegium, a człowiek, wykonując swoją robotę, obcował z elementem i nie mógł być przez cały czas trzeźwym wzorem cnót. Mówiło się nawet, że kryminalny powinien się stawiać do roboty wykąpany, ogolony i pachnący, lekko trącający alkoholem.

Tymczasem nasz nowy szef oczekiwał nie tylko szybko weryfikowalnych wyników, ale i dyspozycyjności na miejscu. Chciał zawsze wiedzieć, gdzie jesteśmy, dokąd wychodzimy i kiedy planujemy powrót. Jakbyśmy sami wiedzieli.

Nie tylko góra się zmieniała, czasem dochodził też ktoś z niższych szczebelków. Taki na przykład dzielnicowy z osiedla Popowice, również Heniek, ale żeby się nie myliło, na potrzeby tej historii nazwijmy go sobie Czółko, bo to jedyna część ciała, która w jakikolwiek sposób go wyróżniała.

Czółko nie zagrzał u nas długo miejsca, ale nim sobie poszedł, opowiedział nam historię, jak to miał, jeszcze jako dzielnicowy, zrobić jakiś wywiad. Puka więc do drzwi, jest w mundurze, więc przez wizjer widać, kto zacz, lokator otwiera drzwi i z szerokim uśmiechem zaprasza do środka.

Mogło Czółka zaniepokoić, że tak bez żadnych pytań, ale on wszedł na pewniaka i dopiero gdy usłyszał zamykające się za sobą drzwi i przekręcany klucz w zamku, odwrócił się gwałtownie.

Gospodarz, zasłaniający wyjście plecami, szczyrzył się paskudnie, a w ręce trzymał siekiere.

- A teraz, kurwo, już stąd żywy nie wyjdiesz - wycedził. - Łeb ci, chuju, upierdołę.

I ruszył. Czółko, jak tylko to zobaczył, mało się nie posrał, ale coś w nim nagle strzyknęło, adrenalina zadziałała i jak nie skoczy, jednym susem znalazł się na stole i zaczął opędzać się nogą jak od wściekłego psa. A facet napiera i zaczyna machać siekiere. Dwa razy prawie dzielnicowego chlasnął, za trzecim podejściem Czółko trafił go butem w czoło. Nie mocno, ale na tyle, by tamten, oszołomiony, odsunął się na czas potrzebny na dobyte broni.

- Już, spokój! - powiedział Czółko drżącym, piskliwym głosem. - Odłóż siekiere i się odwróć.

Facet nie ustąpił od razu, dyszał tylko, łypiąc spode łba, zaciskając palce na siekiere. W końcu jednak, gdy Czółko był już pewien, że ostatecznie będzie go musiał zastrzelić, typ spasował i dał się zakuć.

Nie ma co kryć, każdy z nas ma taki punkt, po przekroczeniu którego puszczają mu hamulce. Gdy przestaje być zawodowcem i daje upust wzbierającym emocjom. Jako że w zasadzie każdy z nas miał rodzinę i dzieci, to właśnie sprawy, w których krzywdzono nieletnich, ruszały nas wszystkich najmocniej. Podchodziliśmy do nich osobiście i emocjonalnie, czyli zupełnie odwrotnie do tego, jak powinniśmy.

Jeden przypadek. Do szpitala trafił sześciolatek w bardzo poważnym stanie. Dotkliwie pobity, pokiereszowany szczególnie w okolicach krocza. Sprawca, jak się okazało, ojczym chłopca, kopiąc go, upodobał sobie jego genitalia, przez co dzieciak miał między nogami jeden wielki obrzęk, z którego lekarze próbowali cokolwiek uratować.

Skurwiela kata posadziliśmy u siebie w piątce. Rozliczać miał go Jędrrek, ten z jedyńki, ale zebrało się nas tam więcej i ciasno zamknęliśmy gnoja w kółku. Nie dostał krzesła, musiał siedzieć na podłodze, a każde pytanie poprzedzone było huknięciem go przez łeb.

- Co robiłeś wczoraj cały dzień? - I jeb!

- Jakie były twoje dotychczasowe relacje z chłopcem?

I kolejny cios w łeb.

- Ile i z kim chlałeś, żeś się tak upodlił?

I tak to szło, ale facet pojękiwał coś tylko i ani myślał gadać. Nawet na podstawowe pytanie: „Czemu to zrobiłeś?”, nie pisnął słowa.

No to się Jędrrek wkurzył. Podniósł go, wziął krzesło, przystawił mu oparcie do jajec i kazał ściągnąć spodnie i gacie. Gość popatrzył na nas, ale my, choć nie

wiedzieliśmy, co się święci, interweniować nie zamierzaliśmy. Cokolwiek Jędrak wymyślił, dla gnoja i tak by było za mało. Widząc nasz brak reakcji, facet opuścił najpierw spodnie, a potem majtki.

- Tu go połóż. Na oparciu.

- Co?

- Chujów sto! Na oparcie go kładź, ale już!

Gość wahał się jeszcze tylko przez moment, po czym ujął fiutka w dłoń, stanął na palcach i położył go na oparciu.

A wtedy w rękę Jędrka pojawiła się pałka i jak nią nie huknie gościa w fujare. Facet wrzasnął, odskoczył i padł na ziemię, kwiląc i wijąc się w pozycji embrionalnej. Jędrak natomiast spokojnie odłożył pałkę, pochylił się przy gościu i nie bacząc na jego krzyki, powiedział:

- To teraz już, kurwo, wiesz.

A potem usiadł na tym podstawionym krześle, zaplótł ręce i powtórzył ostatnie ze swoich pytań:

- Dlaczego to zrobiłeś?

Jak dla mnie mógłby nie mówić, bo żaden powód nie byłby wystarczający, żeby zrobić coś takiego. Ale to, co powiedział, sprawiło, że ledwo się powstrzymałem, by go tam leżącego z gaciami do kostek nie skopać. Chłopczyk marudził o zabawkę znajdującą się na szafie i przeszkadzał starszym w picciu. Ot i wszystko.

Żeby jednak nie zamykać tego rozdziału i tym samym części opowieści historią tak ponurą, przewrotnie powiem, że nie wszystkie dzieci to niewinne aniołki. I nie chodzi tylko o przewinienia w rodzaju tych, z którymi boryka się każdy rodzic, ale o sprawy zupełnie poważne, choć na pozór komiczne.

Kiedyś mieliśmy sprawę o włam do sklepu ze słodyczami. Sprawę nietypową, bo trudno było stwierdzić, któredy przestępcy dostali się do środka. Jediną rozsądną opcję

stanowiła rozbita szyba w drzwiach, ale była zakratowana, a pręty tak blisko siebie, że moja głowa by się tam nie przecisnęła. Innych możliwości, co stwierdziliśmy po starannym obejściu budynku – a nawet odwiedzeniu mieszkania nad sklepem, by upewnić się, czy nie ma tam aby dziury w podłodze – nie znaleźliśmy.

Tymczasem sama kradzież była oczywista i dość śmiała. Wnętrze sklepu zdemolowane, złodzieje nagrabili cennych bombonier, cukierków i czekoladek. No, sporo słodkości, jednym słowem.

Kiedy prowadziliśmy czynności, skontaktował się z nami na telefon sklepu miejscowy dzielnicowy, że jego teraz nie ma, ale przy Ostrowskiego mieszka taki gnojek, Antoś się nazywa, i to by mu pasowało do profilu. Menda by się zmieścił.

Podziękowałem, odnotowałem sobie, że najwyraźniej szukamy drobnego chudzielca, i poszedłem pod wskazany adres. Otworzyła mi starsza kobieta, która gdy zapytałem o Antosia, mocno się zdziwiła.

– Oczywiście, że jest – powiedziała. – Co ma nie być? Siedzi w pokoju i się bawi.

– Bawi? – zapytałem zaskoczony, ale zanim usłyszałem odpowiedź, wszedłem do środka i zerknąłem do pokoju. Faktycznie dwóch chłopców, jeden tak z siedem lat, drugi młodszy, obaj na dywanie, bawią się w najlepsze. Rozejrzałem się po pokoju, ale żadnych fantów nie dostrzegłem.

– A może być jeszcze inny Antoś? – zapytałem kobiety.

Wzruszyła ramionami, patrząc na mnie jak na idiotę.

– No, Antosiów dużo może być, to popularne imię.

– Ale z tym nazwiskiem – doprecyzowałem. – Tu zamieszkały.

– A nie, to tylko on, innego nie znam.

Wyszedłem stamtąd wściekły, że się dzielnicowego żarty trzymają, i obiecałem sobie, że go za to zjadę jak burą sukę. Ja tu na robocie, a ten będzie mnie dla jaj do dzieciaka wysyłał. Wpadłem do sklepu, kazałem się połączyć z dzielnicowym i mu jadę. Na co ten, żebym poczekał i że zaraz będzie.

- Żadnych sobie żartów nie robię i to nie ja cię tu wkrecam, tylko ty sam - powiedział, gdy mu już trochę spokojniej jeszcze raz wszystko wygarnąłem. - A teraz chodź, wracamy na Ostrowskiego.

Pojechaliśmy z powrotem, a gdy dzielnicowy wszedł do mieszkania, nie zajęło mu nawet pięciu minut, nim znalazł w szafie, na niej i za nią wszystkie skradzione i wciąż zachowane fanty oraz trochę drobnych z kasy. A gnojek stał i patrzył na nas jak wcielenie niewinności ze świętego obrazka.

Oczywiście siedmiolatek, zdolny do dokonania tak paskudnego włamu, nie mógł odpowiedzieć za swój czyn, ale przynajmniej przydzielono mu opiekę kuratorską.

II

23

No to się pozmieniało. Socjalizm wymieniliśmy na kapitalizm, dawni wrogowie narodu stali się bohaterami, a milicja policją. Dostaliśmy nowe legitymacje, przemalowano, co było do przemalowania, i w gruncie rzeczy tyle, bo jakoś od tej rewolucji ani przestępców nie ubyło, ani też metody na razie drastycznie się nie zmieniły.

Następnego dnia po otrzymaniu nowych dokumentów Andrzej i ja, już jako policjanci, klasycznie zrobiliśmy obchód naszego terenu i pogadaliśmy z lokalnym elementem, który o zmianach wiedział tylko z radia, telewizji i głuchego telefonu plotek. Oczywiście pojechaliśmy tam prywatnym samochodem, bo przydziałowego nie było, a potem, na koniec dnia, wróciliśmy do tego samego, podobnego do meliny, biura, gdzie brakowało nie tylko maszyn do pisania, ale nawet długopisów i papieru. Chwilami czuliśmy się jak beneficjenci Czerwonego Krzyża, bo wszystko, co potrzebne, dostawaliśmy z darów czy od sponsorów. Szafki, biurka, segregatory, artykuły biurowe. Jak czegoś nie mieliśmy, a naprawdę było potrzebne, któryś z nas przynosił sobie z domu. O podwyżkach czy zmianie systemu opłacania nadgodzin – to znaczy wprowadzenia wreszcie za to jakiegokolwiek gratyfikacji – nikt nawet nie wspominał. Wszyscy po prostu starali się robić swoje.

Oczywiście były sektory, w których zmiany były zauważalne. Skoro zmieniała się władza, zmianie musiały

ulec również służby siłowe i specjalne. Doszło do rozwiązania Służby Bezpieczeństwa jako rzekomo skompromitowanej działaniem na rzecz państwa totalitarnego. W jej miejsce utworzono nową służbę, do której trafiali ci, którzy pozytywnie przeszli sito weryfikacji. A jeśli mimo właściwej opinii tam nie trafili, mogli jeszcze dołączyć do nas.

I tak do naszej jednostki doszło kilku esbeków. Co zabawne, jak się okazało, wszyscy pracowali przy paszportach, żaden nie służył nigdy w wydziale operacyjnym, co to, to nie! Żadnej walki z opozycją, żadnej inwigilacji kleru. Oczywiście nie mieliśmy tego jak zweryfikować, akurat tych naszych nikt nie kojarzył, więc dawaliśmy wiarę ich opowieściom i nie drążyliśmy tematu.

Przyszło też do jednostki kilku nowych, z czego trzech do naszego wydziału. Witek, Adaś i Darek – dwaj ostatni poszli do samochodówki i od razu ostro się wzięli do pracy, ale dość szybko dało się zauważyć, że o ile Darek jest dobry i ma smykałkę, Adaś, mimo całej mojej sympatii do imiennika, ślizgał się tylko i podklejał pod sukcesy kolegi.

Od nich wszystkich czuło się też młodzieńczą butę, cwaniactwo, ale i to, że zaczynaliśmy w innych czasach. Nie słuchali starszych glin, zawsze wszystko wiedzieli lepiej i tylko oni nadążali za zmieniającym się rynkiem, a więc i przestępczym półświatkiem.

Rozwiązanie SB było dla wszystkich w miarę jasne i zrozumiałe, ale zupełne zaskoczenie stanowił fakt, że ofiarą zmian w strukturach padł też wydział do spraw zwalczania przestępczości gospodarczej. Zdumiewające, zważywszy na to, że choć przeciętny obywatel mógł nie wiedzieć, z czym będzie się wiązać drapieżny kapitalizm, władza powinna już wtedy dostrzec, że formacja do spraw PG jest państwu wręcz niezbędna. Nawet wtedy gołym

okiem było przecież widać bezczelne przekręty przy przejmowaniu dawnych zakładów, małych i dużych firm. Na powierzchnię wyplýwali byli przestępcy, cinkciarze i uliczne cwaniaki, na bazarach kwitł handel lewizną. I oto nagle w tym nowym dzikim świecie odebrano nam, może niedofinansowane, na pewno wymagające gruntownych reform, ale jednak solidne narzędzie.

Po rozwiązaniu PG część pracujących w niej ludzi przeszła na emerytury, innych, jak choćby naszych kumpli Andrzeja i Zbycha, wcielono do kryminalnego, gdzie w zasadzie nadal mieli się zajmować gospodarczymi, tyle że już nie pod osobnym szyldem.

A skoro mowa o emeryturach, na w pełni zasłużoną odeszli nasz szef, pułkownik Henryk, oraz major Jaroszyński. Na ich miejsca przyszli nowi, ale że też z milicji, to jakby starzy i nic się nie zmieniło. Wiatr zmian mógł więc dąć za oknem i na wyższych piętrach, ale u nas, ściśniętych na niewielkiej przestrzeni przedwojennej czynszówki, wciąż panował zatęchły smrodek poprzedniej epoki.

Wspomniałem wcześniej o trzech nowych policjantach, z czego dwóch, Adaś i Darek, poszło do samochodówki. Trzeci, Witek, dostał do obsługi rejon wiejski i tam prowadził swoje rozpoznanie dotyczące przede wszystkim włamań i kradzieży.

Od początku zapowiadał się na ciekawy przypadek. Wielki chłop, zawsze niechlujny i jakby dopiero co od pługą oderwany, dojeżdżał na skraj swoich rejonów autobusem miejskim, a potem szedł polami pod konkretne adresy, średnio kilkanaście kilometrów dziennie. Prosty facet, dla którego największym autorytetem była żona Anka, nauczycielka nauczania początkowego. Był dobrym gliną,

ale z wyraźnie niską samooceną, którą starał się maskować, używając wielu trudnych słów.

Samo w sobie nie byłoby to może warte wzmianki, ale gdy wychodziło, że większości używanych słów on po prostu nie rozumie, robiło się zabawnie. Jak wtedy, gdy wpadł do byłych pegowców i zobaczył, że właśnie załatwili sobie nowiutki telefon.

- O, nowy aparat - mruknął z uznaniem.

- Ano nowy, fajny, nie? - odpowiedział mu Andrzej.

Witek pokiwał głową, przestąpił z nogi na nogę i zapytał z chytrą miną:

- A homogenizację na niego macie?

Trudno powiedzieć, jakiej reakcji się spodziewał, ale na pewno nie wybuchu śmiechu. Z miejsca zrobił się cały czerwony i zaczął sapać.

- No co, cholera?

- Homologację, debilu - litościwie wyjaśnił Andrzej. - Homogenizowany to możesz mieć serek.

Bywało też tak, że Witek używał trudnych słów właściwie, ale zupełnie niepasujących do sytuacji. Przyszedłem kiedyś, akurat jak rozliczał jakiegoś lumpa z kradzieży. Menelik z tych prima sort, ostatni raz kąpany chyba jeszcze przez matkę w plastikowej wanience, zarosnięty, nawalony, patrzy takim mętnym wzrokiem i kompletnie nie wie, czego się od niego chce.

Tymczasem Witek w swoim żywiole intensywnie peroruje, z gracją i niebywałą wręcz swadą, by wreszcie rzucić:

- No dalej, musimy tu dojść do jakiegoś konsensusu.

Ja już parskam w kołnierz, a żulek tylko łypie i jedyne, na co go stać, to:

- He?

- No, konsensusu - wyjaśnia mu Witek. - To znaczy, że ja i ty musimy się dogadać, żebyś kiwać nie poszedł.

Facet był już jednak tak skołowany wcześniejszą słowną ekwilibrystyką, że nic z tego nie wyszło i trzeba go było odesłać na dołek.

A skoro już przy Witku jesteśmy, jeszcze jedna anegdota. Otóż nasz nowy kolega wraz z żoną oczekiwali... nie, nie dziecka. Mieszkania. Przydział miał nastąpić lada chwila, więc zaczęli już kupować meble i z braku miejsca do ich przechowania Witek trzymał je na komendzie, u siebie, w pokoju graniczącym z pomieszczeniem byłych pegowców, którzy zwykli po służbie grać w pokera na małe sumy.

No i któregoś dnia na koniec służby przychodzi do Witka jego żona Anka, coś tam rozmawiają, a tu nagle od karcianego stolika odrywa się Zbychu, puka we framugę i pyta.

- Witek, to kiedy właściwie mogę zabrać te meble?

Anka zbaraniała.

- Jakie meble? Nasze meble?

- No te. - Zbyszek wskazał na pudła. - Graliśmy w karty i Witkowi karta nie szła, to postawił i...

Witkowi musiały w tym momencie przemknąć przez głowę wszystkie trudne słowa, jakie kiedykolwiek słyszał, ale najwyraźniej żadne nie było adekwatne, bo tylko kilka razy rozdziawił gębę i zaraz ją zamknął.

Gdy w końcu udało mu się wysłować i powiedzieć, że on w żadne karty nie grał, w odpowiedzi usłyszał tylko:

- Porozmawiamy w domu.

Mieliśmy z tego kupę śmiechu, aż do następnego dnia, gdy Witek przyszedł do biura z podrapaną twarzą i pretensjami do chłopaków, że mu taki numer wycięli.

Chociaż nie, wtedy też się śmialiśmy. Chyba nawet bardziej.

Jednym z tych pozytywnie zweryfikowanych esbeków był Waldek, zwany Leksem. Pracował w jedyńce, której kierownikiem został Gruby, w głównym budynku, czyli willi. Ciasno tam mieli, jak my wszyscy zresztą, ale i wesoło, bo Waldek ze swadą i naturalnością kogoś, kto jeszcze niedawno był królem świata i jeszcze mu nie przeszło, wprowadził do służby nowe porządki.

Jedną z pierwszych zmian było grillowanie. Leksu skołował skądś elektrycznego grilla i przekonał wszystkich w wydziale, że nic tak nie podkreści im wyników jak rozpoczynanie dnia od pożywnego śniadanka. Musiał do nich trafić, bo odtąd od bladego świtu każdego dnia skwierczały na tym grillu bocзки, kiełbaski czy kaszanki. Willa była niewielka, więc zapach niósł się po budynku, a pewnie i na dechy, gdzie był dla czekających dodatkową torturą.

To, co dla innych oznaczało śniadanie, dla samego Leksa stanowiło zagrychę do wody. Jaki on miał do niej łeb! My wszyscy, sami przecież nie ułomki, nie mogliśmy się nadziwić. Codziennie przychodził jeszcze trochę wczorajszy, otwierał metalową szafkę, z której wyciągał flaszkę podtrzymującą, i dopiero nią wzmocniony ruszał w rejon. A reszta sekcji, dla której w owym czasie Leksu był guru, szła ze wszystkim w jego ślady.

Pracował tam podówczas taki chłopaczek, młodziak z Krosna, bardzo miły, grzeczny i dobrze wychowany. Wołali na niego Dzymek. Już na pierwszy rzut oka widać było, że się cieszy i poczytuje sobie za zaszczyt, że może służyć w takiej formacji, w takim mieście i w towarzystwie

ludzi, wobec których czuł ogromny respekt.

I faktycznie miał chłopak dobrych nauczycieli, którzy pokazali mu szereg sztuczek i sposobów na łapanie rozbojarzy, ale też, jako najmłodszy, służył starszym kolegom za wódkowego. Nieraz słyszałem, będąc akurat w willi, jak Leksu drze się przez pół korytarza:

- Dzymek!!! Dzymek!!! - A potem, gdy chłopak wpadał do biura, dawał mu pieniądze, recytując przy tym: - Masz tu dychę, weź zagrychę, paczkę fajek, dwa napoje, reszta twoje.

No i chłopak karnie leciał, za co czasem pozwalali mu się ze sobą napić.

Dzymek nie usiedział u nas długo, jakieś sprawy rodzinne sprawiły, że musiał wracać w swoje okolice. Co zabawne, gdy niedługo potem zadzwonił, pochwalił się, że został kierownikiem sekcji w kryminalnym, bo jak się tam dowiedzieli, że służył u nas, w takiej dużej jednostce we Wrocławiu, uznali, że musi mieć doświadczenia jak nikt inny na całym Podkarpaciu.

Wróćmy jednak do Leksa. Ubierał się jak za dawnych dni, to jest w wyjściową białą koszulę i garnitur, który wyglądał tak, jakby nasz kolega nosił go na zmianę z jakimś bezdomnym. Nic dziwnego, bo do swojego domu Leksa trafiał mniej więcej raz na tydzień, w pozostałe dni wizytując kolejnych swoich znajomych. Po stanie jego koszuli można było stwierdzić, jaki jest dzień tygodnia, a stężenie alkoholu w jego krwi można już było liczyć w procentach, nie promilach. No i, co ważne, uwielbiał robić głupie numery.

Raz, na przykład, przy okazji jakiejś realizacji chłopcy zabezpieczyli sutannę, która tak się składa, pasowała na Leksa idealnie. Wiedział to oczywiście, bo zaraz ją przymierzył, a potem uznał, że chrzanić, fajnie tak

w sukience, bo ma przewiew na jankach, i już tak został. Ulizał sobie włosy na bok, na wiejskiego plebana, i paradował tak po jednostce. Część, widząc go, parskła, ale większość, nawet naszych, skupiając się jedynie na sutannie i specyficznym chodzie, jaki Leks zaczął uskuteczniać, kłaniała mu się i mówiła: „Szczęść Boże”. Wiadomo, przyszła zmiana, lepiej nie ryzykować.

W końcu wyszło, że trzeba skoczyć do sklepu, bo się kończą śniadaniowe zapasy. Dzymka nie było, no to kto idzie? Leksu! Złapał Grubego za rękę i mówi: „Chodź, pójdziemy we dwóch, będzie fajnie”.

I było. Ludzie U Ziuty przepuszczali ich w kolejce, nieomal gnąc się w pas na widok esbeka w sutannie. I niech mi ktoś jeszcze powie, że nie szata zdoła człowieka! Sama Ziuta, zaganiana, też Leksa nie poznała w pierwszej chwili, a gdy postanowił ją pobłogosławić na dobry obrót, skłoniła głowę i przeżegnała się na koniec. Gruby mało się wtedy nie posikał, a nie mogąc już wytrzymać konspiracji, zaproponował Ziucie, by tak z księdzem proboszczem jednego na zapleczu może. I dopiero tam się sklepowa połapała, z kim ma do czynienia. Podała flaszkę, Gruby przejął.

- Tu mi nalej, synu. - Wielebny Leks wskazał na szklanę po herbacie. - A nie żałuj.

- Oj, panowie, panowie - powiedziała ze śmiechem Ziuta, wznosząc toast. - Nic dobrego z takich żartów nie przyjdzie.

Ale przyszło!

Gdy wrócili na komendę, okazało się, że w jedynce siedział akurat klient podejrzany o rozbój. Hardy był i nie chciał gadać. Nie żeby cwaniaczył, pyskował, ale gęba na kłódkę i ani słowa, co by chłopaki nie robili. Na to wszystko wchodzi Leks ze swoim: „Niech będzie pochwalony...”.

- ...na wieki wieków - odpowiedział któryś z chłopaków, a klient zdębiał.

- Jak to ksiądz? Po co ksiądz?

No to ekipa natychmiast bez mrugnięcia okiem podłapała temat, że przy poważniejszych zajściach przychodzi ksiądz, by dać rozgrzeszenie, bo oni właśnie czekają na polecenie wykonania wyroku.

- Ej, zaraz, jakiego wyroku, chwila!

Na to wszystko z proboszczowskim spokojem wtrącił się Leksu:

- Jeśli mogę, panowie policjanci, chciałbym porozmawiać sam na sam z tą zbłąkaną owieczką. Kwestia rozgrzeszenia nie jest sprawą ziemską, a boską, i tu toczy się bój o jego duszę. A mnie obowiązuje tajemnica spowiedzi.

Chłopaki popatrzyli po sobie, ale w sumie co mieli do stracenia? Wyszli i zamknęli za sobą drzwi. Leksu zaś usiadł, wykonał znak krzyża i powiedział

- Słucham cię, synu.

Po dziesięciu minutach wyszedł, zacierając ręce i ogłosił policjantom, że jest już po spowiedzi, że facet przyznał się do rozboju, a także podał, z kim był. Leksu poprosił też o kartkę, by móc wszystko szybko zapisać.

Klient patrzył na to wszystko z niedowierzaniem i rosnącym oburzeniem.

- Ale, kurwa, jak to? A tajemnica?!

- Dopiero się spowiadałeś, a już bluźnisz? - parsknął któryś, a reszta wybuchnęła śmiechem. I wtedy gość już ostatecznie zrozumiał, że został zrobiony w wała przez gliniarzy i wyszedł na głupa.

Choć spowiedź nie miała mocy właściwego przyznania się, wiedząc już, że raczej się z tego nie wygrzebie, klient przyznał się, z jednym tylko zastrzeżeniem: żeby w miasto nie poszło, w jaki sposób psy go podeszły.

W nowych czasach pojawiły się też nowe standardy i decyzją góry zaczęto masowo przyjmować do służby kobiety. Były to kobiety bardzo różne, z różnymi predyspozycjami i, zupełnie jak w przypadku facetów, w większości przypadków na pierwszy rzut oka widać było, które sobie poradzą, a które będą się snuć jak mimozy i udawać zagubione księżniczki.

Pierwsza fala policjantek składała się w dużej części, bo oczywiście nie w całości, ze znajomych góry, według znanego klucza „Antka kobity brata szwagra siostra”. I raczej właśnie to, a nie konieczność pracy z płcią przeciwną, sprawiało, że decyzja wzbudzała mieszane uczucia.

Do naszej jednostki przyjęto dwie dziewczyny do prewencji, które zostały dzielnicowymi. Ale takimi prawdziwymi, nie na pokaz. Obie były rosłe, dobrze zbudowane, w swoje rejony przezornie chodziły razem i tworzyły duet tak zgrany i groźny, że absolutnie nikt im nie podskakiwał. Wiedziały też, czego chcą i jak mają to osiągnąć, więc raz-dwa wyrobiły sobie autorytet na dzielnicy i nie tylko pilnowały porządku, ale też w razie czego mogły nam posłużyć informacją czy wskazaniem.

Działowi kryminalnemu aż tak się nie poszczęściło. Trafiły do nas dwie gwiazdy, jedna do pegowców - będę ich wciąż tak nazywał dla uproszczenia terminologii - natomiast druga, Basia, została przydzielona do przyuczenia i zapoznania się ze specyfiką służby i dołączyła do nas, czyli do Andrzeja i do mnie.

Każdy chyba zna ten typ - dziewczyna wyglądająca jak

lalka, jedyne zainteresowania to makijaż i nowe ciuchy, a chodzi tak, by broń Boże niczego sobie nie zabrudzić. Zabieraliśmy ją rzecz jasna wszędzie, na meliny, do lumpów, do spelunek i mordowni, na przeszukania, ale gdziekolwiek poszliśmy, stała z boku, jakby kompletnie niezainteresowana tematem, strzelała pełne obrzydzenia miny i na ewentualne pytania odpowiadała wymijającymi półsłówkami. Nic, zero jakiegokolwiek zaangażowania, żadnego drygu, chyba że w kwestii doboru pudru czy szminki. Zastanawialiśmy się nawet, jak ona w ogóle przeszła proces weryfikacji, bo oprócz tego była zwyczajnie za niska, ale sprawa wyjaśniła się dość szybko. Jej wujem był wysoko postawiony oficer policji.

Nie robiliśmy jej specjalnie na złość, ale i tak szybko się od nas wyniosła - została sekretarką wydziałową. I tam, muszę przyznać, rozkwitła. W kwitach, z dala od przestępców, parząc kawy, herbatki i krzywiąc się do petentów znad pilniczka, Basia sprawdzała się świetnie i chyba tak też się czuła.

Ogólnie rzecz biorąc, uważam, że zatrudniono w tamtym czasie mnóstwo świetnych policjantek i był to generalnie dobry, naturalny i rozwojowy ruch. A że przy okazji pojawiło się sporo nowego rodzaju nieogarniających słupów? Cóż, przynajmniej zwykle wyglądały lepiej niż słupy płci męskiej, z którymi mieliśmy do czynienia od lat.

I jeśli mam być szczery, co naprawdę doprowadzało nas do szału, to sytuacje - podkreślmy, nieliczne - gdy pojawiały się kobiety, które z całej piętnastoletniej służby robiły raptem pięć albo sześć, bo ciąża, po niej trzy lata macierzyńskiego i zaraz kolejne dziecko. Niby miały prawo i wszystko zrozumiały, ale nam naprawdę brakowało ludzi i takie wakaty doskwierały dość mocno.

Tymczasem zbliżała się kolejna wizyta papieża w Polsce. Pierwsza po zmianie ustroju, okoliczności zupełnie inne, ale wyzwanie dla policji w zasadzie takie samo. Ci, których wytypują, mają pojechać, obstawić, zabezpieczyć. Ci, co zostaną, robią przez ten czas za siebie i za kolegów.

Załapałem się i tym razem, Andrzej również. Podczas tej wizyty nie mieliśmy już robić za niebieskie słupki, tylko zajmować się pracą operacyjną i zabezpieczaniem wydarzenia.

Zresztą gdy sięgnąć pamięcią do poprzedniego razu, wszystko odbywało się całkowicie inaczej, także pod względem przygotowań i zabezpieczeń. Nie jechaliśmy w sukach, tylko autokarami, na miejscu nie czekał nas nieomal harcerski obóz, tylko hotel – fakt, że stary i zniszczony, o czym więcej zaraz, ale nadal hotel.

Tylko my się nie zmieniliśmy i między ciuchy na zmianę, kosmetyczkę i ręcznik upchnęliśmy do walizek i toreb tyle wody, ile się dało. Część z tego poszła już w wesołym autobusie, tak że gdy dojechalismy pod hotel, kilku zamiast wysiąść, dosłownie z autokaru wypadło. Pięć flaszek straciliśmy zaraz w recepcji, gdy czekając na przydzielenie nam pokoi, usłyszeliśmy najpierw głośny brzdęk, a potem soczyste i pełne bólu „kurwa mać!”. Zaraz potem po foyer poniósł się charakterystyczny ostry zapach, wyraźnie sugerujący, że to nie kryształowy babci kolega miał w torbie i nie za nimi tak rozpaczał.

Gdy udaliśmy się do pokoi, wyszło, że w zasadzie jest jak pod namiotami – siedem osób na niewielkiej przestrzeni. Różnicę stanowił wielki stół na środku,

z którego oczywiście zamierzaliśmy rychło zrobić użytek. Póki co zająłem miejsce na łóżku przy oknie i zaległem, czekając na rozkaz do wymarszu na posiłek. Ten zaserwowano nam w barze znajdującym się kilometr od hotelu, a potem już przydziałowo czas wolny. W zasadzie każdy mógł się rozejść do swojego pokoju i zająć tym, co lubi, ale co poradzić, że wszyscy, zwłaszcza na wyjazdach, z dala od żon, lubiliśmy to samo?

Zrobiło się więc dziko. W kilku pokojach równocześnie trwało chłanie i rżnięcie w karty, korytarzami snuli się Jasie Wędrowniczki, co to albo spacerowali z butelką, by częstować, albo z kieliszkiem, by gdzieś się załapać na krzywy ryj. Jeden z kolegów z innej jednostki, o ksywie Dziki, stwierdził, że nie chce sobie ujebać ciuchów, więc przez całą noc paradował korytarzami niemal nagi, tylko opasany ręcznikiem.

I tak to szło, impreza trwała, nikt nie patrzył, że zgodnie z rozpiską na piątą zaplanowano zbiórkę na śniadanie, a o szóstej rozpoczynała się służba. Bawiliśmy się w najlepsze.

Aż dostaliśmy znak. Wspomniałem już, że hotel był stary i zrujnowany, prawda? No więc teraz uzmysłowie wam, jak bardzo. W którymś momencie ktoś wszedł do pokoju ze zbyt dużym impetem, drzwi walnęły o framugę, a wtedy... wypadło okno. Ale nie sama szyba. Całe, całuteńkie okno z ramą poleciało prosto na łóżko Andrzeja. Szyba w drobny mak, ostre kawałki wbiły się w kołdrę i poduszkę, a rama wyrka aż stęknęła pod ciężarem.

Zamarliśmy, patrząc to na okno, to na Jędrka, i wreszcie ktoś powiedział to, co pomyśleliśmy chyba wszyscy:

- Jezus Maria, wóda uratowała mu życie!

I faktycznie, gdyby zamiast siedzieć z nami przy stole, chlać i grać w karty mój partner spał grzecznie w łóżku, ani

chybi byłby teraz albo martwy, albo tak poharatany, że by go bez charakteryzacji do Frankensteina brali na potwora.

W każdym razie to zdarzenie mocno na nas wpłynęło. Karty poszły na bok, a zaczęły się mocno filozoficzno-teologiczne rozważania, kto też nad naszym Andrzejem tak czuwał. Ani chybi jakiś spirytus. Tylko czy sanktus, czy movens, czy jeszcze jakiś inny...

W końcu około trzeciej uznaliśmy, że może jednak pora się położyć, i udaliśmy się do wyrek. Na szczęście mieliśmy zapasowe, na którym mógł spać Jędrak, bo jeden z chłopaków zaległ pijany w innym pokoju.

Rano, jak zapowiedziano, o piątej pobudka. Większość się zwlokła, ja też, ale Andrzej spał jak zabity. No to go obudziłem - nie bez wysiłku - kazałem mu się ogarnąć i przegoniłem go do łazienki. Powłókł się tam półprzyciemnie i jak się okazało, zamarł przed lustrem, niezdolny do wykonania ruchu. Trochę się spałem, bo wiedziałem, że czasówka akurat dziś będzie bardzo pilnowana, więc wcisnąłem mu w rękę szczoteczkę z pastą, ochlapałem paszczę wodą i klepnałem w policzek.

- Stary, weź się budź, naprawdę musimy się zbierać.

Zabrał się do działania, tyle że wszystko robił ślamazarnie i jak w zwolnionym tempie. Przez moment byłem tak zdesperowany, że sam chciałem mu te zęby wymyć.

W końcu się jednak ogarnął, schodzimy na dół, a tam cisza. Plac pusty. Autokary odjechały.

- No to jesteśmy w dupie - mruknąłem, by zaraz w przebłysku świadomości, który jakimś cudem przedarł się przez alkoholowy opar w moim mózgu, zakrzyknąć: - Śniadanie!

Przecież oni jeszcze przed wyjazdem na zabezpieczenie mieli zahaczyć o śniadanie. Jak się sprężymy, to zdążymy ich złapać.

Ale łatwiej powiedzieć niż zrobić, gdy ta ślamazara za mną wlokła się jak jakieś filmowe zombie. Miałem ochotę przeprowadzić go przez tę drogę na kopach.

Z każdym krokiem jednak Andrzej trzeźwiał i jego ruchy nabierały sprężystości. Pod koniec szliśmy już nieomal w równym tempie, a gdy dotarliśmy na parking pod barem, horda żywych trupów właśnie wyłaniała się z lokalu. Zjeść nie zdążyliśmy, ale żadna strata, bo i tak pewnie nie zdołalibyśmy nic przełknąć.

Dotarliśmy na miejsce, gdzie rozdzielono nam służbę. I jak na złość przydzielono nas do strefy zero, czyli pod samym ołtarzem. Zaszczyt jak cholera, zwłaszcza kiedy twoje ciało powoli przechodzi ze stanu upojenia w ciężkiego kaca, a tu na dodatek zapowiada się bardzo słoneczny dzień. Ale cóż było robić.

Dotarliśmy na teren, a tam ogromny plac, podzielony barierkami na sektory. Między nimi szerokie przejścia, za płótkami już dzikie tłumy pielgrzymów. Niektórzy po prostu siedzieli i czekali, innych brało na śpiewanie. Jakiś gorliwy księżulo zachęcał do dzielenia się radością przez skrzeczącą szczekaczkę, a ja myślałem tylko o tym, jak chętnie wsadziłbym mu tę tubę w dupę.

W sektorach pod ołtarzem śmierdziało. Ludzie koczowali tam całą noc, a wielu z nich wiedziało, że opuszczając swoje miejsce, już go nie odzyska, więc jak się jakąś potrzebę dało załatwić dyskretnie, do butelki, to tak robili. Pełna wspólnota - jeden musiał, reszta robiła parawan z koca, trochę miejsca i podawali butelkę czy słoik. Potem próbowali to wszystko jakoś ukryć, zamaskować, ale narastający upał to w takich kwestiach najlepszy śledczy.

Chodziliśmy z Andrzejem wzdłuż tych pierwszych sektorów, a każde „Abba, ojcze” było niczym dziewięciocalowy gwóźdź prosto w łeb. W końcu nie

wytrzymaliśmy i udaliśmy się do punktu medycznego.

- Macie coś przeciwbólowego? - zapytałem siostrzyczki, a ta uśmiechnęła się złośliwie.

- A co, epidemia jakaś u was?

- No, pewnie podróż i klimat nie taki.

- Tak, klimat. Myślałby kto, że tacy wrażliwi - zakpiła, ale miłosiernie poratowała nas i wszystkich kolejnych klimatycznych alergików czymś, co choć odrobinę ulżyło nam w cierpieniu.

Lepszym lekarstwem, które pomagało naszym, były przemycone do autokarów browary. Raczylśmy się nimi dyskretnie, w cieniu, pod pozorem szukania czegoś w rzeczach czy przypadkowego przejścia w kierunku toalet. Nic to, że było zupełnie nie po drodze. Piwo trochę nas nawodniło, ale oczywiście, jak się łatwo domyślić, koncentracji nam szczególnie nie poprawiło.

I na to wszystko przybył papież. Jak przystało na wielką osobistość i długo oczekiwaną gwiazdę, natychmiast skupił na sobie caluteńką uwagę i sprawił, że my, stojący wzdłuż barierek, staliśmy się niemal niewidzialni. Jedyne, czego od nas wtedy oczekiwano, to sterczenie na słońcu, patrzenie na ludzi i udawanie kompetentnych i w każdej chwili gotowych do działania. Niby nic, ale dla nas to i tak było dużo, więc byliśmy dumni, gdy po tych wszystkich godzinach, po mszy i wydarzeniach towarzyszących jeszcze staliśmy na nogach, nadzorując rozejście się pielgrzymów.

Pod wieczór papież wrócił na opuszczony już przez wiernych teren, gdzie oczekiwał na niego śmigłowiec. My, operacyjni, robiliśmy szpaler i papież szedł między nami. W pewnym momencie zatrzymał się, pobłogosławił nas i podziękował za pilnowanie spokojnego przebiegu jego wizyty oraz, bardziej ogólnie, nasze oddanie służbie i społeczeństwu. Szpaler był na szczęście dość szeroki,

więc od któregokolwiek z nas dzieliło go nie mniej niż dwa metry i nie mógł wyczuć bijącej od nas woni trawionego alkoholu. A może właśnie czuł i te słowa wypowiadał z subtelnym przekąsem? Trudno powiedzieć, to w końcu papież.

Ja mogę dziś bez cienia wątpliwości powiedzieć – gdyby cokolwiek się wtedy zdarzyło, bardzo niewielu z nas byłoby w stanie podjąć jakąkolwiek skuteczną interwencję. Ale ponieważ nie stało się nic, a papież nam ładnie podziękował, ekipa spuszczonej ze smyczy psów mogła spokojnie odtrąbić sukces.

Mimo iż pracowało się nam razem świetnie, w pewnym momencie Andrzej stwierdził, że potrzebuje zmiany, chciałby wypróbować się w zakresie innej przestępczości, i przeniósł się do Grubego, do jedyńki. Żartowałem sobie z niego, że wcale nie chodzi mu o nowe doświadczenia, ale kuszą aromatyczne śniadania z grilla z Leksem i resztą, ale w sercu czułem trochę żal. Nie, nie do niego. Po prostu, że coś fajnego się kończy.

Na szczęście w tym samym czasie zatrudniono w wydziale Jarka, zwanego Śpiochem, który wcześniej był dzielnicowym w jednym z rewirów fabryki. Co więcej, pracował dotąd w rejonie, który ja obsługiwałem kryminalnie, więc miał obeznanie i znajomość terenu. Zaczęliśmy razem pracować i od razu zaskoczyło. Dla niego był to prestiż, bo jednak do wydziału wcale nie tak łatwo było się dostać, a ja miałem kogoś sprawdzonego w terenie, kto rozumiał specyfikę pracy i kogo nie musiałem wszystkiego uczyć od podstaw.

Oczywiście trzeba go było przysposobić do szykowania kwitów po naszymu, zbierania materiałów i wiedzy potrzebnej pod realizację - no i dochodziło wszystko to, co różniło robotę w kryminalnym od prewencji - ale to, co istotne, łapał instynktownie i nie czułem się tym doedukowywaniem go jakoś specjalnie zmęczony. Zgraliśmy się raz-dwa.

Przychodząc, Jarek przyniósł ze sobą do wydziału sprawę. Niespecjalnie medialną, z milionowymi stratami, ale raz, że dotyczącą ludzi z naszego terenu, a dwa, że o szkodliwości rosnącej właściwie z dnia na dzień. Chodziło o nasilające

się w ostatnim czasie włamania do altanek w ogródkach działkowych.

Śpioch już na dzień dobry miał pewne informacje i kilka sugestii wskazań. Wyszliśmy z nimi w rejon, poszukaliśmy i doprecyzowawszy je, przygotowaliśmy się do realizacji, a ta zakończyła się schwyтaniem dwóch sprawców, którym w toku sprawy udowodniliśmy blisko sto kradzieży z włamaniem. Odzyskaliśmy też naprawdę wiele ze skradzionych fantów, co ucieszyło starszych zwykle działkowiczów.

Szefostwo też było zadowolone, bo Śpioch zaliczył istne wejście w wydział z buta. Ważne jest bowiem, by pamiętać, co tak naprawdę liczy się dla przełożonych. A nie jest to, jak mówią, pełna poświęceń służba obywatelom, sprawiająca, że czują się bezpiecznie w państwie prawa. Nie, szarą eminencją w psiarni od zawsze była pani statystyka!

Na głos mówi się o niej, że jest jedynie narzędziem służącym do oceny stanu przestępczości, ale to gówno prawda. Ona jest naszą właściwą przełożoną i to jej niezadowolenie może się na nas najbardziej odbić. Nawet gdy wszystko idzie dobrze, na terenie jest bezpiecznie, wystarczy, że ktoś na górze zauważy, że jakiś słupek poleci w dół o zero, przecinek, zero, zero, coś tam, już się zaczyna gorączka. Narady, plany naprawcze, głupawe akcje społeczne odrywające nas od pracy i psujące inne słupki. No koszmar.

A najgorsze w tym wszystkim było to, jak takie sytuacje wpływały na nasze działania i niejednokrotnie podejście do pracy. Weźmy taki napad na bank. Tak mówi się na to poważne przestępstwo potocznie, bo fachowo jest to rozbój dokonany na pracownikach banku. Takim samym rozbojem jest bójka w szkole, gdy jeden smarkacz próbuje zawiąć

drugiemu kanapkę albo drobne na colę i wymuszając te środki, daje mu w twarz. Co się więc robi, gdy ktoś napadnie na bank i zwieje z kupą szmalu, a my nie jesteśmy w stanie go dorwać, bo był naprawdę dobry? Kryminalni biegną pod szkoły, łapią dwadzieścia małych rozbojów o kanapkę i zawijają niełatów. Przełożony odnotowuje w statystyce wzrost wykrywalności w rozbojach o pięćdziesiąt procent, lecą pochwały i kasa. A że policja nie wykryła rozboju na pracownikach banku? Cóż, statystycznie to tylko jeden niewykryty rozbój na dwadzieścia wykrytych.

I Śpioch właśnie wstrzelił się ze swoimi altankami w taki moment, gdy mieliśmy kilkadziesiąt niewykrytych włamań do mieszkań i sklepów, więc pokrył przełożonym statystykę z nawiązką. Jak mogli go w tamtej chwili nie kochać?

Tyle że taka łaska pańska, wiadomo, na jakim jeździ koniu. Słupki dziś ustawione do porządku mogły się rozjechać jutro, bo na przykład zrobiło się dobrze we włamaniach, ale sypnęły się narkotyki, gospodarcze zwyżkują, spadają rozboje. A do tego wszystkiego dochodzą jeszcze mandaty z niewyrobioną normą. No i wypadki drogowe. Ledwie któryś z komendantów o jakimś usłyszy, zaraz sraczka, bo to też podlega ocenie i ma swój słupek. Za dużo - znaczy policja dała ciała. Wystarczy jeden słabszy miesiąc i hyc, człowiek zlatuje z fotela komendanta. To jak nieustanna gra w gorące krzesła.

Tymczasem znowu doszło do zmiany naczelnika wydziału. Heniek przewencjusz uznał, że już mu wystarczy i czas się zbierać na emeryturę, ale poczuwał się na tyle, że nie chciał tego robić bez znalezienia nam godnego siebie następcy. Snuł się więc i żalił, że już by sobie poszedł, na wolność, na ryby, ale przecież nas tak nie zostawi.

I wtedy, przy jednej z takich rozmów, coś mnie tknęło.

- Andrzej, ten inżynier z pegetów? Młody oficer, przyszłość przed nim, ludzi zna. Nie wiem, czy na stałe, ale póki co może się nada.

Heńkowi aż się oczy zaświeciły. Klepnął się w czoło i zaraz zerwał z krzesła.

- To świetna myśl jest. Kurwa, lecę zaraz do starego.

I tak Inżynier Andrzej został naczelnikiem. W papierach wyglądał dobrze. Staż służby może nie za długi, ale już oficer, do tego z wyższym wykształceniem, kij, że rolniczym - stąd zresztą Inżynier - i ambicjami. Z sukcesami było gorzej, ale za to postura! Inżynier wyglądał tak, jakby przed objęciem funkcji pożarł swoich poprzedników, by indiańskim zwyczajem przejąć ich siłę i mądrość. Samo jego śniadanie mogłoby wyżywić afrykańską wioskę przez miesiąc.

No dobrze, trochę się wyzłośliwiam, ale już poważnie mówiąc, Inżynier jako komendant się nie popisał. Jako szeregowy policjant był fajnym kolegą i w porządku gościem. Jako przełożony pierwsze, od czego zaczął, to budowanie między nami muru. Zrobiło się roszczeniowo, nieprzyjemnie i z pretensjami, tym bardziej że wyniki dość szybko zaczęły spadać. A im bardziej spadały, tym gorzej zachowywał się Inżynier i wszyscy coraz bardziej mieliśmy go dość. Ja najbardziej, bo koledzy, wiedząc, z czyjej inicjatywy zyskaliśmy nowego naczelnika, dawali mi popalić. Nie dziwiłem im się, sam miałem do siebie o to żal. Choć z drugiej strony kto mógł przypuszczać?

Na szczęście długo nami Inżynier nie porządził, bo ściągnięto do nas człowieka spoza fabryki - Marka, który znowu dał nam robić swoje. Inżynier został jego zastępcą, co go trochę utemperowało, choć do relacji, które mieliśmy z nim przed jego awansem, nigdy już nie wróciliśmy.

W ramach towarzyskiej anegdoty Śpioch opowiedział mi kiedyś, jak to jeszcze był w prewencji i jechał oznakowanym radiowozem przez Nowy Dwór, gdzie pełnili służbę. Jedna z tamtejszych ulic była w remoncie i wyznaczono objazd z obowiązkowym ruchem jednokierunkowym.

Właśnie tam dojeżdżali, gdy nagle widzą, a tu jakaś luksusowa bryka wbija na luzie pod prąd, lekceważąc zakaz wjazdu. No to włączyli koguty, auto na bok.

Jarek podszedł, a facet ledwie opuścił szybę i już z wiązanką.

- Czy wy, kurwa, wiecie, kim ja jestem?

Śpioch nie wiedział, ale zamierzał się doedukować.

- Dokumenty poproszę.

Na co kierujący podał swoje nazwisko i oznajmił, że jest, to znaczy był wojewodą wrocławskim. Powiedział, że mają go natychmiast puścić i spierdalać, bo jak nie, on im jeszcze, znaczy Jarkowi i drugiemu policjantowi, pokaże i obaj na zbity pysk wylecą.

Mój partner przyjął to wszystko na spokojnie, dał się facetowi wykrzyczeć, po czym jeszcze raz poprosił o dokumenty.

- Widzisz, Adam - Śpioch zakończył swoją historię ze śmiechem - on jeszcze nie rozumiał, że te czasy się skończyły.

Nie pamiętam, co powiedziałem, ale już wtedy wiedziałem, że to nie do końca prawda. Może dla tamtego gościa i owszem, bo już nie był u koryta. Ale to przecież nie tak, że zabraknie nagle świętych krów z tysiącem koneksji.

Nadal trzeba było cholernie uważać.

Bo takie rzeczy jak zastraszanie policjantów na służbie działały się i dzieją nagminnie. Jedni usiłowali wykorzystywać prawdziwe lub wyimaginowane znajomości, inni posługiwali się bezczelnymi kłamstwami, które doprawione tupetem i zjadłością zafundowały niejednemu glinie sporo kłopotów. Ileż to razy było tak, że przestępca, wobec którego realizowało się jakieś działania, w odwecie składał doniesienie a to o pobiciu, a to o żądaniu łapówki. Oczywiście nie twierdzę, że takie rzeczy się nie działały, że gliniarze nigdy nie brali łapówek, ale większość znanych mi przypadków wynikała albo z zemsty, albo z próby odwrócenia uwagi od własnej sprawy karnej.

Można też było mieć zwyczajnie pecha do takich akcji, jak mój partner. Znowu Nowy Dwór, znowu zatrzymanie, tym razem za kierownicą siedzi kobieta. Jarek podchodzi do niej grzecznie, prosi o dokumenty, a ona z pyskiem, że jakim prawem. Więc Śpioch powtarza formułkę i ponownie prosi o dokumenty, na co kobieta, że gównu mu pokaże, i już się szykuje do odjazdu.

- Ostrzegam panią - mówi Jarek - że w razie niepodporządkowania się w przypadku kontroli i przy próbie ucieczki będę zmuszony użyć broni służbowej. - To powiedziawszy, położył rękę na kaburze i rozpiął ją, nie dobywając jednak broni.

Podziałało, kobieta, wciąż psiocząc, okazała wreszcie dokumenty, a Śpioch spokojnie dokończył czynności, pożegnał się i wrócił do patrolowania rejonu. Ledwie jednak skończył i wrócili do fabryki, dostał wezwanie na dywanik do komendanta.

Prewencyjny wydarł się na niego na ostro, że jak może dokonywać bezpodstawnych zatrzymań i jakim prawem używał broni służbowej. Więc Jarek wszystko wyjaśnił,

powiedział też, że broni nie użył, a tylko o niej wspomniał, bo zatrzymana zachowywała się tak, jakby zamierzała uciec. Mówił i mówił, ale to nie uspokajało żyłki pulsującej na czerwonej szyi komendanta. Zaraz poleciały kolejna porcja bluzgów, wiadomość, że zostanie wszczęta dyscyplinarka z powodu tej broni, i polecenie natychmiastowego wyniesienia się. Śpioch wyszedł, a na dniach okazało się, że faktycznie wszczęto przeciwko niemu postępowanie dyscyplinarne, które zakończyło się ukaraniem go za przygotowanie do nieuprawnionego użycia broni. Był to zarzut tak bzdurny i naciągany, że wszyscy dostaliśmy piany, ale oczywiście nic się nie dało zrobić. Potem wyszło, że zatrzymana baba była jakąś znajomą szefostwa i pierwsze, co zrobiła po zatrzymaniu, to udała się do kolegów i przedstawiła im swoją, niezwykle dramatyczną i zupełnie nieprawdziwą wersję wydarzeń. A to, po której stronie stanęli przełożeni, dawało nam wiele do myślenia.

Przez lata kariery wielokrotnie byłem świadkiem takich sytuacji, w których dla korzyści krewnych i znajomych królika przełożeni kładli na szalę nasze zaufanie do systemu i wiarę w zawodową solidarność. Wiele spośród tych jawnie fałszywych oskarżeń trafiało na podatny grunt, było wykorzystywanych do polityki wewnątrz firmy, a cierpieli na tym zwykli gliniarze wykonujący swoją pracę.

Wielu też było takich, którzy widząc, co i jak się dzieje, stwierdzali: a pieprzyć, skoro i tak mi się obrywa, niech przynajmniej będzie za co. I nie, nie usprawiedliwiam takich zachowań, jedynie pokazuję, że układ rzadko kiedy sprzyjał tym, którzy chcieli być w porządku, i ich nie doceniał.

Jeśli ciekawi tu kogoś, jak mój były już partner Andrzej radził sobie w jedynce, spieszę donieść, że całkiem dobrze.

Jakiś czas temu na naszym terenie pewna trzyosobowa ekipa wpadła na pomysł robienia na ostro kas zakładowych dużych firm produkcyjnych. To był początek lat dziewięćdziesiątych, wielkie fabryki o rozpoznawalnych na cały kraj nazwach, automatycznie kojarzone z tym czy tamtym miastem, wciąż jeszcze prosperowały. Już niedługo miało się to skończyć, a ogromne zakłady miały zostać polikwidowane lub rozparcelowane na wszystkie te małe firemki o wdzięcznych nazwach CośtamPol, Zbigcoś albo Cosiex. Na razie jednak fabryki działały i zatrudniały prawdziwe tłumy. A jak tłumy, to i wiadomo, kasa na wypłaty. Nie były to jeszcze czasy powszechnych kont bankowych i przelewów, więc wszyscy otrzymywali wynagrodzenia w gotówce. No i właśnie tuż przed wypłatami wpadali nasi trzej tajemniczy sprawcy z bronią i nic sobie nie robiąc z nieporadnych strażników, zawijali cały szmal.

Udało im się zrobić kilka takich akcji i wedle tego, co się mówiło na mieście, szykowali się na kolejne zakłady. I tu właśnie wchodzi Andrzej, cały na białą, któremu najpierw uchole zarzucili jakieś strzępki tematu, a potem, krok po kroku, naciskani, wyjawili, kto za tym stoi i jaki jest skład grupy. Mając już najważniejsze informacje, mój były partner wziął się za pracę operacyjną, powoli dobierając się do ekipy i delikatnie, acz w sprawnych ruchach, zaciskając wokół nich pętlę. Żeby ich nie spłoszyć, musiał działać

jednocześnie szybko i cicho. Z racji kalibru sprawy został w nią zaangażowany cały wydział.

Tymczasem Andrzej najpierw dowiedział się, który duży zakład ma być następny. Faktycznie był spory i z liczną załogą, co gwarantowało niemały pieniądź. Potem kolega zebrał informacje, że rozzuchwaleni bandyci planowali też rąbnąć przy okazji kilka mniejszych kas, a gdy i to przejdzie, kolejne większe. Wszystkie te wieści przychodziły od jednych uchoi, były weryfikowane przez drugich, a tymczasem odpowiedni wydział dostał zlecenie stałej obserwacji członków ekipy. Mieli czuwać nad tym, aby przygotować realizację poprzez zatrzymanie, gdy wszyscy członkowie grupy będą razem w obserwowanym domu na Pilczycach. Złożyliśmy też zamówienie na czarnych, to jest kompanię antyterrorystyczną, bo bandyci byli uzbrojeni w broń palną i nikt nie wiedział, jak się zachowają podczas ataku.

Gdy przyszło co do czego, cały wydział zabezpieczał budynek wokoło, a czarni, zwani też katowcami, rozpoczęli rozróbę, wbijając się do środka taranem i wpadając do wnętrza. Załatwili sprawę raz-dwa, ale niedokładnie, bo mózg naszej szajki jakoś znalazł sposób, by się ewakuować od strony ogrodu. Pech chciał, że natknął się tam na naszego naczelnika, Marka, który również brał udział w akcji. Ten, widząc uciekiniera, rzucił się w jego stronę i złapał go od tyłu, chwytając go nieco powyżej pasa i mocno ściskając.

W tym momencie nadbiegł nasz poczciwy Witek i widząc, że szef szamoce się ze zbrojem, zaczął bandytę pacyfikować ciosami w... wyjątkowo twardy brzuch. W końcu powalili klienta na ziemię, zakuli, a wtedy naczelnik podniósł obtłuczone, posiniaczone ręce do światła i pokazał je Witkowi.

- Patrz, co mi zrobiłeś, tumanie. Nie mogłeś patrzeć, gdzie lejesz?

Poza tym incydemem wszystko przebiegło sprawnie, ujęliśmy całą szajkę, a w stojącym pod domem samochodzie ujawniliśmy broń używaną do napadów. Głośna i prestiżowa sprawa została rozwiązana i zakończona pełnym sukcesem.

Nie raz i nie dwa wspominałem już o tym, jak ważni w wykrywaniu spraw są uchole. Ci najlepsi, wywodzący się bezpośrednio ze środowiska, są wręcz na wagę złota, bo potrafią nie tylko podać imię, nazwisko czy nadać akcję do złapania na gorącym uczynku, ale i w razie potrzeby wskazać, gdzie się kryją przestępcy lub gdzie zostały spylone fanty.

Takiego też konia miał Śpioch, z którym nieco wcześniej prowadziliśmy sprawę włamań do kiosków i sklepów na osiedlu Leśnica. Cynk dostaliśmy na dobrze nam znaną ekipę z tamtych okolic, a złapany sprawca, Paweł, łatwo wydał nam współpracowników, by zaraz potem w ogóle pójść do Jarka na uchola za kasę.

Tu ważne i warte powtarzania do znudzenia: niepisane, ale święte prawo mówi, że kontakt z kapusiem ma tylko jeden gliniarz i tylko on ma prawo z nim rozmawiać i zdobywać od niego informacje. Raz, że to kwestia bycia fair wobec pracy werbunkowej kolegów, a dwa, że uchol, który gada z każdym, to taki, któremu nie można ufać.

Inna ważna zasada dotycząca ucholi, o której chyba już wspominałem, dotyczyła tego, w jaki sposób kapuś kontaktuje się ze swoim prowadzącym; przyście na komendę to absolutna ostateczność, akceptowana wyłącznie w sytuacjach, gdy sprawa jest ważna i niecierpiąca zwłoki.

Paweł właśnie taką sprawę miał, a pewnie też potrzebował pilnie kasy, więc przyszedł. Śpiocha akurat nie było, więc uchol, czekając, wdał się w rozmowę z Witkiem. I tu już nastąpiło pierwsze złamanie zasad, które obaj znali,

ale na tym się wcale nie skończyło. Bo gdy wrócił Jarek, Paweł nadał mu temat włamywacza walącego kioski Ruchu. Sprawa właściwie gotowiec, bo przyniósł i nazwisko, i miejsca włamów, i altankę, gdzie sprawca trzyma skradzione rzeczy, a do tego zobowiązał się, że wystawi włamywacza, wyciągając go do tej miejscówki z fantami. Śpioch dał mu za to zaliczkę i obietnicę sporej kasy po domknięciu tematu i zabrał się do sporządzenia notatki, z którą poleciał do naczelnika Marka. A ten ze zdziwieniem, że już temat dostał przed chwilą od Witka!

Śpioch się oczywiście wkurwił i na pełnych nerwach streścił naczelnikowi, co się właśnie stało, że Witek wyciągnął informację od jego uchola, by mu ukraść sprawę. Szef przyznał mu rację, uznał zachowanie Witka za nielojalne i nieprzepisowe i zobowiązał się traktować pierwszą notatkę jako niebyłą, a z nieuczciwym podwładnym pogadać po męsku. Jarkowi natomiast dał zgodę na realizację.

Ta przebiegła wzorowo, a zatrzymany, choć z początku krzyczał, że jest niewinny i nie wie, o co chodzi, już w fabryce z miejsca się poddał. Okazało się, że to stary złodziej, który szanował zasady gry. I tym razem, złapany, musiał uznać psią wyższość. Przyznał się do wszystkiego, opowiedział, skąd zawinął poszczególne fanty i jak wszedł do danych miejscówek. Na koniec jednak odpalił nam prawdziwą petardę. Wszystkich ośmiu włamań dokonał nie sam, a... z naszym kapusiem Pawłem. Podał go jak na tacy w protokół, a że poszło w papier, niewiele mogliśmy już zrobić. Tak oto pazerny uchol, który chciał dorobić się i na skokach, i na podkablowaniu współnika, wpadł na głębokim przeświadczeniu, że złodziejski honor kompana nie pozwoli mu go wsypać. Cóż...

Tymczasem znowu doszło do niewielkich przetasowań w wydziale. Jeden z kolegów, mój imiennik, ale nie ten nowy od samochodów, przeszedł do kryminalnego w wojewódzkiej. Z referatu dzielnicowych natomiast dołączył do nas Grzesiu, dawny kumpel Śpiocha, który tak długo marudził mu, że się marnuje w swojej robocie, aż się Jarek w końcu za nim wstawił u naczelnika. Gdy już do nas przeszedł, poszedł na samochody i zaczął robić Darkowi solidną konkurencję, co dobrze wpłynęło na statystyki.

Porucznik Zbyszek odszedł najpierw na zastępcę komendanta, a następnie komendanta komisariatu na osiedlu Grabiszynek, który przez ładnych parę lat podlegał organizacyjnie naszej komendzie, a potem... Nie, nie będę uprzedzał faktów, powiem tylko, że Zbyszek jeszcze w tej opowieści wróci.

Tymczasem Adam, który przeszedł do wojewódzkiej, raczej się w jej strukturach nie wyróżniał, ale jedna sprawa przyniosła mu bardzo duży rozgłos.

Pewnego razu, gdy miał wolne, postanowił spędzić dzień w swoim mieszkaniu, mieszczącym się akurat na jednym z naszych osiedli. Napuścił sobie wodę na relaksacyjną kąpiel, wlaź do wanny i leży. Naraz słyszy, jak ktoś najpierw kilka razy puka do jego drzwi, a potem dzwoni. Uznawszy, że to któryś z sąsiadów, Adam olał temat i tylko się głębiej zanurzył. Zaraz jednak poderwał się i nadstawił ucha. Nie, przeczucie go nie myliło. Ktoś właśnie robił jego drzwi łomem!

Wyskoczył z łazienki i mokry, golusieńki skoczył ku drzwiom wyjściowym, prosto na włamywacza. Obok tego z łomem stał jeszcze jeden, z torbami, ale zobaczywszy golasa, rzucił się ku schodom. Ten, co robił zamki, też próbował, ale Adaś uwiesił mu się na plecach i tak długo się z nim szamotał, aż go w końcu powalił i obezwładnił.

Jak się potem okazało, udało mu się zatrzymać jednego z członków grupy przestępczej, która od dawna waliła chaty na terenie miasta i nieraz napsuła krwi gliniarzom kryminalnym. W wyniku tego schwytania do realizacji grupy zatrzymano wszystkich złodziei i udowodniono im całkiem sporo spośród dokonanych przez nich włamów. Większość z nich miała miejsce właśnie przed południem, bo wtedy była największa szansa, że ludzie będą w pracy i mieszkania okażą się puste. Cóż...

Skoro rozpoczęliśmy ten rozdział historią o nielojalności Witka, zakończmy go może kolejnym przykładem jego naiwności i łatwowierności.

Pod nowym szyldem i w nowych czasach wciąż podtrzymywaliśmy tradycję wyjazdów integracyjnych, gdzie mogliśmy się poznawać całymi rodzinami i gdzie tworzyły się załączki kumplowskich relacji między młodzikami a wyjadaczami. Jeśli coś się w tych wyjazdach zmieniło, to przede wszystkim sposób pozyskiwania na nie dóbr. Czasy były już inne, trudniej było o coś bokiem, więc na alkohol i inne specjały szła zrzutka, a potem normalne zakupy w sklepie. W żaden sposób nas to jednak nie powstrzymywało i nadal wyjazdowo bawiliśmy się świetnie i przy pełnych stołach.

Któregoś razu zbieram chętnych i przygotowuję listę. Siedzieliśmy akurat u nas na melinie, grupa chłopaków przy kawie, ja z notatnikiem, zapisuję nazwiska. Właściwie wszyscy wyrazili chęć uczestnictwa i wyjazdu. Jeden tylko Witek, który jeszcze z nami nie był, miał, sądząc po minie, wątpliwości.

- No dobra - odezwał się w końcu. - Ale gdzie to ma dokładnie być, kiedy i, co ważniejsze, ile to w zasadzie będzie kosztowało, bo muszę z żoną pogadać.

Powiedziałem mu więc gdzie i kiedy, a co do kosztów, z racji tego, że nie mają dzieci i będą tylko we dwójkę, koszt będzie taki a taki. Przyjął to skinieniem głowy, a mnie nagle coś podkusiło, żeby dodać:

- Ale wiesz, jak z żoną będziesz rozmawiał, to jeszcze jedną kwestię masz do przegadania - powiedziałem.

- No? Jaką?

- Bo widzisz, my tu dość mocno zżyci ze sobą jesteśmy i w tych wyjazdach chodzi o to, żeby tak jakby, no... - Udałem, że szukam słowa, ale w rzeczywistości powstrzymywałem się, żeby nie parsknąć. Chłopaki obok przyglądali mi się z ciekawością, zastanawiając się, co się święci... - No, zżyć się mocniej. Jak rodzina jedna. Albo o, stado. Takie jak wilki, tylko wiesz, z psami.

Witek zmarszczył czoło i podrapał się po głowie.

- Chyba nie rozumiem - przyznał.

- Rozumiesz, chodzi o to, byśmy byli naprawdę blisko, by nie było moje, twoje. - Byłem już na wznoszącej fali i słowa same wylewały się z moich ust. - Na takich wyjazdach wszystko jest wspólne, wódka, żarcie, żony...

Że nikt wtedy nie parsknął, naprawdę uważam za godne podziwu. Ja cudem się powstrzymałem. Witek natomiast szerzej otworzył oczy.

- Żony?

- No żony. Zabierasz swoją, ale nie musisz się ograniczać. Jak ci się podoba na przykład Andrzejowa albo ta od Zbycha, to ani ona, ani chłopaki nie będą mieli problemu. Idziecie do pokoju, na górę, byleby dzieci nie gorszyć, prawda, chłopaki?

- No ba! - potwierdził Andrzej, a Zbychu dodał jeszcze, że jak jego tak lubi chłopaków z wydziału, to co jej będzie bronił. Może on i, kurwa, pies, ale nie ogrodnika!

Myślałem, że w tym momencie Witek się połapie, ale gdzie

tam. Wodził oczami od jednego do drugiego, nerwowo oblizywał wargi.

- No co wy, chłopaki, naprawdę tak jest?

- A ty myślałeś, że taka zajebista atmosfera i integracja to u nas skąd? To jak, wpisać was na listę? - Wycelowałem w niego długopisem.

- Nie wiem w sumie. - Podrapał się po głowie. - Znaczą fajny pomysł i w ogóle, ale jeszcze z Anką pogadam.

- Jasna sprawa, ale tak do jutra, dobra? Żebyśmy sprawdzili, czy jest parzyście.

No i na następny dzień Witek przyszedł co prawda bez podrapanej twarzy, ale ze smutną wieścią, że tym razem oni z żoną będą musieli odpuścić, bo jednak termin im nie do końca leży.

Oczywiście sprawa zaraz potem wyszła i wyjaśniliśmy czerwonemu jak burak Witkowi, że robiliśmy sobie z niego jaja, ale niewiele to pomogło. Drżąc o cześć swojej żony, nie pojechał z nami ani na tę integrację, ani na żadną kolejną w przyszłości.

Rywalizacja między Grzesiem a Darkiem, naszymi samochodziarzami, musiała w pewnej chwili zamienić się we współpracę, bo wyglądało na to, że na naszym motoryzacyjnym rynečku kroїła się grubsza sprawa.

Od chwili zmiany ustroju obywatele rzucili się na nagle powszechnie dostępne napływowe i rodzime towary luksusowe, a jednym z najbardziej pożądaných były oczywiście samochody. Kto mógł, miał dojścia i dużo kasy, kupował nowego poloneza. Kto dopiero ciułał w nowym świecie, szukał alternatywnych opcji pozyskania pojazdu. I tu na rynek wkraczali kombinatorzy wszelkiej maści, cwaniaki i złodzieje zawsze mieli dostęp czy to do samych aut - nowych lub lekko używanych - czy do trudno dostępnych części.

W pewnej chwili doszła do naszych samochodziarzy wiadomość z miasta, że jest ekipa, która hurtowo kradnie między innymi właśnie nowe polonezy, duże fiaty i jeszcze kilka innych marek. Część z tych samochodów po przebicium numerów legalizowana szła do ludzi, pozostałe rozbierano na części.

Okazało się, tak przynajmniej twierdzili kapusie, że za całym procederem stoi właściciel dużego warsztatu samochodowego, którego pomysłem na biznes było robienie kradzieży pod zamówienia. Ktoś przychodził, potrzebował takiego czy innego auta albo części i to właśnie za odpowiednią opłatą dostawał. Samochód zawijano, podstawiano do warsztatu do cięcia lub przebicia i co przyklepane, puszczano dalej.

Znaliśmy ten warsztat dobrze, bo był niedaleko naszej

fabryki, a właściciel słynął z tego, że miał wszystko, czego ci było trzeba, i sprzedawał samochodowe manele po okazjnych cenach, będących często dwustuprocentową przebitką wartości tej części. No ale jak innym sposobem nie dostaniesz, to i nie będziesz się targował.

Gdy już wzięliśmy warsztat pod obserwację, dość szybko dowiedzieliśmy się, jak auta są rozbierane albo legalizowane w ciągu jednej nocy. Wciąż jednak mieliśmy masę pytań i dlatego podjęliśmy wysiłki, aby pozyskać informatora wewnątrz zakładu. Kiedy się to udało, wyszło, że właściciel zakładu miał szeroką sieć kontaktów i znajomości, w tym także w wydziale komunikacji, który mu te wszystkie przebitki przyklepywał od ręki. Stąd przede wszystkim brała się grubość sprawy i konieczność zawarcia rozejmu między naszymi samochodziami, a także zaangażowania całego wydziału w pozyskiwanie dowodów, a potem przy realizacjach i zatrzymaniach.

Zgarnęliśmy wszystkich, to jest i złodziei, i właściciela warsztatu, a gdy ci zaczęli sypać, sprawa nagle zrobiła się głośna na całe miasto. Kiedy dotarliśmy bowiem do wszystkich dokumentów dotyczących kradzionych samochodów i na ich podstawie w wydziale komunikacji ustaliliśmy wszystkich nowych właścicieli, wyszło, że zakupów w warsztacie dokonało wiele wrocławskich osobistości. Wysoko postawieni urzędnicy, prawnicy, księża, lokalni politycy - wszyscy oni stracili nie tylko zbyt łatwo pozyskane auta, ale też na pewno, przynajmniej częściowo, twarze.

W tej sprawie udowodniono kradzież, rozebranie bądź przerobienie ponad setki aut. Gruba rzecz, co z jednej strony było sukcesem całej policji, ale z drugiej przyczynkiem do naszej porażki. Wiadomo bowiem, że jak sprawa wielka i prestiżowa, zaraz zjawiała się wojewódzka,

by nas odciążyć przy tak wielkim temacie. Oczywiście już pod sam jego koniec, bo gdy przez kilka miesięcy dłubaliśmy przy nim, zbierając fakty i dowody, pies z kulawą nogą nie przyszedł zapytać, czy czegoś nie trzeba.

Koledzy z wojewódzkiej reagowali na nasze pretensje zdziwieniem: ej, przecież policja jest jedna, jesteśmy po to, by sobie nawzajem pomagać i się wspierać, i na koniec, gdy się uda, wszyscy jesteśmy zwycięzcami.

Tak, akurat, złodzieje spraw. Powiedzcie to tym pieprzonym statystycznym słupkom!

Pamiętam jeszcze jedną anegdotę z tego czasu, na którą później nie będzie już miejsca, więc równie dobrze mogę ją umieścić tutaj.

Na obsługiwanym przez Śpiocha i przeze mnie terenie, czyli Muchoborze Małym, ktoś, jakieś gnojki, zrobił kilka włamów do mieszkań. Z racji tego, że włamy to nasza działka, ruszyliśmy w teren dowiedzieć się, co to za mendy się nagle uaktywniły i czy to miejscowi, czy może jacyś przyjezdni. Od słowa do słowa, od szklanki do szklanki, wyszło, że gnida jest nasza, rodzima i nazywa się Stasiu. Znaliśmy tego chłopaka, młodego, dobrze zbudowanego, ale tępego jak kilo okiennego kitu. Gdy już nawet udało mu się odwalić coś sprytnego, zamiast siedzieć cicho, wychodził z tym w miasto, budując sobie pozycję. Wszyscy wokoło wiedzieli, jaki z niego twardziel, zbój i że należy się z nim liczyć. Tyle wskórał, że niektórzy uchole faktycznie liczyli na to, co dostali za podanie nam go na srebrnej tacy.

Do tego wszystkiego dochodził jeszcze fakt, że Stasiu nie miał ani honoru, ani charakteru. Niektórzy złodzieje czy włamywacze mają coś na kształt własnego złodziejskiego kodeksu. Dla naszego klienta było to tak dalece obce pojęcie, że gdy raz pił u kolegi i skończyła im się wódka,

wyszedł z kumplem na zewnątrz, a kiedy tamten poszedł po chłanie, włożył mu do domu przez balkon i ukradł wszystko, co cenne. Schował to w krzakach, a potem wraz z kolegą dziwił się, że ktoś się włamał, i przysięgał, że jak gnoja dorwie, nogi mu z dupy powyrywa. A potem długie dni balował na konto obrobionego kumpla.

W końcu jednak Stasiu przestrzelił. Któregoś dnia, również wchodząc przez balkon, obrobił mieszkanie człowieka, który gdyby był akurat w domu, zrobiłby z niego przecier. I nie był to nikt z przestępczego półświatka, a sportowiec, wielokrotny mistrz Polski w judo, Rafał.

Zorientowawszy się, że został okradziony, dzudoka, jak przystało na praworządnego obywatela, zgłosił sprawę na policję. Było to włamanie, na naszym terenie, więc sprawę dostaliśmy Śpioch i ja. Od razu mieliśmy pewne podejrzenia, ale na wszelki wypadek poszliśmy do kapusiów posłuchać, co tam na osiedlu.

No i wyszło, że Stasiu albo od początku wiedział, czyje mieszkanie robi, albo zorientował się w środku po trofeach. Wedle jego historii jednak nie była to czysta robota, bo akurat w czasie pucowania chaty pojawił się gospodarz i choć rzekomo taki twardziel, taki mistrz Polski i Europy, na widok włamywacza padł na kolana i prosił, żeby mu tylko nie zrobić żadnej krzywdy.

Nie wiem, czy ktokolwiek to kupił, bo choć Stasiu nie był ułomkiem, to do mistrza trochę mu brakowało, zarówno w posturze, jak i w ruchach. No i, cholera, tamten był mimo wszystko mistrzem. Efekt tych przechwalanek jednak był, sprawa dotarła do nas, a zaraz po niej zawinięty na dechy Staś.

Chłopak, przyciśnięty faktami i zabezpieczonymi fantami, nie miał wyboru i musiał się przyznać nie tylko do chaty dzudoki czy kolegi, ale jeszcze do kilku innych włamów,

wszystkich zrobionych tą samą metodą, balkonową. Słupki dzięki temu poszły nam w górę, temat włamań się wyczyścił i wszyscy prócz Stasia byli szczęśliwi.

Nawet mistrz, bo akurat gdy Stasiu był rozliczany, zaprosiliśmy dzudokę Rafała do siebie i poinformowaliśmy go o odzyskaniu jego rzeczy oraz uchwyceniu sprawcy. Widać było, że mężczyzna nie posiada się z radości, więc ośmieliłem się zapytać z lekkim uśmieszkiem, jak to było z tym klęczeniem i błaganiem o litość, bo takie tu rewelacje opowiada nam włamywacz.

Mistrz natychmiast spowaźniał, zmrużył oczy i zapytał niepokojąco spokojnym głosem:

- Czy istnieje może jakaś szansa, żeby byli panowie tak uprzejmi i udostępnili mi nazwisko i adres tego pana? Chciałbym się z nim na ten temat rozmówić.

Oczywiście powiedzieliśmy mu, że to niemożliwe, że włamywacz jest w tej chwili pod naszą kuratelą, ale też opieką i wolelibyśmy nawet nie słyszeć o podobnych planowanych rozmowach, które mogłyby się skończyć niebezpieczną sytuacją. Mistrz oczywiście zrozumiał, jeszcze raz podziękował i wyszedł.

Jakiś czas później dotarły do nas słuchy z osiedla, że do spotkania jednak doszło. Ale dzudoka był na tyle wyrozumiały, że Stasiu... przeżył.

Nas już jednak wtedy, podczas tego pojedynku stulecia, nie było w melinie, doszło bowiem do przeprowadzki całej komendy do nowego obiektu. Budynek ten został przejęty przez policję, wcześniej służył za koszary radzieckim wojskom i dlatego musiał być naprawdę długo remontowany, nim doprowadzono go do użytku. Gdy tego w końcu dokonano, mieliśmy wreszcie siedzibę z prawdziwego zdarzenia. Normalne toalety zamiast

wychodka jak u chłopa za stodołą, przestronne pokoje, których było tak wiele, że mogliśmy spokojnie siedzieć po dwóch, przynajmniej na razie, i gdy się do siebie odzywaliśmy, nieodłącznie wtrącało się echo. Do tego lokalizacja - przy Odrze, wśród zieleni. Naprawdę przyjemnie było otworzyć okno i słyszeć jedynie śpiew ptaków.

Oczywiście z przekazania budynku zrobiono wielką szopkę. Mundurowi, sztandary, orkiestra, minister spraw wewnętrznych osobiście otwierał obiekt, a potem dla szefostwa urządzono huczną i drogą imprezę. My patrzyliśmy na to wszystko bez specjalnej ekscytacji. Dla nas liczyło się to, że skończą się wreszcie kolejki, by się odlać. Coś wreszcie zaczęło się zmieniać na dobre.

Niedługo po przeprowadzce znowu przysłała pora na zmianę naczelnika wydziału, bo Marek odchodził do nowo tworzonego wydziału pezet, czyli do spraw przestępczości zorganizowanej. Miał tam zostać zastępcą szefa.

Utworzenie nowej jednostki wymusiła nieustannie zmieniająca się sytuacja w półświatku, wywołana nową otaczającą nas rzeczywistością i jej ogromnym przestępczym potencjałem. Kiedyś, by nazwać jakąś grupę zorganizowaną, wystarczyło trzech jej członków i ktoś w szarej strefie, jak fałszerz czy paser. Teraz mówiliśmy o czymś na kształt nowobogackich interesów, powstających może i nieco chaotycznie i zakładanych przez niewykształconych cwaniaczków, ale podpartych naprawdę wielkimi pieniędzmi uciulanymi z kombinatorstwa.

Tym, co różniło przestępczość zorganizowaną od owych firemek, były, po pierwsze, obszar działania – przestępcy czerpali zyski przede wszystkim z hazardu, prostytucji czy narkotyków – a po drugie, stosowane metody. Tu wszyscy wzorowali się na zagranicy, na gangach Niemiec, Francji czy obu Ameryk, bandach, które z czasem przekształciły się w kartele, dodając temu lokalny, słowiański koloryt. Gdzieś był w tym wszystkim szef szefów, byli pomniejsi bossowie, żołnierze od brudnej roboty, wymuszenia, strzelaniny, egzekucje w lasach i walki o teren i wpływy.

Ponieważ w tym interesie wypadnięcie z gry czy głupie błędy automatycznie oznaczały paskudną śmierć, dość szybko znikwały chaotyczne małe grupki, wchłaniane lub likwidowane przez solidne ekipy, a te z kolei – nieustannie pod metaforycznym i dosłownym obstrzałem – poprawiały

metody działania, skuteczność i strategię. Wszystko, co sprawiało im problem, mogli albo zasypać forszą, albo utopić we krwi, więc robił się z tego poważny problem dla obywateli i dla nas jako służb stojących na straży porządku. Sytuację pogarszał jeszcze fakt, że szefowie takich organizacji potrafili myśleć przyszłościowo i na przykład przepchać swoich ludzi przez wszystkie szczeble policyjnej kariery, by w przeszłości mieć u nas wtykę.

Aby jakoś na to zdziczenie i samowolę zareagować, zdecydowano się utworzyć struktury, które jako specjalistyczne jednostki miały doprowadzić kraj do porządku prawnego. Tak powstały pezetki i do nich właśnie odszedł naczelnik Marek.

A że jego zastępcą był znany nam i kochany przez nas Inżynier Andrzej, znowu zaczęły się trudne dni, czy też, by wyrazić się dosadniej i adekwatniej, zapanował absolutny i totalny rozpiżdziel. Inżynier, który już za poprzedniego szefowania nie miał wśród nas żadnego posłuchu - bo też i jedyne, co robił skutecznie, to wkurwiał - przez cały czas bycia zastępcą nie nauczył się na temat zarządzania ludźmi niczego nowego. Statystyki poszły w diabły, atmosfera w robocie była nie do zniesienia, wszyscy chodzili jak burzowe chmury, a jedynymi wygranymi byli wszelkiej maści jumiarze, rozbojarze i cała ta ekipa, której się przez te nasze strukturalne zmiany i załogowe kłopoty upiekło.

Właśnie w tej atmosferze powszechnej beznadziei zadzwonił do mnie naczelnik Marek, zapraszając na rozmowę w sprawie przejścia do pezetów. Nie ukrywam, byłem podekscytowany, bo z tego, co zdążyłem usłyszeć, oddział był tworzony od zera i miał się składać wyłącznie ze starannie dobranych do tej roboty ludzi. To, że uznano, że mógłbym się do takiego składu nadawać, samo w sobie wydawało mi się nobilitacją.

W wyznaczonym dniu stawilem się więc na miejscu i wszedłem do biura na spotkanie z naczelnikiem pezetów i jego zastępcą Markiem. Pierwsze, co mnie uderzyło, to że mój były szef nie siedział normalnie, tylko okrakiem, na odwróconym krześle, z łokciami na oparciu. Pomyślałem, że tak można siedzieć na ciągnącym się rozliczeniu, a nie podczas służbowej rozmowy, bo wygląda to na lekceważenie rozmówcy, ale postanowiłem się na razie nie odzywać. Na biurku, jak zauważyłem, leżała teczka osobowa z moim nazwiskiem, pobrana z kadr.

Naczelnik zagaił, najpierw mówiąc, że zapoznał się z przebiegiem mojej kariery i po zebraniu na mój temat opinii, jak również po uzyskaniu od obecnego tu swojego zastępcy Marka informacji na mój temat ma dla mnie propozycję pracy w elitarnym oddziale.

I gdyby w tym miejscu skończył, pewnie coś by z tego było, on jednak poszedł dalej.

- Tylko żebyśmy mieli jasność - powiedział. - My tutaj nie będziemy się zajmować pierdołami bez znaczenia. Żadne tam małe włamy, drobne kradzieże czy czym tam się pan jeszcze zajmował w kryminalnym. Tu gra toczy się o prawdziwą stawkę. Nas interesują prawdziwi przestępcy. Grube ryby i ich zorganizowane, niebezpieczne ekipy.

Trochę mnie to wkurzyło, bo zdecydowanie nie pasowało mi ani to, że wypowiada się tak o pracy mojej i kolegów, ani tym bardziej to, że człowiek siedzący obok, a do niedawna będący moim bezpośrednim przełożonym i szefem kryminalnego, nawet się na te słowa nie skrzywił. Z drugiej strony wciąż schlebiało mi, że właśnie mnie zaproszono na tę rozmowę. Propozycja naczelnika brzmiała jak poważny awans i zupełnie inne zawodowe doświadczenie, może też większe możliwości i perspektywy.

Wahałem się, tym bardziej że nowe stanowisko

z pewnością wymagałoby ode mnie większej dyspozycyjności, na którą nie wiedziałem, czy mogę sobie pozwolić.

- To bardzo ciekawa propozycja i bardzo za nią dziękuję. Do kiedy muszę udzielić odpowiedzi?

Naczelnik najpierw kilka sekund gapił się na mnie jak na wariata, a potem szybko wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Markiem.

- Natychmiast - powiedział mój były naczelnik. - Nie ma czasu na dyskusje z cholerną ciotką kłotką, mamusią czy żoną. Odpowiedź ma być tu i teraz. To jak będzie?

I nie wiem, czy bardziej zagotował mnie tymi słowami, swoim tonem czy wcześniejszym brakiem reakcji. A może to wszystko zebrało się naraz i po prostu wykypiało. W każdym razie nagle zupełnie odechciało mi się tego stanowiska i dołączania do nowej elitarniej formacji. Bo jak to mają być takie elity jak ich szefostwo, to ja to pieprzę!

Oczywiście na głos ubrałem moją decyzję w zdecydowanie bardziej dyplomatyczne słowa.

- Panie naczelniku, bardzo doceniam i jestem wdzięczny, że dostrzeżono moją pracę, i dziękuję za ofertę, ale uważam, że jest dla mnie zdecydowanie za wcześnie na dokonanie tak radykalnej zmiany. Za mało mam jeszcze na koncie tych mało znaczących spraw, by brać się za te naprawdę grube.

Nie wiem, czy naczelnik załapał, że go przedrzeźniam, czy po prostu tak go zaskoczyła moja odmowa, ale zrobił kompletnie idiotyczną minę i przez jakiś czas w ogóle się nie odzywał. Gdy w końcu przemówił, głos miał taki, że mógłby nim wódkę mrozić.

- Czy to oznacza, że pan odmawia? - upewnił się.

- To oznacza, panie naczelniku, że mój samokrytycyzm nie pozwala mi na podjęcie ryzyka, bym swoim brakiem

przygotowania zaszkodził elitarniej formacji. Ale chętnie wrócę do tej rozmowy, jeśli pan pozwoli, za kolejne sto spraw.

Naczelnik docenił szczerłość. A przynajmniej tak powiedział, choć po jego minie wywnioskowałem, że najchętniej wyniosłby mnie stąd na kopach tylko za to, że śmiałem mu powiedzieć „nie”. Rozmowa trwała jeszcze kilka minut, a zakończyła ją obustronnie wyrażona nadzieja, że pewnie uda nam się spotkać przy okazji tego tematu w przyszłości.

Do czego oczywiście nigdy nie doszło, co po czasie nawet mnie ucieszyło, bo cała ta elitarna jednostka została ostatecznie zmontowana z tak dziwnych osobników, policjantów bez doświadczenia, osiągnięć czy choćby jednej przygotowanej realizacji, że aż się człowiek wstydził, kogo wystawiamy przeciwko zorganizowanym gangsterskim strukturom.

Niejednokrotnie małe sekcje z komend podstawowych miały o wiele znaczniejsze osiągnięcia w zwalczaniu przestępczości zorganizowanej niż specjalnie do tego utworzony wydział, do którego o mało nie trafiłem.

Zmiana była mi jednak coraz bardziej potrzebna, uznałem więc, że po tej wyjątkowo nieudanej rozmowie wypadałoby pójść za ciosem. Udałem się do naczelnika komendy Stare Miasto, żeby rozpoznać temat i zapytać, czy nie chciałby u siebie wykorzystać moich umiejętności, popartych, było nie było, już jedenastoletnim doświadczeniem zawodowym.

I tu niespodzianka, bo komendant bardzo chciał i właściwie z miejsca złożył mi propozycję przejścia do niego w ramach awansu na kierownika sekcji pierwszej w jego wydziale kryminalnym. Ten aktualny miał, jak to zostało dyplomatycznie ujęte, „wizję pracy sekcji skrajnie odbiegającą od wizji i potrzeb zespołu”.

- Spadł mi więc pan jak z nieba - cieszył się komendant. - No to szybciotko pan składa o przeniesienie, a ja już resztę załatwię. Dostanie pan dziesięciu ludzi, to naprawdę świetna załoga. I jeszcze raz, bardzo, bardzo się cieszę.

Rzeczywiście poszło szybko. Złożyłem raport i niedługo potem stawilem się do roboty na nowym miejscu. Trochę żał było zostawiać kolegów, miałem też stres związany z nieco innym niż dotychczasowy profilem działania, ale czego się nie robi dla nowych doświadczeń i rozwoju? Tak wystartowałem.

Pierwsze dni w nowej pracy polegały głównie na stopniowym przejmowaniu obowiązków od dotychczasowego kierownika i przedstawianiu policjantom założeń nowego porządku. Oczywiście byłem też bardzo ciekaw, jaki to problem mieli członkowie sekcji ze swoim szefem, że doprowadził do tak fortunnego dla mnie splotu okoliczności, więc przeglądałem pod tym kątem akta

i rozmawiałem z ludźmi, by się czegoś dowiedzieć.

Wyszło, że faktycznie nie było innej opcji, musiało iskrzyć. Rasowego operacyjniaka musiały doprowadzać do szału sporządzanie i prowadzenie całkowicie zbędnej dokumentacji, wszelkie te narastające papierologiczne nowotwory na zdrowej tkance codziennej służby oraz wykonywanie czynności wręcz sabotujących proces wykrywający. Wszystko, co normalnie wymagało prostych, wręcz intuicyjnych działań, tu było skomplikowane, czasochłonne i co najgorsze, zupełnie zbędne.

Wynikało to oczywiście z wcześniejszych doświadczeń zawodowych Ryśka, poprzedniego kierownika. Jako pozytywnie zweryfikowany esbek Rysiek pracował jak niegdyś u siebie, a tam liczyło się, by wszystko podpierać kwitem i ufać innym tak, by nawet czystą kartkę odwracać na drugą stronę, gdy ktoś wejdzie.

Jeden policjant, zajmujący się na co dzień rozpoznaniem w prostytutce, skarżył mi się kiedyś, że któregoś razu podszedł do niego komendant całej jednostki i zapytał go o kilka liczb potrzebnych mu na odprawę dla komendantów, to jest: ile prostitutek było w ubiegłym tygodniu robionych, ile legitymowanych. Policjant udzielił przełożonemu informacji, na co zaraz przybiegł Rysiek.

- Kwita wzięłeś? - zapytał.

- Jakiego kwita? - zdziwił się policjant.

- No pokwitowanie dotyczące udzielonych danych.

Wzięłeś czy nie?

Biedny policjant nie miał pojęcia, o czym tamten mówi. Pierwsze słyszał w ogóle o takiej potrzebie, nie wiedział, ani jak o to w ogóle poprosić, ani też na jakie przepisy się w razie czego powołać. Wyjaśnił to wszystko Ryśkowi, a ten nic, tylko „leć po kwit” i „leć po kwit”. Policjant stwierdził w końcu, że ma w dupie i nie poszedł.

Inny funkcjonariusz, robiąc jakieś zagadnienie, zorientował się, że ma w nim mnóstwo telefonogramów dotyczących jakichś informacji czy zleconych czynności. Ponieważ wszystkie miały po dwa, trzy lata i były dawno nieaktualne, postanowił, zgodnie z procedurami, przekazać je do archiwum. Zszył więc je wszystkie, jak przepis przykazał, i zaniósł do kierownika. A ten, upewniwszy się, co to jest, stwierdził, że nie ma absolutnie żadnej możliwości, by przekazać te dokumenty do archiwum.

- Ale Rysiek, przepisy wyraźnie mówią, że postępowanie przygotowawcze, czynności sprawdzające prowadzi się trzydzieści dni. Te tutaj mają dwa, trzy lata - tłumaczył funkcjonariusz. - Nie możemy tego dłużej trzymać.

Na co kierownik złapał się za głowę.

- Kurwa, to długo zamierzałeś te dokumenty trzymać w szafie?! - I nakazał przekazanie wszystkiego do archiwum.

Taki właśnie był mój poprzednik. Z racji pełnienia wcześniej zupełnie innej służby kompletnie nieprzygotowany formalnie i zawodowo, skupiony na bzdurach, które wyniósł z poprzedniego miejsca pracy. No i jakby tego było mało, miał mnóstwo durnych pomysłów i uprzykrzał nimi ludziom życie. Doprowadzał do szału swoich podwładnych, gdy odciągał ich nagle od roboty, wzywał do siebie i pochylony nad stołem, na którym miał rozłożone papiery z przepisami, egzaminował ich z przypadków użycia broni.

Doszło do tego, że gdy przychodziłem do sekcji, na biurku komendanta znajdowało się już kilka raportów z prośbami o przeniesienie. W rubryce dotyczącej potencjalnej kolejnej placówki wszyscy wpisali „obojętnie gdzie”.

Warto tu podkreślić, że to, co zrobił w zaistniałej sytuacji Irek, komendant Starego Miasta, miało charakter

precedensowy. Zwykle w strukturach wygląda to tak, że jeśli już ktoś dostanie jakieś stanowisko kierownicze, to na nim zostaje, chyba że usunie go z niego kop w górę, emerytura, poważne uchybienie wobec szefostwa lub wrzawa medialna. Wiązało się to oczywiście z głębokim przekonaniem, że jeśli ktoś, nawet niekompetentny, trafił na jakieś miejsce, może mieć plecy, które go tam podsadziły, albo wiedzę, która pozwala mu się utrzymać w siodle. Każde zwolnienie przełożonego ze względu na konflikty z załogą tworzyłoby szczelinę w jasno ustalonym porządku hierarchicznym, a w nią łatwo byłoby wbić demokratycznego klina. Bo kiedy pracownicy zaczną się tak po prostu, do tego gremialnie, skarżyć na głupoty robione przez swoich przełożonych, któż się ostanie?

Komendant Irek zdecydował się jednak podjąć ryzyko i to ryzyko się opłaciło. Potrzebowałem ledwie kilkunastu dni, by wszystkie wnioski o przeniesienie zostały wycofane. Zapoznałem się ze wszystkimi rozpoczętymi sprawami i usunąłem wszelkie przeszkody stojące na drodze do dalszego ich procedowania. Uzmysłowiłem ludziom, że odnośnie do prowadzonych czynności daję im tyle przestrzeni, ile potrzebują, by wykonać dobrze swoją pracę. A jednocześnie uczyłem się ich wszystkich i indywidualnego podejścia do każdego z nich.

Na samym początku nowej służby komendant i mój poprzednik nakreślili mi charakterystyki moich podwładnych, z wyraźnymi wskazaniem, kto jest w porządku, a z kim będę miał problemy. Dostałem mnóstwo przykładów, porad i uwag, za wszystkie oczywiście podziękowałem, ale nieszczególnie zamierzałem je uwzględnić w dalszej pracy. Bo zdanie o człowieku, z którym ma się pracować i na którym trzeba potem polegać, najlepiej wyrobić sobie samemu.

Miałem rację. Ci rzekomo trudni, gdy tylko nawzajem się obwąchaliśmy i gdy wyczuli, że zamierzam ich traktować uczciwie i bez zbędnego wpieprzania się, zaczęli nagle odnosić sukcesy. Okazało się, że nie mam w składzie dobrych, złych i trudnych, tylko dziesięciu policjantów o różnych charakterach, zdolnościach, temperamentach i doświadczeniu, którzy jednak odpowiednio poprowadzeni – czyli nie za rączkę, a jak partnerzy – odpłacali zarówno lojalnością, jak i efektami.

Weźmy takiego Dzikiego. O tym, że zasługiwał na tę ksywkę bardziej niż ten, co ganiał po korytarzach owinięty ręcznikiem podczas drugiej wizyty papieskiej, miałem się dopiero dowiedzieć. Zanim to jednak nastąpiło, dużo się o nim nasłuchiwałem. Że krnąbrny, nieobliczalny, nie do złamania karami i nie do kupienia nagrodami. Szczupły, żylasty typ pod czterdziestkę, nie za wysoki, ale w tak zwanych normach rekrutacyjnych. Hobbystycznie kolekcjonował broń, niewypały i inne tego typu manele. Znał się na tym, często chwalił okazami, które trzymał u siebie w pokoju. Lubił też groźne zwierzęta. W wielkim biurowym akwarium hodował piranie, w domu zaś miał groźnego owczarka kaukaskiego.

Jedna z pierwszych historii, jakie usłyszałem o Dzikim, dotyczyła tego, jak któregoś razu nie wytrzymał wpieprzania mu się w robotę i kolejnych durnych, nic nie wnoszących uwag i tak wyrznął Ryśka w ryj, że przełożony zalał się krwią.

Nie był to pierwszy taki jego numer. Jeszcze za czasów milicyjnych Dzikiemu przypadła sprawa operacyjna niszczenia mienia poprzez malowanie pomników na terenie parku Teatru Lalek i zakładanie na nich łańcuchów. Wymowa symboliczna, więc oczywiście głównymi podejrzanymi byli działacze Solidarności. A skoro tak,

w sprawę włączyła się esbecja. Tyle że zrobiła to po swojemu i skoro i tak już tam miała frajera milicjanta, zaczęła go gnębić, by łąził po mrozie i rozmawiał z absolutnie wszystkimi, żeby się czegokolwiek dowiedzieć. Potem miał to raportować.

No i Dziki tak robił, raz po raz informując, że przygodni gapie nie wiedzą, kto był tak bezczelny, że zniszczył społeczne mienie. Dziesiątki notatek z rozmów, palce i nos odmarzające na mrozie, ale esbekom siedzącym w ciepélku ciągle było mało.

Więc się któregoś razu Dziki wkurzył, zabrał ze sobą wędkę, wywiercił sobie dziurę w lodzie i przez większość dyżuru łowił ryby. A że te były równie rozmowne jak większość spacerowiczów, notatka z tego dnia zawierała kilka rozmów z psiarzami z parku i większość ze złowionymi w fosie rybami. Po wysłaniu tego do SB zrobiła się afera, zakończona rozmową dyscyplinującą. To znaczy zakończyła się dla Służby Bezpieczeństwa. Z Dzikiego był bowiem pamiętliwy skurwiél i gdy kilka lat później, już w nowym ustroju, zobaczył prowadzącego tamtą sprawę byłego esbeka Binka w klubokawiarni koło wojewódzkiej, podszedł i bez ceregieli przywalił mu tak, że tamten wyrznął o glebę, łamiąc pod sobą krzesło. Dziki coś tam jeszcze poprawił i z satysfakcją oznajmił zebranym w lokalu kolegom po służbie, że się skurwielowi należało. O ile wiem, Binek już tej klubokawiarni więcej nie odwiedził.

Wbrew powszechnym obawom ja problemów z Dzikim nie miałem. On odnosił się do mnie z ostrożnym szacunkiem, ja czasem przymykałem oko na jego „oszczędzanie na czynnościach”, wiedząc, że gdy potrzebne będzie zdecydowane działanie czy wejście siłowe, mogę na niego liczyć. W tak zaistniałym porządku Dziki dowoził, co trzeba, nie sprawiając kłopotów.

I nawet jego niebezpieczne zbierackie hobby przyniosło profity, gdy okazało się, że dzięki jego znajomościom w środowisku militarystów udało nam się ująć handlarzy sprzedających na targach wykopaną, ale wciąż sprawną broń.

Partnerem Dzikiego był Zwierzak, czyli Radek, drugi z rzekomo niebezpiecznych i niesubordynowanych. Gdy przyszedłem, akurat go nie było, bo robił podoficerską, ale zanim wrócił, zdążyłem zebrać o nim trochę informacji. Trzydziestoparoletni fizol, pozornie groźny, bo z zamiłowania dzudoka i magister od fikołków, jak zwykliśmy nazywać tych po AWF-ie. Na ksywkę zapracował sobie akcjami, jakie zdarzało mu się odwalać po pijaku, a wypić lubił. Właściwie, jak krążyła o nim obieguwa opinia, mantrą jego życia były trzy literki Z. Od „zjeść, zapić, zaruchać”. Ostrzyżony na jeża, ze starannie pielęgnowanym, „niechlujnym” trzydniowym zarostem, głośny i skłonny do żartów.

Ale też, czego dowiedziałem się już sam, inteligentny i wszechstronnie wykształcony, z perfekcyjnym angielskim, w robocie ambitny i łasy na wyniki, choć nigdy kosztem kolegów. Bywał krnąbrny, zdarzało mu się przeginać, ale nie robił nic, czego nie dałoby się unormować wyrozumiałym podejściem i jasnym ustaleniem zasad.

Tych dwóch uważałem za swego rodzaju test. Ułożywszy sobie z nimi należyte relacje, wiedziałem już, że dam radę na nowym stanowisku.

Moja nowa placówka mieściła się w wydzielonej części budynku Komendy Wojewódzkiej. Było to ogromne gmazysko z mroczną, okrutną historią, którą dawało się tu wyczuć. Niosący się echem tupot buciorów gestapowców, krzyki i jęki przesłuchiwanym, dziesiątki korytarzy, zakamarków, dziedzińce, gdzie działy się paskudne rzeczy z dala od oczu gapiów - to wszystko nieustannie działało na wyobraźnię.

A może to wcale nie były jęki niemieckich jeńców, tylko krzyki opozycjonistów puszczanych ścieżkami zdrowia? Wszak po wojnie właśnie w tym budynku miała swoją siedzibę znienawidzona Służba Bezpieczeństwa, rzekomo tu, na ostatnim piętrze, dzień i noc drukowały się opozycyjne ulotki kolportowane potem na całe miasto, by zdezorientować przeciwników. Tu też po zmianie ustroju w podziemnych kotłowniach palono akta osobowe, bezpieczniackie dokumenty, teczki spraw operacyjnych i wszystkie inne niebezpieczne kwity. Było tego tyle, że piece nie wyrabiały i część papierzysk kominem wylatywała na okoliczne ulice. Zamykano je wtedy pośpiesznie, a ludzie z komendy ganiłi za kartkami mogącymi ich wszystkich pograć.

Mnóstwo historii niczym osad przylegający do ścian. Wiele strasznych opowieści, których te korytarze i pokoje były świadkami. Z początku było to onieśmielające, ale z czasem się przyzwyczailem. Mury to tylko mury.

Policjant, który prowadził rozpoznania wśród prostytutek i nie chciał wziąć kwitu za udzielenie informacji, miał na

imię Jarek, ale wołaliśmy na niego Biały. Był w sekcji stosunkowo od niedawna i dzięki temu nie nabrał złych nawyków ani przeświadczenia, że od tej pory, by cokolwiek osiągnąć, będzie to musiał wywalczyć, marnując energię, albo wykombinować wbrew przełożonym.

W swojej robocie był dobry i dość sprawnie radził sobie z radykalnymi zmianami na przestępczym polu, które mieściło się w obszarze jego zainteresowań. To nie była już bowiem taka prostytutka jak za czasów socjalizmu, gdzie mnóstwo niezależnych panienek po prostu wystawało na ulicach i na własną rękę lub pod opieką kilku kolegów dorabiało na boku, na plecach czy jak kto chciał. Kiedyś taką słynną wrocławską ulicą, którą szedł każdy spragniony seksu za pieniądze, była Gwarna. Dziewczyny stamtąd nie miały najlepszej opinii, wiecznie były naprute, brudne i pyskate, ale jak ktoś miał mus, szedł właśnie tam. Inną miejscówką od wieków był dworzec i okolice. Tam jednak można było równie łatwo zarazić się opryszczką, jak i dostać w ryj, bo niektóre dziewczyny ściśle współpracowały z bandziorami i zamiast zadowolić się kasą za akcję, podprowadzały klientów pod krzaki, prosto w łapy uzbrojonych kumpli.

Takie dziwki nadal funkcjonowały na rynku i wciąż należało na nie uważać, ale nie stanowiły już serca tego biznesu. Nie były nim już też dyskretne cichodajki, te, które najłatwiej było potem wziąć na kapusia, bo wstydziły się, że ich sekretne sposoby zarabiania mogłyby wyjść na jaw i zepsuć im normalne, codzienne życie.

Teraz, na początku lat dziewięćdziesiątych, kluczowe stawały się agencje. Z początku zwykła szara strefa, ot, lokale z dodatkowymi atrakcjami, dość szybko zaczęły przyciągać biznesmenów nowej fali o szerokich karkach. Najpierw panowie, zgodnie z własnym biznesplanem

opierającym się na ochronie dobrze prosperujących przybytków wszelakiej maści, zjawiali się w takich miejscach po haracz, ale gdy się okazało, że większość z nich i tak wracała po godzinach i zostawiała w przybytku zarekwirowane wcześniej pieniądze, doszli do wniosku, że po cholere komplikować. I tak w myśl zasady „rób to, co kochasz, a w życiu nie przepracujesz dnia” organizujące się właśnie gangsterskie ekipy przejęły interes i nadały mu bardziej zwartą, skoordynowaną formę.

Zadziałało i już wkrótce lokale zaczęły przynosić krociowe zyski. Co gorsza, były też cholernie trudne do ruszenia, bo aby cokolwiek ugrać, potrzebowaliśmy oficjalnych zeznań prostytutek, a te nie były tak głupie, by podpadać swoim dużo groźniejszym od nas szefom. Nie pomagała też klientela lokali, wśród której, jak kiedyś przy biznesie z trefnymi autami, przodowali biznesmeni, prawnicy, miejscowe władze i księża po zrzuceniu uniformów. Oni wszyscy nie tylko mieli wiele do stracenia w przypadku ujawnienia szczegółów działalności agencji, ale i zwyczajnie odczuwaliby jej brak jak dziurę po wyrwanym zębie.

Podsumowując, Biały łatwo nie miał, ale robił, co mógł, i naprawdę, uważam, radził sobie całkiem nieźle, uprzykrzając życie gangsterom i zatykając palcami kolejne dziury w tej coraz bardziej nieszczelnej tamie.

Pokój dalej siedzieli Marek, zwany Pompejuszem, i kolejny Jarek, zwany Sojką. Fizycznie się specjalnie nie wyróżniali, ot, dwóch facetów przeciętnej postury, ale były w nich zapał i dzika zajadłość, która od pierwszej chwili sugerowała, żeby traktować ich poważnie. Obaj mieli doskonałe predyspozycje do pracy operacyjnej, a do tego dość nietypową, ale ważną i cenioną przeze mnie cechę –

ciągnęło ich do spraw trudnych i skomplikowanych.

Większość tematów, które mieli, a z którymi zapoznałem się w pierwszych dniach służby, dotyczyło przestępczości zorganizowanej i sposobów, jakimi te grupy terroryzowały centrum miasta. Tematów, dodajmy, nieruszonych, bo Rysiek uznał, że to wyjście przed szereg, i nawet nie tyle ich nie wspierał, co wręcz sabotował. Trudno powiedzieć, czy kierował nim przy tym brak ambicji, kalkulacja statystyk czy obawa przed narażeniem się gangsterskim dużym graczom, ale nie zamierzałem w to wnikać. Ode mnie chłopaki dostali pełne poparcie i obietnicę wspierania ich, gdy zajdzie potrzeba. Tym szerszą, że mieli tam parę rzeczy, do których sam się zapaliłem, wiedząc, że będą zauważone i ważne.

W kolejnym pokoju siedzieli Andrzej i Staszek. Obaj w zasadzie do roboty operacyjnej nadawali się średnio, realizowali tylko to, co dostali do zrobienia, sami nie szukali. Tacy wyrobnicy. Do tego, co zauważyłem dość szybko, Andrzej zwyczajnie się w tej robocie męczył i to przełożyło się na wykształcenie u niego doskonałej zdolności kamuflażu. Nauczył się bowiem niemal perfekcyjnie udawać trzeźwego, podczas gdy w biurku miał zawsze flaszkę, z której regularnie, ze sporą częstotliwością korzystał.

Właściwie, że mamy problem, zorientowałem się po tym, że Andrzej w zasadzie nigdy nie prowadził samochodu służbowego, co wszyscy z nim pracujący traktowali jako coś zupełnie naturalnego. Dla mnie to nie było normalne, więc zacząłem się przyglądać i dostrzegać pewne symptomy. Kulminacją stała się sytuacja nie do przeczenia, gdy któregoś razu wszedłem do jego biura, w którym akurat Andrzej był sam. Na mój widok najpierw

gwałtownie wstał od biurka, potem zaczął się dziwnie zachowywać, wreszcie padł na podłogę bez przytomności, z wywróconymi oczami. Przerażony dopadłem do niego, obróciłem go szybko i zwołałem o pomoc.

Karetką przyjechała szybko, zaraz też w wyniku ich działań Andrzej trochę się dobudził i powoli wracał do siebie. Lekarz, starszy, doświadczony, nie wyglądał na specjalnie przejętego jego stanem.

- Delirka - stwierdził. - Od tego się nie umiera.

Na wszelki wypadek zabrał jednak naszego kolegę na badania.

Następnego dnia odbyliśmy z Andrzejem poważną rozmowę zakończoną wspólną decyzją, że on weźmie się za siebie, a my wszyscy spróbujemy mu pomóc. Wziął lekarskie na kilka dni, a gdy wrócił, jeszcze raz przeprosił za zaistniałą sytuację i za kłopoty, których przysporzy jego branie się teraz za siebie. Powiedziałem, że jesteśmy z nim i niech działa.

I trzeba mu przyznać, zawziął się, a gdzieś po drodze uznał też, że chyba robota operacyjna nie jest dla niego. Przyznałem mu rację i zasugerowałem prewencję, a on skorzystał. Tam, już jako niepijący, radził sobie bardzo dobrze i ewidentnie się odnalazł.

Z kolei z jego partnerem Staszkiem był taki problem, że niby chętnie pomagał kolegom i rozwiązywał zleczone sprawy, ale sercem był jakby nie z nami. Staszek mieszkał pod Wrocławiem, miał gospodarstwo i był takim trochę chłopopolicjantem, przez co, jeśli chodzi o swój czas, był rozdarty jako ta sosna.

Najlepiej Staszek się sprawdzał, gdy trzeba było jechać na grzyby. Kiedy wpadaliśmy w jego okolice, oprowadzał nas po dobrych miejscach i spacer z nim w zasadzie gwarantował pełne koszyki. Inna rzecz, że nigdy po

wszystkim nie zapraszał do siebie i był jakiś taki... no, na dystans. Być może to właśnie sprawiło, że nie zagrzał u nas dłużej miejsca. Najpierw za jakiś drobny błąd wylądował na przeszkoleniu w dochodzeniówce, a następnie załatwił sobie przejście do jednostki w okolicach miejsca zamieszkania, czyli na wsi. I tam jako wiejski szeryf, z miejskimi doświadczeniami, radził sobie ponoć świetnie.

Poza wymienionymi byli w sekcji jeszcze inni gliniarze, ale ci albo nie zagrzali w niej długo miejsca, albo po prostu byli, i tyle. Ja natomiast, zapoznawszy się ze wszystkimi swoimi podwładnymi i wyrobiwszy sobie na ich temat zdanie, uznałem, że najwyższa pora, by rozejrzeć się za nowym narybkiem.

Całym wydziałem kryminalnym, w skład którego wchodziła moja sekcja i dwie inne, kierował Darek, zwany Azorem, młody policjant, przed awansem kierownik sekcji samochodowej, czyli trójki. Jego zastępcą była Kaśka – została policjantką po pozytywnej weryfikacji, którą musiała przejść, bo oczywiście robiła wcześniej w paszportach.

Nikt jednak nie wnikał w to, czym zajmowała się dotychczas, bo to, że trafiła do kryminalnego, było doskonałym zrzędzeniem losu. Ta niemłoda już kobieta, o sporym bagażu doświadczeń zarówno zawodowych, jak i prywatnych, jak nikt inny potrafiła zbudować w firmie niemal rodzinną atmosferę. Nigdy nie widziałem, by uczestniczyła w jakiegokolwiek realizacji, ale była świetnym organizatorem i menedżerem, a tego właśnie potrzebowaliśmy. Uroczą i uśmiechniętą, potrafiła słuchać i doradzić, a jednocześnie nigdy nie zamykała się na sensowne argumenty i nie forsowała swojego zdania na siłę. Lubiła chyba wszystkich swoich policjantów i każdemu, kto wychodził na realizację, szczerze życzyła powodzenia, a potem, niczym matka czekająca na niesfornego nastolatka, martwiła się, gdy któryś, jej zdaniem, za długo nie wracał. Czasem poczytywano jej za wadę, że paliła jak smok, ale mnie, również palaczowi, zupełnie to nie przeszkadzało.

Postawa i działania zastępcy naczelnika były o tyle istotne, że poszczególne sekcje wydziału w zasadzie ze sobą nie współpracowały. Nie było tak jak w fabryce, gdzie niezależnie od formalnego podziału wszyscy się wzajemnie

wspieraliśmy i uzupełnialiśmy. Nie, tu działaliśmy niezależnie i czasem nie było nawet wiadomo, kto co realizuje. Tu, uważam, dawał o sobie znać błąd popełniony przez Azora, który nigdy tak naprawdę nie wyszedł z trójki i faworyzując ją, rozkładał wydział od środka. W takiej sytuacji znaczenia nabierała postawa Kaśki i jej zrozumienie dla naszych problemów.

Jeśli chodzi o komendanta, Irka, facet na nas polegał, dawał wolną rękę w realizacjach i się nie wymądrzał. Czuł, że to nie jego działka, bo sam był fachowcem od prewencji, a to, jak wiadomo, inna robota. Świetnie się sprawdzał, gdy sytuacja wymagała zdecydowanych, szybkich decyzji i sprawności dowódczej, wyśmienicie rozplanowywał zabezpieczenia wszelkich imprez masowych i zgromadzeń, a tych w okolicach rynku było od groma. Znakomicie pełnił również funkcje menedżerskie, wiedząc, którymi sprawami musi się zająć sam, a które powinien zostawić średniemu personelowi kierowniczemu. Interesowały go fakty i konkretne wyniki i póki je dostawał, nie szukał sobie i nam niepotrzebnej roboty.

Wśród wielu zalet oczywiście pojawić się musiała i wada, ale w tej kwestii komendant Irek nie był specjalnie oryginalny. Lubił wypić. Nie tak okazjonalnie, bo pod tym względem miał w sobie coś z rasowego operacyjnego. On tych okazji nieustannie szukał. Do tego stopnia, że czasem strach było przechodzić koło biura – człowiek przemykał się korytarzami niczym podpadnięty uczeń, bo jak Irek dorwał, to zapraszał na jednego. I odmów tu szefowi.

Kilka razy miałem tak, że późnym wieczorem dostawałem pilne wezwanie do jednostki, a gdy się zjawiałem, okazywało się, że to komendant nie ma się z kim napić i mu się ckni. Trzymał mnie potem dwie, trzy godziny, polewając i gadając o wszystkim i o niczym.

Raz nawet przyszło mi, cały czas w związku z tematem, uczestniczyć w akcji ratowania Irkowego tyłka.

Nie pamiętam, jaki to był dzień tygodnia, ale normalny, roboczy, gdzieś koło południa. Do naszego komendanta wybrał się z wizytą naczelnik inspektoratu komendanta wojewódzkiego, czyli taka ówczesna policja w policji. Wszedł do biura i zapytał Tereskę, sekretarkę, czy komendant u siebie. Ta zbladła, głowę spuściła i wydukała cichutko, że nie ma, że wyszedł i nie wiadomo, kiedy...

Nie zdążyła dokończyć, bo gość albo jej nie słysząc, albo zupełnie lekceważąc dukanie, złapał za klamkę drzwi do gabinetu Irka i zajrzał do środka. Następnie zamknął drzwi i bez słowa wyszedł. Na szczęście nie wyszedł w ogóle z budynku, tylko udał się na górę, do mnie. Tu również stanął w progu, zapukał we framugę i zapytał:

- Panie kierowniku, czy jest pan w stanie spowodować, żeby komendant w trybie natychmiastowym zniknął z jednostki? Nie chciałbym narobić mu przykrości.

Skinąłem głową i wstałem, pytając już właściwie pro forma:

- A co się właściwie stało, panie naczelniku?

- Pan zejdzie, pan zobaczy - odparł, uśmiechając się znacząco. - Będę czekał na wiadomość od pana u pani naczelnik od niełatów.

Poczekalem, aż wyjdzie, i pognałem na dół, gdzie przywitała mnie wciąż blada, roztrzęsiona Tereska. Zaczęła coś mówić o tym, że mało się nie spaliła ze wstydu, gdy musiała kłamać, ale nie wiedziała, co ma zrobić, i naczelnik otworzył drzwi, i...

Uspokoilem ją, zapewniając, że wszystko będzie dobrze, i wszedłem do gabinetu śmierdzącego teraz mieszaniną wody, pierdów i wymiocin. Irek spał z głową na piersi, z kącika ust ciekła mu ślina, a z nosa to wyrastał, to znów

znikał zielonożółty balonik.

Obszedłem biurko i najpierw szarpnąłem go kilka razy, a potem na otrzeźwienie wypaliłem mu z otwartej ręki w twarz.

- Irek, kurwa, wstawaj, bo będzie dym.

Komendant się ocknął, nieprzytomnym wzrokiem rozejrzał po gabinecie, jakby zastanawiając się, co tu robi, i czknął.

- Jaki dym? - wybełkotał.

W kilku słowach wyjaśniłem mu, co się dzieje, a następnie wychyliłem się do Tereski, żeby mi ściągnęła dwóch chłopaków do zorganizowania obstawki. Miałem plan, by zabrać Irka na górę i tam zamknąć go w jednym z naszych pokoi na klucz, niech się prześpi na polówce.

Gdy zjawiło się wsparcie, najdyskretniej, jak to było możliwe, przenieśliśmy komendanta na górę, położyliśmy na łóżku i kazaliśmy nie robić szumu. Przystał na to wszystko zdezorientowany, czasem tylko czkając lub bełkocząc, że jesteście fajne chłopaki.

Ja tymczasem pogałem do niełatów.

- Panie naczelniku, załatwione - zameldowałem, po czym dodałem: - Dziękuję.

Skinął głową i wrócił do szefowej niełatów, która też ograniczyła się do wymownej miny, nie pytając, o co chodzi.

Wieczorem, gdy już większość poszła do domu, wypuściłem Irka z jego pokoju. Trochę już się ogarnął i najwyraźniej doszło do niego, co się stało, bo wyglądał na skruszonego i poprosił tylko, by go odwiedzić do domu. Jechaliśmy w milczeniu i dopiero gdy byliśmy na miejscu, uściśnął mi rękę.

- Dziękuję - powiedział.

I więcej już do tego tematu nie wracaliśmy.

Tymczasem miasto stało w ogniu. To już nie były podchody, nie były małe chaotyczne grupki. Przystępczość zorganizowana ruszyła z pełną mocą i poczyniała sobie coraz bezczelniej. Wszystkie knajpki na Starym Mieście albo płaciły haracze od razu, albo po wizycie ekipy z bejsbolami. Burdele, agencje, dyskoteki ostatecznie zostały przejęte, wszędzie można było kupić dragi albo dostać po pysku, a na ulicach raz po raz rozlegał się huk i terkot wystrzałów albo odgłosy wybuchów samochodowych bomb. Skargi na bierność i opieszałość policji szły do wojewódzkiej tonami, temat podnoszono w mediach, a społeczne nastroje były coraz gorsze.

A my co? Wojewódzka coś tam jeszcze usiłowała działać, prowadziła rozpoznanie, przyglądała się tematowi, ale biorąc pod uwagę, ilu i jakich ludzi mieli w kieszeni lokalni bossowie, wiedzieli o wojewódzkich więcej niż oni o gangach. Pezeci, co łatwo było przewidzieć, biorąc pod uwagę ich skład, koncertowo dawali dupy i w pewnej chwili doszło do tak kuriozalnej sytuacji, że jak ktoś potrzebował informacji, zgłaszał się do nas, do Pompejusza i Sojki, bo mieli w temacie najlepsze rozeznanie. Oczywiście nikt wtedy nie przychodził po prośbie, raczej z propozycjami, jak to czy tamto zrobić razem dla wspólnego dobra, ale uczuliłem chłopaków, co to znaczy według kolegów z wojewódzkiej, więc się nie dawali.

A grupy przestępcze wciąż się rozkręcały. Podporządkowały sobie mniejsze ekipy i niezależnych złodziei samochodów i włamywaczy, a same w zamian za wsparcie oddawały część zysków działającej na skalę kraju

grupie pruszkowskiej. Zresztą z samego hazardu i automatów miały taką kasę, że w pewnej chwili nie tylko przejmowały kontrolę nad tym, co już istniało, ale też zaczęły otwierać własne lokale i imprezownie. Uruchomili na przykład dużą dyskotekę w Pałacyku przy ulicy Kościuszki, potem knajpę na rynku, wreszcie najsłynniejszą, Redutę na Wzgórzu Partyzantów.

Najgorsze było to, że w zasadzie mieliśmy całkiem niezłe rozpoznanie o całym interesie, o szefach, żołnierzach, o tym, skąd czerpią największe zyski, co i komu zrobili. Nie mogliśmy jednak działać, bo prokurator, by spuścić nas ze smyczy, potrzebował dowodów. A nikt z wnoszących skargi, narzekających i plujących na policję nie myślał nawet, by zeznawać czy złożyć oświadczenie. W sumie to się nie dziwię, bo zemsta za takie działanie byłaby wielce prawdopodobna i niewątpliwie okrutna, a widząc policyjną słabość, trudno nas było obstawiać jako faworyta.

Ale nie odpuszczaliśmy, a ja wiedziałem, że jeśli cokolwiek mamy w tej wojnie znaczyć, trzeba koniecznie, jak najszybciej zmontować mocniejszą, bardziej zwartą ekipę.

I tu w pewnym sensie pomocny okazał się Inżynier Andrzej z fabryki, który tak dawał swoim ludziom w kość, że niemal wszyscy szukali już opcji, gdzie się przenieść. Wśród nich był Jarek, mój były partner, czyli Śpioch. Zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy mi się nie przyda, ja powiedziałem, że jasne, i raz-dwa załatwiłem wszystko z komendantem Irkiem, zawsze otwartym na dobrych, sumiennych policjantów. Śpioch trafił oczywiście do mojej jednostki i zaczął swoje urzędowanie z Białym, ale specjalizował się nie w prostytucji, a w prochach.

Tu należy się czytelnikowi pewne wyjaśnienie. Otóż dla wygody i pewnej przejrzystości w tekście od samego początku nazywam Jarka Śpiochem. Tak naprawdę swojej

ksywki dorobił się on jednak dopiero na Starym Mieście, podczas analizowania akt, które mu przydzieliłem. Gdy Jarek ślęczał nad nimi przy biurku, do jego pokoju wszedł naczelnik Azor i widząc go wykrzywionego, opartego na ręce i nisko pochylonego nad biurkiem, uznał, że policjant śpi.

- O proszę, czyżby nam się trafił śpioch? - zawołał ze śmiechem, po czym zapytał: - A co takiego interesującego tam macie, że tak was wzięło?

I w ten właśnie sposób Jarek został Śpiochem, choć akurat wcale wtedy nie spał. W rzeczywistości powyginany jak paragraf i z nosem w papierach - tak miał, nigdy tego nie zrozumieć, jak mogło mu być w takiej pozycji wygodnie - dotarł w jednej z notatek do informacji o wspólnicze pewnego ćpuna, który był jednocześnie wytwórcą i dilerem. Zagiął na nią parol, a ta pod naciskiem wysypała, gdzie jej wspólnik produkuje rodzimą heroinę, gdzie mieszka i jakimi kanałami rozprowadza narkotyki. Na podstawie tych słów Śpioch upolował typka podczas procesu produkcji i posadził do puchy na długie lata.

Tu pozwolę sobie na dygresję. Wspomniałem już wcześniej, że porucznik Zbyszek, który opuścił posterunek, wróci jeszcze w tej opowieści. I choć to nie do końca ten moment, warto zaznaczyć, że właśnie w tym czasie, gdy ja działałem na Starym Mieście, on awansował na komendanta komisariatu na tak zwanym wrocławskim Trójkącie Bermudzkim, na Rakowcu.

Z kolei Grzesiu, nasz fabryczny kolega, który uprosił kiedyś Śpiocha, by ten poparł jego przejście od dzielnicowych do nas, kryminalnych, również uznał, że pod rządami Inżyniera Andrzeja jest coraz gorzej, i poprosił mnie o wstawiennictwo u Zbyszka, by mógł się przenieść

na Rakowiec. A że wiedziałem, że Grzesiek to fachura, z przyjemnością go zarekomendowałem. Wspominam o tym wszystkim, bo niebawem nasze drogi miały się zejść, ale... Nie, to jeszcze nie teraz.

Na razie moja sekcja zgrywała się coraz lepiej i coraz fajniej nam się ze sobą pracowało. Wspieraliśmy się wzajemnie w swoich sprawach, byliśmy wszyscy otwarci i gotowi pomóc czy pogadać i każdego dnia ta dobrze naoliwiona maszyna działała coraz sprawniej.

A gdy czujesz, że twoje propozycje zawsze zostają przynajmniej wysłuchane, zaczynasz chętniej wychodzić z inicjatywą. Tak powstawały nasze coraz bardziej zwariowane i nietypowe pomysły.

Jeden z nich dotyczył naszego starego, pocziwego grundiga. Dziś to, co zrobiliśmy ze starego radiomagnetofonu, nie zrobiłoby na nikim wrażenia, ale wtedy proste połączenie go z zainstalowanym w drugim pomieszczeniu mikrofonem stworzyło nam zupełnie inne pole manewru. Do tego ów zdalny mikrofon umieściliśmy w zwykłym aparacie telefonicznym stojącym na biurku, instalując w nim jednocześnie przycisk do zdalnego uruchamiania nagrywania w grundigu.

Działało to dla nas na dwa sposoby. Po pierwsze, gdy jeden z nas prowadził rozmowę z podejrzanym, koledzy siedzący w pomieszczeniu obok mogli na bieżąco weryfikować usłyszane rewelacje. I tak, gdy jeniec mówił, że wtedy i wtedy był tam i tam, ktoś od nas raz-dwa tam jechał albo telefonował i sprawdzał. Potem dzwonił do przesłuchującego kumpla i mówił mu: „Potwierdzam, był tam”, albo „Ciśnij, łże skurwiel”. Takie ustawienie sprawy pozwalało nam zaskakiwać delikwenta i go dekoncentrować, a w konsekwencji wyciągać więcej treści.

Wielokrotnie też takie nagrania chroniły nas przed dyscyplinarką. Często zdarzało się bowiem, że jeniec podczas rozmowy z nami wiele rzeczy opowiadał dobrowolnie, a potem, już w prokuraturze, darł się, że zeznania z niego wymuszono, i to biciem. Wtedy odpalało się takiemu taśmę, a potem podawało chusteczkę, by starł sobie ślinę z kącików rozdziawionej gęby.

Albo taka sytuacja. Zgłosiła się do nas kobieta nachodzona i zastraszana przez swojego byłego męża. Facet naprawdę był niebezpieczny i skutecznie utrudniał jej życie, a to nasyłając na nią osiłków, a to znowu podcinając przewody hamulcowe w samochodzie bądź śląc paskudne anonimy. Za spokój żądał haraczu w określonej kwocie.

Wspólnie z kobietą ustaliliśmy, że ma się zgodzić na przekazanie pieniędzy i że ona wskaże miejsce, gdzie to nastąpi, żebyśmy mogli łatwo obstawić teren i dokonać aresztowania na gorąco. Typ jednak okazał się cwany i stwierdził, że on wskaże nie tylko miejsce, ale i czas, tak by kobieta nie miała możliwości się do tego w żaden sposób przygotować.

Cóż było robić? Przystaliśmy na to i czekając na wieści, zastanawialiśmy się nad dostępnymi opcjami w szykującej się improwizacji. Mieliśmy kilka koncepcji, ale czy któraś mogła się do czegokolwiek nadać, zależało od ostatecznie wybranego miejsca, wciąż więc dumaliśmy, próbując wymyślić kolejną, być może bardziej uniwersalną.

I wreszcie nadszedł sygnał. Kobieta zadzwoniła, że były się skontaktował i jako miejsce wskazał plac Nowy Targ na tyłach Urzędu Miejskiego. Bardzo cwane, bo teren całkowicie otwarty i cholernie ciężki do obstawienia. Do tego facet powiedział swojej żonie coś takiego, co sprawiło, że była jeszcze bardziej przerażona i przez moment chciała się nawet wycofać. Wtedy jednak wytłumaczyliśmy jej, że

jeśli teraz ustąpi, nie uwolni się od niego nigdy, nawet jeśli zapłaci. Bo co mu będzie szkodziło wrócić później po jeszcze? Poza tym po raz kolejny daliśmy jej słowo, że będziemy w pobliżu i w razie jakiegokolwiek zagrożenia zainterweniujemy wcześniej.

To ją przekonało. Daliśmy jej grubą kopertę wypełnioną ścinkami gazet i posypaną specjalnym proszkiem fluorescencyjnym, widocznym wyłącznie w ultrafiolecie. Potem, zgodnie z ustaleniami, kobieta miała podjechać na wskazany jej przez byłego męża parking i... no, być przerażoną sobą.

My natomiast zdaliśmy sobie sprawę, że właściwie większość naszych wcześniejszych pomysłów w tym akurat miejscu się nie sprawdzi. W samo południe trudno było nieustannie przebywać w pobliżu bez jednoczesnego wzbudzania podejrzeń, zwłaszcza niezłego cwaniaka.

I wtedy Pompejusz z Sojką wpadli na pomysł. Pierwszy założył jakiś stary szary fartuch, robocze spodnie i wysokie gumy, na głowę jakąś czapę, po czym pożyczył z magazynku mopa i wiaderko. Drugi też wciągnął na siebie ubrania wyglądające na stare, doprawił znoszoną brązową kurtkę ze sztruksu i pod pachy wziął znalezione gdzieś kule inwalidzkie. Tak przygotowani, ochlapali się jakąś wodą, każdy wziął w łapę kupionego naprędce siarkowego mózgotrzepa i powędrowali na parking, na sam jego środek, by zaczepiać kierowców, prosić o drobne w zamian za wymycie szyb i ogólnie oferować cały ten żulerski zestaw.

Reszta z nas obstawiła teren z odpowiedniego dystansu, przygotowaliśmy też kamerę, by uwiecznić całe zdarzenie na wideo.

Trzeba powiedzieć, że wszyscy się wczuli, a najbardziej nasze lumpy. Pompejusz zataczał się, chlapiąc wszędzie

wodą z wiadra i raz po raz wymachując mopem. Sojka, który dla lepszego efektu podwiesił sobie jedną nogę do tyłka i spiął agrafką pustą nogawkę, podśpiewywał piosenki i prosił o wsparcie dla biednego kaleki. Obaj, trzeba im przyznać, zachowywali się podejrzanie naturalnie i doskonale wpisywali się w klimat.

Przed dwunastą na parking przyjechała nasza kobieta. Zaparkowała na środku, wysiadła z auta i zaczęła się rozglądać za swoim byłym. Ten pojawił się niemal równiutko w samo południe. Na parking wszedł, nie wjechał i od razu skierował się pewnym krokiem do byłej żony. Rozglądał się przy tym dyskretnie, ale najwyraźniej nic nie wzbudziło jego podejrzeń, bo podszedł do kobiety i zaczęli rozmawiać. Nie słyszeliśmy, co mówią, ale już z samych jego gestów widać było, że nerwy pokrywa agresją i lada chwila może wybuchnąć.

Tu jednak nasza pani zachowała się wzorowo, bo nie prowokując byłego, podała mu naszą kopertę. I to był sygnał do ataku. Rzuciliśmy się w ich kierunku ze wszystkich stron, ale oczywiście największą konsternację, zarówno w facecie, jak i we wszystkich postronnych przebywających akurat na parkingu, wzbudzili pędzący ku niemu menele. Zwłaszcza ten, który nagle odrzucił kule i pędził sprintem na dwóch nogach, mimo że jeszcze przed chwilą miał tylko jedną. Nasi żule raz-dwa dopadli, powalili i zakuli w dyby oszołomionego typu, a potem wspólnie przewieźliśmy go do nas.

Okazało się, że wkroczyliśmy w samą porę, bo typ zdążył otworzyć kopertę i zajrzeć do środka. To oczywiście sprawiło, że cały był w proszku, co jeszcze ułatwiło nam robotę. Wszczęte postępowanie i zarzuty za wymuszenie rozbójnicze już na starcie zafundowały mu trzy miesiące aresztu, z perspektywą na dużo więcej.

A my? Latami mieliśmy ubaw z oglądania taśmy cudów, jak czasem nazywaliśmy wideorelację z cudownego ozdrowienia Sojki.

Czasem człowiek ma po prostu szczęście.

Trafił mi się któregoś razu niełat, który wpadł na jakiejś drobnej bzdurze. Tak się złożyło, że to ja z nim rozmawiałem, i podczas tych pogaduch chłopak ni to się zaczął pruć, ni to chwalić, jakich to jeszcze numerów nie wykręcił ze swoją ekipą. Oczywiście on był w tym wszystkim najmniej istotny, niemal obserwator, ale te akcje były na tyle ciekawe, że zacząłem je wszystkie notować.

No i wyszło, że ta ekipa to dwie dziewczyny i trzech chłopaków, którzy od paru miesięcy chodzili wspólnie po mieście i walili rozboje. Zaczynało się od dziewczyn, bo to one najpierw zagajały, a potem atakowały, a gdy zdarzyło się tak, że się ktoś zaczynał bronić, do akcji wkraczali chłopcy. Według wersji dzieciaka dziewczyny były agresywniejsze i to one były prowodyrkami. Chłopcy, wszyscy trzej, byli spokojniejsi, ale lojalni, więc jak przychodziło co do czego, walili po ryjach i kopali ofiary.

Moi ludzie zaczęli jeden po drugim wychodzić z komendy do domu, ale ja uznałem, że zostaję. Kto wie, czy dzieciak jutro nadal będzie taki rozmowny? Poczęstowałem go papierosem, sam zapaliłem, szliśmy dalej.

- Raz, jak poszliśmy na wycieczkę na Słężę w Sobótce, spotkaliśmy na szlaku takiego starszego typu - mówił chłopak, zaciągając się z wprawą. I dalej jak to dziewczyny zaatakowały faceta, ale ten dawał im skuteczny odpór, więc chłopaki stojący z boku weszli do akcji. Skończyło się na tym, że zostawili faceta ograbionego i nieprzytomnego w krzakach.

Wyszedłem na chwilę i skontaktowałem się z Sobótką.

Rzeczywiście mieli taką sprawę, i to w czasie i miejscu podanym przez szczyła. Czyli nie ściemniał. Tym bardziej zapaliłem się do tego, co mi mówił, i poszedłem już w konkretną policyjną gadkę, że ma jedyną i niepowtarzalną szansę oczyścić się z tych tematów, że jego współpraca będzie mu poczytana na korzyść i wszystkie inne takie. Zaparzyłem dla nas dzbanek kawy, dałem mu kolejną fajkę i jechaliśmy. Sprawa po sprawie, strona po stronie, ledwie nadażalem klepać na tej cholерnej maszynie.

W końcu, gdzieś w środku nocy, zmęczenie wzięło górę. Skontaktowałem się telefonicznie z Kaśką, informując ją, że jeszcze siedzę, ale jednocześnie chwalać się, co do tej pory udało mi się osiągnąć. Była jednocześnie zdziwiona i zachwycona tym, że mamy już tyle wykrytych czynów. Potem uzgodniłem z łebkiem, że na razie idziemy spać, a do tematu wrócimy z rana. Odesłałem go na dechy, a sam wróciłem do domu tylko po to, by stawić się po kilku godzinach, jeszcze przed normalnym rozpoczęciem służby.

Znowu gadaliśmy przez cały dzień, ale dopiero teraz zaczęła się prawdziwa robota. Gdy ja rozmawiałem i notowałem, reszta sekcji zaangażowała się w zbieranie dowodów, a potem do dalszej części realizacji. Zatrzymaliśmy pozostałych, znanych nam już członków grupy, rozliczyliśmy ich i zbieraliśmy dowody ich winy.

Potem należało skontaktować się z innymi jednostkami i pościągać od nich prowadzone przez nich sprawy, które nam wyszły i które łączyliśmy z tą główną. Żmudna, glińska robota złożona z pisania i grzebania w papierach dawała nam, operacyjniakom, w kość, ale wiedzieliśmy, że trzeba to zrobić. Tak jak i przygotować materiały dla prokuratury w celu udokumentowania zebranych dowodów i posadzenia podejrzanych. Gdy to nastąpiło, wiedzieliśmy,

że są w naszej dyspozycji, więc zyskaliśmy czas na dalsze prace, czyli kolejne dowody, świadków czy okazania sprawców pokrzywdzonym. Wszystkie te rzeczy wykonaliśmy na tyle dobrze, że cała wesoła czeredka rozbójników dostała puchy. Nasz chłopak oczywiście też, ale zgodnie z obietnicą odnotowaliśmy należycie jego gorliwą współpracę z nami.

Wspominam o tej, w gruncie rzeczy nieciekawej w przebiegu sprawie z jednego ważnego powodu: doszło dzięki niej do wykrycia sześciuset w żaden sposób nienaciąganych przestępstw, wśród których były rozboje, kradzieże, kradzieże z włamaniem do samochodów i różnych obiektów oraz wiele innych czynów karalnych mających związek z tymi wymienionymi. Komendant Irek piał z zachwytu, bo zabezpieczyliśmy mu w ten sposób całą roczną wykrywalność jednostki! Poszedł z raportem na ten temat do wojewódzkiego, a kiedy wrócił, dosłownie promieniał szczęściem.

Oczywiście problem z tak fartownym wynikiem polegał na tym, że w następnym roku trzeba było do niego dobić. Statystyka nie tylko jest bowiem naszą królową, ale i leciwą damą z uszkodzoną pamięcią krótkotrwałą. W przyszłym roku liczyć się więc miało tylko to, czy utrzymaliśmy dotychczasowy poziom, podnieśliśmy go czy, nie daj Boże, spadliśmy.

I to chyba czyniło tę pogoń za wysokością słupków jeszcze gorszą - że kluczowe były owe wahania lub ich brak. W praktyce oznaczało to, że gdyby rywalizowały dwie komendy i jedna miała w danym roku wyniki na poziomie czterdzieści pięć, a druga pięćdziesiąt dwa, a rok później ta pierwsza skoczyłaby o pół punktu, a druga spadła o jeden, w tej pierwszej posypią się premie, a druga szykować się będzie na programy naprawcze. Każdy sukces jednego roku

był więc zagrożeniem dla kolejnego.

À propos premii, trzeba było przyznać komendantowi, że się o nie wystarał i nagrodzono nas za cały wysiłek i sprawę zrealizowaną bez potknięć i zakończoną w sądzie. Oczywiście nie było opcji, by do listy premiowej nie załąpały się niezwiązane z pracą pasożyty, ale z tym już nawet nie walczyliśmy. Każdy cieszył się tym, co dostał, i tym, jak świetnie udało się wykorzystać nadarżającą się okazję.

Oczywiście na ten czas grupy przestępcze nie wzięły sobie urlopu.

Na ulicy Jedności Narodowej dwie zwalczające się ekipy otworzyły do siebie ogień.

Gdzie indziej, w kasynie, jeden znany mistrz sztuk walki wdał się w bójkę z, jak się okazało, uzbrojonym w rewolwer napastnikiem, co również skończyło się strzelaniną.

Z kolei na jednym z osiedli, na dachu wieżowca bandyci pozostawili ładunek wybuchowy przeznaczony dla bandziora z konkurencyjnego gangu. A że ładunek był w reklamówce, zainteresował konserwatora, który z ciekawości zajrzał, i go rozerwało.

Głosy przerażonego społeczeństwa, że to musi się natychmiast skończyć, jeszcze przybrały na sile.

W przestępczości zorganizowanej liczył się pieniądź, więc bezpośrednią władzę nad bandytami miał ten, kto go miał i wiedział, jak używać, by rozdawać karty. Jak mawiają, „szef zawsze jest jeden” i tu oczywiście też był.

Gdyby na chwilę sięgnąć dalej, ponad to, co się działo na ulicach, można by dostrzec szereg pięknych podwrocławskich obiektów należących do zupełnie legalnie działającej firmy z licencjami zarówno na duże kasyna, jak i na automaty do gier hazardowych. To właśnie z tą firmą nieoficjalnie powiązany był wrocławski boss Szary, mający na swoich usługach prawdziwą armię gangusów gotowych w każdej chwili podłożyć bombę, nastraszyć wywiezieniem do lasu czy wykonać egzekucję. Potem to się troszeczkę zmieniło, ale póki co Szary, wspierany przez pruszkowskich, nie tyle rozdawał na ulicy karty, co zwyczajnie miał w ręku całą talię.

Szefem owej firmy od automatów był Zenek, człowiek, o którym mówiło się, że miał wagon dolarów i czego się nie dotknął, zamieniał w pieniądź. Kiedyś jedna bliska Zenkowi osoba pokazała mi kawałek trawnika i powiedziała: „Ty widzisz tam tylko trawę, nie? A Zenek wycisnęłoby z niego tyle zielonych, że by ci oczy wyszły”.

Miał facet talent, odwagę i do tego w interesach był bezwzględny. Założył kasyno w Casablance, posiadał liczne nieruchomości zarówno za granicą, jak i w samym Wrocławiu. Miał ich podobno tyle, że niejeden dzisiejszy deweloper nie mógłby się z nim równać.

I tu w tym wszystkim, pośród tych domów i bogactw, pojawia się nagle ja. Traf chciał bowiem, że ja się z tym

trzęsącym miastem bogaczem znałem doskonale, jeszcze z czasów podstawówki, gdzie przez osiem lat chodziliśmy do jednej klasy. Potem drogi nam się rozeszły, ale w koledze z dzieciństwa sentymentu i sympatii zostało na tyle, że oficjalnie, wedle jego słów, byłem jedynym psem, z którym gadał.

Kilka razy spotkałem się z nim wtedy, by powspominać stare czasy, ale i może wyłowić coś, co przydałoby mi się do pracy. Zawsze przed takimi wizytami musiałem się najpierw wystarać o zgodę generała, bo nie chciałem, by mnie filmowała obserwacja. Zawsze ktoś tam u Zenka siedział, albo policja, albo UOP czy cholera wie, kto jeszcze.

Sam Zenek zachowywał się wobec mnie bardzo w porządku i po koleżeńsku, choć oczywiście nie mógł się powstrzymać przed pozą wielkiego paniska przyjmującego ubogiego kolegę. Wiedział też, że w zasadzie przyszedłem węszyć, ale nie robił z tego problemu. Po prostu, o czym chciał, to mówił, a jak nie chciał - a zwykle nie chciał - gładko zmieniał temat. Ja jednak bardziej niż posłuchać, przychodziłem zobaczyć i wynosiłem z tych spotkań naprawdę dużo. W pewnym momencie nawet doszło do tego, że moja wiedza stanowiła zagrożenie dla niejednego gangstera, ale i, co przyznaję ze smutkiem, wielu naszych. Gdziekolwiek prowadziłem rozmowy operacyjne, zawsze wypływał jakiś brudny pies, pazerny na łatwą, szybką kasę. To było smutne i frustrujące.

Z tego zresztą powodu w pewnym momencie musieliśmy uszczelnić ścieżkę przesyłu informacji. Ponieważ tematyka informacji operacyjnych, które posiadałem, nie należała do mojej jednostki, wszystko, co miałem, przekazywałem wojewódzkiej. Tyle że - i tu pojawiał się problem - normalną drogą służbową. To znaczy ja dawałem kwity mojemu bezpośredniemu przełożonemu, on szefowi

jednostki, który przekazywał go jednostce wyżej. Tam znowu szef jednostki, a po drodze przynajmniej ze trzy sekretarki, które musiały kwit wpuścić w dokumentację i zarejestrować. To jak miało nie wyciekać?

A tu jeszcze uchole z całego miasta alarmują, że wszystkie nasze jednostki są pełne kretów i właściwie jest jak w cedzaku - co wlejemy, wylewa się setką dziur. No i potem kończyło się, jak kończyło - falami amnezji wśród świadków, w porę znikającymi dilerami czy punktami przemytu, pustymi burdelami szykowanymi pod nalot. Bandyci mieli prawdziwy wachlarz metod zjednywania sobie niepokornych, od podplacania, przez łamanie nóg, po grożenie całym rodzinom, więc naprawdę naszą jedyną szansą było utrzymywanie tego, co mieliśmy, w jak największej tajemnicy.

W związku z tym, że zdobyte przeze mnie informacje były cenne, wojewódzki wydał zarządzenie, żebym wszystko, co mam, pakował w kopertę, przekazywał komendantowi jednostki, a ten niczym zwykły kurier miał to wojewódzkiemu dostarczać osobiście. Po zapoznaniu się z notatką wojewódzki zlecał działanie kryminalnym w wojewódzkiej, gdzie prowadzona była sprawa operacyjna przeciw gangom.

W końcu doszło do tego, że mieliśmy już ogromną wiedzę o przestępczych strukturach, znaliśmy całe drabinki hierarchii, miejsca zgromadzeń i kierunki inwestycji. Wciąż jednak brakowało jednego, konkretnego punktu, od którego mogliśmy zacząć. Dlatego mimo narastającej w nas wszystkich frustracji czekaliśmy na właściwy moment.

Życie sekcji toczyło się natomiast bez większych przeszkód. Atmosfera była doskonała, praca bez nacisków, krzyków i pretensji przynosiła pożądane efekty. Wyszło na

to, że cała jednostka przyglądała się naszej sekcji i wielu chciało do nas dołączyć, co było jednak trudne, bo o ile w wielu kwestiach mogliśmy być elastyczni, etatowo nie byliśmy z gumy.

Ale i tak przyjęliśmy w tamtym czasie jednego gościa w moim wieku, Józka, za którego osobiście poręczyła Kaśka, mówiąc, że to świetny facet, że pracuje na innym komisariacie, ale niejasne sytuacje życiowe utrudniają mu tam solidne wykonywanie obowiązków. Tu natomiast zgrałby się raz-dwa i ona by to nawet załatwiła, ale wszystko uzależnia od mojej zgody. Odparłem, że skoro ręczy, to nie widzę przeszkód, i tak Józek stał się członkiem sekcji. A że doświadczenie operacyjne miał, w obowiązki wszedł z marszu. Fajny chłop, tylko czasem w ten upierdliwy sposób uparty, no i zwykł widzieć świat w czarnych barwach, przez co nadaliśmy mu ksywę Wrona, bo ciągle krakał.

Jeśli chodzi o wspomnianą już atmosferę, wciąż dbaliśmy, by była miła i rodzinna, do tego stopnia, że urządzaliśmy sobie czasem imprezy, bo wtedy jeszcze dawało się w firmie. Tam też zorganizowaliśmy sobie sekcijną Wigilię, na którą zaprosiliśmy jeszcze Kaśkę, ale już nie Azora, bo nas wkurzał. Potem zrobiliśmy też imprezę przedsylwestrową. Piszę „przed”, bo oczywiście większość z nas musiała w samą noc przełomu lat zabezpieczać sylwestra na wrocławskim rynku. Jak łatwo się domyślić, to na naszej komendzie spoczywał główny ciężar ochraniać tego wydarzenia, więc rok w rok mogliśmy sobie odpuścić szukanie kreacji na sylwestrowe bale.

Ale nie było tak źle. Coś tam sobie oczywiście łykaliśmy w kącikach, a o północy pilnowaliśmy porządku każdy z szampanem w dłoni. Do tego jako operacyjni mieliśmy za zadanie wmieszać się w tłum, a z koordynującym dowódcą

kontaktowaliśmy się jedynie przez radio.

W którymś momencie postanowiliśmy to wykorzystać, zebraliśmy się w kupę i poszliśmy z życzeniami do mieszkających w pobliżu znajomych. Zaczęliśmy od dziennikarki, która wpadała do nas po jakies tematy i z którą się zaprzyjaźniłem. Mieszkała akurat w pobliżu i organizowała domówkę, więc chwilę u niej pobalowaliśmy, a wezwany przez radio i zapytany, czy wszystko jest w porządku, zameldowałem zgodnie z prawdą, że owszem, w najlepszym.

Do tego momentu wszystko szło dobrze, ale wtedy ktoś wpadł na pomysł, żeby odwiedzić jeszcze inną dziennikarkę, która również organizowała domówkę, tyle że sporo większą. Problem w tym, że musielibyśmy w tym celu pojechać do innej dzielnicy.

Ale co tam, jest sylwester, trzeba szaleć! Więc pojechaliliśmy, a na miejscu przyjęto nas gorącymi wivatami i ugoszczono wódką. I wszystko byłoby dobrze, gdyby w pewnej chwili nie zaczęło mi trzeszczeć radio, a dowodzący zaczął nas nawoływać i żądać kontaktu. Po przeciągającej się próbie zignorowania go musiałem się wreszcie odezwać, a on krzyknął, że na rynku odbywa się jakaś zadyma i potrzebna jest pilna interwencja.

Spojrzałem na zegarek, na tłum bawiący się wokoło, wreszcie w stronę odległego o kilka kilometrów rynku. Cokolwiek tam się teraz działo, pomyślałem, i tak nie zdążymy dojechać, by coś zdziałać.

Ująłem radio w dłoń.

- Przyjąłem. Jesteśmy w pobliżu i natychmiast się tam udajemy - powiedziałem, po czym odłożyłem radio i wypilem zaległą kolejkę.

Gdy około czwartej wróciliśmy na rynek, ostatni zgromadzeni na nim ludzie spokojnie rozchodzili się już do

domu. Zameldowałem, że służba przebiegła bez zakłóceń,
a potem zwolniłem swoją ekipę i pojechałem do domu.

Nowy rok nie zaczął się dla nas ciekawie. Zaraz po przyjeździe do roboty dowiedzieliśmy się, że mamy zabójstwo w ruinach Wzgórza Polskiego. Samo wzgórze było zadbane i stanowiło miejsce spacerowe dla mieszkańców i turystów, ale w jednej części wykopano pozostałości jakiejś budowli, z piwnicami. Jako że nikt nie miał pomysłu, co z tym właściwie zrobić, ogrodzono je i nie ruszano. A że jeszcze nie powstało takie ogrodzenie, które by powstrzymało lumpa czy ćpuna, miejsce dość szybko stało się czymś na kształt squatu albo ostatniego bastionu tych, co chcieli się ostatecznie sponiewierać.

Warto jeszcze dodać, że część parku z tymi ruinami od strony Panoramy Raławickiej i parku Słowackiego nazywana była przez nas pikietą i stanowiła przestrzeń, gdzie najchętniej wystawały wieczorami męskie, homoseksualne dziwki.

Przyznam, że dopóki nie zaczęliśmy kontrolować tego miejsca, nie wiedziałem, że to aż taki biznes. Wystarczyło jednak poobserwować wieczorem przez godzinę, co tam się działo, jaki wszyscy ci mężczyźni i wchodzący w wiek męski chłopcy mieli przerób, by otworzyły się oczy.

Czasem legitymowaliśmy niektórych spośród eleganckich panów w ich luksusowych samochodach, którzy zabierali parkowych chłopców na przejażdżki, i wtedy okazywało się, że owi dżentelmeni to kwiat biznesu, palestry, kurii. Słowem, jak wszędzie, gdzie w grę wchodził seks za pieniądze.

Nie wszystkich klientów jednak stać było na drogie samochody i pojechanie gdzieś na ubocze. Niektórzy

szukali seksu za drobne i taki właśnie dostawali od najtańszych dziwek w piwnicach ruin. Tam też owego noworocznego poranka znaleźliśmy ciało starszego mężczyzny.

Denat, lat około sześćdziesięciu, leżał w gruzach i śmieciach najprawdopodobniej od kilku godzin. Miał na sobie koszulę, na nią założony gruby sweter. Spodnie miał opuszczone do kolan, buty lekko zsunięte, skarpety opuszczone. Podczas oględzin zwłok technik z medykiem ujawnili w kieszeni koszuli pod swetrem dokument tożsamości i kilka banknotów. Odkryli też na ciele ciekawy ślad traseologiczny, wyraźny odcisk protektora podeszwy buta, co oznaczało, że ktoś na mężczyźnie stanął albo wręcz po nim skakał. Wszystkie obrażenia wskazywały, że doszło do zabójstwa lub co najmniej pobicia ze skutkiem śmiertelnym.

Z ciekawostek, które bardzo się później przydały: okazało się, że denat miał mikroskopijnie małego penisa, a z pierwszych rozmów z ludźmi z terenu wynikało, że samotny mężczyzna był znanym w środowisku gejem - niestety znanym ze swojej wspomnianej wyżej ułomności - i miał ksywkę Gołębiarz, bo codziennie karmił w parku ptaki. Faktycznie w kieszeniach jego spodni znaleźliśmy ziarna pszenicy.

Geje, z którymi rozmawialiśmy, mówili, że czasem pojawiał się na pikiecie i chciał wynajmować kogoś, by mu obciągnął, ale od pewnego czasu tylko go gonili, bo był niewyplacalny i wielu ludziom leciał kasę za darmowe lody.

Tyle mieliśmy na obiecujący początek, potem zaczęło się długie, frustrujące dreptanie w miejscu. Mocno infiltrowaliśmy środowisko i po jakimś czasie byliśmy w zasadzie pewni, że dotarliśmy do każdego homoseksualisty, który w ostatnim czasie wystawał na

pikiecie. Odbyliśmy też setki rozmów ze stałymi bywalcami parku, menelami, psiarzami, każdym, kto mógł cokolwiek widzieć. Słowem, przyjęliśmy taktykę: robimy wszystko i czekamy na przełom.

I ten w końcu nastąpił.

Sekcja wykazała, że nasz denat zmarł w wyniku ciężkiego pobicia. Sprawca wielokrotnie bił go pięściami po twarzy, a gdy Gołębiarz upadł, kopał po głowie, korpusie i nerkach, a następnie skakał po klatce piersiowej. Wynikało z tego, że sprawca to niezwykle brutalny furiat, który jeśli pozostanie na wolności, może wkrótce znowu wybuchnąć.

Oprócz standardowych pytań zadawaliśmy również takie o kogoś wyjątkowo agresywnego i wtedy jeden z chłopaków przypomniał sobie faceta. Wysoki, dobrze zbudowany dwudziestolatek kręcący się w okolicy. Brutalny, agresywny i wulgarny, od kogo mógł, ciągnął na pikiecie kasę. Według chłopaka tamten najprawdopodobniej też był gejem, tak to jakoś wyszło z kontekstu, ale ani nazwiska, ani ksywki chłopak nie wychwytał.

Mieliśmy już jednak rysopis i za jego pomocą doszliśmy także do ksywki. Jankes – tak mówili na agresywnego chłopaka i rzeczywiście kilka osób go znało. Mówiły, że pojawia się raczej rzadko. Nikt też nie wiedział, gdzie mieszka ani jak się nazywa i czy w ogóle jest z Wrocławia. Niby więc znaleźliśmy punkt zaczepienia, ale wciąż jeszcze za słaby, by mówić o prawdziwym postępie. Na tym etapie żaden wojewódzki by nam tego nie zawinął.

Wtedy z pomocą przyszedł Sojka. Mieliśmy w bazie kilka różnego rodzaju analiz i była w niej równieżteczka zagadnieniowa dotycząca homoseksualistów. A ściślej zagrożeń wobec nich ze strony różnych bandytów. Analiza oparta została na solidnie przeprowadzonym aktywnym rozpoznaniu w środowisku i zawierała szereg

interesujących, w miarę aktualnych informacji, a także nazwisk i danych adresowych. Sojka postanowił sprawdzić teczkę pod kątem owego Jankesa i trafił. Figurował tam ktoś taki, z opisu pasował do tego, który dostaliśmy od chłopaka z pikiety. Na imię miał Mariusz, więc dla nas z miejsca stał się Mariuszkiem.

Następnego dnia Sojka, Pompejusz i Zwierzak w godzinach wczesnoporannych pojechali po Mariuszka na jego wioskę. My czekaliśmy na sygnał, że go mają.

Zastali go w domu, zawinęli i zrobili konkretny kipisz w poszukiwaniu jakichkolwiek fantów. Okazało się, o czym nie wiedzieliśmy wcześniej, że Gołębiarz miał przy sobie teczkę, dyplomatkę, którą sprawca zabrał. I ta właśnieteczka znalazła się i została zabezpieczona w domu u Mariuszka. Oprócz tego chłopaki zabezpieczyli jeszcze kilka par butów, by sprawdzić protektor, i przywieźli skutego chłopaka do nas. Wtedy zaczęła się przeprawa. Bo chłopak oczywiście przyznał się, że był we Wrocławiu, spotkał się ze znajomymi, odwiedził też jeden z lokali, by świętować Nowy Rok. Ale jakiś Gołębiarz? Pierwsze o kimś takim słyszy. Czy był u znajomych na Wzgórzu Polskim? Ależ skąd! I tak dalej. Oczywiście był hardy, stawiał się i udawał, że nie ma pojęcia, dlaczego tu jest i o co nam właściwie chodzi.

Sojka i Pompejusz, którzy prowadzili rozmowę, byli cierpliwi i stanowczy. Bombardowali chłopaka argumentami, naszą wiedzą o nim i jego postępach, pasującymi śladami butów, zeznaniami świadków. Łapali go na nieściskościach i konsekwentnie szukali jakiegoś punktu zaczepienia. Wszystko na próżno, bo chłopak nie tylko się nie dawał, ale i z każdą kolejną chwilą coraz bardziej sprawiał wrażenie, że ogólnie jest dość przytępawy i właściwie to nie do końca rozumie część rzeczy, które się

do niego mówi. To, czego nie rozumiał na pewno, to powaga sytuacji.

W końcu po tych wszystkich podchodach chłopaki nie wytrzymali. Zerwali się nagle, podnieśli gościa, Pompejusz z jednej, Sojka z drugiej strony, i przewiesili Mariuszka przez biurko. Pompejusz złapał wtedy kij bejsbolowy, który stał w kącie, i woła do chłopaka:

- Wiesz co? Mam dość. I tak cię, kurwa, posadzimy, więc lepiej, żebyś się przygotował do tego, co cię czeka w pudle!

Uchwycił lepiej trzymany w rękę kij i podsunął go chłopaczkowi pod nos. Widoczne były umieszczone na nim napisy Komputer Sześćdziesiąt Cztery Bity, a także kilka innych, mniejszych.

- Widzisz to, gnojku? To jest nasz Komputer Sześćdziesiąt Cztery Bity. I on zawsze doprowadza do prawdy. Zawsze. Wystarczy, że wsadzę ci go aż po rączkę. Gotowy?

Wtedy chłopak się złamał i wszystko wyśpiewał. Jak szukał pieniędzy, a ponieważ jest biseksualny, to czasem sobie na pikiecie dorabiał. No i wtedy w sylwestra dał się namówić na zrobienie loda za kasę temu Gołębiarzowi, więc poszli na ruiny. Gdy facet spuścił spodnie, Mariuszek pomyślał w pierwszej chwili, że to jakieś żarty, takiego koleś miał małego, ale tamten kazał mu się nie gapić, tylko brać do gęby. Więc Mariuszek wziął i chwilę tam pomiętosił, nie wiedząc, czy w ogóle przynosi to jakiś skutek, bo fiutek nie rósł. W końcu jednak Gołębiarz coś tam jęknął i powiedział, że już, że wystarczy. A na pytanie o kasę tylko się roześmiał i odparł, że nie ma i że Jankes dał się zrobić.

- Więc nie wytrzymałem i spuściłem mu wpierdol - wyjaśnił Mariuszek. - A potem przeszukałem za moją kasą nawet skarpetki. Ale nic nie znalazłem, więc poszedłem na imprezę.

Mówił jeszcze jakiś czas, a my to starannie

zaprotokołowaliśmy i przekazaliśmy dochodzeniówce do przesłuchań i dowiezienia do prokuratora w celu postawienia zarzutów.

Oczywiście dostał na początek trzy miesiące aresztu w śledczym, a mnie się potem jeszcze nadarzyła okazja, by spotkać się z Mariuszkiem w sali sądowej, gdy siedział na ławie oskarżonych. Ja zostałem wezwany w charakterze świadka, bo sąd był ciekaw, jak doszliśmy do sprawcy i jak zbieraliśmy dowody świadczące o jego winie.

Zapytany, zdałem więc dokładną relację z naszych czynności, a gdy skończyłem, sąd zapytał, czy obie strony mają do mnie jakieś pytania. Nie miały. Następnie sąd zapytał oskarżonego, czy ma do mnie jakieś pytania.

A ten jak się nie zerwie! Jak nie wrzaśnie!

- A pewnie, że mam! Zastrzeżenie mam! Bo oni mnie tam bili. I wymusili zeznanie. Komputerem Sześćdziesiąt Cztery Bity mnie bili. Katowali mnie, chcieli ten Komputer w dupę wsadzać i wymusili!

Spojrzałem na sędziego. On na mnie. Zrobiłem zdziwioną minę.

- Proszę sądu, nie rozumiem tych zarzutów. Jaki komputer w ogóle? Jakie bity? My ledwie stare maszyny do pisania mamy. Co się natomiast tyczy wymuszania zeznań, całutką rozmowę mamy nagraną...

Tyle zdążyłem powiedzieć, bo Mariuszek znowu mi przerwał, zarzucając kłam i powtarzając w kółko te sześćdziesiąt cztery bity. W końcu tak tym sędziego wkurzył, że ten kazał mu sięść na tyłku, bo go każe wyprowadzić. Mnie natomiast podziękował i pozwolił iść.

Ostatecznie Mariuszek poszedł kiwać na kilka lat. A że jego sława i okoliczności dokonanego czynu poszły w ślad za nim, no i brzydki szczególnie nie był, mógł się cieszyć sporym powodzeniem.

Niedługo potem na głównym froncie naszej policyjnej walki, to jest w starciu z przestępczością zorganizowaną, nastąpił mały przełom. Pojawili się ludzie, którzy nie bali się zeznawać i skonfrontować z bandytami!

W jednej z dyskotek mieszczących się na rynku bawiło się któregoś dnia kilku elewów szkoły oficerskiej we Wrocławiu, oczywiście po cywilnemu, bo na przepustce. W którymś momencie w trakcie wyjścia dla ochłonięcia doszło między nimi a bramkarzami do jakiejś ostrzejszej wymiany zdań, która przeszła w regularną walkę. Zakończyła się ostrym łomotem dla wojskowych, bo dyskotekowi byli oczywiście ze struktur, jak niemal wszyscy bramkarze w centrum, i gdy zaczęła się walka, szybko pościgali dodatkowych kumpli z okolicznych imprezowni. Żołnierze nie dali rady tej nieustannie rosnącej kupie i musieli ustąpić pola, a część z nich z poważnymi obrażeniami wyładowała w szpitalu.

Powiadomieni, natychmiast podjęliśmy działania, licząc się jednak z tym, że w pewnej chwili wyłożymy się jak zwykle na tym samym, czyli braku woli współpracy ze strony poszkodowanych. I tu niespodzianka, bo wojskowi na podstawie zdjęć, które oczywiście mieliśmy od dawna w komplecie, wskazali nam wszystkich, którzy brali udział w pobiciu!

Błyskawicznie zabraliśmy się do działania. Ustaliliśmy, że wszyscy wskazani po całodziennym robocie gromadzą się na zabawie w dyskotecę w należącym do grupy Pałacyku. Przygotowaliśmy się więc do zrobienia tam akcji, w której mieli brać udział gliniarze z naszej sekcji, kilku

wojewódzkich, którzy oczywiście chętnie się podłączyli, no i czarni. Ekipa z KAT miała być, z wyjątkiem kominiarek, po cywilnemu i możliwie dyskretnie wyławiać z ogromnego tłumu na parkiecie każdego, kogo im wskażemy.

Moim zadaniem było wejść jako pierwszy i udać się do biura szefa, żeby zorientować nas w sytuacji od wewnątrz i przy okazji zagadać właściciela lokalu tak, by nie połapał się, co wyczyniamy na dole. Robert, bo tak miał na imię ów szef, zarządzał nie całą grupą, a tym konkretnym lokalem, ale dla przestępców był ważny, bo zapewniał spory, do tego świeżo wyprany dochód z legalnego biznesu.

Zaczęliśmy koło dwudziestej. Wraz z dochodzeniowcem weszliśmy na teren Pałacyku i już tam uderzyły nas dźwięki, szczególnie basy, oraz mieszanina setek perfum i świeżego potu, która dobywała się z wnętrza lokalu. Już tu gęstniał wokół nas tłum młodych, jazgoczących ludzi, co w jakiś sposób dawało przedsmak tego, co czekało nas w środku.

Podeszliśmy do głównego wejścia, a tam... Szary. Główny szef wrocławskich struktur, solidna budowa, nos krzywy po tym, jak mu go przestawili w policyjnym klubie Gwardia, gdzie przez wiele lat trenował. Na mój widok trochę się zmieszał, ale starając się nie dać tego po sobie poznać, odsunął się na bok.

- Dobry wieczór - powiedział.

- Dobry wieczór, panie Leszku - odparłem. - Co tam słyszać?

Ani jednak ja, ani on nie mieliśmy czasu na te pogaduszki, więc po prostu weszliśmy z dochodzeniowcem do lokalu i od razu precyzyjnie się przez tłum za drzwiami do schodów na pierwsze piętro, gdzie znajdowało się biuro.

Roberta zastaliśmy u siebie. Przedstawiłem się i powiedziałem, że musimy pogadać, na co on zaczął

grzebać w szafkach, mówiąc: „Nie teraz, panowie, nie teraz”, i udając, że jest strasznie zajęty. Ale oczywiście nie zamierzaliśmy ustąpić i przeszedłem do pytań. Kto jest właścicielem lokalu, na ile potwierdza nasze informacje o tym, że na terenie Pałacyku dochodzi do handlu narkotykami na dużą skalę, skąd bierze pracowników, jak wyjaśni skargi o pobicia – zasypywałem go gradem pytań, na które jak można się było domyślić, odpowiadał wymijająco i zdawkowo. Nie przeszkadzało mi to jednak, bo przecież nie po odpowiedzi tu tak naprawdę przyszliśmy. W którymś momencie daliśmy sygnał i na dole ruszyły działania, więc miałem tylko utrzymać Roberta jak najdłużej w nieświadomości. Jedynym moim zmartwieniem był w tamtej chwili Szary, bo skoro tu był, mógł wydać jakiś nierozsądny rozkaz, a wtedy zrobiłoby się nieprzyjemnie. Ale z tym akurat w owej chwili nic już nie mogłem zrobić, więc trzymałem się planu.

A ten zadziałał, jak się dowiedziałem po dziesięciu minutach, kiedy do biura wpadł nagle jakiś kark i w ogóle nie zwracając uwagi na dochodzeniowca czy na mnie, wysapał:

- Szefie, inba! Psy wyjmują naszych chłopaków na sali. Trzeba spierdalać!

Robert zerknął na nas ukradkiem, próbując zachować rezon, i na pozór spokojnym głosem poinformował, że jest świadom obecności policji, bo właśnie z nią rozmawia, ale ponieważ nie poinformowaliśmy go o jednoczesnych działaniach na dole, byłby wdzięczny za uprzejmą odpowiedź, co tu się właściwie odpierdala!

Wyjaśniłem więc, że faktycznie prowadzimy czynności i zatrzymujemy podejrzanych o pobicie, ale spokojnie, dbamy o to, by nikomu przy okazji nie popsuć zabawy.

Razem udaliśmy się na dół, gdzie w ciemnej sali błyskały

tylko raz po raz dyskotekowe lampy. Dzięki temu w zasadzie nikt z bawiących się nie miał pojęcia, co się dzieje. Nawet ja, wiedząc, gdzie patrzeć i czego się spodziewać, z trudem dostrzegałem interweniujących gdzieś katowców w kominiarkach, jak wyjmowali kolejnego klienta i dyskretnie, acz stanowczo wyprowadzali go na zewnątrz.

Kilku cwaniaków próbowało uciec tylnymi drzwiami, ale ci w zasadzie tylko ułatwili nam robotę, bo wyjścia mieliśmy obstawione i sami wpadali w nasze sieci.

Gdy zebraliśmy komplet, zaprowadziliśmy wszystkich jeńców pod nasze wozy, gdzie czarni ich przeszukali, usypując niezłą górkę noży, kastetów, teleskopowych pałek, no i oczywiście prochów.

Robert, który wciąż mnie pilnował, patrzył na to wszystko z na pozór obojętną miną.

- Nie martwcie się, chłopaki - mówił do zatrzymanych. - Pomożemy wam.

Chwilę później byliśmy gotowi do odjazdu, więc pożegnałem właściciela dyskoteki i wsiadłem do jednego z wozów. Od swoich dowiedziałem się, że Szary zawinął się zaraz po spotkaniu ze mną, obawiając się, że to na niego w tej akcji kręcimy bicz. Ale na to był jeszcze czas.

Póki co mieliśmy młyn, bo teraz, po zatrzymaniach, trzeba było wykonać niezbędne czynności, notatki i protokoły, wszystko razy dziewięć, bo tylu mieliśmy zatrzymanych. Następnego dnia problemem numer jeden było należyte przygotowanie kilkunastu okazań zatrzymanych pokrzywdzonym. Wiedzieliśmy, że z jednej strony potrzebna nam naprawdę duża sala - ostatecznie zrobiliśmy to w naszej sali odpraw, największej, jaką mieliśmy - a z drugiej, że musimy pilnować absolutnie każdego detalu, bo lada chwila znajdą się tu wynajęci przez

grupę najlepsi dostępni adwokaci, dla których nasze byłe potknięcie będzie większą radością niż Gwiazdka.

By potem nie było żadnych wątpliwości, czynności dokumentowaliśmy nie tylko na papierze, ale i wezwaliśmy techników do ich filmowania. W końcu ustawiliśmy zatrzymanych wraz z osobami przebranymi i zaczęły się okazania.

Z początku jeńcy byli mocno wyluzowani, stroili szydercze miny i rzucali butnymi komentarzami na temat psiarni, ale z każdym kolejnym okazaniem, gdy poszkodowani żołnierze pewnie i bez wątpliwości wskazywali właściwe typy, miny gangusów rzedły. Prawie wszyscy z naszych dziewięciu zostali rozpoznani i wskazani jako ci, którzy brali udział w bójkę i pobiciu. Na nic nie zdały się groźne spojrzenia kierowane w stronę pokrzywdzonych.

Potem, gdy skończyło się danie główne w postaci żołnierzy, dołożyliśmy jeszcze deser, czyli kilku innych poszkodowanych, którzy również dokonali rozpoznania, przyklepując to, co mieliśmy do tej pory.

Oczywiście żaden z karków się do niczego nie przyznał, ale nie było nam to aż tak potrzebne. Doprowadzeni do prokuratury usłyszeli zarzuty i nie udało im się z tego wywinąć. W obliczu naszych problemów była to oczywiście kropla w morzu, ale sukces miał znaczenie z kilku powodów. Po pierwsze, ludzie dostrzegli, że coś robimy. Po drugie, sami sobie udowodniliśmy, że ta panosząca się po ulicach bestia może krwawić, a skoro tak, da się ją też załatwić. Wreszcie nastąpiło też przełamanie w samych grupach przestępczych. Osilki z niższego szczebla zdali sobie nagle sprawę, że nie są aż tak nietykalni, jak im się wydawało, i w związku z tym może ganiecie ze spluwami i bejsbolami po mieście nie jest najlepszym sposobem na świętowanie udanego wtorku czy czwartku.

Ze względu na szereg niuansów i presję z każdej strony w temacie grup zorganizowanych wchodziliśmy do akcji wyłącznie wtedy, gdy była ona pewna jak ta w Pałacyku. Ale to wcale nie znaczy, że czekaliśmy na sprzyjające okoliczności z założonymi rękami. Wręcz przeciwnie, każde powodzenie podkręcało nas coraz bardziej do gromadzenia danych, prowadzenia rozpoznania i szukania na mieście jakichkolwiek dojsć, dzięki którym udałoby się gangi metaforycznie dźgnąć pod żebro.

Staraliśmy się poznać rutynę wszystkich placówek i zwyczaje każdego liczącego się gangusa. Wiedzieliśmy, kto, gdzie i kiedy zbiera, kto czym jeździ, z kim się zadaje, kogo rucha. Znaliśmy rozlokowanie setek maszyn hazardowych rozstawionych dosłownie wszędzie – w barach, knajpach, kioskach, sklepach i gdzie tylko był prąd i odrobina miejsca. Wciskali je ludziom, a potem tylko robili regularne rundki, zbierając szmal. Czasem, zwłaszcza na początku, musieli jeszcze brutalną pokazówką uświadamiać społeczeństwu, że próba zrobienia ich automatu to bardzo zły pomysł, ale potem w zasadzie ten problem zniknął i gangsterzy mieli łatwy, stały pieniądz.

Trudniejszy, ale za to sporo większy temat dotyczył innych pól działalności grup zorganizowanych i te oczywiście też mieliśmy rozłożone na czynniki pierwsze. Wiedzieliśmy, kto diluje, kto pilnuje agencji towarzyskich, kto robi auta i co ci wszyscy dżentelmeni z zamiłowaniem do odzieży sportowej i złota robią w tak zwanym czasie wolnym. Tu, przyznać muszę, rozrywkowością przebijali nawet nas z najlepszych czasów.

Wielu policjantów i gangsterów znało się prywatnie. Miejscem ich najczęstszego kontaktu były siłownie, gdzie i jedni, i drudzy budowali sprawność fizyczną, sylwetki, ale i dość naturalnie, bo przecież dzięki wspólnej aktywności zawiązywali kontakty towarzyskie. Wiązało się to czasem z tym, że jeden czy drugi policjant zaczynał nagle jeździć lepszym autem albo stać go było na ścigacz czy fajną wycieczkę. Po wojewódzkiej niosły się też ploty o którymś z naszych, że podobno regularnie baluje z półświatkiem. Część z tych rewelacji potwierdzali uchole, którzy teraz równie często co swoich ziomków sprzedawali nam naszych. Konkretnie nazwiska, sytuacje, okoliczności, a czasem nawet stawki.

Staraliśmy się, by takie wieści nie przeszkadzały nam w pracy. Byliśmy świadomi, że w każdej robocie są ludzie i ludziska i zwyczajnie nie dawało się tego uniknąć. Ale jednak złość, a przede wszystkim niepewność, komu w takim razie można ufać, źle działały na nasze morale. Jedyne nadzieje były w tym, że uda nam się ich stopniowo powyjmować, ujawnić i że los, jaki ich spotka, będzie przestrożą dla kolejnych.

I do jednej z takich sytuacji miałem okazję się przyczynić.

Gość, bardzo dobrze mi znany, prowadził największą we Wrocławiu agencję towarzyską, w której bawiła się cała wrocławska śmietanka, zarówno ta legalna, oficjalna, jak i podziemna. Ci drudzy oczywiście podpięli się pod biznes, czerpiąc z niego regularne zyski, ale zdaniem znajomego nie było źle, bo i tak na swoje wychodził.

Z racji tego, że miejscówka znajdowała się na moim terenie, odwiedziłem go w tym jego przybytku dwukrotnie. Pierwsza wizyta była kurtuazyjna, ja poszedłem się przywitać, Paweł, bo tak miał ów znajomy na imię, ugościł

mnie i pochwalił się, jak mu to wszystko dobrze hula. Zaproponował nawet po starej znajomości którąś z dziewczyn na koszt firmy, ale ze śmiechem podziękowałem, stwierdzając, że przechodzone to nie mój fetysz.

Za drugim razem w toku rozmowy Paweł napomknął, że ostatnio odwiedziło go trzech gliniarzy, z których dwóch znał i z funkcji, i z nazwiska. Zareagowałem na to gwałtownie, na co on zaraz się spłoszył i próbował ostrożnie wycofać. Nie pozwoliłem mu jednak na to, więc w końcu opowiedział mi, jak któregoś wieczoru, gdy przyjechał do roboty, dziewczyny poinformowały go, że w biurze czekają na niego psy.

Ci podczas gadki przy kawie zaproponowali współpracę polegającą na ochronie przed dociekliwością policji oraz bandytami z miasta, taki, można by określić z angielska, full service. Oczywiście jeśli nie będzie zainteresowany, rozumiem, ale poczują się w obowiązku, by skutecznie utrudnić mu prowadzenie biznesu i zrobić z życia piekło.

Zapytawszy o ich oczekiwania w kwestii gratyfikacji, panowie psy określili swoje stawki, jak również zastrzegli sobie pakiet socjalny w postaci alkoholu i panienek w gratisie podczas swoich wizyt.

Paweł odpowiedział, że musi to poważnie rozważyć, bo z jednej strony propozycja jest intratna, a z drugiej miastowi jabłko mu w ryja wsadzą i zgrillują z całą tą budą, jeśli tylko wszedł w układy z psiarnią, więc muszą zrozumieć, że trochę się waha. Obiecał się jednak zastanowić i wkrótce dać odpowiedź.

O ile historię wydobywało się z niego trudno, wyciągnięcie nazwisk glin ocierało się już o niemożliwość. Długo i mocno się wzbraniał, ale w końcu zorientował się, że nie zamierzam odpuścić i że ja też, gdybym chciał, mógłbym

mu narobić kłopotów, więc się wreszcie złamał i podał mi dwa nazwiska oraz łatwy dla mnie do rozpoznania rysopis trzeciego.

Zdębiałem. Trio składało się z trzech wysoko postawionych policjantów, z czego jeden był kryminalnym, drugi dochodzeniowcem, a trzeci z techniki operacyjnej, czyli kolejno rozpoznanie, proces i obserwacja. Pakiet idealny, lepszego być w zasadzie nie mogło!

Do tego, gdy usłyszałem nazwiska, natychmiast przypomniały mi się konkretne sytuacje ze służby, jak na przykład ta, gdy generał umyślił sobie, żeby zrobić ze mnie kogoś podległego tylko jemu, na samodzielnym stanowisku, tak abym w spokoju mógł gromadzić i analizować wszystkie dane z wojewódzkiej i jednostek podległych dotyczące działań grup zorganizowanych, a następnie wytyczać i organizować działania i realizacje. Tematu ostatecznie nie wprowadzono w życie, a największym jego przeciwnikiem był właśnie jeden z tej trójki, wysoko siedzący w hierarchii.

Nagle okazało się również, że pomysł, by wszelkie informacje ode mnie trafiały w kopercie bezpośrednio do generała, wcale nie był taki dobry. Bo owszem, na tym etapie nie było przecieku, ale następował on chwilę później, gdy zlecano rzeczy do wykonania kilku osobom, wśród których był jeden z naszych sprzedajnych tenorów. Wiedziałem, że coś będę musiał z tą wiedzą zrobić, ale na razie nie miałem jeszcze pojęcia co.

Zwłaszcza że szykowałem się akurat do innego, zleconego mi dyskretnie przez wojewódzkiego zadania o, w pewnym sensie, podobnym profilu.

Agencja Pawła może i była największa, ale ta najważniejsza mieściła się na obrzeżach miasta i przyłgnęło do niej, z oczywistych powodów, określenie

„prokuratorsko-gliniarska”. Ponieważ, jak dochodziły nas słuchy, ubijano tam mnóstwo interesów z miastowymi, generał chciał to zweryfikować i zlecił zadanie mnie oraz dowolnie wybranej przeze mnie osobie. Dla mnie najoczywistszym wyborem był Śpioch.

Ponieważ działaliśmy nie na swoim terenie, musieliśmy to zrobić niekonwencjonalnie, a ze względu na charakter działania i wyznaczone cele – w sposób tajny. Pozwoliłem sobie jednak wtajemniczyć mojego kumpla z dawnej fabryki, który jak się złożyło, akurat był na tym terenie komendantem.

Powiedziałem mu o swojej misji, a ten myślał chwilę, po czym wpadł na pomysł, jak może mi pomóc. Coś tam podzwonił, porozmawiał i wreszcie wyjawiał mi, że uzgodnił z jednym znajomym wikarym, że wbijemy do niego na obserwację, bo tak się składa, że burdel jest okna w okna z tamtejszą parafią.

– I nie martw się, chłopie, Stefan, choć czarny, jest w porządku – zapewniał. – Bądźcie jutro o dziewiętnastej przed wejściem do kościoła.

Przybyliśmy. Z kamerami, kasetami, zabezpieczyliśmy auto i ruszyliśmy pod kościół. Zima, więc zimno jak cholera, a tu wszędzie głucho i ciemno. Nikogo nie ma, co akurat w tej romskiej dzielnicy nie zaskakiwało – tu nawet w ciepłe letnie wieczory mało kto spacerował dla przyjemności.

W końcu zza rogu wyłonił się jakiś facet i rusza w naszą stronę.

– To wy jesteście te gliny? – zapytał śmiałym, rubasznym głosem wiejskiego gospodarza. Ubrany był normalnie, spodnie, czapa, płaszcz, żadnej sutanny. Koło czterdziestki, niewysoki, szczupły.

Wyciągnąłem w jego stronę rękę.

- E tam, ksiądz. Stefan jestem. Komendant nas ze sobą umówił. - Mówił składnie, ale z tą szczególną starannością cechującą ludzi po kielichu albo dwóch.

Zauważył, że to wyczuliśmy, bo uśmiechnął się promiennie i rozłożył ręce.

- No co, kolęda w parafii, nie? Chodźcie.

Ruszyliśmy za nim kilkadziesiąt metrów dookoła kościoła, do budynku plebanii.

- A skąd ksiądz wiedział, że my to my?

Stefan się roześmiał.

- A kto inny by mi o tej porze pod kościołem wystawał? - odparł. - No i kto jeszcze, jak nie wy, nosi takie wąsiska?

Otworzył główne drzwi wielkim kluczem i zaprowadził nas przez ciemną, pustą plebanię do swojego pokoju. Ten miał ze dwadzieścia parę metrów kwadratowych i niewielki przedpokój, z którego wchodziło się do łazienki. Przy jednej ze ścian szafa, komoda, wersalka, na środku duży stół, dalej ława i dwa fotele.

- Dobra, rozgośćcie się, rozkładajcie - powiedział wesoło gospodarz, odwieszając płaszcz. - Wiem, że macie robotę i że tajna, o nic nie pytam, ale stąd macie dobry widok i na wejście, i nawet na kilka okien. Bo to w sprawie kurw tu jesteście, nie? Tych z przeciwka?

Skinąłem głową i prowokacyjnie zapytałem:

- Zna je ksiądz?

- Jaki ksiądz? - obruszył się. - Już mówiłem, że Stefan jestem. To co, po kielichu?

- Wolałbym nie, jesteśmy na służbie i...

Ale Stefan nie dał mi dokończyć. Wziął się pod boki i zmarszczył czoło.

- Ej, kurwa, co jest. Na krzywego ryja pijesz, to pij!

Wyjął z szafki jakiś koniak i ponalewał, a ja się tylko śmiałem w duchu ze Śpiocha, bo ten był w takim szoku, że

jeszcze chwila i by mu oczy z orbit wylazły.

No ale wypiliśmy, by nie denerwować gospodarza, a potem, po rozstawieniu sprzętu, jeszcze po jednym na drugą nóżkę. Atmosfera zrobiła się odpowiednia pod żarty i luźne rozmowy, więc tylko puściliśmy taśmy i zaczęliśmy gadać. A wtedy Stefan zaczął się przechwalać. Pokazywał nam szafki pełne przetworów od parafian, barek z alkoholami i co tam jeszcze uznał, że robi na nas wrażenie. Potem wziął jakieś słoiki, kilka talerzyków i na chwilę wyszedł.

- Ty, to na pewno jest ksiądz? - upewniał się Jarek.

- No, niezły gigant, nie? - odparłem, po czym zakrzyknąłem w ciemny korytarz: - Ksiądz to już tutaj długo?

- Już ci, kurwa, mówiłem, że nie ksiądz, tylko Stefan - odparł wikary. Akurat pojawił się w progu, niosąc kilka rozedrganych, brzęczących talerzyków z przetworami. - Weź tam który należy, bo ja nie mam ręki.

I tak to szło. Piliśmy i gadaliśmy, a właściwie słuchaliśmy, bo księżula nie krępował żaden temat. Nie przebierał też w słowach.

- A wiecie, że kiedyś ta jebana bezpieka chciała się do mnie dobrać, bo się dowiedzieli, że mam u siebie różną broń? - Wskazał ręką na wersalkę. - O tam, w pudle na pościel, trzymałem sztucery, karabinki do polowań, ale niezarejestrowane, więc chcieli tu wejść. Tyle że ich zrobiłem w chuja i nie mogli wejść na parafię. No i pewnego razu widzę, a tu idzie sobie taki lokalny, osiedlowy bandyta prosto pod moimi oknami. Skurwiel grasował tu od dłuższego czasu, terroryzował ludzi, no to myślę, wezmę lufę wystawię i dam mu do wiwatu. Otwieram okno, sztucer w łapie, celuję i wołam: „Te, chuju! Jeszcze raz zobaczę, że się tu kręcisz, to ci jaja, kutasie

pierdolony, odstrzele!” . Jak ten zobaczył, że w niego celuję, to spierdalał tak, że się kurzyło. I wreszcie moi parafianie mogli odetchnąć.

Przy zmianie taśmy i po następnej kolejce zszedł na kościelnych dostojników.

- Albo ten. - Tu rzucił nazwisko ważnego hierarchy. - Taki niby do dzieci. A widział kto kiedy, żeby on dziewczynkę po głowie głąskał? No widział? Nie, samych chłopców.

Po trzeciej kolejce Stefan zaproponował nam kupno sutanny. Gdzieś na tym etapie Śpioch zlużował z piciem, bo musiał wytrzeźwieć, żeby wracać służbowym wozem. A choć obiecał sobie już się niczemu nie dziwić, opcja sutanny za dwie krowy, czyli flaszki zero siedem, znowu sprawiła, że wybałuszył gały.

- No co, może wam się przyda do jakiejś roboty operacyjnej - podsunął wikary. - Tylko byście musieli te wąsiska zgolić, bo widział kto księdza z wąsem?

No i przyniósł tę sutannę, a Śpiochu zaczął mierzyć.

- Kurwa, Jarek, przyciasna. Wyglądasz z tym swoim bębniem jak wiejski proboszcz.

- Wiejski proboszcz! - Stefan ze śmiechu zaczął się klepać po udach. - A to, kurwa, dobre.

Ostatecznie sutanny nie kupiliśmy, bo nie pasowała na żadnego z nas, ale obiecaliśmy mieć to na uwadze. A potem siedzieliśmy tak jeszcze długie godziny, piliśmy, gadaliśmy, jedliśmy, a ja dodatkowo co jakiś czas zmieniałem taśmy. W końcu w burdelu zrobiło się absolutnie cicho, wszyscy sobie poszli, więc i my, podziękowawszy Stefanowi za gościnę, zawinęliśmy się do samochodu.

Był już prawie ranek, ulice puste, więc na wpół otrzeźwiały Śpioch bez przeszkód dowiózł nas do bazy, skąd później radiowóz porozwoził nas do domów.

Następnego dnia przejeździłem taśmy i wyłapaliśmy na

nich kilku miastowych oraz jedną szczególnie interesującą postać, czyli znanego nam dobrze prokuratora zajmującego się kilkoma postępowaniami w sprawie chłoptasiów z miasta. Wspomnieliśmy o tym wojewódzkiemu przy okazji przekazywania mu taśm, ale potem nie śledziliśmy już tej sprawy, więc nie mam pojęcia, jak to się ostatecznie rozwiązało.

Natomiast Stefana już więcej nie spotkałem. Został ponoć potem proboszczem w jakiejś wsi.

Ósmego marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku wybuchła wielka, ogólnokrajowa afera. Choć właściwie nie, afera wybuchła nieco później, ale zapoczątkowały ją właśnie wydarzenia z Dnia Kobiet.

Zacząło się względnie niewinnie. Jak już wspomniałem, miejscem, w którym miastowi spotykali się z naszymi, najczęściej były siłownie. Drugie na tej liście plasowały się dyskoteki. Nasi wpadali tam często po godzinach. W wielu miejscach obowiązywała zasada, że po godzinach odwiesza się właśnie i kwasy i wszyscy mogą się wspólnie bawić jak kumple z siłki.

I tego właśnie dnia w Reducie bawili się zarówno szerokoszyjni z miasta, jak i kilku gliniarzy z KAT. Przez większość wieczoru wszystko szło normalnie, ale w którymś momencie, akurat gdy na parkiecie z facetów byli sami nasi, jeden z szefów lokalu złapał za mikrofon i złożył specjalne życzenia dla tańczących na parkiecie pańienek.

Przekaz był wymowny, do tego wszyscy pod wpływem, więc reakcja do przewidzenia. Doszło do przepychanki, ale ta, z racji dawno już przyjętej przez miejscowych taktyki „dobieraj z miasta, aż się przeciwnik zasapie”, dość szybko zmusiła katowców do odwrotu. Uciekając, odgrażali się, że jeszcze się za to odegrają i pokażą bandytom, kto naprawdę rządzi w tym mieście.

Kilka dni później, gdy przybyliśmy rano do firmy, powitała nas wiadomość, że bandyci w liczbie trzydziestu osób dokonali napaści na klub Reduta. Czy też, jak ujmowały to już huczące na ten temat media, usiłowali dokonać, bo w środku grupa bawiących się dała bandziom

w kominiarkach i z pałami skuteczny odpór, broniąc się za pomocą stołów, krzeseł, butelek czy co tam jeszcze było pod ręką. Mając po swojej stronie przewagę liczebną, determinację i siłę płynącą z przekonania, że są tymi dobrymi, bawiący się przegonili bandytów, kilku z nich po drodze zmuszając do ujawnienia tożsamości poprzez zdjęcie im kominiarek. A wszystko to sfilmowała dla widzów w całym kraju telewizja, którą ktoś wyjątkowo przewidujący na to zdarzenie zaprosił.

Byłoby to zdarzenie jak, niestety, wiele innych w tamtym czasie – no, może minus ta telewizja – ale wtedy okazało się, że jeden z dzielnych obrońców Reduty na widok twarzy zdekonspirowanego bandziora zawołał:

- Ja go, kurwa, znam z siłki. To pies jest!

I się zaczęło.

Tego, jak wkurwiony był wtedy wojewódzki, nie opisałyby kwiecistą mową antyczne poematy. Wręcz go roznosiło. Postawił na nogi wszystkich operacyjnych i jeszcze zanim miastowi, jak to przykładni obywatele, zgłosili napaść do prokuratury, ruszył z rozpoznaniem tematu. Zaraz potem, gdy prokuratura wszczęła śledztwo, zaczęliśmy wszystkie czynności wykonywać oficjalnie.

Śledztwo toczyło się oczywiście dwutorowo. Światu dawaliśmy pełen pokaz naszych możliwości, sprawdzaliśmy wszystko tak, by nikt nie mógł nas o nic oskarżyć, i bardzo ostrożnie ważyliśmy każde słowo w dowolnym towarzystwie. Jednocześnie toczyło się drugie śledztwo, nieoficjalne, mające nam pomóc w rozwikłaniu zagadki, którą wojewódzki ujął zwięźle w słowach: „Co tam się, do kurwy nędzy, odpięrdoliło?”.

No i wtedy wyszło, że zaczęło się od owej feralnej imprezy z Dnia Kobiet, że się katowcy poczuli obrażeni, ale oczywiście nie chodziło tylko o to, bo ważne było również,

by uzmysłowić miastowym, że takie akcje, jakie oni robią na mieście, terroryzując je i podporządkowując sobie, to miecz obosieczny. Co interesujące, było to zaplanowane uderzenie, a nie odwet na łapu-capu, owa trzydziestka miała na to zgody i wsparcie swoich dowódców.

Umówieni na konkretny dzień, z zaplanowanym na wszelki wypadek wsparciem w odwodach, chłopcy wzięli kominiarki i sprzęt. Mieli wejść, dać nauczkę, pokazać, kto rządzi, i wyjść po zdemolowaniu lokalu. Tyle że nie poszło.

Oczywiście musieliśmy zawinąć tych, którym zdjęto kominiarki - miastowi chętnie się zrewanżowali na okazaniu za akcję w Pałacyku - ale ci nie sprzedali nikogo więcej podczas przesłuchań i karnie poszli pod sąd.

To jednak nie ratowało sprawy, bo raz, że plotki poszły nie tylko w miasto, ale i w kraj, mocno podważając i tak wątłe zaufanie do policji, a dwa, wyszło, że ta telewizja na miejscu i ogromna przewaga karków to nie był przypadek. Ktoś z naszych sprzedał akcję i kolegów miastowym, a ci należycie się przygotowali, wyczuwając, że to dla nich niepowtarzalna szansa, by trafić nas jak jeszcze nikt.

Zupełnie przypadkiem - nie podejrzewam ich bowiem o taką przenikliwość i zdolność dalekosięźnego, strategicznego myślenia - przestępcy osiągnęli coś jeszcze. Wzbudzili w nas, a szczególnie w wojewódzkim, totalną paranoję. Chcąc wychwycić kreta, generał dostał prawdziwej obsesji na punkcie podsłuchów i od tamtej pory okablowane mieliśmy wszystko, nawet korytarze.

Ostatecznie nie udało się znaleźć miastowego uchola, który pchnął ten temat. A sama sprawa, w atmosferze śmierdzącego skandalu, ciągnęła się potem jeszcze długie lata.

Pocieszeniem dla nas była wciąż prężnie działająca sekcja.

O panującej u nas atmosferze krążyło coraz więcej plotek i właściwie nie było tygodnia, by ktoś nie składał do nas podania. Ale mieliśmy tylko dziesięć etatów i szczerze mówiąc, nie chciałem więcej. Zgrany zespół świetnie się dogadywał w pracy i lubił spędzać wspólnie czas poza nią. W pewnym momencie do imprez integracyjnych przekonał się nawet Dziki, dotąd wielce im niechętny. Któregoś razu po prostu zgłosił się, że jedzie z nami, zabiera żonę, syna i psa.

Te wspólne rodzinne wyjazdy to był po prostu fajny czas, ale ja liczyłem, że za ich pomocą osiągniemy coś jeszcze. W codziennych pretensjach naszych partnerek – a to, że nas nie ma, a to, że nie odebraliśmy dzieci z przedszkola albo że jesteśmy wiecznie nieobecni, nawet gdy przebywamy w domu – dawało się bowiem zwykle wyczuć ich szczerą niepokój o nas, o nasze życie. Większość z nich nas kochała i jednocześnie widziała, co się dzieje. Żyły w tym mieście, nieraz same słyszały strzały w biały dzień. Zależało mi na tym, by wiedziały, że każdy z nas, wychodząc na służbę, idzie do ludzi, którym na nim zależy. I którzy w razie potrzeby staną przy nim i go nie zostawią.

Tak, byliśmy rodziną. Poniekąd patologiczną, ale rodziną.

Nadszedł lipiec tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku, a z nim tak zwana powódź tysiąclecia. O tym, że idzie wielka woda, wiedzieliśmy już z wiadomości, szła już bowiem ze dwa dni, ale i tak trudno było się przygotować, zwłaszcza na jej skalę.

Do Wrocławia weszła od strony Rakowca. Tam doszło do ogromnych strat, wszystko zalane do wysokości pierwszego piętra kamienic. Stamtąd powódź przysłała do centrum.

Z powodu klęski żywiołowej, zanim jeszcze woda wdarła się na nasz teren, wszystkich, którzy nie przebywali akurat na urlopie poza miastem, skoszarowano w jednostce. Pomimo że akurat był dzień wolny, od nas pojawili się wszyscy, także od wojewódzkich, w tym samym gmachu, tylko służby dyżurne. Niepewni w zasadzie, jak to teraz będzie, na czym w praktyce będzie polegał nasz dyżur, rozlokowaliśmy się po jednostce, by przygotować się na dłuższe koczowanie. I pierwszą noc właśnie tak spędziliśmy, koczowniczo, śpiąc, na czym kto miał, na łózkach polowych, materacach, biurkach, dywanikach.

Rano pod nasz gmach zaczęła się wdzierać woda.

- Ty, Zwierzak, twój maluch się topi - zawołałem rano, patrząc przez okno.

- A tam pierdolisz, się topi - odparł Zwierzak. Był akurat w drugim pokoju, ale wpadł do mnie i doskoczył do parapetu. - Jak się to... O kurwa, moje auto się topi!

W momencie, gdy to powiedział, woda już sięgała reflektorów i ciągle przybierała. Zaraz potem zrobiło się jakieś zwarcie i włączyły się wszystkie lampy. Po czym, kwadrans, pół godziny później, pod wodą było niemal całe

miasto. Ja ze swoim samochodem miałem więcej szczęścia. Zwierzak zaparkował od strony ulicy, ja od znajdującego się wyżej parkingu. Tam woda zakryła mi raptem połowę kół.

Jeszcze gorzej było, gdy woda wdarła się na dziedziniec wojewódzkiej, gdzie podobno stały zmagazynowane pudła z nowo zakupionym sprzętem do łączności. Gdyby wojewódzcy byli na miejscu, pewnie zdążyliby go uratować, ale że ich nie było, wszystko trafił szlag.

Jaśnie panowie pojawili się zresztą następnego dnia, oczywiście ci, którzy mieli się jak przeprowadzić przez wodę, ale właściwie przez całą akcję nie opuszczali swoich pokoi, działanie w terenie pozostawiając jednostkom podstawowym.

Cóż mogę powiedzieć, było ciekawie. Przez cały okres powodzi zamiast radiowozów pod naszą jednostką cumowały pontony i to właśnie nimi policjanci wypływali na miasto, by pilnować sklepów i innego mienia przed szabrownikami.

W początkowej fazie do naszej jednostki dostarczono trochę materacy, konserw, a także wody pitnej (bo ta bieżąca w kranach została wyłączona) oraz z braku prądu – lamp naftowych i latarek. Nikt się w zasadzie nie mył, ale ponieważ był to stan powszechny, wszyscy się do tego przyzwyczaili. Zresztą nie było nawet czasu, by narzekać.

Pomagaliśmy ludziom. Gdy trzeba, ratowaliśmy dobytek, pomagaliśmy w transporcie, dostarczaliśmy paczki żywnościowe. W całym tym szalonym zapierdzielu prawdziwie budujące było to, gdy widzieliśmy, że w obliczu tragedii masa ludzi, na co dzień wrogów, jednoczyła się, by wspólnie usypywać tamy z worków z piaskiem. Aż mi było szkoda, że nie mogłem sfotografować, jak jeden znany mi z ulicy punk wsypuje piach do worka trzymanego przez

zagorzałego skina. To byłoby zdjęcie symbol tego, co się wtedy działo.

Któregoś razu w nocy na patrolu łowiliśmy na ulicy ryby z fosy, co było jednym z najbardziej surrealistycznych doświadczeń, jakie przydarzyły mi się w życiu. W dzień pracowaliśmy ręką w rękę z mieszkańcami zalanych ulic, a oni odpłacali nam życzliwością, czasem ciepłym napojem, a raz, na Legnickiej, jedna pani przyniosła nam świeżo upieczonego kurczaka. Po tylu dniach konserw i suchego chleba było to najlepsze jedzenie na świecie i dopiero potem zacząłem się zastanawiać, gdzie ci ludzie to wszystko gotowali, skoro środek miasta, nie było ani prądu, ani gazu. No ale radzili sobie.

Broniliśmy też przed wodą Ostrowa Tumskiego, sakralnych gmachów, ale i okolic Młyna Maria. W związku z tą akcją Wrona po dziś dzień wypomina mi, że odrzuciliśmy propozycję siostrzyczek zakonnych, które zaoferowały nam skorzystanie z przyszniców przeznaczonych dla pielgrzymów oraz zjedzenie śniadania. Podziękowaliśmy, bo roboty było huk, ale Wrona ubzdurał sobie, że te siostrzyczki, młode i ponętne, nie bez powodu zapraszały, trzeba się więc było zdecydować, toby i człowiek na bonus się załapał.

- Jakby nam mało było z tą powodzią gniewu bożego - zadrwiłem i kazałem mu przestać pieprzyć bzdury i wracać do tachania worków. Tydzień wystarczył, by mu tak walnęło na dekiel. Tydzień warunków polowych.

Po tych siedmiu dniach nasze mundury polowe, w których odbywaliśmy służbę, nadawały się już w zasadzie wyłącznie do wywalenia. Ale to właśnie w nich zabezpieczaliśmy most Młyński, gdy przybyła delegacja rządowa. Ówczesny minister spraw wewnętrznych stanął na środku owego mostu, chwilę popatrzył, co też ta Odra wyprawia, splunął

w wodę i poszedł. Tyle było jego przejmowania się klęską.

Nie ma jednak tego złego, bo ktoś na zdjęciach zauważył, że wyglądamy jak łapserdaki, i zarządził nam wymianę mundurów na nowe, czarne. Wymianę zajmował się policjant gospodarczy Janek, zwany Miśkiem, który mieszkał z nami na komendzie od początku powodzi. I robił dla nas prawdziwe cuda, pilnując, żebyśmy po twardym początku mieli co zjeść, pić, na czym pływać. Codziennie walczył dla nas o coś i nieustannie dostarczał wszystko, co właśnie lada chwila miało się skończyć: od łóżek i koców po wodę i baterie do latarek. Jak czegoś nie dostał w zaopatrzeniu, dobijał się do sponsorów, ale jeśli powiedział, że będzie, to - jak padło niejednokrotnie, „choćby skały srały” - było. Właśnie dzięki niemu każdego dnia po ciężkiej fizycznej harówce mieliśmy do czego na komendę wracać.

Któregoś dnia bladym świtem byliśmy w kilku na osiedlu Szczepin przy ulicy Zachodniej. Jezdnia była w większości zalana, więc staliśmy pontonem tam, gdzie woda się kończyła, gdzieś na środku ulicy. Słońce powoli się budziło, ptaki śpiewały, ciepło, ale jeszcze nie gorąco - gdyby nie ta woda, gdyby nie wdzierający się w nozdrza słodki smród stęchlizny, byłoby cudnie.

I w pewnym momencie nadjechał TIR z logo znanej firmy produkującej napoje, zatrzymując się dokładnie przy nas, przy krawędzi wody. Kierowca wysiadł i oświadczył, że przywiózł to wszystko dla powodzian, ale dalej nie da rady i czy w związku z tym może to zrzucić tutaj. Powiedzieliśmy, że jasne, że jakoś rozdamy to okolicznym potrzebującym, i ruszyliśmy, by pomóc mu z paletami. Wyszła z tego spora górka zgrzewek, które my niedługo potem, po wezwaniu wsparcia, załadowaliśmy na pontony i zaczęliśmy rozwozić potrzebującym. Zwinąłem wtedy,

pamiętam, jedną butelkę oranżady. Strasznie chciało mi się w którymś momencie pić i z początku zamierzałem wziąć tylko łyka, ale ten smak przypomniał mi napoje pijane za dzieciaka i w konsekwencji wypilem całą, szczęśliwy, jakbym rzeczywiście znowu miał te kilka, kilkanaście lat.

Gdy tak przenosiliśmy kolejne zgrzewki na pontony, przychodzili do nas ludzie z okolicznych, niezalanych domów i pytali, czy oni też mogą. Odmawialiśmy im, chcąc dostarczyć je wyłącznie do najbardziej poszkodowanych, ale by nie zostawiać ich z niczym, przekazaliśmy im, co powiedział nam kierowca TIR-a: że druga ciężarówka z takim samym towarem zrzuciła się przy pobliskim kościele i tam powinni dostać napoje.

Część poszła, ale zaraz wróciła, mówiąc, że niczego tam nie ma, a kościół i parafia zamknięte na głucho. Zaskoczony sprawdziłem i rzeczywiście – wszystko pozamykane, nikt nie odpowiada mimo pukania i nawoływania. Zapytałem ludzi z pobliskich balkonów i kilka osób potwierdziło, że rzeczywiście rano była tu ciężarówka i wyładowała masę napojów, ale ledwie odjechała, proboszcz z wikarymi wnieśli to wszystko do kościoła, pozamykali drzwi i poszli. Nikomu nic nie rozdano.

Rozeźlony, najpierw próbowałem się dobijać na parafię, a przy braku jakiegokolwiek odzewu odszedłem, zdeterminowany, by regularnie wracać i sprawdzać sytuację. Cały dzień to robiłem, dopytywałem też ludzi z balkonów – nikt nic nie wynosił, nikt nic nie dostał.

Gdy w końcu udało mi się dorwać proboszcza i zapytać o te dary, powiedział, że za późno, bo wszystko już rozdał. A do zamkniętego na cztery spusty kościoła, ze względu na sytuację powodziową, wpuścić nie chciał.

Woda w końcu opadła, ale to wcale nie zakończyło naszej służby kryzysowej i nadal dostarczaliśmy artykuły pierwszej potrzeby do najbardziej poszkodowanych. Jednocześnie otworzyło się wiele punktów różnych instytucji i fundacji, gdzie poszkodowani mogli się zgłosić, by uzyskać pomoc w postaci kołder, pościeli, poduszek czy nawet materacy bądź łóżek. Dary płynęły zarówno z regionów, których nie dotknęła wielka woda, jak i z zagranicy. TIR-y, kontenery, mnóstwo budującego, podnoszącego na duchu wsparcia.

Ale znalazły się też w tej sytuacji kanalie. Raz po raz, zdecydowanie za często, docierały do nas sygnały a to o szabrownikach plądrujących częściowo zalane domy, a to o bandach odbierających powodzianom otrzymane dary. Byli też tacy, którzy nie ucierpiawszy, zgłaszali się wszędzie i zawłaszczali nienależną im pomoc, w dodatku w ilościach hurtowych.

Dostaliśmy zawiadomienie o takim jednym, który jeździł ponoć od punktu do punktu, wyciągając kolejne zestawy, a potem magazynował je u siebie w domu z przeznaczeniem na sprzedaż. Prócz kołder, pościeli, łóżek polowych udało mu się zdobyć też meble, sprzęty gospodarstwa domowego i mnóstwo paczek żywnościowych, a wszystko to bez choćby cienia podstaw, bo nie stracił w powodzi nic. Mieszkał na drugim piętrze i nawet nie miał piwnicy, którą mogłoby mu zalać.

Podjechaliśmy pod wskazany adres ze Zwierzakiem, ale nikogo nie zastaliśmy. Zdecydowaliśmy się poczekać i trochę pomóc ludziom wynoszącym nienadające się do użytku rzeczy, które wywalali na jedną wysoką hałdę żałości. Wszystkie okna mieli pootwierane, by – o ile to możliwe – pozbyć się wilgoci, a z nią ryzyka gryzby.

W końcu zjawił się i kolekcjoner. Przyjechał samochodem,

zaparkował na środku podwórka i zaczął z bagażnika wyciągać kolejne worki dóbr. Podeszliśmy do niego, wylegitymowaliśmy się i zapytaliśmy grzecznie, co ma w tych worach.

- Chuj wam do tego, nie wasza sprawa - warknął.

- Bardzo proszę bez agresji - powiedziałem. - I jeszcze raz powtórzę pytanie: co ma pan...

Ale facet już nie czekał, tylko napał na mnie tym workiem, bym mu zrobił przejście. Nie ustąpiłem, więc spróbował najpierw jeszcze raz, a potem bokiem. Gdy mu się nie udało, odłożył worek i zaczął na nas wyklinać, wymachując rękami.

Wkoło gromadzili się już sąsiedzi typka, z uwagą przyglądający się sytuacji i temu, jak Zwierzak podjął próbę uspokojenia faceta, sięgając ręką w jego stronę. Złapał faceta delikatnie za przedramię, ale tamten wyrwał się i zaraz skoczył do ataku. Tyle że źle trafił, bo Zwierzak zdudoka przyjął ten jego atak, ustawił się odpowiednio i wykonał rzut. Co mogłoby w innych okolicznościach pewnie skończyć sprawę, ale mój towarzysz nie wziął pod uwagę błota, więc po rzucie sam się pośliznął i wylądował na glebie. Kolekcjoner spróbował to wykorzystać, ale w parterze Zwierzak również był dobry i raz-dwa spacyfikował faceta. Wtedy dołączyłem i ja, zakuwając gościa w dyby, a po podwórku echem poniosły się głośne brawa.

Wspólnie z zatrzymanym poszliśmy do jego mieszkania, gdzie ujawniliśmy wszystkie wyłudzone rzeczy. A ponieważ sytuacja była nadzwyczajna, wymagała też nadzwyczajnej decyzji. Uznałem, że aby nie mnożyć roboty papierkowej, a ulżyć prawdziwie potrzebującym, wszystko, co tamten wyłudził, rozdamy najbardziej potrzebującym sąsiadom. I tu znowu odezwała się ludzka solidarność, bo ludzie

natychmiast sami wskazali takich i jeszcze pomogli w przeniesieniu rzeczy do tych wymagających wsparcia domów.

Odjeżdżaliśmy stamtąd żegnani gorącymi podziękowaniami i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Faceta zabraliśmy oczywiście ze sobą do bazy, gdzie przygotowaliśmy odpowiednio umotywowane kwity i puściliśmy sprawę dalej. Prokurator na szczęście również uznał nadzwyczajność okoliczności i się nie przyczepił. Tylko Zwierzak musiał oddać żonie do prania ubłocone ciuchy.

Wreszcie, po kolejnych dwóch tygodniach męczarni w smrodzie i upale, mogliśmy przejść ze stanu podwyższonej gotowości do normalnej roboty. Mogliśmy na powrót nocować w domach, a w firmie stawiać się w normalnych godzinach pracy i zajmować się czymś innym niż dostarczanie produktów pierwszej potrzeby i reagowanie na tych, którzy w niecny sposób postanowili wykorzystać tragedię. Większość z nas poczuła autentyczną ulgę na myśl, że teraz znowu będzie po staremu. I rzeczywiście tak było. Ale nie dla wszystkich.

Oto bowiem do pracy w pełnym wymiarze wrócili też ci z wojewódzkiej, którzy zważywszy na sytuację, całkiem nieźle wypoczęci, zabrali się za inwentaryzowanie i rozliczanie powodzi. No i zaczęło się czepianie odnośnie do liczby zużytych baterii czy konserw. Wyliczyli tam sobie jakoś, siedząc w domach z dala od wody, ile tego czy tamtego powinno się zużyć. Gdy wychodził im jakiś odchył, dalej delegacją mądrali do Miśka, by go rozliczyć z każdej, kaździuteńkiej rzeczy, o którą poprosił. A że jego pokój był zaraz obok mojego, słyszałem przez ścianę, jak mu grożą, że za każdy najmniejszy brak będą mu dawać po kieszeni.

- Ja nie wiem, jak im mam tłumaczyć, Adam, że to po prostu szło. No nie dało się upilnować każdej pieprzonej baterijki, widziałeś przecież - żalił mi się wtedy tak znerwicowany, że w zasadzie odpalał już papierosa od papierosa. - I tu nawet nie chodzi o jakieś duże tematy, wiesz. Oni właśnie o baterię, o tę latarkę, co do wody wpadła, koc jakiś. Same pierdoły, ale jak to się zbierze, chyba mi sobie przyjdzie w łeb strzelić, bo się, kurwa, nie

wyplacę.

Mówiłem mu, żeby olał tych chujów, że jak przyjdzie co do czego, to się za nim wstawimy, a on dziękował i mówił, że jesteśmy w porządku. I że w sumie wie, że to tylko takie groźby bez pokrycia, ale, Jezu, jak go to wkurwia.

I tak to szło. Oni przychodzili do niego, darli się przez ścianę, Misiek przychodził do nas, żeby się pożalić. Ciągle te same pierdoły, bywało, że po kilka razy fatygowali się o jeden cholerny koc.

Aż któregoś dnia wpadł roztrzęsiony poprosić o papierosa.

- Co ty się tak telepieasz, Misiek? - zapytałem, częstując go, na co on, że mu grubszą rzecz znaleźli, bo gdzieś zaginął jeden ponton.

To go pytam, dlaczego to na niego, a on, że on zamawiał, on ma na rozliczeniu i chuj wie, kto wziął, gdzie zaginął, ale mu mówią, że mu odliczą, a to kosztuje takie pieniądze, że on nie da rady.

- No mówię ci, Adam, w łeb sobie strzelić, innego wyjścia nie ma.

- A tam pieprzysz bez sensu - pocieszałem. - Znajdzie się, przecież te pontony w różne miejsca szły, trzeba tylko poszukać. A ty o tym strzelaniu bzdur nie gadaj, bobyś tylko żonie i córom kłopotów narobił i same je zostawił. Weź ty im w ogóle powiedz, żeby oni te groźby pisemnie ci podali, to się będzie do czego odnieść. Zobaczymy, czy tacy będą pyskaci, jak im tym potem zamachasz.

- Tak myślisz? - Złapał się tej myśli jak tonący brzytwy. - W sumie może i tak. Tak im powiem. Tak.

Nie wiem, czy powiedział, ale od tamtej pory wydawał się jakby trochę spokojniejszy. Nadal się wkurwiał, nadal palił jak smok, ale to już było właśnie zdenerwowanie bardziej niż panika. Przychodził, żalił się, ja mu coś mówiłem, a on wracał do siebie. I tak przez kolejny tydzień.

Któregoś dnia koło dziewiątej wpada do mnie, staje w drzwiach i pyta, czybym z nim nie strzelił kielicha, bo ma urodziny. Spojrzałem na ten jego wystający łeb, na zegarek, znowu na niego.

- Ochujałeś? Teraz? Jest dziewiąta.

Wzruszył ramionami i wyszczerzył zęby.

- No to spoko, później. Nic pilnego. - Łeb zniknął, by zaraz znowu się pojawić. - Tylko na pewno wpadnij, dobra? Będę czekał.

- Jasne, pewnie, ale później.

- Dobra.

Poszedł, a ja wróciłem do pracy. Nie na długo, bo niespełna pięć minut później huknęło coś raz, a zaraz potem drugi.

Zerwałem się na równe nogi i wypadłem na korytarz, bo przecież wiedziałem, jak brzmi wystrzał z pistoletu, i nie pomyliłbym tego dźwięku. Rozejrzałem się, dostrzegłem wielu ludzi wychodzących ze swoich pokojów, ale dźwięk się nie powtórzył. Zaraz potem po schodach wbiegł komendant, którego biuro mieściło się dokładnie pod biurem Janka. Nie mówiąc nic nikomu, Irek z miejsca skoczył do jego drzwi i szarpnął za klamkę, ale było zamknięte.

- Janek! - wrzasnął komendant. - Janek, kurwa, na miłość boską. Otwórz!

Doskoczyłem do niego, bo ta jego pewność, że właśnie stąd dochodziły strzały, złała się z moim przeświadczeniem, że dźwięki dobiegły mnie z bardzo bliska. Może właśnie zza ściany. Naparliśmy więc na drzwi, raz, drugi, trzeci, aż w końcu zamek puścił i wpadliśmy do środka.

Misiek leżał na podłodze w nienaturalnej pozycji, wokół jego głowy rosła kałuża krwi wsiąkająca w deski. Nieopodal, w zasięgu ręki, upadł jego służbowy P-64.

Komendant natychmiast kazał wezwać pogotowie, ale do ich przyjazdu nikt nie wszedł do pokoju, bo powiedzmy szczerze, w takiej sytuacji, przy takich obrażeniach, nikt z nas nie potrafiłby nawet zabrać się do udzielania pomocy. Staliśmy tam jak zamurowani. W końcu zjawił się lekarz.

- Jeszcze żyje - powiedział po wstępnych oględzinach i kazał go wziąć na nosze. Pielęgniarki się uwinęły i już po chwili zabierali go na dół, a ja widziałem, że wieziony faktycznie jeszcze dychał, choć słabo, i się ruszał. Zmarł w karetce, o czym poinformowano nas, gdy ta już dojechała do szpitala.

My w tym czasie na pełnym automacie zabezpieczyliśmy pokój do czasu zebrania się dochodzeniowo-śledczej i zczekaliśmy na prokuratora, który zjawił się wyjątkowo szybko.

Z ustaleń wynikało, że Janek zamknął się od wewnątrz i popełnił samobójstwo, używając służbowego pistoletu. Były dwa strzały, bo jeden poszedł w ścianę, jakby Misiek w ostatniej chwili się zawahał, jakby mu się omsknęła ręka. Drugi strzał był już jednak pewny i celny. Z przyłożenia w skroń. Kula z P-64, paskudnej broni, nie dała mu najmniejszych szans.

Jeszcze tego samego dnia dwóch skurwieli z zaopatrzenia z wojewódzkiej przyszło sprawdzić, co się właściwie stało, ale zmyli się natychmiast, gdy zdali sobie sprawę, jak mało brakowało do rękoczynów.

- Wy kurwy, gnoje, pijawki! Macie krew na rękach, skurwysyńskie pasożyty. - Nasze krzyki odprowadziły ich pod samo wyjście.

Następnego dnia przyszło trzech kolejnych, poczynić jakieś uzgodnienia, ale spotkali się z taką samą reakcją. Nienawidziliśmy ich wtedy, ale równie wielki żal mieliśmy do samych siebie, że nie dostrzeżliśmy, jak bardzo te

wszystkie deklaracje były realne. Jak to „palnę sobie w łeb” było cały czas bliskie, prawdziwe, aż stało się rzeczywistością.

Ta myśl zresztą do dziś nie daje mi spokoju. Dlaczego nie potraktowałem tego jako przejawu choroby psychicznej? Dlaczego nie zgłosiłem przełożonym dziwnych zachowań i deklaracji kolegi? Czy żyłby jeszcze, gdybym przerwał pracę i poszedł na tego kielona? Oczywiście na poziomie racjonalnym potrafię to sobie wytłumaczyć, odpowiedzieć na wszystkie z tych pytań – czasem to robię – ale gdzieś w sercu jest niezaleczona rana, której nie zasklepi ani znicz co roku na jego grobie, ani nawet rozdział tej opowieści ku jego pamięci. Misiek będzie ze mną już do końca, ale nie w sposób, w jaki chciałbym go zapamiętać.

W pogrzebie Janka brali udział wszyscy gliniarze z naszej komendy, ale czy ktoś jeszcze zagląda na jego grób, nie wiem. Ja, ilekroć tam jestem, zawsze mówię mu, że był głupi, że dał się tym bezwzględny chujom tak zaszczyć.

Dodam jeszcze, że w późniejszym postępowaniu żaden z nas nie został nawet przesłuchany. Nikt w toku śledztwa nie zapytał nas, czy coś zwróciło naszą uwagę, czy Janek dziwnie się zachowywał albo czy nie wiemy, co mogło go doprowadzić do popełnienia tego desperackiego czynu. Nikt nie rozmawiał ze mną, a wedle wszelkiej dostępnej wiedzy byłem ostatnią osobą, z którą Misiek rozmawiał. Jakby chciano tę sprawę ukreścić. I może z pewnego punktu słusznie, bo gdyby ktokolwiek z wojewódzkiej chciał mnie przesłuchać, jako winnych wskazałbym ich współpracowników z zaopatrzeniówki. Dla nas, dla wszystkich kolegów Janka z komendy, właśnie oni mają jego krew na swoich rękach i sumieniach.

Trzy miesiące po akcji powodziowej rzuciłem Kaśce, że przydałaby nam się impreza integracyjna dla całego wydziału. Kryminalny powinien być zgrany, stanowić jedność, a tymczasem u nas każda sekcja żyła swoim życiem i sporadyczne kontakty mieliśmy albo w przelocie na korytarzach, albo przy okazji zazębiających się spraw. Tymczasem, co udowadniała chociażby praca nie tylko mojej jedyńki, ale i właściwie każdej z sekcji, w atmosferze sympatii i koleżeństwa pracuje się raz, że milej, a dwa, że sprawniej, bo łatwiej o coś poprosić, z czymś się zwrócić.

Kaśce propozycja spodobała się bardzo, zapytała tylko, czy mam pomysł, jak się do tego zabrać, bo to jednak logistyka. Powiedziałem, żeby się nie martwiła, bo raz-dwa wszystko ogarnę. I faktycznie miałem już w głowie zręby planu.

Po pierwsze - miejsce. Tu przyszła mi do głowy willa, w której zaczynałem pracę. Po tym, jak przeniesiono nas do nowego budynku, stara komenda została przejęta przez prokuraturę okręgową i przeznaczona na salę konferencyjną i pokoje gościnne. A więc sami, na uboczu, nikomu byśmy nie przeszkadzali. Za tą opcją przemawiał dodatkowo fakt, że willą opiekowała się obecnie pani, o której wiedziałem, że fantastycznie gotuje i chętnie obsługuje imprezy podobnych rozmiarów.

Po drugie - ogłoszenie pomysłu i sprawdzenie zainteresowania. I tu byłem bardzo pozytywnie zaskoczony, bo ledwie rzuciłem temat, zgłosiła się w całości nie tylko moja sekcja - tu akurat nie miałem cienia wątpliwości - ale wszyscy, łącznie z komendantem i szefem dochodzeniówki.

Każdy też bez marudzenia czy opóźnień zrzucił się na żarcie i alkohol, zobowiązując się przynieść wszystko we własnym zakresie według potrzeb.

Do tego dołożyłem jeszcze sponsora, czyli mojego kolegę cukiernika, który dostarczył patery pełne słodkości – za co, w ramach rewanżu, jak również po prostu dlatego, że był w porządku, zaprosiliśmy i jego – i w zasadzie wszystko mieliśmy gotowe.

Stawili się wszyscy z wyjątkiem Azora, naczelnika kryminalnego. Nikt się nie wycofał, nie kombinował, nie szukał wymówek. Może sprawiła to akcja „powódź”, może siedząca w nas jeszcze niezwykle mocno samobójcza śmierć Janka, a może wreszcie odezwała się potrzeba, by w całym tym stresie, wobec tego, co wciąż działo się na ulicach, trochę się pobawić i odreagować. A może wszystko naraz?

Z początku, jasna sprawa, było trochę sztucznie i sztywno, jak na weselu przed pierwszym toastem. Usiedliśmy sekcjami, tak też rozmawialiśmy i w takim ustawieniu wznieśliśmy pierwsze szklanki. Z czasem jednak, z kolejnymi butelkami i wyjściami na papierosa, następowały coraz większe przetasowania. Ludzie zaczęli wymieniać się anegdotami, opowiadali wspólne sprawy z różnych perspektyw, żartowali z siebie nawzajem. W pewnej chwili ktoś zawołał Elę, naszą wydziałową sekretarkę, i zaraz poniosło się gromkim: „O, Ela, straciłaś przyjaciela...”.

Nikt nikomu nie dał po mordzie, nikt z zewnątrz nie przyszedł ze skargą i nie został z tego powodu spuszczonej po brzytwie. A gdy wszystko się kończyło, na biesiadników czekały samochody, które rozwiozły ich do domów.

Zadziałało, i choć był to pierwszy z wielu kroków na drodze do wydziałowej integracji, od razu widać było efekty.

Po powodzi doszło u nas w sekcji do zmian kadrowych. W miejsce Andrzeja, który poszedł do prewencji, i Stasia, który został wioskowym szeryfem, przyjęto do nas dwóch gości z dochodzeniówki. Tam też robili w jedyńce, więc nie musieli się adaptować i doskonale się orientowali w naszych sprawach.

Tomaszek był chłopcem jak z plakatu. Tak, właśnie chłopcem, bo wyglądał na nastolatka, a do tego był szczupły, niewysoki, drobny i po chłopięcemu się uśmiechał. Wraz z nim przyszedł Wojtek, z wyglądu mała baryłka. Świetnie wychowany, a do tego wykształcony, bo skończył prawo, a potem zrobił aplikację prokuratorską. Problem był tylko taki, że Wojtek był znakomitym, ale jednak procesowcem. I to dość szybko wyszło, bo choć obaj pracowali dobrze i przykładali się do roboty, jedynie Tomaszкови wszystkie zmiany w prowadzeniu dokumentacji przychodziły gładko, a robota operacyjna wyraźnie podpasowała.

Wojtek męczył się okrutnie, zwłaszcza z pozyskiwaniem informacji, był za grzeczny i ogólnie jakby nie z tej bajki. Fantastyczne było w nim jednak to, że spróbowałszy czegoś nowego, był w stanie przyznać przed sobą i nami, że nie tędy droga i czas wrócić do swoich. Wkrótce objął w dochodzeniówce kierownicze stanowisko i nie mam cienia wątpliwości, że na to zasłużył. Tomaszek natomiast został z nami na dłużej.

Na Uniwersytecie Wrocławskim sprzątaniem obiektów zajmowała się prywatna firma należąca do pewnej kobiety. Właśnie ta pani przyszła do nas z anonimowym listem sporządzonym z liter wyciętych z gazet, jak na filmach. W liście ktoś żądał od niej przekazania dwóch tysięcy marek niemieckich w kopercie, którą kobieta miała umieścić pod toi toiem na dziedzińcu gmachu głównego uniwerku. W przeciwnym razie jej dorosła córka zostanie zaatakowana i ugodzona igłą zakażoną wirusem HIV. Dalsza część listu zawierała zapewnienia, że szantażysta wie o kobiecie i jej córce wszystko: gdzie mieszkają, pracują, uczą się i... To w zasadzie tyle, żadnych konkretów, które ułatwiłyby nam identyfikację.

Pokrzywdzona też nie mogła pomóc. Nie miała znanych sobie wrogów, sygnałów, podejrzeń co do sprawcy. Szukaliśmy w ciemno.

Ale byliśmy zgraną sekcijną ekipą i to sprawiało, że mogliśmy podjąć działania, a przynajmniej próby ich należytego zaplanowania.

Rozważyliśmy wszystkie informacje z listu. Z jednej strony bardzo konkretne miejsce, to plus. Drugi był taki, że nie dało się pieniędzy podjąć z marszu, trzeba było się schylić i sięgnąć - to zwracało uwagę. Minusem była autonomiczność uniwersytetu i związana z tym trudność w należyтым obstawieniu terenu.

Tak się jednak fortunnie złożyło, że znałem dobrze dyrektora administracyjnego uczelni i ufałem mu na tyle, by przedstawić mu naszą sprawę. Poszliśmy do niego wraz ze Śpiochem, a on przystał na to, byśmy przygotowali naszą

zasadzkę, działając jednocześnie z zewnątrz i od wewnątrz. By to drugie mogło dojść do skutku, dyrektor udostępnił nam do prowadzenia obserwacji jedną z dużych sal, której okna wychodziły na dziedziniec i ową przenośną toaletę. Ustaliliśmy i obstawiliśmy wszystkie potencjalne drogi podejścia oraz ucieczki, i umówiliśmy się z dyrektorem na konkretną godzinę, kiedy sala będzie nam potrzebna. Poprosiłem też, by absolutnie nikogo nie wtajemniczał w planowane działania, bo im mniej osób wie, że coś się dzieje, tym lepiej.

Wróciliśmy do bazy i tak samo jak przy akcji, która cudownie ozdrowiła nam Sojkę na parkingu za urzędem, przygotowaliśmy kopertę ze ścinkami gazet i fluorescencyjnym proszkiem pod UV. Następnie włożyliśmy kopertę do foliowego worka i poinstruowałem kobietę, w jaki sposób ma ją umieścić w umówionym miejscu.

Sprawę robiliśmy większością sekcji. Ja z Tomaszkiem miałem podjąć obserwację dziedzińca z umówionej sali, jedna załoga od strony parkingu, druga z głównego wejścia do gmachu. Na miejsce udaliśmy się koło szesnastej i dyrektor dyskretnie wprowadził nas dwóch do umówionej sali, do której dał nam klucze. Uznałem, że zamkniemy się w niej od środka, by nie narazić się na głupią wpadkę, i usadowiliśmy się przy oknie.

Dziki, Zwierzak i Śpioch pilnowali wejścia głównego – ustawiłem tam tak mocną ekipę, bo uważałem, że właśnie ta droga ucieczki będzie bardziej prawdopodobna, i chciałem mieć pewność, że nie dadzą cwaniakowi spieprzyć. A czego jak czego, ale zajadłości tej załodze nie brakowało.

Mieliśmy radiostacje i pozostawiliśmy w stałym kontakcie. Ja z Tomaszkiem dysponowaliśmy również

kamerą, którą młody miał obsłużyć, gdy pojawi się sprawca. Wszystko było gotowe, pozostawało czekać.

W końcu uczelnia zaczęła się powoli wyludniać. Studenci, czasem pojedynczo, ale częściej w mniejszych i większych grupkach, opuszczali gmach, udając się do domów, a może na wspólne wieczorne piwo. Do akcji weszły panie sprzątające z firmy naszej pokrzywdzonej i jakiś czas przyglądaliśmy się ich krzątaniu. Potem nadszedł sygnał od ekipy z parkingu.

- Uwaga, podjechał jakiś samochód - usłyszałem przez radio. - Kierowca, mężczyzna, idzie w stronę gmachu.

Spięliśmy się, ale okazało się, że to tylko nocny portier. Nastąpiło przejście obowiązków, dzienny portier wyszedł i znowu zostały nam do obserwacji tylko panie sprzątające.

A może to któraś z nich? - pomyślałem. Dlaczego od razu zakładać, że to mężczyzna? Żadna jednak nie zrobiła niczego podejrzanego w pobliżu miejsca ukrycia koperty, więc wycofałem się sam przed sobą z tej koncepcji. Wkrótce potem panie sprzątające również udały się do domów i dziedziniec całkowicie opustoszał.

Nastał późny wieczór, chciało mi się palić. A jeszcze bardziej niż wyjść na szluga miałem ochotę zabić Tomaszka, który dostał głupawki i gadał o jakichś niestworzonych rzeczach, nakręcony, jakby się solidnie naćpał. Mówił i mówił, same bzdury, i najwyraźniej pobudzał go jego własny, przyciszony głos. A gdy w pewnej chwili zobaczył spacerującego po dziedzińcu kota, odjechał już zupełnie.

- Fajnie byłoby mieć takiego kota, nie? - ekscytował się. - Ale nie takiego zwykłego, tylko takiego wiesz, sajens fikszyn. Taki kot to wszędzie wlezie i nikt się nim nie przejmie, bo to kot. Koty wszędzie łażą, bo jest ich od cholery i nikogo to nie rusza. No więc jakby takiemu kotu

zainstalować specjalne cybernetyczne kamery zamiast oczu, mógłby robić za zwiadowcę, nie? Badać teren. Co o tym myślisz? O takim cyberkocie... O, cyberkot, dobre, nie? To co myślisz?

Tak naprawdę nie chciał wiedzieć, co myślę. Gdybym mu wtedy powiedział, relacja między nami już nigdy nie byłaby taka jak wcześniej. Zamiast odpowiedzieć na jego pytanie, poprosiłem go więc, by łaskawie stulił wreszcie ryj.

I zrobił to, choć uśmiechnął się przy tym tak, że za sam ten grymas mój spragniony nikotyny umysł podsunął mi kolejnych kilka pomysłów, jak go poddusić. Wtedy jednak usłyszeliśmy niosący się korytarzem hałas.

Hałaśliwy dźwięk, przerwa, znowu hałaśliwy dźwięk i kolejna pauza. Szybko domyśliłem się, że to nocny portier sumiennie wypełnia swoje obowiązki, i ucieszyłem się, że wcześniej zamknąłem drzwi na klucz. Gdybym tego nie zrobił, dźwięk przekręcanego klucza na pewno wywołałby zaciekawienie dozorca.

W końcu złapał za klamkę naszej sali, potrząsnął kilka razy i poszedł dalej. Gdy skończył, wrócił na dyżurkę i już tam siedział. Ja natomiast szykowałem się powoli do tego, że przyjdzie nam tu spędzić noc, a może nawet dłużej, i to w dodatku cały czas czujnie. Żadna z pozostałych ekip nie miała widoku na dziedziniec, więc to my dawaliśmy sygnał do działania. To znaczy dalibyśmy, gdyby cokolwiek miało się zdarzyć, na co się na razie nie zanosilo.

Zaczęło się o północy. Oświetlony do tej pory dziedziniec nagle pogrążył się w mroku, bo w jednej chwili zgasły wszystkie lampy. Minęła chwila i od strony wejścia do budynku nadbiegł nocny portier, rozejrzał się, po czym przyklęknął przy toi toiu i na pewniaka wsunął pod niego rękę. Macał, macał, aż wreszcie trafił na kopertę. Wsunąwszy ją za pazuchę, pobiegł z powrotem do dyżurki

i po kilku sekundach na dziedzińcu znowu zrobiło się jasno.

Mieliśmy to oczywiście wszystko na taśmie, którą Cyberkot Tomaszek w odpowiednim momencie włączył. Ja przekazałem przez radiostację, że jest akcja i że kopertę podjął portier. Poleciałem też, żeby ekipa od wejścia głównego wkroczyła, bo robimy zatrzymanie. Następnie z Tomaszkiem jak najciszej otworzyliśmy drzwi i zbiegliśmy na dół, na parter.

Niemal w tej samej chwili, gdy się tam znaleźliśmy, rozległ się dźwięk dzwonka do drzwi. Portier, coś tam psiocząc, podszedł do nich i je otworzył, a wtedy natychmiast został zatrzymany przez Zwierzaka.

Spotkaliśmy się wszyscy razem przy portierni, a ja wszedłem do środka i znalazłem tam naszą kopertę, rozerwaną.

Dalej poszło dość klasycznie. On oczywiście, że znalazł przypadkiem, że nawet nie otwierał, my na to ultrafioletem. On się zdziwił, że cały jest w świecącym proszku, ale dalej idzie w zaparte, że nie on, my go informujemy, że został zatrzymany za wymuszenie rozbójnicze. I tak dalej, i tak dalej.

Nagle zdałem sobie sprawę, że jeśli go teraz zawiniemy, budynek zostanie całkowicie bez opieki, więc zadzwoniłem do tego znajomego dyrektora, by mu przedstawić sytuację. Powiedzieć, że się zdziwił, że to jego pracownik, to nic nie powiedzieć. Zaraz jednak przyjechał na miejsce i mogliśmy mu przekazać obiekt.

Następnego dnia zaczęła się oczywiście żmudna dłubanina, rozliczenia i szereg innych czynności, które trzeba zrobić po każdej sprawie. Ale opłaciło się. W wyniku przeszukania jego domu doszło do ujawnienia wielu książek i starodruków, które portier nakradł z biblioteki uniwersyteckiej, a o ich zaginięciu nikt na uczelni nie

wiedział. Zabezpieczyliśmy je również jako dowody w sprawie.

Klient doprowadzony do prokuratury dostał poważne zarzuty oraz zastosowano wobec niego środek zapobiegawczy w postaci trzech miesięcy pułki.

Później dowiedziałem się od prowadzącej sprawę sędzi, mojej koleżanki, że była zachwycona naszą akcją, jej perfekcyjnym przygotowaniem i poprowadzeniem.

- Mamy świetną ekipę - powiedziałem.
- Tak - odparła. - To się czuje.

Wkrótce potem doszło do kolejnej zmiany na komendzie. Odszedł Azor, co akurat wszystkim ucieszyło, bo był słabym przełożonym i kompletnie nie nadawał się na tę funkcję. Kasia, jego zastępczyni, miała z kolei, jak już zresztą wspominałem, wszystkie cechy, których jemu brakowało, więc było dla nas oczywiste, że to ona przejmie wydział.

Tak się jednak nie stało, bo komendant Irek zdecydował inaczej, na naczelnika wyznaczając... mnie.

Kasia, trzeba przyznać, przyjęła to z godnością, choć dało się wyczuć, że jest zawiedziona i czuje się nieco niedowartościowana. Zdecydowanie jednak starała się nie dać mi tego odczuć i pracowała ze mną jak wcześniej, tyle że w zmienionej, odwróconej konfiguracji.

Tylko że ja tak naprawdę nie chciałem jej zmieniać, bo w głębi serca pasowała mi ta dotychczasowa i robiłem wszystko, by utrzymać jak najwięcej z poprzedniego układu. Korzystając z tego, że formalnie nadal dowodziłem również jedyneką, pozostałem w swoim dawnym pokoju i zajmowałem się przede wszystkim kierowaniem tą sekcją. Poniekąd zachowywałem się w tym momencie trochę jak Azor z trójką, z tym że ja, zamiast udawać pracę ponad podziałami i jednocześnie faworyzować swoich, wypełniałem te obowiązki naczelnika, przy których byłem niezbędny, a w sprawie reszty pozwalałem zarządzać Kaśce.

W praktyce wyglądało to tak, że rano szedłem do pokoju naczelnika, rozpisywałem pocztę na poszczególne sekcje, w tym też sobie na jedynekę, dawałem to wszystko

sekretarce Eli do zarejestrowania i szedłem do siebie. Gdzieś po drodze dla rozeznania zapoznawałem się z tym, co robią pozostałe sekcje, ale większość uwagi poświęcałem swojej. Od Eli odbierałem pocztę, którą sam sobie rozpisałem, i według niej przydzielałem robotę swoim chłopakom. A gdy trzeba było złożyć raport przełożonemu jako sekcyjny, de facto składałem go samemu sobie. Schizofreniczne? Bez dwóch zdań! Ale tkwiąc w tym moim ówczesnym rozdarciu między radością z awansu a przywiązaniem do jedyńki, w jakiś sposób uważałem, że to jedyna słuszna droga.

Gdy objąłem kierowanie wydziałem, moja sekcja zdecydowała, że trzeba to opić. Po skończonej robocie spotkaliśmy się więc w jednym z pokojów, w ruch poszło kilka flaszek i parę talerzyków zakąsek. I tak sobie miło biesiadowaliśmy, gdy nagle zadzwonił dyżurny z informacją, że na ulicy Kolejowej mamy zabójstwo, ktoś został zastrzelony. Według dyżurnego na miejscu była tylko załoga radiowozu zabezpieczająca miejsce zdarzenia, a on właśnie szykował grupę dochodzeniową. Z polecenia szefa cała nasza jedyńka miała się udać na miejsce, a ja miałem przejąć dowodzenie.

I wszystko pięknie, gdyby nie fakt, że trochę już zdążyliśmy się schlać. No ale rozkaz to rozkaz, pomyślałem, może nie będzie tak źle. Wsiedliśmy do radiowozów i pojechaliśmy na miejsce zdarzenia, które na szczęście było blisko, bo jak się okazało, kierowcy też już zdążyli pofetować... właściwie nie wiem co.

Na Kolejowej, na ulicy, faktycznie leżały zwłoki. Mężczyzna - z dokumentów znalezionych przy nim zidentyfikowany jako jeden z miastowych, Łapka - miał ranę postrzałową głowy. Z informacji zebranych od świadków wynikało, że ten, kto naszego denata załatwił,

podszedł do niego spokojnie, jak gdyby nigdy nic dobył broni, strzelił i równie spokojnym jak wcześniej krokiem oddalił się, by zniknąć między budynkami. Czyli wniosek wstępny prosty: porachunki gangsterskie.

Skontaktowałem się jeszcze raz z dyżurnym i zażądałem dodatkowych mundurowych z taśmami do zamknięcia ulicy, grupy dochodzeniowej, której wciąż nie było, medyka sądowego i strażaków z oświetleniem, bo zrobiło się już ciemno. Swoich ludzi wysłałem w teren śladem sprawcy, bo podejrzewałem, że mógł wyrzucić broń gdzieś w pobliskim kompleksie garaży, a poza tym chciałem te schlane pały odsunąć jak najdalej, by nie rzucały się w oczy. Ja musiałem być na miejscu, oni niekoniecznie.

Potem już tylko poczekałem, aż wszyscy się zjawią, kazałem im robić swoje, a gdy stawiała się ekipa kryminalnych z wojewódzkiej wraz z naczelnikiem, zrelacjonowałem dotychczasowe ustalenia. Spiałem się i dałem radę, nie bełkocząc, a naczelnik z wojewódzkiej pochwalił mnie, że wszystko zostało wykonane prawidłowo. Jeśli nawet mnie wyczuł – a umówmy się, musiał – taktownie sprawę przemilczał.

Po zrobieniu na miejscu tego, co niezbędne, wypełniliśmy kwity i ostatecznie jakoś z tej sytuacji wybrnąłem. Sprawę, choć nie była stuprocentowym pewniakiem, przejęła wojewódzka i po długim śledztwie ustalili, że prawdopodobnie jakiś Rusek czy Afgan do wynajęcia wykonał wyrok na członku jednej z grup. Samego sprawcy nie udało się ująć, ale zgromadzone w toku śledztwa dowody pozwoliły zatrzymać dwóch zlecających – dość wysoko postawionych gangsterów z konkurencyjnej grupy zorganizowanej – i posadzić ich na ładnych parę lat do puchy.

Ten okres pełnienia jednocześnie funkcji naczelnika wydziału i kierownika sekcji trwał dość długo, bo przeszło pół roku, i dał mi solidnie w kość. Nic dziwnego, bo nie dość, że było to, jak wspomniałem, schizofreniczne, to jeszcze w zasadzie ciągnąłem za jedną wypłatę dwa etaty.

W końcu zdecydowałem się pogadać z komendantem i w szczerzej rozmowie oświadczyłem mu, że jestem niezwykle wdzięczny za zaufanie, ale nie chcę być dłużej naczelnikiem i wolę pozostać ze swoją sekcją. Irek usiłował mi to wyperswadować, ale ja już podjąłem decyzję i mocno obstawałem przy swoim, aż w końcu ustąpił i zwolnił mnie z obowiązków naczelnika. Wydział objęła Kaśka, ale nie została mianowana naczelnikiem, tylko dalej działała jako pełniący obowiązki zastępca.

Niedługo potem Irek pożegnał się z komendą, przechodząc na emeryturę. Komendantem został Marek, dotychczasowy naczelnik dochodzeniówki. Świetny procesowiec, o bardzo trudnym charakterze. Paszportowiec po pozytywnej weryfikacji, uparty i zacięty. Miał sporo problemów osobistych, sam wychowywał córkę, po tym, jak żona ich porzuciła i gdzieś uciekła. Lubił też wypić, ale to akurat była po prostu nasza psia cecha i niczym się w tym względzie nie wyróżniał.

Tak naprawdę kluczową z naszego punktu widzenia wadą nowego komendanta była jego mentalność dochodzeniowca, który uważał, że dochodzeniówka jest najważniejszą ze służb, a każdy kryminalny to pierdolony nierób. To z kolei prowadziło do sytuacji, w której aby uleczyć nas z rzekomego nicnierobienia, z całej siły dokręcał nam, operacyjnym, śrubę.

I tak naczelnikiem kryminalnych zrobił oczywiście dochodzeniowca, który nigdy nie pracował w operacyjnym i nie miał bladego pojęcia o tej robocie i naszej

dokumentacji. Darek, bo tak się nazywał nowy naczelnik, pierwsze, co zrobił, jak przyszedł na zebranie, to powiedział, że teraz będą tu nowe porządki i że na początek zabrania nam wychodzenia w każdy czwartek na wuef.

Tu trzeba koniecznie zaznaczyć, że każdemu gliniarzowi przysługują dwie godziny wuefu, czyli zajęć fizycznych w różnej formie. My, ponieważ mieliśmy blisko do hali Gwardii, zbieraliśmy się tam raz w tygodniu i od godziny dziewiątej graliśmy w kosza. A ten tutaj nagle przyszedł i wydał polecenie, w dodatku niezgodne z przepisami.

Wkurwił nas nielicho, więc powiedzieliśmy, że nie odpuścimy. Obgadaliśmy temat z przewodniczącym związków zawodowych, a ten, równie zdziwiony i wściekły jak my, poszedł z tematem do wojewódzkiego. No i jeszcze tego samego dnia naczelnik wrócił do nas z przeprosinami, że się zagalopował i oczywiście ćwiczenia utrzymuje w ich dotychczasowej formie.

W sumie, gdy tak z perspektywy czasu o nim myślę, Darek nie był zły, ale zwyczajnie dał się podpuścić szczerze nas nienawidzącemu komendantowi. A ten kosz? Był dla nas ważny nawet nie ze względu na fizyczną aktywność. Był po prostu kolejnym elementem naszego zgrywania się i integrowania. Współgranie na boisku przekładało się na współdziałanie w codziennej służbie. Tak, czasem to takie proste.

Właściwie nie mieliśmy nic do prostytutek, ale dość ambicjonalnie podchodziliśmy do procesowego zrobienia agencji towarzyskich pod kątem sutenerstwa, czyli czegoś, czego według wszystkich gliniarzy kryminalnych zrobić się nie da. Taki burdelowy Święty Graal.

Trudność w zrealizowaniu założenia polegała na tym, że aby udowodnić czerpanie korzyści z cudzego nierządu, trzeba mieć na to dowody w postaci przede wszystkim zeznań prostitutek dotyczących podziału pieniędzy. Na przykład: jeden układ to dwieście złotych, z czego wedle wewnętrznych ustaleń połowa idzie dla niej, a druga dla szefa, który musi wynająć lokal, zadbać o czystość, bezpieczeństwo, marketing, no i opłacić się miejscowym. Problem w tym, że takie rozliczenie odbywało się pod stołem, bez papierów, a złapane dziwki szły w zaparte, że nikt od nich niczego nie chce i robią tylko na swoje konto. Ich za nierząd wsadzić się nie dało - czy choćby tym postraszyć. Bez tych zeznań nie mieliśmy punktu zaczepienia. I koło się zamykało.

Ale nacisk społeczny na zamykanie agencji był, i to spory. Odzywała się w Polakach podszyta pruderią hipokryzja - z jednej strony sam by poszedł albo zrobił coś na boku, z drugiej „jak to burdel, przecież to nie po bożemu!”. Poza tym agencje towarzyskie były naprawdę uciążliwym sąsiedztwem.

Większość tego rodzaju przybytków stanowiły podówczas wynajęte mieszkania w bloku. Z interesem nie ogłaszano się zbyt wylewnie, nie obwieszano szyldami, a co najwniejsi sąsiedzi wierzyli nawet z początku, że to faktycznie

mieszkanie podjęte przez nieco zbyt wyzwolone studentki, trzymające się większą grupą, by zaoszczędzić na kosztach.

Wkrótce jednak pojawiał się problem, ponieważ klient bałaganu jest zwykle bardzo hałaśliwy. I to nie w trakcie samego aktu, co oczywiście niosło się przez cienkie jak tektura ściany bloków, ale sporo wcześniej. Zwykle podchmielony, przychodzi o późnej porze, pamięta może bramę czy klatkę, ale już konkretnego lokalu nie. A może zwyczajnie nie jest w stanie trafić palcem w guzik na domofonie? Więc celuje, próbuje i z każdym dziabnięciem palucha budzi kogoś w środku nocy. Gdy już się taki dostanie do środka, sunie korytarzem, odbijając się od ściany do ściany, myli przyciski świateł z dzwonkiem i kurwuje na wolne windy bądź w ogóle niewspółpracujące schody. Naprawdę trudno się dziwić mieszkańcom, że mając regularnie takich gości, zaczęli się skarżyć nie tylko na policji, ale i wyżej, do władz miasta.

Niezależnie jednak od tego, do kogo by to poszło, prędzej czy później trafiało do nas i to my dostawaliśmy misję niemożliwą. I braliśmy się do roboty.

Zaczęliśmy najazdy i kontrole na wszystkie rozpoznane - czyli w zasadzie wszystkie istniejące - agencje na naszym terenie. Co warte podkreślenia, tylko jedna z nich znajdowała się w oddzielnym budynku, pozostałe, kilkanaście, funkcjonowały w normalnych mieszkaniach w blokach. Tak zwane domówki, ale też prowadzone i nadzorowane przez szefowe.

Któregoś dnia udaliśmy się w sześciu do jednej takiej domówki na osiedlu Szczepin. Wieczór, zachodzące słońce, skorzystaliśmy z tego, że drzwi na dole były uchylone, wbijamy na górę i dzwonimy do właściwego lokalu. Otworzyła kobieta tak na oko czterdziestopięcioletnia,

ubrana schludnie, ale normalnie, nie jak taka, co bierze układy. Czyli szefowa. Powiodła po nas wzrokiem, zmrużyła oczy, usta jej drgnęły, znaczy liczy.

- Goście przyszli - zażartowałem, przekonany, że wie, kim jesteśmy.

Ale najwyraźniej nie wiedziała, bo się rozpromieniła i usunęła na bok, żebyśmy mogli wejść.

- A zapraszam, zapraszam. Tędy proszę, do dużego pokoju. Napiją się panowie czegoś? Zaraz możemy przygotować drinki.

Szybkie doprecyzowanie i już wiedzieliśmy, że każdy z tych drinków to pięć dyszek. Na razie podziękowaliśmy. Trzeba było jednak na coś się zdecydować. Albo pokazujemy legitymacje, albo się wygłupiamy. Na razie wybrałem to drugie.

- Kolega się żeni - powiedziałem, wskazując na stojącego przy mnie Białego. - Kawalerski mu robimy.

Bajzelmama zmarszczyła czoło i zaczęła się skubać po uchu.

- To fantastycznie, panowie, ale muszę po dziewczyny zadzwonić, bo na miejscu są dwie i do tego - rozejrzała się i ściszyła głos do szeptu - no, słabe są. Ale dadzą mi panowie chwilę, dobrze? I może jednak coś do picia?

Wyszła z pokoju, a zaraz potem usłyszeliśmy, jak rozmawia przez telefon i mówi, żeby przyjeżdżały wszystkie, bo tu panowie przyszli, kawalerski, a prawie nikogo nie ma. Gdy skończyła, wróciła do nas, mówiąc, że koleżanki już pędzą, będą za parę minut i będziemy mogli zacząć imprezę.

Na te słowa westchnąłem ciężko z udawanym zalem.

- Obawiam się, że imprezy nie będzie - powiedziałem, wyciągając i okazując legitymację policyjną. - My tu niestety służbowo.

W pierwszej chwili zaskoczona bajzelmama przyłożyła dłonie do rozdziawionych ust, a następnie z wyraźną dezaprobatą pokręciła głową.

- No to żeście mnie, panowie, zrobili w jajo. A ja tu dla panów... Ech.

Zabraliśmy się do wykonywania czynności, bo już na starcie mieliśmy o co się przyczepić. Sprzedaż alkoholu, a koncesji brak. Dokumenty dotyczące prowadzenia działalności gospodarczej? Brak. Umowa na wynajem mieszkania? Tej również nie dane nam było zobaczyć. Pracowaliśmy ciężko i na to wszystko z jednego pokoju wychodzi kobieta. Pulchna, okrągłutka, niska, gdzieś pod sześćdziesiątkę, ale wytapetowana jak chata pod wynajem, z nienaganną fryzurą i w stroju mocno zawodowym.

Wyglądała na zdziwioną tym, co się dzieje, ale o nic nie pytała, tylko się nam przyglądała. Podszedłem więc do niej i zapytałem, co tu robi.

- Ja tu pracuję, proszę pana - odparła oburzonym tonem, w teatralnym geście kładąc rękę na biodrze.

Ubawiła mnie ta jej poza, więc żeby ją podpuścić, dopytałem:

- Znaczy, rozumiem, sprząta pani?

- Sprzątam?! - zagotowała się. - Nie, proszę pana, ja się prostytuuję!

Z trudem powstrzymałem parsknięcie, bo z tych słów była tak groteskowa, a jednocześnie mocna i nieprzejednana duma, że aż robiło wrażenie. Ubawiony kontynuowałem zabawę.

- Pani chyba żartuje. Pani w ogóle ma jeszcze jakichś klientów?

- Oj, zdziwiłby się pan, zdziwił. Ja wiem, że to się wszystkim wydaje, że tylko młódki i młódki. Ale tu się doświadczenie liczy i dobry klient to wie. Oni tu wszyscy do

mnie przychodzą, bo ja się nie spieszę, ja wiem, że trzeba czasu, że powoli, że delikatnie. No i się nie śmieję, jak który się za szybko spuści. Ani nie gonię od razu.

Faktycznie, pomyślałem, to, co mówiła, miało jakiś sens, i to nawet głębszy. Gdzieś mi tam przez głowę przemknęła refleksja o charakterze ogólnym, o powszechnym pędzie, by szybciej, młodziej, ale nim zdążyła wybrzmieć, zjawily się zamówione panienki.

Weszły uśmiechnięte, ale zaraz jakby im kto te uśmiechy zdmuchnął, gdy zorientowały się, co się dzieje. My tymczasem zaprosiliśmy je na kanapy, poprosiliśmy o dokumenty. Jedna taka, śliczna, młodziutka, trzęsła się jak osika. Poprosiła mnie trochę bardziej na stronę i błagalnym tonem ze łzami w oczach mówi:

- Panie policjancie kochany, ja bardzo pana proszę. Ja tu mieszkam niedaleko, męża mam, na zakupy niby wyszłam, że na godzinkę. Mąż nie wie, ja też tak nie na stałe, ja tylko tak, o... dorywczo. Bo pan wie, czasem to by się coś kupić chciało, nie tylko podstawowe rzeczy, a nie ma. No i ja sobie dorabiam, żeby na kosmetyki mieć, torebkę. Ja bardzo pana proszę, panie policjancie. Bardzo. Ja już nie będę.

W to ostatnie akurat mało wierzyłem, ale uznałem, że nie ma co jej robić dodatkowego smrodu ani narażać na niebezpieczeństwo. Bo wiadomo, co zrobi mąż, jak się dowie, że jego żona to cichodajka? Spisałem ją więc tylko i kazałem wypuścić.

Resztę panienek, jak i samą szefową przybytku zabraliśmy ze sobą, ale pomimo naszych usilnych starań żadna z dziewczyn nie pisnęła ani słowa na temat dzielenia się otrzymaną z układow kasą. Przeciwnie, wychodziło na to, że szefowa udostępnia im mieszkanie tak z dobroci serca, bo lubi, jak się młodym dziewczynom spełniają marzenia

o kurwiej karierze.

Poza protokołem oczywiście mówiły, że nie powiedzą nic, bo im zwyczajnie życie miłe. Szefowa opłaca się miastowym jak wszyscy, a ci pilnują, by nie było kablowania. A bo to mało dziewczyn kończyło w lesie z poderzniętym gardłem i zgwałcone gałęzią?

Rozumieliśmy, choć oczywiście nerwy brały. Ale szefowej i tak założyliśmy sprawę o to wszystko, co udało się zebrać, i postawiono jej kilka zarzutów. Ostatecznie ta konkretna agencja zniknęła, przynajmniej z naszego terenu. Mieszkańcy bloku się cieszyli. Przełożeni, wciąż oczekujący niemożliwego, mniej.

Graal pozostawał niezdojany.

Na dworze królowej statystyki największe powodzenie zawsze miała mocno się jej podlizująca przewencja. Tam inaczej się generowało słupki, o inne rzeczy chodziło i rozliczanie wyników wypadło inaczej niżli u operacyjnych czy dochodzeniowców. Skutkowało to tym, że w pewnym momencie większość kierownictwa miała przewencyjny rodowód i zaczęła premiować właśnie takie działania kosztem innych, które nie do końca rozumieli.

Powszechnym zjawiskiem było więc wyręczanie się operacyjnymi przy zabezpieczaniu wszelkich wydarzeń sportowych, kulturalnych, imprez masowych czy politycznych wieców. U nas było to tym częstsze, że w skład naszego rejonu wchodził niezwykle interesujący wydarzeniowo rynek. I choć nasz komendant z przewencji się nie wywodził, operacyjnej roboty nie szanował tak bardzo, że gdy przychodziło co do czego, słał nas do zabezpieczeń.

Tego konkretnego dnia miała być manifestacja polityczna młodzieży tak zwanej patriotycznej, a w rzeczywistości młodych byczków, którzy problemy ze sobą, nadwyżkami agresji i zniżkami intelektu próbowali ubierać w biel i czerwień. Tym bardziej niechętnie, że musieliśmy być przygotowani na słuchanie tych wszystkich pierdół, udaliśmy się na nasze pozycje i wtedy dostałem sygnał, że na Grabiszyńskiej ujawniono zwłoki mężczyzny i chyba doszło do zabójstwa. Jeśli to nie był sygnał z niebios, że nie powinniśmy być na tym cholernym marszu, ja nie wiem, co mogłoby być wymowniejsze!

Skontaktowałem się z komendantem, wnioskując, by

zwolnił sekcję pierwszą z obowiązku pilnowania pokrzykujących oszołomów, motywując to koniecznością udania się na miejsce poważnego zabójstwa. Komendant wysłuchał i... odmówił.

- Zostańcie, gdzie jesteście - polecił. - Pojedziecie po wszystkim.

Zamurowało mnie, bo to było absolutnie nie do pomyślenia. Tam na miejscu operacyjno-dochodzeniowa już podejmuje czynności, my powinniśmy prowadzić ustalenia w celu wykrycia sprawcy, dwudobowy zegar tyka, a ten co? Dla niego ważniejsze jest, byśmy teraz stali tutaj i patrzyli na gówniarzy, którzy słowa „konstytucja” nie umieliby nawet przeliterować, a co dopiero przeczytać!

I jasne, można się domyślić, dlaczego komendant tak zrobił. Musiał uznać, że trup nam przecież nie ucieknie, a jak tu, na manifestacji wybuchnie zadyma, to mu się ten obsrany stołek spod tyłka ślizgiem wysunie. No ale przecież powinny być jakieś granice niekompetencji! Co za gradacja ważności zdarzeń!

Tak właśnie myśląc, stałem na posterunku i czekałem, aż się to cholerstwo skończy. Najgorzej jest, kiedy ulicami idzie jakiś ubrany w ludzi pogląd polityczny. Wielokrotnie brałem udział w takich zabezpieczeniach i wiem, że póki się nie dzieje, to się nie dzieje, ale jeśli już się zacznie, w zasadzie nie istnieje decyzja, za którą nie zebrałbyś potem opierdolu od przerażonego przełożonego. Bo ktokolwiek by szedł, cokolwiek by głosił, policja zawsze jest na pasku tych przeciwnych i zawsze my jesteśmy wszystkiemu winni.

Dlatego ledwie tylko ktoś zgłasza marsz, my już zaczynamy gromadzić dane, kto, gdzie, z kim. Nawet cholerny przemarsz... kominiarzy - grupy tak strasznej i wpływowej, że na ich widok wszyscy w niemym

przerażeniu łapią się za guziki. W powszechnej opinii to, co robimy przed wydarzeniami, mogłoby uchodzić za jakąś zamordystyczną inwigilację, a to jedynie próba poukładania roztrzęsionymi ze strachu łapami wszystkiego tak, by nie wybuchło naszym przełożonym, a tym samym i nam, w twarz.

W końcu przemarsz się skończył i mogliśmy się udać na Grabiszyńską, gdzie grupa operacyjno-dochodzeniowa zakończyła już czynności.

Mieszkanie wyglądało jak rzeźnia po dniu praktykanta, krew była praktycznie wszędzie! Rozbryzgi na ścianach, suficie, meblach niczym na jakiejś nowoczesnej instalacji artystycznej. Zabitym był mężczyzna, właściciel mieszkania, a zabójstwa dokonał nieznany nam sprawca poprzez zadanie kilkudziesięciu ciosów nożami kuchennymi. Tak, to nie pomyłka, zginął od więcej niż jednego ostrza. Według medyka sądowego, który wydał wstępną opinię lekarską, pokrzywdzony zginął późnym wieczorem dnia poprzedniego.

Zwłoki ujawnił znajomy właściciela mieszkania, który był z nim umówiony. Drzwi były otwarte, więc wszedł i w przedpokoju znalazł swojego znajomego prawie nagiego i podziurawionego tak, że mógłby robić za cedzak. To ostatnie moje, świadek nie zeznał w ten sposób.

Przy okazji rozmowy ze świadkiem ustaliliśmy, że nasz truposzczak był za życia aktywnym homoseksualistą znanym w środowisku jako Doktorowa. Sam świadek również był gejem i nosił środowiskowy kryptonim Pomidorowa.

- Tak jest łatwiej, bezpieczniej i zabawniej - tłumaczył Pomidorowa. - No i zawsze odnosi się to konkretnie do osoby. Ja dostałem swój, bo lubię tę zupę. Doktorowa, bo był pielęgniarem. A że żeńska końcówka? Ciota to ciota, to

jaka ma być?

Te kryptonimy stanowiły dla nas pewne ułatwienie, zwłaszcza gdy zabraliśmy się do infiltrowania środowiska. Posługiwanie się imieniem i nazwiskiem mogło nie przynieść efektu. Pseudonim, jak się później okazało, budził w niektórych pojedyncze wspomnienia.

Mimo to sprawa nie zapowiadała się na łatwą, żadnych przesłanek, że uda się ją zamknąć w dwie doby – zwłaszcza że właściwie pierwszą mieliśmy już z głowy, także dzięki komendantowi i młodym patriotom – a więc szykowaliśmy się na dłubaninę, przesuwanie się kroczek po krocisku i właściwie z brakiem jakiegokolwiek gwarancji, że przyniesie to efekt.

Wiedziałem jednak, że łatwo się nie damy i zrobimy co w naszej mocy, a do prowadzenia sprawy wyznaczyłem Pompejusza i Sojkę, bo było jasne, że jak ci dwaj złapią trop, dadzą z siebie wszystko, by wrócić albo ze sprawcą, albo choć jęgo oberwaną nogawką.

Tak zatem kolejny raz ruszyliśmy w poszukiwaniu śladów wrocławskim gejowskim szlakiem turystycznym. Zaczęliśmy od Dworca Głównego i tamtejszej restauracji, potem sprawdziliśmy park Słowackiego, wreszcie, obowiązkowo, dotarliśmy na pikietę pod Panoramą Racławicką. Nie wyciągnęliśmy z tych spacerów za wiele, ale jedna informacja okazała się interesująca. Doktorowa był bardzo ostrożny i nieufny wobec nieznanymych i w zasadzie każdy jego kumpel uważał, że to bardzo mało prawdopodobne, by wpuścił do mieszkania kogoś, kogo zna tylko przelotnie i komu nie ufa. Było to o tyle ciekawe, że w mieszkaniu ujawniliśmy dwie szklanki po kawie i dwa kieliszki po alkoholu. Krok w dobrą stronę, wydawałoby się, ale niewiele nam dawał, bo próba ustalenia wszystkich bliskich ofierze osób do niczego nas nie doprowadziła.

By jakoś ze sprawą ruszyć, urządziliśmy w sekcji burzę mózgów i podjęliśmy decyzję, że podzielimy się na drużyny i sprawdzimy wszystkie te warianty, których z miejsca nie obalimy w dyskusji jako niedorzeczne. Jednym z tych zrodzonych podczas burzy pomysłów było zweryfikowanie korporacji taksówkarskich, bo jak uważał pomysłodawca, istniało podejrzenie, że sprawca użył taksówki do przewiezienia fantów, w tym telewizora i magnetowidu. Uznałem, że tak, powinniśmy to sprawdzić, ale jednocześnie nie powstrzymałem się od uwagi, że to bardzo mało prawdopodobne, bo z racji tego, że na liście zaginionych fantów były między innymi te sporych rozmiarów sprzęty, musielibyśmy mieć do czynienia z debilem.

- I jesteś absolutnie pewien, że powinniśmy taką opcję wykluczać? - zapytał z przekąsem Śpioch.

Wkrótce potem właśnie mój były partner, a wraz z nim Biały ruszyli na łowy. Po kilku nietrafionych strzałach udali się do siedziby jednej z korporacji przy ulicy Ostrowskiego i stamtąd wrócili z tropem. Wyglądało na to, że pomysł był trafiony, bo w noc zabójstwa koło czwartej nad ranem ktoś zamawiał taksówkę na miejsce zdarzenia. Mieli namiary na konkretnego złotówę, który akurat jeździł, ale ściągnięto nam go przez radio do bazy.

Taksówkarz pamiętał sprawę, faktycznie było między czwartą a piątą, młody człowiek, telewizor i trochę kłopotów. Według naszego świadka chłopak mówił, że dziewczyna wyrzuciła go właśnie z domu, więc zabrał rzeczy i jedzie do rodziców. Brzmiało prawdopodobnie, więc taksówkarz, który niejedno w życiu widział i, jak stwierdził, wiedział, jakie są baby, nie dociekał, tylko pomógł chłopakowi z bagażem.

- Zawiozłem go na Świętego Jerzego - powiedział, widząc,

że się wyraźnie niecierpliwimy i czas się streszczać. – Pod wejście do takiej starej kamienicy. Tam się wypakował, ale ani nie poprosił o pomoc, ani ja nie oferowałem, więc nie wiem, co zrobił dalej. A, i jeszcze jedno. Bo ja w bagażniku to miałem takiego misia zamiast dywanika i jak później sprzątałem, to on miał jakieś plamy czerwone. Wkurwiłem się, ale myślałem, że to może sok jakiś czy coś. Ale teraz, jak tak myślę...

– Zaraz, ma pan jeszcze ten dywanik? – poderwałem się.

– No tak – podrapał się po karku. – Tylko żona go zaraz uprała.

Ale to nie miało znaczenia, bo nasi laboranci już w nie takich sytuacjach zabezpieczali ślady. Powiedziałem facetowi, że będziemy musieli mu ten dywanik zabrać, i wysłałem go z jednym z chłopaków, by go przyniósł. Samemu złotówie podziękowaliśmy, zaznaczając, że możemy się jeszcze odezwać i żeby on również nie omieszkął dać nam znać, jeśli coś sobie przypomni. Teraz jednak szkoda było czasu na dalsze rozmowy, bo złapaliśmy mocny trop i od razu chcieliśmy podążyć jego śladem.

Na ulicę Świętego Jerzego pojechaliśmy we czterech, czyli Śpioch, Zwierzak, Łysy – o którym nie pamiętam, czy już wspominałem – i ja. Rzeczywiście pod wskazanym adresem znajdowała się kamienica z dużą bramą, na razie nasz docelowy przystanek, bo przecież nie wiedzieliśmy, gdzie się udać dalej ani do którego mieszkania, ani nawet na które piętro.

Z pomocą przyszło nam jednak to, że sama brama i klatka schodowa nie były zbyt często sprzątane, a z telewizora czy może z torby kłopotów kapłała przecież krew. Szukając śladów, trafiliśmy na niewielkie, na pierwszy rzut oka niewidoczne, ale po przyjrzeniu się już absolutnie jednoznaczne bordowe kropelki. Niczym bajkowe okruszki

chleba zawiodły nas one na samą górę, na ostatnie piętro, gdzie znajdowało się tylko jedno mieszkanie, a oprócz tego wejście na strych.

Zapukaliśmy do mieszkania, otworzyła nam krągła dwudziestoparoletnia blondynka. Przedstawiliśmy się, wyciągając legitymacje, i natychmiast przeszliśmy do pytań: kim jest, czy tu mieszka, z kim mieszka. Oczywiście, by to wszystko uwiarygodnić, poprosiliśmy ją o wylegitymowanie się.

Magda, bo tak miała na imię, nie była tym wszystkim uradowana - któż by był - ale i nie wzbraniała się ani przed odpowiedziami, ani przed okazaniem dokumentów. Powiedziała, że mieszka tylko z chłopakiem, który niedługo wróci. Zapytana o miejsce zatrudnienia stwierdziła, że obecnie nie pracuje. Cóż, miała prawo, ten obowiązek już się przecież skończył wraz z poprzednim ustrojem. My jednak szybko ją sprawdziliśmy i na podstawie dość przepastnej kartoteki okazało się, że owszem, zdarza jej się pracować, tylko dorywczo i to w strefach raczej od szarej w czarną, bo jako prostytutka i złodziejka. A że jej chłopak, którego również sprawdziliśmy, podzielał dość lekkie podejście do prawa i przepisów, uznaliśmy, że nie ma co obchodzić się z nią jak z jajkiem, i przeszliśmy do konkretnych tematów.

Zarzuciliśmy ją pytaniami o jej chłopaka, o jego pracę, zajęcia, o to, co robił wtedy i wtedy, czy bywa agresywny i tak dalej. Rzucaliśmy te pytania w taki sposób, by z jednego nie dało się od razu wyciągnąć następnego, a jednocześnie szybko i na zmianę, by dezorientując ją, złapać na wahaniu czy wręcz na kłamstwie. Po tak krótkim czasie od zdarzenia nad prawdą nie musiałyby się szczególnie długo zastanawiać.

Magda, trzeba jej przyznać, z początku odpowiadała

bardzo pewnie, butnie wręcz, i nie dawała się na niczym złapać. Z czasem jednak – a mówimy tu o co najmniej godzinie wypowiedzianych przez nas spokojnie, ale jednak dość trudnych, dociekliwych, często tych samych pytaniach – dostrzeżliśmy, że coś pęka, pojawia się rysa, jakiś lęk w oczach. Wiedzieliśmy, że w takich sytuacjach, trochę jak na polowaniu, potrzebny jest impuls, strzał, albo w ten czy inny sposób dziewczyna zaraz się nam wyrwie.

I wtedy właśnie Łysy się wkurwił. Złapał za stojącą na stole plastikową miskę i cisnął nią w okno z taką siłą, że rozbił szybę.

– Dość tego pierdolenia! – ryknął, pochylając się nad ławą, wsparty na zaciśniętych pięściach i z twarzą prawie przy samej twarzy dziewczyny. – Powiesz nam wszystko, i to, kurwa, natychmiast, albo zaraz się za ciebie wezmę tak, że zgnijesz w pierdłu za pieprzony współdział i ukrywanie zabójcy! Rozumiesz? Ukrywanie zabójcy!

Dziewczyna skuliła się, chowając głowę w ramionach.

– Już mówię – pisnęła cichutko, by zaraz odchrząknąć i dodać nieco głośniejsze: – Znaczy ja nie wiem, skąd Kuba wziął te rzeczy, ale coś faktycznie przywiózł nad ranem i zaniósł na strych. Mogę panom pokazać.

– To pokaż – poleciłem, a Śpioch udał, że uspokaja Łysego.

Magda poprowadziła nas na strych i wskazała ręką znajdującą się w głębi antresolę.

– Tam są, na górze – powiedziała.

– A drabina gdzie? – zapytał Zwierzak, ale nim odpowiedziała, sam ją zauważył leżącą wzdłuż ściany po prawej. Dostawił do antresoli, wszedł na górę i chwilę tam buszował.

– Nic tu nie ma – odkrzyknął w końcu.

Dziewczyna z paniką spojrzała na Łysego i zaraz odkrzyknęła:

- Jest, jest. Tam jest taka blacha. I za tą blachą.

Zwierzak sięgnął do blachy i faktycznie ujawnił schowek pełen przedmiotów okrytych szmatami. Odwinął jedną z nich, zobaczył telewizor i już więcej niczego nie dotykał.

- Są fanty - zawołał i zszedł do nas.

Wiedzieliśmy, że trzeba będzie wezwać techników, na razie jednak mieliśmy w pamięci, że sprawca, czyli Kuba - bo tak już o nim w tym momencie myśleliśmy - mógł się zjawić lada chwila. Podzieliliśmy się na dwie grupy, jedna w mieszkaniu, druga na dole, na wypadek gdyby uciekał, i czekaliśmy.

Zjawił się po niecałym kwadransie i nie stawiał oporu, zachowując się tak, jakby się nas pręcej czy później spodziewał. Wtedy zrobiliśmy jeszcze dokładne przeszukanie mieszkania i znaleźliśmy trochę przedmiotów Doktorowej - opakowania leków, jakieś dokumenty, recepty i inne sprawy fizycznie drobne, ale dowodowo wielkiej wagi.

Zabraliśmy Kubę do nas i od razu wzięliśmy w obroty. Z sekcji Doktorowej wynikało, że sprawca zadał kilkadziesiąt ciosów różnymi ostrzami, i to z tak wściekłą determinacją, że głęboko w ciele znaleziono kawałek ułamanego ostrza. Ciekawiły nas ogromnie przyczyny takiego brutalnego zachowania i motywacje, jakie kierowały sprawcą.

Chłopak właściwie od początku nie miał problemu ze współpracą i odpowiadaniem na pytania. Wyjawił, że Doktorowa sam go zaprosił, bo znali się ze środowiska. To znaczy Kuba, jak mówił, nie był gejem, ale zdarzały mu się w przeszłości kontakty homoseksualne. Tyle że wtedy już nie i kiedy Doktorowa zaprosił go do siebie na flaszkę, był pewien, że tylko o tę flaszkę chodzi. Gdy się okazało, że nie, Kuba poinformował gospodarza, że on już w zasadzie nie

idzie w tę stronę, że od jakiegoś czasu tylko dziewczyny, ma nawet swoją, z którą mieszka.

Doktorowa jednak nie dawał za wygraną, był coraz bardziej natarczywy, wreszcie wprost zaczął się dobierać do fiuta Kuby. Ten nie wytrzymał i wyrzwał gospodarzowi w zęby, aż trysnęła krew. I ta krew, żalosne pomiaukiwania gospodarza, w połączeniu z całą sytuacją i alkoholem, sprawiły, że chłopak jeszcze bardziej się wkurzył i kazał się gospodarzowi zamknąć, przy okazji sprzedając mu kilka kopniaków. Kiedy to nie tylko nie pomogło, ale wręcz pogorszyło sytuację - Doktorowa, wedle zeznania, zaczął kwiczeć jak świnia - Kuba poszedł do kuchni, wziął stamtąd nóż kuchenny i kilka razy dźgnął znajomego, by „uciszyć tego pierdolonego historyka”.

Z początku nie pomagało, bo Doktorowa nie dość, że nadal kwilił i jęczał, to jeszcze rzucał się i wierzgał, a do tego wszędzie bryzgał krwią. Więc Kuba dźgał dalej, do momentu, gdy złamał na kościach ofiary nóż. Wtedy poszedł do kuchni po kolejny i dźgał tak długo w całkowitym amoku, aż Doktorowa przestał się ruszać.

Widząc, że wszystko, łącznie z nim samym, jest brudne od krwi, spróbował się najpierw powycierać jakąś szmatą, ale gdy to nie wystarczyło, uznał, że potrzebuje prysznic. Wziął gorącą kąpiel, wytarł się w świeży ręcznik i wrócił do przedpokoju, gdzie ze złością odkrył, że gospodarz jeszcze żyje, bo wydaje z siebie charczące dźwięki. Raz jeszcze poszedł więc do kuchni, wziął trzeci z kuchennych noży i dźgał nim ofiarę tak długo, aż miał stuprocentową pewność, że tym razem gospodarz na pewno jest martwy. Wtedy jeszcze raz poszedł się wymyć.

Już wykąpany, przebrał się w pierwsze czyste ciuchy, jakie znalazł, i uznał, że skoro już znalazł się w takiej sytuacji, weźmie sobie z mieszkania kilka rzeczy. W pierwszej

kolejności wyniósł telewizor i ukrył go w zaroślach, potem wrócił i spakował szereg drobniejszych rzeczy w torby. Później znana już nam sytuacja z taksówkarzem, która doprowadziła go pod jego dom.

Wedle jego zeznań Magda wiedziała, że towar jest ciepły, i pomagała go ukryć, ale nie miała pojęcia o żadnym szczególe ani o tym, że Kuba zabił człowieka.

Dopytaliśmy jeszcze o kilka detali, ale z grubsza mieliśmy już wszystko. Przez cały czas przesłuchania chłopak nawet się nie skrzywił, nie zmienił tonu głosu. Nie było nic, co świadczyłoby o jakiegokolwiek jego emocji, nie wspominając już o poczuciu winy. Bardzo rzadko zdarzało mi się widzieć takie sytuacje i w pewnym sensie było to równie przerażające i obrzydliwe jak sama, paskudna przecież, zbrodnia, jakiej ten chłopak dokonał. I jeszcze ten pretekst, taki błaży. Zupełnie jakby Kuba od dawna był chodzącą bombą z nieprzewidywalnym zapalnikiem.

Zamkniętą sprawę opiliśmy, co było dla nas w zasadzie jedyną formą odreagowania, ale i wynagrodzenia sobie samym tego, za co nikt nam przecież nie zapłaci. Nie istniało u nas takie pojęcie jak nadgodziny, a premie za rozwiązanie spraw były tak niskie, że któregoś razu nawet swojej nie przyjąłem, bo była niczym jałmużna. Nie, gorzej. Niczym strzał z otwartej ręki w pysk!

I nie chodzi żadną miarą o pazerność, o domaganie się wysokich nagród. Ale gdy taki gliniarz pracuje od lat na prywatnym komputerze, bo te nieliczne służbowe odpalają się dłużej niż dniówka, gdy sam musi dbać o papier do drukarki, długopisy, a nawet o ubezpieczenie się od wypadków, w razie gdyby uszkodził służbowy samochód, należałoby zadać sobie pytanie: co będzie, jak taki pies pęknie? Co się stanie, gdy kolejny raz zobaczy przełożonych jak stado sępów oblegających listę premią

sprawy, którą on rozwiązał? Gdy kto inny dostanie odznaczenia za de facto jego pracę? Dla przykładu bardziej niż skargi wspomnę, że po trzydziestu trzech latach nie dostałem odznaczenia należnego po prostu za wieloletnią służbę. Ten sam medal w wojewódzkiej był przyznawany rutynowo po dziesięciu latach.

Policja to właśnie służba, nikt, kto siedział w jej strukturach odpowiednio długo, nie ma co do tego wątpliwości. Ale źle traktowany pies, pompowany wyłącznie gniewem i frustracją, może w końcu zrobić coś głupiego czy wręcz wprost złego. Każdemu kiedyś puszczają hamulce.

Czasem, gdy nas wieczorami, po robocie naszło, ruszaliśmy w miasto. Czuliśmy się pewnie, w zasadzie na terenie całego Wrocławia, bo miastowi kojarzyli nas z twarzy i wiedzieli, że z gliniarzami w ogóle, a z tymi ze Starówki tym bardziej należy grzecznie, bo mogą narobić kłopotów. Balując, czuliśmy więc na sobie gniewne, nieprzychylnie spojrzenia, ale też wiedzieliśmy, że na nich się skończy.

Mimo to zwykle zamiast wychodzić na miasto, woleliśmy zrobić flaszkę na komendzie. Wtedy był właściwie ostatni czas, kiedy takie rzeczy przechodziły bez problemu, bo wkrótce zaczęto już przykręcać imprezowiczom śrubę. Przychodziły zewnętrzne kontrole, kilku gliniarzy dla przykładu ukarano surowiej i generalnie robiło się z tym więcej zachodu, niż to warte.

Sam, choć lubiłem się napić, uważałem, że jakieś zmiany są potrzebne, bo w owym czasie to, co się zdarzało, przechodziło nieraz w skrajną patologię. I to idącą z góry!

Nasza koleżanka z dochodzeniówki, w słusznym wieku, nie jakaś tam siksa, tylko babcia wnukom, którą trudno zdziwić, opowiadała, jak to była w szoku, gdy któregoś dnia pełniła służbę w godzinach popołudniowych i nadrabiała zaległości, gdy nagle zjawił się u niej jeden z komendantów, napierdolony jak stodoła. Usiadł przy jej biurku i bawiąc się to długopisami, to zszywaczem, coś tam bełkotliwie pieprzył od rzeczy. Nagle wstał, podszedł do metalowej szafy z aktami, rozpiął rozporek i oddał mocz na teczki! Następnie zapiął spodnie, pożegnał się i sobie poszedł. Wietrzenie pokoju i suszenie dokumentów trwało

potem wiele dni.

Ograniczenie takich akcji - nie wszystkie były tak spektakularne, ale wiele równie żenujących - było słusznym posunięciem, nawet jeśli trochę nam to utrudniało życie.

Jedyne, czego nie zamierzaliśmy odpuszczać przy okazji, to integracja. Często, gdy nie było za wiele do roboty, mówiłem chłopakom, że mają czas wolny, a oni wtedy namiętnie grali w kości. Pamiętam jedną taką sytuację, kiedy dostałem nagle wezwanie do rozboju, wpadam do swoich, a tam wszystko pozamykane na głucho. Patrzą na godzinę, chwila przed południem. Co jest?!

Szlakiem nisko latających kurew i japierdolów doszedłem do przestronnego pomieszczenia na końcu korytarza, gdzie siedziały moje orły, waląc w kości jak w kasynie i głośno przy tym klnąc, a nad nimi wisiało dwie trzecie wydziału, przyglądając się rozgrywce.

Z tym przeklinaniem podczas gry też było zabawnie, bo ekipa naprawdę jechała równo, a nasze okna wychodziły na dziedziniec wojewódzkiej. Któregoś dnia ktoś od nich mnie zaczepił i zapytał:

- Ej, jest sprawa. Ja wiem, że nerwy i że czasem trzeba, ale moglibyście tych waszych jeńców przesłuchiwać nieco ciszej?

W którymś momencie kości z ostrym chlaniem bez ograniczeń stały się domeną wyjazdów do puszczy, na ranczo do Zwierzaka. Jeździliśmy tam na grzyby całą sekcją i właściwie dzień w dzień oddawaliśmy się temu samemu odprężającemu rytuałowi. Przed południem pobudka, śniadanie na kurkach, wyprawa na kilka godzin do lasu na grzyby i po grzyby, nieodmiennie powrót z pełnymi koszami, potem obróbka grzybów, czyli oczyszczenie i położenie na sitach w piecu, obróbka termiczna, robienie słoików, no a później przez wiele godzin pilnowanie pieca

i podkładanie drzewa. A wtedy to już wiadomo, granie w kości i picie tak ostre, że nikt następnego dnia nie mógł stwierdzić, kto wygrał, a kto przegrał. Tak że wszyscy byliśmy zwycięzcami.

Do puszczy na grzybobranie nie miały z nami wstępu nasze kobiety, ale ufam, że wynagradzaliśmy im naszą nieobecność dużo lepszym samopoczuciem po powrocie. No i oczywiście grzybami po pełnej obróbce.

Na naszym terenie znajdowała się duża hurtownia papierosów należąca do brata ówczesnego ministra finansów. Przynosząca krociowe zyski, zabezpieczona dalece słabiej niż chociażby banki, musiała kusić wszelkiej maści bandziorów. I w końcu ktoś się połasił.

Napadu, czyli - jak już ustaliliśmy wcześniej, formalnie rozboju na pracownikach firmy - dokonała trzyosobowa zamaskowana ekipa, która przyjechała na miejsce białym busem. Pracowników zastraszyli pistoletem, a szefa biciem i przypalaniem papierosami zmusili do otwarcia sejfu. Z relacji świadków wynikało, że byli wyjątkowo agresywni i nerwowi i bili, nie bacząc na ewentualne skutki. Łącznie ich łupem padło kilka milionów złotych oraz tyle kartonów fajek, ile zdołali wynieść.

Była to duża sprawa, więc zarządziłem pełną mobilizację sekcji. Tropy mieliśmy dwa, z czego jeden wynikał ze sprzyjających nam okoliczności, drugi natomiast z doświadczenia. Pierwszy stanowiła tablica rejestracyjna, która źle zamocowana odpadła od busa podczas ucieczki. Drugi - poparte statystyką i intuicją przeświadczenie, że taką robotę musiał im wystawić ktoś z wewnątrz. Sprawcy działali konkretnie, wiedzieli, że będzie szef, będą pieniądze i ogólnie czuli się w hurtowni zbyt pewnie.

Oczywiście nie łudziliśmy się nawet, że tablica będzie faktycznie zarejestrowana na któregokolwiek ze sprawców, ale już dowiedzenie się, komu i gdzie została skradziona, może mocno zawęzić pole poszukiwania. Sprawcy, nawet ci, którym wydaje się, że są sprytni, bardzo często wykazują się w takich sprawach lenistwem i niedbalstwem

i na przykład kradną blisko swojego miejsca zamieszkania. Tu okazało się, że kradzież tablic - obu - zgłoszono i że dokonano jej na znajdującym się również na naszym terenie osiedlu Szczepin. Co było umiarkowanie dobrą wiadomością, bo nawet przyjmując założenie, że mieliśmy rację co do lenistwa sprawców, osiedle jest duże, a to oznacza naprawdę mnóstwo ludzi. A my byliśmy z tym sami, bo sprawa nie rokowała na wykrycie, więc na, jak zawsze bezcenne, wsparcie kolegów z wojewódzkiej nie było co liczyć.

Drugi z tropów pozwalał w zasadzie tylko na zarzucenie sieci. Puściliśmy wiadomość do uchoi, że szukamy kogoś, kto być może montował skład albo chciał przehandlować informację za procent. Jeżeli wtyka w hurtowni była członkiem dawno uformowanej, a dotąd przyczajonej ekipy, nie na wiele by się to zdało. Jeśli jednak był to ktoś, kto wyczuł pismo nosem i potrzebował składu, gdzieś któremuś kapusiowi musiało się to zaczepić o ucho.

I faktycznie. Jeden z moich chłopaków, Łobuz, przyniósł wiadomość od konia, że ktoś, koleś imieniem Paweł, był pracownikiem hurtowni i co prawda nie rozpytywał w temacie, ale miał powiązania środowiskowe, którym mógłby nagrać temat.

Zaczęliśmy go rozpracowywać pod kątem życia prywatnego i kontaktów towarzyskich i tak dość szybko udało nam się namierzyć dwudziestoletniego Marka, kumpla Pawła, typka, który zarówno wedle postury i ruchów, jak i zarejestrowanych przez napadniętych pracowników zachowań, pasował na szefa sprawców, tego najbardziej brutalnego, ze skłonnością do przypalania i bicia.

Wzięliśmy więc pod lupę również Marka. Wydział techniki operacyjnej namierzył go, robił zdjęcia, śledził i oddawał

szczegółowe raporty na temat wszystkich osób, które Marek spotkał. W ten sposób stopniowo udało nam się ustalić dwóch jego wspólników, których natychmiast również wzięliśmy pod obserwację. Dzięki temu dość szybko ujawniliśmy, że jeden z nich, mięśniak na co dzień stojący na bramce w klubie w niewielkiej miejscowości pod Wrocławiem, miał dostęp do białego busa za pośrednictwem któregoś ze swoich kolegów. Drugi, też pochodzący z małej miejsciny, ale położonej nieco dalej, bo pod Kaliszem, był synem lokalnego przedsiębiorcy w typie bonza i bratem znanego telewizyjnego dziennikarza. Notowany wcześniej jak obaj jego koledzy.

Od tego momentu praca szła dużo sprawniej i w końcu uznaliśmy, że mamy już na tyle faktów, by przyszykować realizację. Zacząć chcieliśmy od dwójki ze Szczepina, których mieliśmy rozpracowanych najlepiej, a małomiasteczkowych na razie zostawić.

Do akcji zamówiliśmy czarnych, bo trudno było przewidzieć, jak zachowa się Marek, zwłaszcza że to właśnie on może mieć broń. O godzinie szóstej rano zorganizowaliśmy odprawę, przydzieliliśmy zadania, podzieliliśmy się na drużyny i ruszyliśmy do akcji. Ja z trzema chłopakami od siebie i ekipą czarnych do Marka, Biały i Śpioch na czele drugiego składu, mającego zawiązać Pawła.

- Pamiętajcie - ostrzegłem jeszcze dowódcę katowców, nim weszliśmy do budynku. - Klient jest agresywny, brutalny i może być uzbrojony.

- Jasne - zaśmiał się mój rozmówca. - Zobaczymy, czy będzie taki agresywny z nami.

Po czym spojrzał wymownie na dwóch spośród swoich ludzi, którzy właśnie ustawili się pod windą, by wjechać nią na dziesiąte piętro. Pokręcił głową z dezaprobatą.

- No chyba was pojebało. Schodami, ale już.

Więc pobiegli z całym tym sprzętem na górę, a my odczekaliśmy chwilę, po czym dołączyliśmy do nich na górze windą.

Już tam ekipa obstawiła piętro, ustawiła się z taranem i z karabinami, każdy w wyćwiczonej pozycji. Któryś zapukał delikatnie, a gdy otworzyły się drzwi i stanął w nich zaspany starszy mężczyzna, weszli do akcji.

Błyskawicznie powalili gospodarza, przykładając mu lufę do głowy, po czym rozbiegli się po mieszkaniu, rozpracowując kolejne pomieszczenia, co ogłaszali krótkimi okrzykami. Gdy wszystko było gotowe, mogliśmy wejść my.

Przeszliśmy przez mieszkanie, w jednym z pomieszczeń dostrześliśmy kobietę, najprawdopodobniej matkę Marka, leżącą w łóżku. Katowiec z lufą przy jej głowie kazał jej leżeć w bezruchu, więc tak robiła, oddychała płytko, łypała przerażonymi oczami, niezdolna nawet do poprawienia kołdry, która zsunęła się z niej, odsłaniając nagie piersi.

W kolejnym pokoju na spacyfikowanym Marku leżącym na podłodze w samych majtkach siedziało dwóch czarnych.

Jeszcze raz sprawdziliśmy starannie mieszkanie pod kątem obecności innych osób, a gdy okazało się, że była tylko ta trójka, zleciłem czarnym odprowadzenie Marka do wozu, a swoim rozpoczęcie przeszukania.

Szef katowców podrapał się po zasłoniętej twarzy.

- Ten tutaj to szef tej szajki, nie? - upewnił się. - Ten najgorszy i agresywny?

Potwierdziłem.

- No to faktycznie zobaczymy.

Sprowadzili go schodami w samych gaciach i skutego tak, że ręce z tyłu miał podciągnięte prawie do szyi. Nie certoląc się, gdy się potykał - a w którymś momencie wręcz ciągnąc, tak że dupskiem liczył schody - zrobili to na tyle

głośno, by o zatrzymaniu dowiedzieli się wszyscy w bloku.

My tymczasem przeprowadziliśmy przeszukanie, ale nie znaleźliśmy ani broni, ani kasy czy fantów pochodzących z rozboju. Wróciliśmy więc do bazy, żeby sporządzić dokumentację z akcji.

Wtedy też wróciła ekipa pod dowództwem Białego i Śpiocha. Przywieźli zatrzymanego Pawła, ale oni też, jak zrelacjonował mi Śpioch, mimo dokładnego przeszukania, niczego nie ujawnili.

To, co się na pewno udało, to mała inscenizacja. Dopilnowałem bowiem, by Paweł, wchodząc do bazy, miał okazję zobaczyć kolegę skutego i siedzącego w samych gaciach. Potem sam przystąpiłem do rozmowy z tym naszym wtyką, na pozór miłym, inteligentnym i wykształconym chłopakiem z dobrego domu, średnio pasującym do reszty ekipy. Robiąc za tego dobrego, swoje pytania zadawałem spokojnie, cierpliwie wszystko tłumaczyłem i przewracałem oczami, gdy do pokoju, zgodnie z ustaleniem, wpadał jakiś kolejny krzykacz i wyrzygiwał w twarz wystraszonego chłopaka, że to już, kurwa, koniec, że wiemy wszystko, że siedzimy im na dupie niemal od chwili napadu i takie tam. No i oczywiście kanoniczne: inni już się łamią, a kto się złamie ostatni, ten leci najgorzej. Czy jest pewien lojalności pozostałych?

Paweł nie był pewien i się kruszył, rokując zdecydowanie lepiej niż jego hardy, pyskаты kolega, który po porannym zaskoczeniu i strachu powoli odzyskiwał rezon. Inna rzecz, że ten był raczej pewien, że jeśli pęknie, to jako prowodyr się nie wywinie i mówieniem nam czegokolwiek wiele do zyskania nie miał.

W końcu, po kilku godzinach, Paweł się złamał i zaczął mówić. Nie był przy tym jak typowy klient, co jak już strzeli tama, to chlusta na lewo i prawo. On kapał, ale słuchając

go cierpliwie i zadając kolejne pytania, wykapaliśmy, ile trzeba.

Mówił, że Marka zna tak naprawdę od dawna, wielokrotnie rozmawiali o pracy Pawła w hurtowni i o tym, jaką to jej właściciel ma ogromną kasę. Od jakiegoś czasu Marek zaczął bardziej interesować się tematem, zrobił się dociekliwy, chciał poznawać coraz więcej szczegółów technicznych związanych z pracą kolegi. Wreszcie któregoś razu wprost zaproponował, żeby tę kasę zgarnąć.

Paweł w pierwszej chwili się wystraszył i odmówił, ale w kolejnych rozmowach dał się uspokoić i przekonać, gdy wyszło, że jego rola sprowadzi się tylko do poinformowania, kiedy w kasie będą na tyle interesujące pieniądze, by się opłacało. Za pomoc miał oczywiście dostać solidną działkę.

Nie wiedział, kto oprócz Marka miał brać udział w napadzie, nie znał tych ludzi. Nie spotykał się z nimi i nie planował, nie znał też żadnych szczegółów ani nie wiedział, który z nich ma broń i czy w ogóle ją mają. Gdy zauważył w sejfie szefa dużą gotówkę, przekazał tę informację Markowi, a kiedy dowiedział się, że napad nastąpi następnego dnia, wziął sobie wolne.

Czyli współdział w rozboju już miał przyklepany, zostawała kwestia pieniędzy. Gdzie ukrył swoją działkę? I tu mnie chłopak zaskoczył, bo powiedział, że te kilkaset tysięcy złotych, które mu przypadło, ma w domu. W tym samym domu, który uważnie przeszukali moi ludzie.

- Gdzie dokładnie? - zapytałem, nie chcąc dać po sobie poznać rozczarowania i gniewu.

- W kolumnach głośnikowych, u mnie w pokoju - odparł Paweł.

Wyszedłem i pognałem do Śpiocha.

- Kurwa, Śpioch, co to za akcja? Zjebaliście przeszukanie. Kasa jest ponoć w kolumnach głośnikowych!

Mój były partner pokręcił głową z dezaprobatą i zawołał Białego.

- Co jest? - zapytał ten, gdy już się zjawił.

- Chuj jest! - warknął Śpioch. - Pytałem cię, czy sprawdziłeś kolumny? Pytałem. No to chuja sprawdziłeś!

Biały próbował się tłumaczyć, ale straciłem do nich obu cierpliwość i kazałem im zapieprzać do domu Pawła jeszcze raz. Wrócili po niecałej godzinie ze stosem banknotów i z tak ustawioną sprawą zaczęliśmy solidne kruszenie Marka.

W końcu się udało. Złamał się, przyznał i wyglądało na to, że pogodził się z wizją odsiadki. Jedyne, czego nie udało nam się z niego wyciągnąć, to informacji o kasie, bo jak stwierdził, zdążył już wszystko rozpracować, spłacając długi, rozdając i inne takie. Nie wierzyliśmy w to, ale tu niewiele się na razie dawało zrobić.

Najważniejsze jednak, że sypnął kolegów, więc ugruntowaliśmy podstawę do kolejnych realizacji. Zwierzak i Ogórek - chłopak, który doszedł do sekcji nieco wcześniej, jeszcze o nim będzie - pojechali w tym celu pod Kalisz i tam udali się do miejscowej psiarni, by podpytać o chłopaka, ale i zapytać o ewentualną pomoc. Tamci się jednak przerazili.

- Dla was to może nic - powiedział im jeden z policjantów - ale tu jego starzy trzęsą miastem. A my tu, cholera, mieszkamy.

Zwierzak się wkurzył, ale powstrzymał wybuch i poprosił dzielnicowego, żeby chociaż pokazał im, który to dokładnie dom.

Już na miejscu zadzwonili do drzwi. Otworzyła matka chłopaka. Przedstawili się, powiedzieli, że do syna, a ona wtedy odwróciła się i zawołała w głąb domu.

- Łukasz, panowie z policji do ciebie. Z Wrocławia!

I dalej tak stała w progu, mimowolnie, a może specjalnie

blokując wejście. Jej syn pojawił się na szczycie schodów, skąd po chwili wahania zszedł na dół. Ledwie jednak dotknął podłogi, rzucił się w bok i pognał do jednego z pokoiów. Zwierzak z Ogórkiem odepchnęli matkę i pogonili za nim. W samą porę, bo gówniarz już wisiał na oknie, próbując zwiać. Złapali go bez ceregieli za pasek, ściągnęli, docisnęli do gleby i zakuli w dyby.

Na to do pokoju weszła wystraszona matka, wsparta na dzielnicowym. Widząc, co się dzieje, zaczęła krzyczeć i histeryzować, pytała, co oni właściwie robią. Dzielnicowy, najpewniej próbując się trochę przypodobać lokalnej szarej eminencji, pojednawczym tonem zagaił, czy nie dałoby się spokojniej, delikatniej.

- Nie - warknął Zwierzak. - Na wrocławskiej Starówce tak się to właśnie robi.

Rozochocony tym tekstem Ogórek też zapragnął filmowej kwestii. Zamachał chłopakowi przed nosem dobytą bronią służbową.

- Wydział zabójstw - rzucił. - Mówi ci to coś?

A potem we dwóch zaciągnęli chłopaka na górę do jego pokoju, gdzie w wyniku przeszukania ujawnili mnóstwo skradzionej kasy.

Został jeszcze jeden. Po niego pod Oleśnicę pojechaliśmy w pięciu: Śpioch, Biały, Zwierzak, który wrócił spod Kalisza, Łobuz i ja. Zrobiliśmy wjazd, ale go nie zastaliśmy, był tylko brat. W jego obecności dokonaliśmy przeszukania, znajdując kolejną porcję skradzionej kasy.

- Dobra, teraz mów, gdzie jest twój brat - zapytaliśmy gospodarza, na co ten, przestraszony, powiedział, że ma wkrótce wrócić, bo o tej porze powinien być już w pociągu skądś tam.

Ustaliliśmy, że się dzielimy, ja z Łobuzem i Białym zostajemy na miejscu, Śpioch ze Zwierzakiem jadą na

dworzec. Tam się przyczaili, ale zanim wygarnęli klienta, ten zdążył już wsiąść do taksówki. Ruszyli za nim swoim wozem, zastanawiając się, jak bezpiecznie zatrzymać taryfę, ale po chwili zorientowali się, że taksówka jedzie do domu, więc po prostu pozwolili jej dojechać, a sami zaparkowali za winklem i podeszli cicho, gdy klient akurat płacił.

Zwierzak bez certolenia otworzył drzwi taksówki, pochylił się do środka i przystawił naszemu delikwentowi klamkę do głowy.

- Nie ruszaj się, policja! - ryknął.

W tym momencie samochód drgnął, bo spanikowany kierowca w odruchu ruszył. Przed maskę wyskoczył mu jednak Śpioch, machając legitymacją.

- Spokojnie - powiedział. - Naprawdę jesteśmy z policji, może pan sprawdzić przez dyspozytora. Niech się skontaktuje z dyżurnym na komendzie w Oleśnicy.

Facet tak zrobił i sprawa raz-dwa się rozwiązała. Zwierzak ze Śpiochem przeprosili taksówkarza za napędzenie mu strachu, ale jak powiedzieli, musieli działać sprawnie. A ja, gdy mi to streścili, ucieszyłem się, że nie daliśmy dupy z powiadomieniem zawczasu lokalnych. Takie rzeczy się zdarzały, ale ja mając w pamięci wiele spraw, w tym niegdysiejszą akcję z kotłem Grubego, pilnowałem procedur.

Ostatecznie okazało się, że braciszek naszego sprawcy również się załapał, bo w szafce z ubraniami w piekarni, gdzie pracował, trzymał więcej niż połowę doli brata. Sprawdziliśmy, bo wydało nam się podejrzanе, że w całym tym zamieszaniu z zatrzymaniem jego interesowało tylko to, żeby się nie spóźnić do pracy.

Pomijając tony kwitów i formalności do zrobienia, sprawa była rozwiązana. Udało nam się wykonać ją bez

braterskiego wsparcia wojewódzkiej, a poza satysfakcją i świadomością, że radzimy sobie jako sekcja z coraz bardziej złożonymi sprawami, otrzymaliśmy też od wdzięcznego hurtownika kamerę wideo, latarki i mnóstwo jakichś drobniejszych, ale przydatnych w pracy bzdurek. Wtedy jeszcze policja mogła przyjmować takie dary wdzięczności, a my cieszyliśmy się, bo wiedzieliśmy, że ułatwią nam one pracę.

Fajnie było rozwiązywać duże sprawy, ale w służbie królowej statystyki najważniejsze są liczby. Dlatego, gdy nie mieliśmy akurat niczego większego, trzaskaliśmy rzeczy drobniejsze, jak chociażby włamania. Dwójka miała ich nadmiar, więc braliśmy od nich część tematów, podciągając słupki wydziału.

Czułem się jak za starych, kocich czasów za każdym razem, gdy przychodziło do rozwiązywania spraw okradanych szop czy działkowych altan, ale też nigdy ich nie lekceważyłem, wychodząc z założenia, że działamy dla dobra obywateli. A to czy problem jest duży czy mały, zależy w dużej mierze od tego, kogo spotyka.

Przy okazji jednej z takich spraw w bardzo przewrotny i cwany sposób wykazał się Wrona. Dostał cynk od uchola o tym, że sprawcy serii włamów to menele z Biskupina, zebrał wszystkie wieści, opracowaliśmy i zrobiliśmy im wjazd. A tam meta jak ta lala. Wszędzie puste flaszki, smród i mnóstwo piór, jakby ktoś tu toczył bitwy na poduszki wyjątkowo niesolidnym orężem.

Owo pierze jeszcze mocniej utwierdziło nas w przekonaniu, że jesteśmy we właściwym miejscu, bo na liście zaginionego inwentarza był też ten żywy, właśnie w postaci kur i kurczaków. Gdy jednak o to zapytaliśmy, właściciel chałupy szedł w zaparte, że nie, że akurat te kury kupili na zagrychę, a o tamtych nic nie wiedzą. Gnębimy, ciśniemy, ale facet nie ustępuje, tylko dalej brnie.

W końcu więc Wrona przejął temat i mówi:

- My się tu nie będziemy spierać, bo ty swoje, my swoje, a tu się da raz-dwa naukowo wszystko załatwić

i wątpliwości nie będzie.

Żulek skrzywił się trochę z pogardą, trochę jakby z niepokojem:

- Ale jak to naukowo? Nie ma takiej nauki.

- A właśnie że jest - odparł Wrona. - Słyszałeś o badaniach genetycznych DNA?

Żulek wzruszył ramionami, że coś tam niby słyszał, on nie z takich, co ich życie i ważne dokonania świata omijają. Choć głębiej, przyznał, się nie interesował.

Wrona przytaknął, że rozumie, ale tyle wystarczy i jechał dalej:

- No to jak wiesz, co to są za badania, wiesz też, że mamy profile genetyczne skradzionych kur i teraz wystarczy je porównać z materiałem na piórach, i się zaraz okaże.

Menel jakby się zawahał, ale jeszcze się nie dał. Nieco bardziej niepewnym głosem powiedział tylko:

- A to se róbcie, jak se chcecie.

- No chcemy! - ochoczo potwierdził Wrona. - A że badania są bardzo drogie, nie dość, że odpowiesz za kradzież, to cię jeszcze rachunkiem obciążymy takim, że się posrasz.

- Znaczy się ile?

Na co Wrona rzucił kwotę wyssaną z palca, nie za dużą, by nie przesadzić, ale wystarczającą, by menelowi z wrażenia odparowały z żył promile.

- Dobra, jebać - powiedział w końcu gospodarz. - Darujmy sobie te badania. Powiem wszystko.

Od słowa do słowa zebraliśmy z tego ostatecznie kilka setek włamów rozdzielonych na paru oskarżonych. I znowu najedzona królowa była usatysfakcjonowana.

Inną sprawą z tamtego czasu była seria włamów do obiektów handlowych. Info znowu od któregoś kapusia Wrony, kilkadziesiąt akcji już zrobionych, temat

zabezpieczony tak, że tylko wjeżdżać. Więc zrobiliśmy realizację, zawinęliśmy gościa i dalej do nas na przesłuchania.

A był to, tak się składa, czas, kiedy wszystko zaczynało się powoli komputeryzować. My też stopniowo przesiadaliśmy się z maszyn do pisania na komputery, z tym że oczywiście to, czym dysponowaliśmy, nie było technologicznym szczytem. Raczej takim... powiedzmy, ledwie zauważalnym pagórkiem.

Tak się jednak składa, że Wrona, który akcją z kurami trochę się rozzuchwiał, wpadł na pomysł, jak zrobić użytek nawet z czegoś tak działającego na naszą niekorzyść jak słabość technologiczna. I gdy rozmowa z gościem od włamów się nie kleiła, a typ wydał się naszemu koledze trochę nie w temacie, Wrona zabrał go do drugiego pokoju, gdzie stał komputer.

Wcześniej go sobie jednak - znaczy komputer, nie delikwenta - należycie przygotował. Wklepał pieczołowicie wszystkie dane, jakie na typka zebraliśmy, imię, nazwisko, adres, dotychczasowe przyklepane tematy. Do tego dołożył jakiś tekst o prowadzonych rozpoznaniach i przyciemnił nasz stary czarno-biały monitor takim przedpotopowym pokrętkiem z tyłu regulującym jasność, tak by nic nie było widać.

I gdy już przyprowadził typka, postawił go przed monitorem i mu mówi, że ten ma przestać ściemniać, bo my już mamy taki sprzęt, że raz-dwa go wysadzimy z siodła. I zanim koleś zdążył wyrazić wątpliwość, Wrona wziął go za rękę i kazał mu ją przyłożyć do ekranu.

- Po co? - zapytał włamywacz.

- Zaraz się przekonasz - odparł Wrona. - Tylko trzymaj długo, bo urządzenie trochę jednak sczytuje.

- Ale co sczytuje?

- Trzymaj, kurwa, rękę przy ekranie!

No i tak staliśmy wszyscy, my w progu, starając się zachować powagę, Wrona obok kompa, niby coś tam robiąc, ale dyskretnie szykując się do obsługi pokrętła, i koleś z wypiętą dupą i z łapą na monitorze.

W końcu coś się zaczęło na stopniowo rozjaśnianym ekranie pojawiać. Zdziwiony facet chciał cofnąć rękę, ale Wrona mu nie pozwoliła, aż obraz nie rozjaśnił się do końca. Wtedy oczom typy ukazały się jego kompletne dane.

- O kurwa, ale wy teraz macie sprzęt!

- Widzisz? - mruknął z powagą Wrona. - Więc koniec z wciskaniem kitu. Nawijaj.

Niedługo potem typ przyznał się do wszystkiego.

W tym czasie sekcja przeszła kolejne zmiany. Pożegnaliśmy Pompejusza, który choć żegnałem go niechętnie, zasłużył na swój awans do kryminalnego w wojewódzkiej jak mało kto. Niedługo potem dołączył tam do niego jego równie zasłużony partner, Sojka. Nam dostali się w zamian Piotrek, czyli Miętus, oraz wspomniany już Krzysiek, czyli Ogórek. Warto dodać, że wtedy w sekcji posługiwaliśmy się już niemal wyłącznie ksywkami, by od razu było wiadomo, o kogo chodzi. Ja, bo o tym chyba jeszcze nie wspominałem, nazywany byłem Księciunio, od postaci z disnejowskiej kreskówki Gumisie. Postać ta była głównym przeciwnikiem tytułowych bohaterów i rządziła bandą średnio rozgarniętych trolli. Kiedyś wspomniałem chłopakom, że tu jakby wszystko się zgadza.

Nowi z czasem się u nas zaaklimatyzowali, ale wejście, trzeba im przyznać, mieli naprawdę mocne. Na jednym z wyjazdów do puszczy, narąbani, postanowili zgłosić się na ochotnika, by złowić ryby. Długo tłumaczyliśmy im kierunek, jak dojść do wody, a potem przygotowaliśmy

wszystko do kolacji, pod ten ich połów, i siedzieliśmy sobie z piwem na słoneczku. Po jakimś czasie zjawił się miejscowy chłop i pyta, czy nie zgubiliśmy aby dwóch swoich. I tu opisał starannie Miętusa i Ogórka.

- No, to nasi - przyznałem. - A co z nimi?

- Ja tam nie wiem - odparł autochton. - Ale po mojemu wygląda, jakby łowili ryby...

- No, mieli łowić.

- ...na środku polany - dokończył lokals.

Jak się okazało, miał rację. Suchego przestwór oceanu, kurwa ich obu mać.

W wolnych chwilach polowaliśmy na naszego burdelowego Świętego Gralla, czyli podejmowaliśmy starania, aby zamknąć przybytki płatnych uciech i usadzić wszystkich ich szefów i szefowe za sutenerstwo.

Gdy tylko nadarzała się okazja, wieczorami wypuszczaliśmy się na miasto, pojawialiśmy się w lokalu i podejmowaliśmy czynności. Część szefów i szefowych, którym najazdy robiliśmy dość regularnie, nawet się już nami specjalnie nie przejmowała. Dziewczyny, widząc, że policja, nie udawały fałszywej skromności i nie próbowały się zasłaniać, a my dostawaliśmy wszystkie dokumenty bez ociążania, na pierwszą tylko prośbę.

No i kiedy ja sprawdzałem dokumenty, chłopcy rozmawiali z dziewczynami. W pewnym momencie Śpioch zauważył w jednym z pokojów rurę do tańca i próbował namówić którąś z prostytutek, by zrobiła pokaz. One jednak dość grzecznie, ale stanowczo dały do zrozumienia, że dla psów, a zwłaszcza dla psów za darmo wygłupiać się nie będą. Niezrażony odmową Śpioch sam wszedł na scenę i spróbował, ale mimo że to mój przyjaciel, muszę stwierdzić krytycznie - nie wyżyłby z tego.

Z tamtego lokalu przenieśliśmy się do kolejnego pod tym samym zarządem. Nie było sensu robienia z tego tajemnicy, wiadomo było, że w razie czego szefowa i tak da cynk na drugą miejscówkę. Zapytałem więc, czy ktoś tam w ogóle jest, i dowiedziałem się, że owszem, trzy dziewczyny powinny pracować.

- Tylko trzy? - upewniłem się.

Szefowa postukała paznokciem w zęby.

- No, właściwie to cztery - doprecyzowała. - Ale jedna jest tak brzydka, że trudno mówić, by pracowała. Trzymamy ją tylko, jakby ktoś miał mało kasy i ogromne parcie na loda.

Wrodzony dżentelmen we mnie nie uwierzył rzecz jasna w taki tekst, więc gdy zawitaliśmy do drugiego lokalu i wylegitymowaliśmy owe trzy dziewczyny, zapytałem o tę czwartą.

- Siedzi w ostatnim pokoju - powiedziała jedna z dziewczyn nieomal przejętym szeptem.

- Po ciemku - konspiracyjnie dodała druga.

Powinno mnie to zaniepokoić, ale jako nieustraszony glina się nie dałem. Poszedłem, przywitałem się, poprosiłem o dokumenty. I dziś wiem jedno: jeśli ktoś powie, że nie ma brzydkich kobiet, tylko wódki czasem brak, wiele jeszcze w życiu przed nim.

Lokale, o których właśnie powiedziałem, to były miejsca dobrze nam znane i w zasadzie tylko zaznaczaliśmy swoją obecność, by nie poczuli się tam zbyt pewnie. Któregoś dnia dowiedzieliśmy się jednak o zupełnie nowym miejscu na Szczepinie w dużym bloku mieszkalnym.

Podjechaliśmy tam, pukamy grzecznie, otwierają nam bardzo ładne dziewczyny w seksownej bieliźnie. Uśmiechają się, zapraszają, z czego oczywiście skorzystaliśmy, jednak zaraz po przekroczeniu progu przedstawiliśmy się, okazując legitymacje i prosząc o przygotowanie dokumentów, bo robimy kontrolę.

Zmieszane dziewczyny na to, że z taką kwestią to raczej do szefa, który jest w jednym z pokojów. Któraś zresztą szybko po niego poszła, a jego wkurwiony ryk zza ściany uzmysłowił nam, że facet będzie się stawiał.

I rzeczywiście. Wypadł do nas czterdziestoletni typek, już czerwony na gębie, i od razu z mordą, że chyba nas

pojechało i co to za najście.

No to mu, na razie grzecznie, wyjaśniam, że w zasadzie nie najście, bo zapukaliśmy, zostaliśmy zaproszeni, ale że rutynowa kontrola. W środku już się jednak we mnie gotowało i wiedziałem, że na oglądaniu papierów nie skończymy. Przegrzebiemy mu to mieszkanko na okoliczność od podłogi po sufit.

Na razie wciąż jednak jeszcze rozmawialiśmy i powiedziałem mu, jakich dokumentów potrzebuję. Wymieniałem je jedno po drugim, a moi chłopcy rozeszli się, by poznać nowe lokum. Tym, co odróżniało je od innych, była izba BDSM z linami, hakami i cała ściana rekwizytów: od masek, przez kneble, po pejcze. Pytane o niektóre z przedmiotów dziewczyny chętnie odpowiadały, na co któryś przyznał, że właściwie on by tu chętnie dłużej posiedział, nawet w czasie niesłużbowym.

Właściciel lokalu robił się tymczasem coraz bardziej chamski, napastliwy i agresywny. W którymś momencie, gdy tak się chwalił swoimi wpływami i znajomościami z poszczególnymi miastowymi, przerwałem mu i powiedziałem:

- Dobra, przy najbliższej okazji zapytaj pan kolegów o mnie i o kryminalny ze Starówki. A na razie zabieramy dziewczyny na komendę.

Gość jeszcze protestował, ale zwinęliśmy ślicznotki i przywieźliśmy je do nas. Tam się nagle okazało, że zadziałało albo nasze do nich podejście, albo ich dziwkarski instynkt samozachowawczy, po tym, jak zobaczyły, jak szef samobójczo szarżuje i jak bardzo nie robi to na nas wrażenia. W każdym razie bez szczególnego łamania każda z nich wyznała nam, że dzieli się kasą z szefem, a do tego jeszcze, że w lokalu jest nielegalnie sprzedawany alkohol. Czyli dość niespodziewanie dla nas samych mieliśmy dupka

za sutenerstwo. Zabraliśmy się do szykowania kwitów.

Na następną dzień, z samego rana po odprawach, facet przyszedł. Spojrzałem na niego znad papierów i nie ten człowiek. Wzrok spłoszony, głowa w ramionach, ręce tak, jakby po prośbie przyszedł.

- Co, popytał pan? - zapytałem z przekąsem.

Powiedział, że tak, że mnie bardzo przeprasza i że on właściwie przyszedł się tutaj dogadać. Gdy zapytałem, jak to rozumie, od słowa do słowa wyszło, że chce mi dać łapówkę. Znaczący mało pytał, bo nie był pierwszym, który składał mi ofertę, i wszystkich spuszczałem na drzewo. Bo raz, że nie zamierzałem zaprzedać zasad, dwa, miałem osobisty uraz do tych wszystkich, przez których kurewstwo waliła nam się długo odwalana robota. No i jest to droga w jedną stronę - za parę groszy człowiek sprzedaje wszystko to, co mogło trzymać miastowych z dala od niego.

Ale z ciekawości zapytałem, ile według niego załatwiłoby sprawę i sprawiło, że porzuciłbym tak rzadką przecież, trudną do wykazania sprawę.

Dwa tysiące! Dupek nie tylko próbował mnie przekupić, ale jednocześnie w najgorszy sposób obrazić. Kazałem mu się wynosić, a sprawa poszła do sądu i cwaniaczek został skazany za sutenerstwo.

Zabójstwa takie jak to, które trafiło nam się na Wzgórzu Polskim, określałem mianem „polski ubój”. To specyficzny rodzaj zabójstwa o niemal identycznym przebiegu na każdym etapie: Polak pije, Polak się kłóci, Polak sięga po argumenty ostateczne w postaci pięści, butów, noży czy siekier.

W tym konkretnym przypadku jakiś psiarz ujawnił ciało kobiety w wieku około czterdziestu lat, przy której czuwał jej maleńki piesek. Ofiara została brutalnie pobita i skopana. Nie miała ran ciętych czy kłutych i wszystko wskazywało na tak zwane pobicie ze skutkiem śmiertelnym.

Zjawiwszy się tam, zwróciliśmy uwagę na dwie kwestie, obie, jak się później okazało, niezwykle istotne dla sprawy. Po pierwsze, zabójstwo miało miejsce w pobliżu lokalu Kazamaty, będącego dużą dyskoteką pod silnymi wpływami miastowych.

Po drugie, ciało było częściowo rozneglizowane - pozbawione dolnej części bielizny - co sugerowało kontekst seksualny.

Póki co to było wszystko, co mieliśmy, nie znaleźliśmy też tożsamości ofiary. To niespecjalnie dobrze rokowało na szybkie rozwiązanie sprawy. Zabraliśmy się jednak do pracy, ustalając, że musimy jak najprędzej porozmawiać z bramkarzami Kazamatów, czy nie widzieli kobiety z pieskiem i kogoś krążącego koło niej. Oczywiście wymagało to najpierw ustalenia, kto owego dnia stał na bramce, a potem przekonania dresów od miastowych, że powinni z nami współpracować. Co oczywiste, apelowanie do ich sumień, mówienie o tym, że właśnie zginął człowiek,

nie miało większego sensu. Dlatego też posunąłem się do zawołanej groźby, mówiąc, że jeśli nam nie pomogą, będziemy tu pracować sami, do skutku. To oznaczało przesiadywanie co wieczór w Kazamatach i legitymowanie każdego, kto z jakiegokolwiek powodu wyda się nam podejrzany. Pytanie, czy to się spodoba klientom, było raczej retoryczne, dlatego miastowi poniekąd poszli z nami na współpracę. Wyglądało jednak na to, że zupełnie nie są nam w stanie pomóc, i przez ponad dwa tygodnie woziliśmy się z tematem od uchola do uchola, od bramkarza do szefa lokalu, zupełnie bezskutecznie.

I wtedy pomógł nam przypadek. Któregoś dnia Zwierzak wbił do Kazamatów, po prostu na piwko, i tam spotkał kumpla z judo, Franka. Jak się okazało, kolega robił czasem na bramce w tym właśnie lokalu. Co więcej, był tam owego feralnego wieczoru, tyle że najwyraźniej koledzy zapomnieli o tym wspomnieć, bo na następny dzień Franek pojechał na urlop.

W każdym razie kumpel Zwierzaka pamiętał kobietę z pieskiem, jak się bawiła, piła i szukała okazji. Pamięta też, jak wyszła z jakimś kolesiem, trzydzieści parę lat, z ewidentnie jednoznacznym zamiarem.

- Potrafiłbyś go rozpoznać? No wiesz, na zdjęciu - zapytał podekscytowany Zwierzak.

- Myślę, że tak - odparł Franek.

Natychmiast udali się na komendę, gdzie akurat był nasz kolega z dochodzeniowej jedyńki, Hubert. Poznawszy powód wizyty, wyciągnął albumy ze zdjęciami trzaśniętymi w jednostce w ostatnich latach i położył przed Frankiem pierwszy. Ten otworzył, przerzucił ze dwie strony i... wskazał typa.

- To ten - powiedział.

Takie rzeczy się w zasadzie nie zdarzały, dlatego Hubert

ze Zwierzakiem popatrzyli najpierw na siebie, potem na Franka.

- Jesteś pewien? - zapytał Hubert.

- Tak.

- I nie mówisz tak dlatego, że już ci się znudziło i chcesz mieć z głowy? - upewnił się Zwierzak.

Ale nie, Franek był absolutnie pewien. Wiadomość dotarła do mnie, zweryfikowaliśmy adres i zwinęliśmy faceta dyskretnie w robocie. Poprosiliśmy o pomoc jego szefa i gdy ten wezwał do siebie pracownika, my w biurze zakuliśmy go w dyby.

Rozmowa poszła sprawnie. Najpierw zaprzeczał, ale stopniowo, gdy dostał wszystkim, co mieliśmy, złamał się i przyznał. Według jego wersji kobieta zachowywała się wyzywająco, ewidentnie szukając seksualnego partnera. Gdy okazał jej swoje zainteresowanie, ta się ucieszyła i zaproponowała, by zrobili to tu i teraz, w pobliskich krzakach.

Przystał na to, ale gdy już przyszło co do czego i kobieta stała przed nim bez majtek oparta o murek, jemu zwyczajnie nie stanął. Próbował go pobudzić, ale mu nie szło, na co kobieta zaczęła się śmiać i szydzić z niego, że nie jest prawdziwym mężczyzną. Wkurzył się, ale jeszcze próbował. W pewnej chwili spróbował, na jej sugestię, zaspokoić ją oralnie, ale wówczas okazało się, że kobieta ma okres, co rozeźliło go jeszcze bardziej. Mając dość jej kpín, uderzył ją raz, a gdy się zatoczyła, drugi. Potem, kiedy już upadła, skopał ją, aż wypompował z siebie całą wściekłość, a wtedy zostawił ją i poszedł.

Nie wrócił ani na dyskotekę, ani na Wzgórze i dopiero od nas dowiedział się, że kobieta nie żyje.

Tak, nie bez sporej dawki szczęścia, ale wciąż dużym wysiłkiem ekipy, rozwiązaliśmy tę sprawę. Z jednej strony

sukces, z drugiej w tym czasie mogliśmy wykonać kilka, jeśli nie kilkanaście mniejszych i prostszych tematów, tak by zaspokoić królową statystykę.

Bo tak szczerze, z jej punktu widzenia, czym była ta sprawa? Ledwie jednym maleńkim punkcikiem lub jego brakiem. Nam jednak takie odpuszczone, nierozwiązane sprawy siedziały potem na sumieniach. Komuś upiekła się zbrodnia, przestępstwo. Ktoś zrobił coś paskudnego i właściwie zasadnie czuje się z tym bezkarnie.

Tu doprowadziliśmy faceta przed sąd. Piszę „my”, bo choć takie przestępstwa są śledztwami własnymi prokuratorów, to jednak gliniarze odwalają za nich robotę. Sporo spośród proroków nie umie nawet potem dobrze odczytać aktów oskarżenia.

Na szczęście zarówno u nas, jak i w prokuraturze nie wszyscy tacy byli. Na przykład prokurator Maciek był facetem, który brnął z nami przez każdą sprawę, w terenie, przy przeszukaniach, podczas gromadzenia dowodów. Potem, gdy przychodziło co do czego, znał wszystko od podszewki i nie wykladał się na bzdurach. No i taki prorok wiedział, jaką robotę wykonujemy, i traktował nas z szacunkiem. Dla reszty byliśmy wyłącznie psami na aport.

Jakoś niedługo po tamtej sprawie Kazamaty wypłynęły znowu, tym razem w kontekście prochów. Łasy na kasę uchoł podrzucił cynk, że jeden z barmanów, Cinek, chłopak, który przy sprawie martwej pani z pieskiem angażował się wyjątkowo mocno i starał się być możliwie jak najbardziej pomocny, diluje amfą i właśnie dostał solidną porcję towaru do rozprowadzenia. W sumie, gdyby nie frustracja wynikająca z ciągnącej się sprawy, może byśmy nawet zwrócili uwagę na jego zachowanie, bo taka gotowość do udzielania psom wsparcia powinna wzbudzić nasze

podejrzenia.

Wtedy nie wzbudziła, ale gdy przyszedł cynk, dodaliśmy dwa do dwóch. Szybko przygotowaliśmy sprawę i oddelegowałem Śpiocha, by zrobił chłopakowi wjazd na chatę.

Cinek był na miejscu, więc całe trzepanie maneli odbyło się przy nim, ale nie ujawniło specjalnie wiele, ot, kilka maleńkich woreczków z amfą. To miał być towar do rozprowdzenia? Owszem, wystarczy, by chłopaka zawinąć, ale żeby zaraz ze sprawy taki szum?

Rozgoryczony i wściekły powiedziałem to ucholowi, gdy ten zadzwonił do Śpiocha zapytać, czy mamy wszystko i jak tam jego kasa za temat.

- Kasa? - zapytałem, przejmując słuchawkę. - Za te gówniane parę gram chcesz kasy jak za wydanie nam pierdolonego Escobara? Ty się ciesz, że nikt nie ma teraz czasu, by cię dojechać za zawracanie nam tyłków.

Uchol trochę się zmieszał, ale zaraz zapytał, czy sprawdziliśmy manele w korytarzu. Była tam taka część oddzielona kratą od reszty klatki schodowej, kilka metrów na dwa mieszkania, zawalone gratami.

- Oczywiście, że sprawdziliśmy - odparłem, bo było o tych gratach w raporcie od Śpiocha. Zerkam jednak na Jarka, a ten minę ma nietęgą.

- Tam jest takie radio stare - nawija mi uchol, a ja nic, tylko patrzę na swojego byłego partnera, jak zaczyna się czerwienić. - I w tym radiu właśnie...

- Dobra, sprawdzimy i damy znać. - Rozłączyłem się i spojrzałem na Śpiocha z dezaprobatą. - Ja pierdołę, kurwa mać, Jarek. Co ty, do chuja, masz z tym sprzętem muzycznym. Raz kolumny, teraz radio? No kurwa!

Trzeba przyznać Śpiochowi, że wziął na klatę i się nie tłumaczył. Powiedział, że jedzie, wziął ze sobą jeszcze

kogoś i po godzinie wrócili z woreczkiem. Wrzucenie go na wagę zaskutkowało wpisaniem w papiery pół kilograma amfetaminy.

Gdy powiedzieliśmy o tym Cinkowi, zbladł.

- Kurwa, panowie, ja to w komis mam - jęknął załamany.

- To będziesz płacił. - Wzruszyłem ramionami. - Znaczy, jak już wyjdiesz.

Jako że to była jak dotąd największa ilość towaru zabezpieczona przez wrocławską policję, rzecznik dostał spazmów z rozkoszy i wszem wobec ogłosił nasz wielki, spektakularny wręcz sukces. Nie poprawialiśmy go specjalnie, bo premie z racji tryumfu też były lepsze. Niewiele, ale jednak.

Justyna. Popularne w Polsce imię żeńskie, które mnie i chłopakom z mojej sekcji kojarzy się dość jednoznacznie z jedną konkretną dziewczyną, w dodatku martwą, oraz z największymi bolączkami i słabościami naszej służby. Wszystkim tym, za co zdarzało mi się psiej roboty szczerze nienawidzić.

Była niedziela, dzień jakichś wyborów, które oczywiście obstawialiśmy. Dostaliśmy zawiadomienie o ujawnieniu ciała młodej kobiety przy jednym z bloków mieszkalnych – tak zwanych galeriowców, bo posiadających zewnętrzne galeryjki – przy ulicy Kołłątaja. Udaliśmy się na miejsce, gdzie już zastaliśmy pracującą ekipę operacyjno-dochodzeniową, zbierającą ślady, fotografującą i filmującą.

Dziewczyna mogła mieć około dwudziestu pięciu lat i spadła, sama lub z czyjąś pomocą, z galerii na ostatnim, czwartym piętrze budynku. Wskazywały na to zarówno obrażenia, jak i niewielka torba znaleziona właśnie na tym piętrze, zawierająca dokumenty oraz bilety na pociąg. To wtedy poznaliśmy jej imię.

Justyna przyjechała do Wrocławia z Holandii późnym wieczorem poprzedniego dnia i miała tutaj przesiadkę na Śląsk, gdzie mieszkała, ale niestety skomunikowaną tak niefortunnie, że było przed nią kilka godzin oczekiwania na pociąg. Kwit z przechowalni bagażu sugerował, że nie zamierzała tego czasu spędzić po prostu na dworcu – być może miała plan, by zwiedzić miasto?

Tyle póki co faktów, a w nas zaraz obudziły się wątpliwości. Bo co prawda galeriowiec na Kołłątaja nie był daleko, ale nie mogliśmy znaleźć sensownego powodu, dla

którego Justyna miałyby się w nim znaleźć. Raczej nie mogła tam trafić przypadkiem, bo obie bramy wejściowe do budynku były zabezpieczone domofonem. Teoretycznie byłoby możliwe wślizgnięcie się za kimś, ale późna pora, gdy to się wydarzyło, mocno ograniczała taką ewentualność.

Wiedzeni tym tropem, zaczęliśmy sprawdzać mieszkańców bloku, ze szczególnym uwzględnieniem feralnego piętra. I już pierwszy strzał wydawał się obiecujący, trafiliśmy bowiem na mieszkanie, które dwie żyjące ze sobą kurewki współdzieliły z kalekim właścicielem mieszkania. Z tego, co udało się ustalić, dziewczyny były parą, ale świadczyły swoje usługi mężczyznom, a ich obszarem biznesowych zainteresowań był przede wszystkim dworzec. Człowiek, u którego mieszkały, był cichym, ewidentnie stłamszonym i zastraszoną mężczyzną, całkowicie podporządkowanym lokatorom. A ściślej, jednej z nich – dominującej w związku i otoczeniu, solidnie zbudowanej dziewczynie imieniem Marta.

W międzyczasie Zwierzak zabezpieczył bagaż z przechowalni, a ktoś inny powiadomił rodziców Justyny, którzy bardzo szybko przyjechali ze Śląska i udzielili kolejnych informacji. Wedle ich zeznania dziewczyna opiekowała się w Holandii osobami starszymi, ale ta praca mocno ją wymęczyła, więc postanowiła wrócić do Polski. Na pewno miała ze sobą odłożone pieniądze, bo rozmawiali z nią na ten temat. Nie, z pewnością nie miała we Wrocławiu żadnych znajomych ani krewnych, a przynajmniej nikogo, o kim mogliby wiedzieć. To znaczyło dla nas tyle, że nie miała żadnego konkretnego, zawczasu wymyślonego powodu, by opuszczać teren dworca.

Niedługo później do układanki wskoczył nam dość zaskakujący kłocusek. Marta, ta groźniejsza z dwóch kurewek, zgłosiła się do nas z obywatelską chęcią niesienia

pomocy i przyniosła... paszport Justyny. Wedle jej słów znalazła go tego dnia, gdy prowadziliśmy czynności, podczas spaceru z psem. Właściwie znalazł go jej psiak, a dokument leżał na posadzce galerii.

Jako że wyraźnie wskazała godzinę i było to już po opuszczeniu terenu przez naszych techników, wydawało mi się nieprawdopodobne, byśmy przeoczyli coś takiego jak paszport. Na wszelki wypadek jednak poszedłem do technika obejrzeć zdjęcia i nagranie wideo z galerii. Tak jak przypuszczałem, było sfilmowane bardzo dobrze, szczegółowo i w żadnym miejscu paszport leżeć nie mógł. Czyli dziwka kłamała.

Pasowałoby to do niej, bo sprawdziliśmy ją wcześniej i kartotekę miała dość pokaźną, obejmującą rozboje, pobicia i kradzieże. Wciąż jednak mieliśmy za mało, by zacząć działać. Spróbowaliśmy za to, w ramach burzy mózgów, ustalić możliwy przebieg zdarzeń.

Ułożyliśmy to sobie w następującą historyjkę: Marta urzędująca na dworcu zauważa Justynę, a ponieważ dziewczyna jest ładna, podchodzi do niej i zagaduje. Musi być miła i wzbudzać sympatię mimo dość wojowniczego wyglądu, bo udaje jej się przekonać dziewczynę, że siedzenie na dworcu nie ma sensu i lepiej, gdyby poszły do Marty, bo ta mieszka niedaleko. Zostawiają bagaż w przechowalni, by go nie nosić - Justyna zabiera ze sobą tylko najpotrzebniejsze rzeczy, w tym oczywiście pieniądze i dokumenty - i udają się na Kołłątaja na herbatę.

Gdzieś po drodze z pewnością pada powód obecności Justyny we Wrocławiu i Marta domyśla się, że dziewczyna ma przy sobie pieniądze. W mieszkaniu, gdy okazuje się, że dziwka nie mieszka sama, dochodzi do niezręcznej sytuacji - może próby napaści - w wyniku czego Justyna opuszcza mieszkanie, gubiąc w środku paszport. Marta podąża

w ślad za nią i celowo lub przypadkiem strąca ją z galerii.

Wydawało nam się to dość spójne, przynajmniej na tyle, by robić temat dalej już pod kątem zabójstwa. Gdy jednak udałem się do szefa, by przedstawić mu, jak to widzimy, ten zaskoczył mnie zarówno swoją decyzją, jak i wykazaną przy niej kategoriernością.

- Nie kombinujcie - powiedział na początku dość spokojnie. - Już powiadomiłem prokuraturę, że to samobójstwo.

Wiele razy argument „już powiadomiłem proroka” zamykał tematy, tu jednak sprawa tak bardzo nie wyglądała na samobójstwo, że postanowiłem cisnąć dalej. Wyjaśniłem, tym razem szczegółowo, wszystkie przesłanki przemawiające za zabójstwem, na koniec wyciągając pasujące do naszej hipotezy zagadkowe pojawienie się paszportu.

Powiedziałem mu, że potrzebujemy od niego nakazu przeszukania mieszkania. Weźmiemy techników, biologów i wszystko dokładnie sprawdzimy. Wystarczy nam na początek potwierdzenie, że Justyna tam, w mieszkaniu, była. Wtedy weźmiemy kurewki i gospodarza na pogaduchy i prędzej czy później złamiemy.

Szef w swym kutasiarskim uporze był jednak absolutnie nieprzejednany. Coraz dosadniej kazał nam przestać kombinować i odpuścić sprawę, która dla niego jest już w zasadzie z naszej, psiej, strony zamknięta. Jego zdaniem dziewczyna przeszła załamanie nerwowe - być może właśnie ono stało za jej decyzją o powrocie - albo zrobiła coś głupiego i teraz dręczyły ją wyrzuty. W każdym razie jakoś się trzymała przez większość trasy, ale gdy przyjechała do Wrocławia, gdy konieczność czekania wypompuwała z niej resztki energii, postanowiła skoczyć z najbliższego dachu.

Nie mogłem uwierzyć. Było to tak grubymi nićmi szyte – po co kupowałyby bilety na pociąg, po co by się przejmowała zostawianiem bagażu – i jednocześnie tak bardzo lekceważące nasze wcześniejsze ustalenia, że nabrałem podejrzeń, że szef ma jakiś istotniejszy powód, by ukreślić sprawie łeb niż „bo już poszło do proroka”.

Gdy wróciłem od komendanta i streściłem rozmowę chłopakom, byli wściekli. Poczucie bezsilnego gniewu objawia się każdorazowo, gdy ktoś każe ci odpuścić sprawę, ale kiedy w grę wchodziło podejrzenie zabójstwa, myśl, że z jakiegoś powodu sprawcy mogłoby ująć to na sucho, bo policja ma zjebane procedury i podejście, w zasadzie podważała sens istnienia naszej służby.

Podjęliśmy więc decyzję o kontynuowaniu śledztwa na własną rękę. Ustaliliśmy, że zdobędziemy pretekst, by móc znaleźć się w mieszkaniu kurewek i przeprowadzić tam zebranie śladów. Może nie aż tak dokładnych jak wtedy, gdy byliby z nami technicy, ale do udowodnienia obecności powinny wystarczyć odciski palców.

Tylko z czym je porównamy? Nagle bowiem zdaliśmy sobie sprawę, że nie było przecież powodu, by pobierać odciski palców od denatki. Potrzebowaliśmy więc w pierwszej kolejności wziąć próbkę porównawczą od niej.

Tyle że, jak się okazało, ciało właśnie wyruszyło w podróż karawanem na Śląsk. Zabrano je właściwie pół godziny temu, po tym, jak prokurator, otrzymawszy od komendanta informację, że to było samobójstwo, uznał, że nie ma potrzeby kierować zwłok na sekcję sądowo-lekarską, i wydał ciało rodzicom. Tak po prostu, raz-dwa, z pośpiechem, który w przeszłości dało się zwykle dostrzec, gdy ukreślano łby sprawom przeciwko komuś naprawdę wysoko umocowanemu.

Nie odpuszczaliśmy jednak. Zwierzak zapakował do

samochoду Wojtka, naszego lekarza medycyny sądowej, i pognali śladem karawanu trasą na Opole. Polecieli na kogutach, więc dorwali ich kilka kilometrów za miastem, skłonili do zjazdu z drogi i udostępnienia ciała.

Zatrzymali się akurat na parkingu jakiegoś motelu, gdzie właśnie odbywała się dość huczna impreza i część gapiów wyszła, by zobaczyć, co się dzieje. Ich oczom ukazało się dwóch gości wypadających z wozu na kogutach, dopadających karawanu i otwierających trumnę. Chwilę później Zwierzak wbiegł do lokalu kupić jakąś wodę w butelce, bo ciało było już na tyle stężałe, że do pobrania odcisków potrzebny był owalny przedmiot.

Wojtek uporał się z zabezpieczeniem śladów raz-dwa i puścili karawan dalej, a sami wrócili do bazy, gdzie dołączyli odciski do akt. Następnego dnia mieliśmy iść z tym dalej, ale wtedy zjawił się u nas wkurwiony komendant i poinformował, że sprawa została wszczęta jako zamach samobójczy i prowadzona będzie wyłącznie pod tym kątem, a wszelkie działania z naszej strony mogą zostać odebrane jako niesubordynacja, a my pociągnięci do odpowiedzialności.

Odpuściliśmy. Mniej z obawy o własne kariery, a bardziej z przeświadczeniem, że cokolwiek byśmy teraz zrobili, w niczyim interesie nie będzie przyznanie nam racji. Cokolwiek byśmy wykazali w domu dziwek, nikogo by to nie przekonało do zmiany zdania.

I właściwie nie wiem, co o tym myśleć. Gdzieś tam w głowie mogłaby i kołatać myśl, że to ktoś wpływowo ukręcił sprawie łeb. Kto wie, może i w takiej sytuacji czulibyśmy się z tym odrobinę lepiej? Bo to by znaczyło, że nasze wysiłki sabotuje jakaś licząca się siła. Że to nie wina tego, że przeżarta rakiem niekompetencji, kolesiostwa i nepotyzmu firma w imię taniego poklasku i podlizywania

się królowej statystyce daje dupy, gdy trzeba rozliczyć dwie dziwki z wrocławskiego dworca.

To był jeden z tych momentów, w którym zaczynasz myśleć, kiedy ostatni raz widziałeś swojego dzieciaka nieśpiącego, kiedy rozmawiałeś z żoną, kiedy zjedliście wspólnie obiad. To jest cena, którą się płaci i którą warto płacić w imię dobrze działającego systemu. Ale gdy widzisz, jak twój szef w sprawie jak ta roztrwania ten kapitał na dziwki, masz dość.

My mieliśmy i ta sprawa siedzi nam cierniem w sercu. Jest symbolem tego, jak jako instytucja, jako obrońcy bezpieczeństwa obywateli potrafimy koncertowo dać dupy. I to w imię absolutnie, kurwa, niczego.

Nadszedł czas reformy całej policji. Pojawiła się komenda miejska, czyli kolejna jednostka nadzorująca, pośrednia między nami a wojewódzką, do której odeszli w ramach awansu Zwierzak i Tomaszek, zwany Cyberkotem. Wszystkich techników kryminalistycznych, do tej pory przy jednostkach, łatwo dostępnych, zebrano w jeden specjalny centralny wydział kryminalistyczny i z każdą sprawą ktoś od nich musiał do nas zapieprzać przez pół miasta.

Nas przenieśli do nowo zaadaptowanego budynku z dala od głównego gmachu, co było akurat fajne, bo były tam odświeżone pokoje, nowe meble i trochę sprzętu. Gorzej, że naczelnikiem kryminalnego został gość z zewnątrz imieniem Grześ, a jego zastępcą Bartek, również nie od nas, nieznający specyfiki terenu ani ludzi. Szkoda było Kaśki, ale ją rozumiałem, bo dostała konkretną propozycję i odeszła do innej jednostki, by zostać naczelniczką od niełatów.

Co mogę powiedzieć o Grześku i Bartku? Cóż, byli częścią nowej fali policyjnych przełożonych, co samo w sobie mogłoby nie brzmieć źle. Tyle tylko, że była to śmierdząca wilgocią nieuctwa i lizusostwa fala powodziowa, która stopniowo dokonywała w strukturach większych szkód niż wielka woda z dziewięćdziesiątego siódmego wyrządziła miastu.

I tu nawet nie chodziło o nepotyzm, a o poważny problem systemowy. Podporządkowani z jednej strony statystyce, z drugiej konkretnemu systemowi awansów, doczekaliśmy się sytuacji, w której dwa poziomy struktur, nadzorujące i w założeniu wspierające jednostki podstawowe,

w rzeczywistości pasożytowały na nich, podbierając wyłącznie sprawy rokujące na wykrycie, czyli też awanse. Rosnąca ciągle ku niebu wieża wysypywała się na fundamentach, bo ci, którzy wykonywali kluczową pracę, choć do niej byli pierwsi, w kolejce do premii byli ostatnimi. A gdy już ktoś to przetrzymał i pokazał, że jest naprawdę dobry, zamiast awansu w jednostkach podstawowych nagrodą było wyłowienie go z nich i przeniesienie wyżej. Przez to wszystko policja stawiała się coraz bardziej przepakowanym osiłkiem z siłowni, notorycznie zapominającym o dniu nóg.

U nas doszedł jeszcze jeden problem, bo nasi nowi przełożeni, ludzie z zewnątrz i tym samym niepewni swojej pozycji, widząc mocno zgraną i świetnie współpracującą sekcję, zamiast się cieszyć, że podbija statystyki, zaczęli upatrywać w niej zagrożenia dla swoich stanowisk i próbować różnymi sposobami podkopać nasze zgranie.

Nie udało im się to, ale wkurzało jak cholera.

Któregoś dnia robiliśmy z chłopakami ustalenia w terenie i wracaliśmy z nich do bazy pieszo. Godziny przedpołudniowe, spokój, o czymś tam sobie rozmawiamy, a tu nagle telefon od dyżurnego, że w bloku mieszkalnym koło naszej jednostki ujawniono zwłoki młodej kobiety. Znalazła ją siostra, będąca w posiadaniu kluczy do mieszkania, która zaniepokojona tym, że nikt nie odbiera jej telefonów, postanowiła sprawdzić, co się dzieje.

Nie mieliśmy daleko, więc udaliśmy się tam raz-dwa, ale nie weszliśmy do środka, bo nie było jeszcze ekipy dochodzeniowej. Był za to, jeszcze przed naszym pojawieniem się, lekarz z karetki pogotowia, który stwierdził zgon. Rozesłałem chłopaków po sąsiadach, a sam stanąłem pod drzwiami, pilnując, by nikt nie wchodził przed technikami. Gdy się zjawili, poszedłem na papierosa, dając im czas na wykonanie czynności, a potem zebrałem swoich, by dowiedzieć się, czy coś zebrali. Okazało się, że niespecjalnie.

W końcu, gdy wszystko już było obfotografowane, sfilmowane i zasypane proszkiem, mogliśmy wejść do środka i zobaczyć ofiarę.

Miała około dwudziestu czterech, pięciu lat, leżała nago, na plecach, z podkurczonymi, rozchyłonymi nogami, a wokół szyi owinięty był ciasno kabel od żelazka. Samo żelazko leżało tuż obok głowy dziewczyny. Innych obrażeń brak, więc pierwsza, najbardziej oczywista konkluzja: dziewczynę uduszono tym kablem i to była bezpośrednia przyczyna śmierci. Nagość sugerowała kontekst seksualny.

Mieszkanie było wynajmowane, a drzwi do niego

zamknięte na klucz, choć tego nie było w zamku - by dostać się do środka, siostra denatki użyła własnych. Ustaliliśmy też dane dziewczyny, a gdy dotarło do nas, że na imię ma Justyna, popatrzyliśmy na siebie wymownie. Nie, tej sprawy nie damy łatwo zamknąć.

Rozpoczęliśmy przeszukiwanie, a ja, znalazłszy notes z nazwiskami i numerami telefonów oraz rachunek za telefon i billing z ostatnich połączeń, wytypowałem sobie wszystkich, którzy jak uznałem, mieli z denatką najbliższe relacje.

W pierwszej kolejności zadzwoniłem nie do rodziców, a do koleżanki Justyny, Jolki. Ta po serii dociekań, co się właściwie stało - na które to pytania póki co nie zamierzałem odpowiadać - powiedziała, że na co dzień mieszka w Jeleniej Górze, ale była u Justyny niedawno przez kilka dni. Podobno gospodyni skarżyła się ostatnio na problemy z pracą i pilnie czegoś szukała. Miała nawet jakiś pomysł na biznes, ale tego Jolka nie chciała mi zdradzić, jeśli nie dowie się, o co właściwie chodzi.

Więc jej powiedziałem. Usłyszałem najpierw ciche „och”, a zaraz potem narastający odgłos przypominający szloch. Wiedziałem, że jeśli teraz jej nie powstrzymam przed wybuchem, mogę się już pożegnać z uzyskaniem od niej informacji, być może nawet w ogóle. Czasami jak się świadek zatnie, odblokować go to męczarnia.

Powiedziałem tonem stanowczym, acz wyrozumiałym, że rozumiem jej ból, ale jeszcze przez chwilę musi się trzymać, bo potrzebuję jej wiedzy, by złapać sprawcę. Pomogło i Jolka rozwinęła wcześniejszą wypowiedź, mówiąc, że Justyna zawierała ostatnio mnóstwo szemranych kontaktów, bo chciała wejść z jakimiś specjalnymi kosmetykami do agencji towarzyskich. Zdaniem Jolki to był tylko jeden z powodów zawierania tych

wszystkich nowych znajomości. Drugi był taki, że Justyna po prostu chciała zostać panienką, tyle że na możliwie najlepszych zasadach.

Podobno ściągała sobie facetów przez anonse w prasie, ale Jolka żadnego u niej nie widziała. Raz tylko podczas swojej wizyty usłyszała, jak Justyna umawia się z jakimś chłopakiem z numeru w gazecie, ale nie dopytywała i w zasadzie tylko tyle o temacie wie.

Poza tymi rewelacjami dowiedzieliśmy się jeszcze, że Justyna miała samochód i trzymała go na pobliskim strzeżonym parkingu na Braniborskiej. A ponieważ nigdzie w domu nie znaleźliśmy ani kluczyków, ani dokumentów, uznaliśmy, że jest możliwe, iż samochodem odjechał sprawca.

Wysłałem więc chłopaków na parking. Auta na nim nie było, ale parkingowy wykluczył w zasadzie możliwość, by Justyna zaparkowała gdzie indziej w pobliżu, bo nie miałyby to sensu. Jednocześnie nie wiedział, kto zabrał auto z parkingu, bo to nie była jego zmiana. Dał jednak namiar na kolegę, a chłopaki natychmiast zabrali się za ściągnięcie go na bazę.

Ja tymczasem wciąż siedziałem w mieszkaniu, gdzie wydarzyła się rzecz pozornie błaha, ale w rzeczywistości tak niesamowicie kuriozalna i skandaliczna, że aż na chwilę zaniemówiłem.

Na miejscu był już prorok, był też medyk sądowy, a w pewnym momencie zjawiała się też pani naczelniczka dochodzeniówki. Policjantka z długim stażem na służbie, szefująca procesowcom, człowiek więc myśli, że będzie wiedziała, jak się zachować w takim miejscu jak to. I rzeczywiście przez jakiś czas tak to właśnie wyglądało. Przeszła się po mieszkaniu, popatrzyła na oznaczone miejsca, przyjrzała się trwającym oględzinom ciała.

W końcu podeszła też do mnie i zapytała, jak nam idzie. Odpowiedziałem, że dobrze i że mamy ten notatnik, który zawiera szereg ciekawych nazwisk i może być bardzo przydatny.

Wskazałem ręką na leżącą na szafce książeczkę. Naczelniczka podeszła, przekartkowała. Ja zająłem się swoimi sprawami.

- No to się cieszę, że idzie - powiedziała w końcu. - To ja nie będę przeszkadzać.

To powiedziawszy, ruszyła w stronę drzwi, a mnie coś na szczęście podkusiło, by podnieść wzrok. I aż mnie замуrowało.

- Grażka, co ty właściwie robisz? - zapytałem szczerze zdziwiony, gdy już udało mi się odezwać.

Obejrzała się, niepewna, o czym mówię.

- Z notatnikiem. Co robisz? - Wskazałem na przedmiot, który trzymała w ręce.

- Biorę na komisariat, żeby przejrzeć - odpowiedziała jak gdyby nigdy nic.

Rozejrzałem się nerwowo, gotowy zniżyć głos do szeptu, ale było już za późno. Prorok usłyszał. I pewnie jeszcze tego samego dnia puścił to u siebie dalej jako anegdotę o tępym glinach. Uznałem, że nie ma co się bawić w subtelności.

- Czyś ty, kurwa, zwariowała?! - Podniosłem głos. - Trwają oględziny, a ty nieopisany przedmiot chcesz wynieść?! Bez uwzględnienia w protokole?!

Tyle dobrego, że się zawstydziła i odłożyła, ale i tak na samą myśl, że naczelniczka dochodzeniówki prawie odwaliła taki numer, aż mi się robi zimno. Bo ile razy coś takiego już miało miejsce i nikt tego w porę nie powstrzymał?

Procedowanie sprawy trwało dalej. Lekarz sądowy jako przyczynę zgonu wstępnie uznał uduszenie, dodał też, że

kobieta nie została zgwałcona. Wszystkich natomiast interesowało szczególnie narzędzie zbrodni, czyli kabel. Związany był w kilka zastanawiających, bo profesjonalnych, marynarskich splotów i węzłów. To mogło coś znaczyć, ale jeszcze nie przychodziło nam do głowy co.

Na razie atakowaliśmy więc to, co pewne. Z jednej strony poszukiwanie wozu na mieście, z drugiej weryfikowanie billingu z notesem. I tu niespodzianka, szczególnie dla Zwierzaka, który mnóstwo służbowego i prywatnego czasu poświęcił, by dorwać takiego Jurka, co wystawiał pedofilom małych chłopców, jak dotąd bezskutecznie. A teraz, wszystko na to wskazywało, pojawiła się szansa, że właśnie ten typ będzie w stanie nam pomóc lub przynajmniej rzucić nowe światło na sprawę, bo najwyraźniej albo dobrze się znał z ofiarą, albo był z jakiegoś powodu w jej szczególnym kręgu zainteresowań.

Tylko jak go tutaj dorwać? Facet ostatnimi czasy trochę się przyczaił i choć nadal prowadził swój biznes, na mieście było go mało. Tu jednak, aż zaskakujące, bo sprawa na razie za bardzo nie rokowała, przysłała nam z pomocą jedynka z wojewódzkiej. Wspólnie wymyśliliśmy prowokację i dogadaliśmy się z jednym z hoteli na Grabiszyńskiej, żeby nam wynajął pod nią pokój.

Pomysł był dość prosty. Kierownik wojewódzkiej jedynki, Edward, człowiek po czterdziestce, tęgi i spokojnej natury, nie miał specjalnie otrzaskanej medialnie gęby, za to w garniturze wyglądał na biznesmena ze średniej lub wyższej półki. Wymyśliliśmy mu delegację ze Śląska, poinstruowaliśmy o tym obsługę hotelu, na wypadek gdyby ktoś o to pytał, i rozlokowaliśmy załogi przy wszystkich wejściach. Ja z Edkiem udaliśmy się do pokoju 33. Edek zadzwonił.

- Dzień dobry - powiedział, gdy ktoś odebrał. - Jestem

z delegacją we Wrocławiu i chciałbym...

Rozmówca nie dał mu dokończyć.

- Chłopaka pan chce, tak? Się zrobi. Jaki wiek?

Edek spojrzał na mnie trochę zmieszany. Raz, że w ogóle rozmawianie o czymś takim sprawiało, że człowiek czuł się brudny. Bo czy on właśnie, nawet jeśli fałszywie, zamawiał sobie dziecko, małego chłopca na ruchanie? Druga sprawa, że wcześniej tego nie ustaliliśmy i choć to drobiazg, musiał improwizować.

- No nie wiem, młody - powiedział w końcu.

- Piętnaście lat. Może być?

Edek spojrzał na mnie. Skinąłem głową.

- Może.

- No to adres i do pół godziny będziemy.

Rozłączył się, a my patrzyliśmy na siebie w osłupieniu, że tak łatwo poszło. Byliśmy przygotowani na szereg dodatkowych pytań, na wyjaśnianie, skąd mamy numer i inne takie. A tu pach-pach i to wszystko.

Trzeba było Jurkowi przyznać, był punktualny. Dostaliśmy wiadomość, że idzie, prowadząc chłopaczka. Niedługo później rozległo się pukanie do drzwi. Edward polecił, żeby weszli, wsunął się najpierw dzieciak, potem Jurek. Ja byłem ukryty za drzwiami i ledwo te się zamknęły, skoczyłem na Jurka, krzycząc:

- Nie ruszaj się. Policja!

Mało na zawał nie zszedł. Pobladł, zaczął drzeć, aż się bałem, że naprawdę dostał jakiegoś ataku. Edward w tym czasie zajął się młodym, uspokajając go, ale i nie dając po prostu zwać. Ja skułem Jurka, obszukałem i zabrałem do bazy.

Już na miejscu atak paniki musiał mu przejść, bo zaczął cwaniaczyć. Zupełnie jakby nie przyprowadził nam przed chwilą dzieciaka na walenie, pytał, czego od niego chcemy,

i wmawiał nam, że jest przykładnym obywatelem z poważnymi znajomościami. Z tym ostatnim akurat nie kłamał, bo jeśli za znajomych uznać klientów, to obstawiony był od wrocławskiej palestry, przez wszystkie urzędy, po kurię. Zwierzak, który siedział w jego sprawie, mówił o takich ludziach, że czasem człowiek, przywykły przecież do skurwysyństwa, łapał się za łeb.

W końcu zresztą musieliśmy z tej Zwierzakowej sprawy skorzystać, bo nam się facet nie dawał złamać, cały czas mówiąc, jaki to on niewinny. Wypuściliśmy na niego Radka, a ten stanął nad nim i ze wściekłą determinacją, z pamięci, zaczął mu wymieniać wszystko, co wiedział na temat Jurka. A że było tego w cholere, w drobnostkach szczegółach, facet na powrót zrobił się błądy.

W końcu Zwierzak skończył, a ja pochyliłem się do przodu, patrząc Jurkowi w oczy.

- No to teraz już widzisz, mamy kogoś, kto wie o tobie więcej niż ty sam, i jeśli nie chcesz, byśmy z tego zrobili użytek i założyli ci sprawę, która ufajda cię w gównie po ten twój kaprawy ryj, lepiej daj nam informacje, których potrzebujemy.

Zaproponowałem facetowi układ: on mówi nam, o kogo z jego stajni dopytywała Justyna - o to bowiem, zakładaliśmy, chodziło - a my wypuszczamy go dzisiaj i Zwierzak nadal bawi się z nim w kotka i myszkę. W przeciwnym razie załatwiamy mu sprawę o wszystkich jego wybrykach plus bonus w postaci sprzedania w zakładzie karnym, za co siedzi. A nie sądzę, by w pierdlu pedofilski stręczyciel stał w hierarchii wyżej niż po prostu pedofil. Mogło natomiast być odwrotnie.

Jurek zastanawiał się tylko chwilę, a potem zaczął mówić, że jakieś trzy miesiące temu miał taką sprawę, dziewczyna szukała chłopaka bi. Miał takiego, ale już nie u siebie, bo

ten miał dziewiętnaście lat, więc był za stary do jego stajni. Mimo to postanowił ich ze sobą zderzyć, zadzwonił do chłopaka i powiedział, że ma dla niego klientkę, dziewczynę, a tamten się zgodził.

- Ma na imię Mateusz - powiedział i podał numer telefonu do chłopaka, a po naciskach również nazwisko i dokładny adres na Nowym Dworze. Wysłaliśmy tam ekipę, sprawdzając jednocześnie wraz z wojewódzkimi, co na owego Mateusza mamy.

Nie zgadzały się te trzy miesiące - zabójstwa dokonano wszak dobieg temu - ale uznaliśmy, że równie dobrze mogło potem dojść do szeregu kolejnych spotkań już bez wiedzy Jurka.

Dobę trwało, zanim zawinęliśmy chłopaka. W międzyczasie znaleźliśmy też auto Justyny, w innej części Wrocławia, wyraźnie opuszczone i nietykane od dłuższego czasu. Aresztowania dokonali Biały, Ogórek i Łobuz i zrobili to z hot dogami w rękach, bo akurat zgłodnieli i jeden z nich pobiegł po żarcie na stację. Pochwyconego zakuli, przeszukali, przywieźli do bazy mimo jego gorączkowych, wielce hałaśliwych protestów.

Wciąż jeszcze się rzucał, gdy do nas dotarł, więc ustawiłem mu na środku pokoju krzeselko, usiadłem naprzeciw niego i spokojnym głosem zacząłem z nim rozmawiać, nie odrywając wzroku od jego oczu i zmuszając go, by on również wpatrywał się w moje. Byłem przygotowany na długą walkę.

Mateusz oczywiście nie wiedział nic o żadnej Justynie. Nie miał pojęcia, czemu go trzymamy. I ciągle uciekał wzrokiem na boki, a ja raz po raz upominałem go, że ma patrzeć na mnie i tylko na mnie. A gdy to robił, wracałem do pytań o dziewczynę, o samochód, o telefon od Jurka.

Czułem, że mięknie. Zaczął wydzielać smród strachu, a na

tę woń, my, doświadczony psy, jesteśmy wyczuleni. Łbem kręcił już tak, że bałem się, że mu się coś poluzowało. Nadal jednak spokojnie, ale stanowczo nakazywałem raz po raz: patrz na mnie. A on wtedy patrzył.

I w pewnej chwili dostrzegłem, że to już, że to ten moment. Podbródek drgnął, może dostrzegłem też tik w oku albo lekko rozchylone usta. A może woń strachu była już tak intensywna, że wiedziałem, że to już. W każdym razie po raz pierwszy od niemal godziny odwróciłem wzrok i popatrzyłem po zgromadzonych wokół mnie chłopakach. Potem wstałem i poszedłem po coś do picia.

A oni skoczyli. Jeden przez drugiego zaczęli ujadać, kurwować, grozić, ale wciąż nikt go jeszcze nie dotykał. Widać było jednak, że z każdą chwilą Mateusz się kurczy, że próbuje nadażyć tym wzrokiem za każdym, kto na niego krzyczy, by wzorem tego, jak patrzył na mnie, patrzeć na każdego kolejnego policjanta. Tyle że krzykaczy było za dużo, więc nie miał szans utrzymać tempa, co totalnie go rozstroiło. Wreszcie Yogi z wojewódzkiej położył mu ręce na ramionach i szarpnął, krzycząc, że dość tego pierdolenia.

I ledwie go dotknął, chłopak wrzasnął i odchylił się tak gwałtownie, że mało nie spadł ze stołka.

- Będę mówił. Będę mówił - zawołał błagalnym tonem. - Powiem wszystko, ale temu panu. To z nim chcę rozmawiać.

Brodą wskazał na mnie, kiedy spokojnie stałem z kubkiem przy drzwiach. Skinąłem głową, że dobrze, i poprosiłem, żeby kto nie jest niezbędny, wyszedł z pokoju. Zrobiło się niemal kameralnie, a ja zająłem miejsce na swoim stołku, znowu skupiłem wzrok na jego oczach - on odruchowo zrobił to samo.

- Dobra, możemy porozmawiać - powiedziałem. - Ale

interesuje mnie tylko prawda, i to podana zwięźle. Jedno moje przypuszczenie, że kłamiesz, i wychodzę. A wtedy zajmie się tobą kto inny i pewnie zabierze cię od razu do prokuratora. I wtedy już tylko pucha i żadnych układów.

Kiwnął głową, że zrozumiał.

- Chodź, usiądziemy przy biurku - powiedziałem, wskazując mu miejsce. - Herbaty chcesz? Kawy? Papierosa może?

Zdziwił się bardzo i poprosił o herbatę i fajkę. Gdy je dostał, zaciągnął się dymem, zapił gorącą herbatą i zaczął mówić.

Rzeczywiście poznali się z Justyną przez Jurka. Poszedł do niej gotowy na seksację, ale ona chciała jedynie pogadać. Więc gadali. Dowiedział się od niej, że też pracowała w biznesie, w Poznaniu, ale od jakiegoś klienta złapała bakterię, która powodowała suchość narządów. Nie mogła się tego pozbyć, więc zaczęła tracić klientów. To dlatego przeniosła się do Wrocławia, wynajęła mieszkanie. Chciała pozostać w branży, ale nie jako dziwka, a jako dostawca jakichś suplementów. Zapytała, czy jej pomoże, on powiedział, że może, wymienili się kontaktami, a ona zapłaciła stawkę jak za numerka. Tyle.

Trzy miesiące później skontaktowała się znowu, tym razem bez pośrednika. Zapytał po co, ale była tajemnicza. Gdy się zjawił, otworzyła mu w samym zwiewnym szlafrocuku, od progu informując, że ma wielką ochotę na seks. Przystał na to, wszedł do domu i zaczęli się całować i rozbierać. Już naga Justyna położyła się przed nim z rozłożonymi nogami, ale nie był w stanie w nią wejść, bo mu nie stanął. Zaproponował, by przez chwilę spróbowali po hiszpańsku, i usiadł na niej okrakiem, wsuwając penisa między jej piersi, ale mimo takiej stymulacji i innych rzeczy, których dziewczyna spróbowała sama z siebie,

Mateusz pozostawał miękki.

Wtedy ona zaczęła się śmiać. Najpierw tylko trochę, ale gdy się zaczerwienił i lekko wycofał, zaczęła też szydzić, że pewnie już mu się przestawiło do końca i staje mu tylko, jak rżnie w dupę pedałów. Drwiła też, że co z niego za facet, który na widok cipki nie umie zareagować, jak należy.

Wtedy doskoczył do niej i zaczął ją dusić. Najpierw rękami, a gdy brakło mu siły, chwycił leżące nieopodal żelazko, sprawnie zawiązał węzeł na kablu i zarzucił dziewczynie pętlę. Potem już tylko zaciskał.

Gdy była martwa, zawiązał jej z domu kasę, trochę rzeczy i dokumenty od wozu, którym potem jeździł przez większość nocy. Gdzieś podczas tego jeżdżenia przyszło opamiętanie, że przecież może się gdzieś przypadkiem wysypać na tych skradzionych fantach, więc wrzucił je wszystkie do fosy, a auto zostawił daleko od domu.

Jak twierdził, nie przypuszczał, że sprawa kiedykolwiek do niego wróci, bo nie było świadków, że u niej był, a przecież nikt się nie dokopie do Jurka i nie połączy faktu z akcją sprzed trzech miesięcy. Czuł się bezpiecznie.

O tym, że Mateusz się przyznał, powiadomiłem naszego komendanta, a ten, mimo że była druga w nocy, zadzwonił do szefa prokuratury z wiadomością, że sprawca zatrzymany i się przyznaje. Ten postanowił kuć żelazo, póki gorące i tak koło czwartej rano kazano sprawcę doprowadzić do prokuratury, gdzie świeży, choć trochę niewyspany prorok zabrał się do stawiania zarzutów i przesłuchania. Było to miłe zaskoczenie, bo do tej pory tylko my siedzieliśmy tak po nocach i do bladego świtu.

To nie był dla nas jeszcze koniec działań. Musieliśmy połowić trochę w fosie, w miejscu, gdzie Mateusz wyrzucił rzeczy Justyny, potem uczestniczyliśmy w wizji lokalnej nadzorowanej przez prokuratora. Mateusz pokazał wtedy

wszystko, cały przebieg zajścia krok po kroku i wydawał się jakiś luźny, spokojny. Jakby zrzucił z siebie ciężar.

Jedna tylko rzecz, pamiętam, wywołała w nim prawdziwe emocje i grymas odrazy: gdy odpowiadał na pytanie o powód sięgnięcia po kabel. Wcześniej mówił o braku siły, teraz doszło coś jeszcze.

- Gdy tak zaciskałem ręce na jej szyi - powiedział - poczułem nagle narastające obrzydzenie, że jej w ogóle dotykam, że czuję jej skórę. To dlatego złapałem za kabel. By nie dotykać jej skóry.

III

58

W dwutysięcznym roku mój kolega z pierwszej jednostki, Zbyszek, ten, który jak obiecałem, miał do tej historii jeszcze wrócić, zaprosił mnie do siebie na komisariat na Rakowcu. To tam, przypominam, gdzie powódź uczyniła wielkie straty i skąd woda przyszła do nas, na Stare Miasto.

Spotkanie miało mieć charakter towarzyski, ot, kilka kielichów w gliniarskim gronie, ale ledwie tam zawitałem, wydało mi się podejrzane, że z zewnątrz jestem tylko ja. Pozostałymi uczestnikami nasiadówki byli kolejno: naczelnik prewencji, naczelnik dochodzeniówki i jeden z jego kierowników. Uznałem, że to dziwne, więc zapytałem, co ja tu robię. Zbyszek się uśmiechnął i powiedział, że ściągnął mnie tutaj, bo potrzebuje u siebie dobrego, sprawdzonego naczelnika kryminalnego i ja bym się nadawał. Uważał, a pozostali uczestnicy spotkania gorąco go w tym popierali, że zasłużyłem na taki awans, a tu u niego będę mógł działać, jak trzeba, bo on wie, jak jest, i nie będzie się wpieprzał.

Tyle że ja nie chciałem awansu. Długo pracowałem na swoją sekcję, na to, by działała tak, jak działa, i by osiągać takie wyniki. Było mi dobrze na terenie, który znałem, gdzie wiedziałem, do kogo z czym uderzać, i co najmniej od czasu powodzi znałem dosłownie każdy kąt. Tu szedłbym na zupełnie nowe i czułbym się, jakbym zaczynał od zera. Nie miałem na to ochoty i wyraźnie kilkakrotnie to zakomunikowałem. W końcu Zbyszek machnął ręką,

powiedział trudno i polał jeszcze raz.

Nazajutrz, jak co dzień, stawilem się do roboty i zabralismy się do swoich rzeczy. Chłopakom nawet nie mówiłem o rozmowie, bo i w sumie nie było o czym. Robilismy sprawę za sprawą, czas był wyjątkowo pracowity, ale też wiele przypadków udało nam się wtedy rozwiązać. Po kilku tygodniach zdążyłem już nawet zapomnieć o tamtym spotkaniu, ale wtedy wezwał mnie do siebie komendant miejski.

Okazało się, że w tej samej sprawie, co wcześniej Zbyszek. Tym razem nie było wódeczki ani towarzystwa przyklaskującego każdemu zdaniu gospodarza, poza tym jednak rozmowa wyglądała w zasadzie tak samo. Nasłuchałem się komplementów, jaki to jestem dobry, jak wprowadzę tam ład i porządek i nauczę młodych, jak być dobrymi psami. Było to wszystko miłe, jasna sprawa, ale denerwowała mnie konieczność powtarzania w kółko tego samego. Nie chciałem się ruszać ze Starówki, czułem się dobrze tam, gdzie byłem, i uważałem, że właśnie tam będę wykonywał swoją robotę najskuteczniej.

Ostatecznie nie doszliśmy do porozumienia. Wróciłem do siebie, ale tym razem uznałem, że skoro sprawa otarła się o miejskiego, trzeba będzie chłopakom powiedzieć. Wkurzyli się bardzo, zaczęli mówić wręcz o sabotowaniu sekcji i właściwie wszyscy zadeklarowali, że jak ja odejdę, to oni to pieprzą i zgłaszają o przeniesienia. Chciałem ich wtedy uspokoić, mówiąc, że na razie nigdzie się nie wybieram, ale już wiedziałem, że skoro Zbyszek jest tak zdeterminowany, żeby wbrew mojej woli pchać sprawę przez miejskiego, będzie to już tylko kwestia czasu.

I nie pomyliłem się. Dwa dni później dostałem rozkaz oddelegowania mnie na Rakowiec, do jednostki Zbyszka z powierzeniem mi obowiązków naczelnika wydziału

kryminalnego. I tego już nie mogłem odmówić.

Swoją drogą, warto tu zaznaczyć, że ta nagminna praktyka w zhierarchizowanej strukturze policyjnej bardzo często służyła też pozyskiwaniu oszczędności. Oddelegowanie wiąże się bowiem z utrzymaniem tych samych zarobków przy jednoczesnej zmianie zakresu obowiązków na inne, w założeniu lepiej płatne. A ponieważ osoba oddelegowana faktycznie nie zwalniała etatu, na którym była zatrudniona, do pełnienia jej obowiązków delegowało się kogoś z jeszcze niższego szczebla i tak dalej. Ostatecznie każdy pracował wtedy za mniej, generując oszczędności dla firmy kosztem walonych po rogach gliniarzy.

Na wieść o moim odejściu z jednostki w sekcji zapanowało zamieszanie i zaczęły się podejmowane ad hoc, gorączkowe, nerwowe decyzje. Niemal wszyscy potwierdzili wcześniejsze deklaracje, że beze mnie się stąd zmywają i że chuja, jak góra tak chce, niech sobie zabójstwa i rozboje robi na Starówce sama.

Próbowałem ich przekonywać, że beze mnie nadal są zespołem, że są świetnie zgrani i że wystarczy trzymać raz obrany kurs, robić swoje i nie unosić się, bo firma, choć często nierozgarnięta i gównie wiedząca o zarządzaniu, potrafi być mściwa, a oni przecież mają na utrzymaniu rodziny.

Mogłem sobie jednak mówić. Znałem ich przecież i wiedziałem, że jak się zawezmą i na coś uprą, nie ma zmiłuj. Nieważne, czy to determinacja przy sprawie, czy przy trzymaniu się głupio decyzji o dokończeniu za miejskiego dzieła ostatecznego rozpieprzenia naszej sekcji. Dlatego w pewnym momencie stwierdziłem, że zrobią, jak uważają, ja muszę się iść spakować i następnego dnia

zameldować na Rakowcu.

Kilka tygodni później Śpioch, Miętus, Ogórek i Student poszli razem w mundury do prewencji, a reszta, z wyjątkiem dwóch czy trzech osób, uzyskała przeniesienia każdy w inną stronę. Zespół poszedł w drzazgi, ot tak, w wyniku jednej głupiej decyzji, zwykłego widzimisię kogoś, komu pagony i funkcja zapewniły wystarczającą moc sprawczą. Nowa sekcja pierwsza na Starówce – co mówię ze smutkiem, choć i cieniem złośliwej satysfakcji – nigdy nawet nie zbliżyła się sprawnością, wykrywalnością i zgraniem do naszej.

Następnego dnia pojechałem do pracy nieco dalej niż dotychczas, na całkowicie obcy mi teren – osławiony wrocławski Trójkąt Bermudzki. Dobrze, że chociaż komisariat znajdował się przy jednej z głównych ulic mojego nowego rejonu, bo inaczej mógłbym się pogubić już pierwszego dnia.

Wszedłem do budynku i już od progu warknięciem przywitał mnie dyżurny, chcący wiedzieć, dokąd idę i właściwie po co. Sięgnąłem do portfela i zamachałem mu szmatą, jak zwykliśmy nazywać legitymację.

- Do komendanta. Robię tu od dzisiaj – wyjaśniłem, na co dyżurny spotulniał i wcisnął przycisk zwalniający zamek w wielkich metalowych drzwiach, tylko na pozór solidnych, a w rzeczywistości trzymających się na słowo honoru.

Przeszedłem przez nie, a wtedy uderzył mnie w nozdrza zatęchły smród z piwnic. Od powodzi, która zalała komisariat do pierwszego piętra, nie odnowiono tego miejsca porządnie, co dawało się dostrzec na każdym kroku – w popękanej farbie olejnej na ścianach, pęknięciach, zadrapaniach, zamalowanym grzybie i właśnie smrodzie.

Cóż, pomyślałem. Oto twoja nowa jednostka, chłopie.

Zbyszek powitał mnie w swoim gabinecie i przedstawił swojemu następcy. Przywitałem się grzecznie z nimi dwoma, starając się nie dać po sobie poznać żalu, że tu jestem. Uznałem, że w końcu to zrobię, ale był jeszcze na to czas. Raczej się nie zanosilo, bym miał być tu krótko.

Zbyszek zapoznał mnie z ustępującym naczelnikiem Waldkiem, a następnie oprowadził po wszystkich pokojach i przedstawił pracującym policjantom. Nie było ich dużo, bo wszystkie zajęte pokoje znajdowały się na trzecim piętrze, w najlepszym stanie ze wszystkich, co nie znaczy, że dobrym. Czy choćby przyzwoitym. Wszystko się rozlatywało, wyblakła wykładzina rozłaziła się pod stopami, a jedyna toaleta miała niedomykające się drzwi zamykane na haczyk, jak wiejski wychodek. Do tego dochodziły jeszcze drewniane, napęczniałe wilgocią i wypaczone ramy okien, przez które wciskał się wiatr ze złowieszczym gwizdem. Wszystko to było samo w sobie ponure, a w połączeniu z moim świeżym wspomnieniem miejsca, z którego przyszedłem, stawało się wręcz depresyjnie przygnębiające. Zrobiło mi się zimno na samą myśl o przetrwaniu tu choćby jednej zimy.

Okazało się, że z mojego przejścia najbardziej poza Zbyszkim cieszył się Grzesiu, ten sam, który kiedyś wykorzystał znajomość ze Śpiochem, by dostać się do nas, do kryminalnego, w pierwszej mojej jednostce, a potem za moim poleceniem trafił tu. Przywitawszy się ze mną, powiedział, że już od kilku dni wiedzieli, że przyjdę, i że to świetnie, bo zarówno on, jak i większość policjantów z wydziału jest z aktualnym naczelnikiem Waldkiem w konflikcie.

Trochę więc jakby sytuacja analogiczna do tej, którą miałem na Starym Mieście, tu jednak na myśl o czekającym mnie wyzwaniu nie czułem ekscytacji, tylko znużenie.

Rejon był naprawdę trudny, musiałem się go nauczyć, a jednocześnie zmontować z siedemnastu osób dobrze działającą drużynę. Nie byłem pewien, czy się uda, ale oczywiście nie zamierzałem odpuszczać.

Ten wydział kryminalny, warto wspomnieć, zajmował się pełnym przekrojem przestępczości, to jest: życie i zdrowie, mienie, samochody, przestępczość gospodarcza, poszukiwania. Tu też był podział na sekcje, a każda z nich siedziała w swoim pokoju.

Moje nowe biuro wydzielono gipsową ścianką z dużego, przestronnego pokoju - w którym tym samym sposobem wyczarowano jeszcze dwa dodatkowe pomieszczenia - i było tak niewielkie, że mieściły się w nim tylko biurko, krzesło i metalowa szafa, a ja już swoją obecnością robiłem ścisk i tłok. Z wymienionych mebli w najgorszym stanie było biurko, bałem się, że runie od rzucenia na nie papierowej teczki.

Ale nic, trzeba się było w takich warunkach brać do pracy.

Przez kolejne dwa albo trzy dni Waldek przekazywał mi kwity jawne i niejawne, potem broń policjantów trzymaną w tej małej szafie i... w zasadzie tyle. Ledwie skończył z ostatnimi papierami, pożegnał się i sobie poszedł. A ja zacząłem działać.

Przynajmniej ludzi miałem, jak się okazało, dobrych, tyle że niedocenionych i ze stłamszonymi ambicjami, które trzeba było na nowo rozbudzić. Na to akurat rokowania miałem niezłe, bo Zbyszek dość szybko dał się poznać jako ten z szefów, który nie wpięprza się w nie swoją robotę, tylko zleca zadania. Jak zostaną wykonane? Moja sprawa. Byle były.

Tak zacząłem nowy rozdział swojego zawodowego życia.

Niby mieszkam w tym mieście całe życie, ale dopiero poznawanie nowego terenu uzmysłowiło mi, jaka przepaść rozwojowa i ekonomiczna dzieli czasem jedną przecnicę od drugiej. Do tej pory wydawało mi się niewyobrażalne, by na progu nowego tysiąclecia ktokolwiek we Wrocławiu mógł jeszcze żyć w warunkach powojennych – sypiące się z tynku bramy, rozpadające klatki schodowe ze zbutwiałyymi schodami, wspólne toalety na korytarzach. Inny świat, w którym nasza psia rola, sądząc po częstotliwości występowania skrótowca HWDP na ścianach, sprowadzać się miała do funkcji seksualnych obiektów. Choć kto wie, może pisał to ktoś taki jak ja? Ktoś, kto stając okoniem wobec swojego środowiska, uznał, że Hce Wstąpić Do Policji? Tego miałem się dopiero stopniowo dowiadywać. Na razie wdrażałem się w obowiązki.

Gdy przyszedłem do roboty, kierownikiem jednej z sekcji, pełniącym jednocześnie obowiązki zastępcy naczelnika, był młody komisarz Roman. W zasadzie dość naturalnie powinien on objąć funkcję naczelnika i trochę się na to nastawiał, ale Zbyszek uznał, że jest jeszcze za wcześnie, bo brak mu odpowiedniego doświadczenia. Roman miał na ten temat inne zdanie i niedługo po moim przyjsciu załatwił sobie robotę w innej jednostce, do której przeszedł z awansem.

Tak powstał wakat na stanowisku zastępcy, a jeśli mój kumpel Grzesio miał do czegoś lepszy nos niż do swej roboty – a był w niej dobry – to właśnie do wyłapywania okazji. Słowo daję, gdyby dać mu więcej czasu, tymi swoimi sposobami objąłby jako szef szefów komendę główną!

Tymczasem jednak przyszedł do mnie z prośbą, bym zrobił go swoim drugim, a ja na to przystałem. Nie tylko dlatego, że się znaliśmy, ale przede wszystkim wiedziałem, że to dobry glina, ma dobre rozpoznanie, którego mi, przynajmniej w tym rejonie, brakowało, i sporo porządnie przeprowadzonych realizacji. Nadal specjalizował się w samochodach i włamach, ale tu, na Rakowcu, mimo teoretycznego podziału na sekcje, wszyscy robili wszystko. Zgodziłem się więc i tak Grzesio został moim zastępcą.

Zacząłem poznawać ludzi.

Sekcja poszukiwań wydawała się bardzo zgrana. Początkowo składała się z dwóch policjantów, Rafała zajmującego się listami gończymi i Julka, czyli Beczułki, który swoją ksywkę zawdzięczał wydatnemu brzuszysku. Julek był życzliwy i uczynny, a oprócz tego bardzo dobrze sprawdzał się w swojej robocie, to jest w poszukiwaniu osób zaginionych.

Z racji tej specjalizacji do jego obowiązków należało uczestniczenie w sekcji każdego ujawnionego człowieka, którego dane były nieznane. Przywoził z nich zwykle worki dowodowe zawierające przedmioty osobiste, odzież czy próbki z ciała do badań biologicznych. A że zdarzały się w tych workach i kości, a on trzymał je po kilka dni w pokoju, nikt nie chciał do Beczułki wchodzić, bo waliło trupem.

Rafał wkrótce odszedł, ale jeszcze kiedy był, do sekcji dołączył nowy policyjny nabytek - Monika. Atrakcyjna dziewczyna, rezolutna, nad wypełnianie kwitów, którego szczerze nienawidziła, przedkładała pracę w terenie - przypadła jej do gustu. Powędrowała do poszukiwań, bo czasem do akcji poszukiwawczych potrzebna była akurat dziewczyna.

Jedynka tu, jak i wszędzie, stanowiła bardzo ważną sekcję i obstawiono ją całkiem niezłe, choć widziałem duże pole do pracy dla menedżera, bo zgranie kulało. Skład jedynki na Rakowcu otwierał Wojtek, zwany Mietkiem, dobry glina, ale straszny indywidualista, drący przy tym ryj za każdym razem, gdy coś się działo nie po jego myśli. Drugim asem rozboju i zabójstw był Krystian, czyli Trzcina, również fachura, ale przy tym straszny jajcarz i jeszcze większy picer. Gość o sprawie obrabiania altanek przez żuli opowiadał tak, jakby rozpracowywał właśnie mafię sycylijską czy neapolitańską Gomorrę. Każdą jego historyjkę, nieważne na jaki temat, należało przepuścić przez sito i najlepiej z miejsca wyrzucić połowę jako bzdury. Trzecim w sekcji był Andrzej, zwany Billem. Gdy przyszedłem, robił akurat szkołę oficerską, ale wkrótce wrócił. Nie posiedział jednak bardzo długo, przeszedł do miejskiej i zastąpił go Jacek, zwany Kusim. Specjalizację tego ambitnego, zrównoważonego i spokojnego zwykle gliny stanowili kibole. Był to ważny temat, szczególnie dla naszych przełożonych, bo każda solidniejsza kibicowska zadyma okazywała się jak huragan - siała spustoszenie w terenie i niektórym wyrывała spod dup stołki.

Był jeszcze Paweł, ale on robił u nas bardzo krótko, bo męczył się przy kwitach, za to, jak się okazało, doskonale sprawdził się u czarnych w KAT.

Samochód robiła swoje, a prym wiódł w niej Medard, Medzik, którego fachowość i doświadczenie mogły iść w szranki wyłącznie z chorobliwą wręcz niechęcią do jakiegokolwiek roboty.

W dwójce działali Grzesiek, czyli Jankes, Wojtek zwany Sową, oraz Waldek, czyli Kaczka. Był też z nimi pegowiec Jurek, który co prawda ksywki się nie dorobił, ale w pamięć wrył się dość dobrze. Kiedyś podczas nalotu na targowisko,

gdzie oficjalnie można było kupić kotka czy pieska, a nieoficjalnie też mnóstwo zwierzątek, którymi handel w Polsce był zakazany, Jurek zgubił... sto maleńkich żółwików. Nalot prowadził mój zastępca Grzesiu i gdy ujawnili handlarza sprzedającego gady, polecił właśnie Jurkowi, by zabezpieczył towar, a oni jeszcze się przejdą i złapią, co jest do złapania. No i jak po kwadransie wrócili, pegowiec był, a żółwików nie było. Nasz kolega nie potrafił powiedzieć, co się stało.

- Żebyśmy się, kurwa, dobrze zrozumieli, Jurek. - Grzesiu bezskutecznie próbował zachować spokój. - Chcesz powiedzieć, że w piętnaście minut spierdoliła ci setka małych żółwi? Kurwa, żółwi?! Czy ty w ogóle słyszysz, jak to brzmi?

Jurek słyszał. Ale za cholere nie potrafił wyjaśnić sytuacji.

Tak mniej więcej wyglądał zastany przeze mnie wydział. Wkrótce dołączył jeszcze Jacek zwany Jolą, który - trzeba mu przyznać - zrobił wrażenie już na wejściu. Przed wszystkim wyglądał trochę jak Rom, bo ubrany był kolorowo i obwieszony błyskotkami, trochę jak miastowy - z łańcuchem na szyi i sposobem bycia, a trochę, mimo wszystko, przypominał stylem eleganckiego chłopca szykującego się na odpust.

Okazało się, że jest też muzykiem i dorabia sobie na imprezach i weselach. Któregoś dnia przyniósł mi nagranie, napisany, skomponowany i wyśpiewany przez niego samego pean na moją cześć, którym, co tu dużo ukrywać, trochę mnie kupił. Jola był z nami jakiś czas, do emerytury, na którą poszedł szybko, a potem już całkiem oddał się karierze muzycznej. Podobno grał na weselu najważniejszego miastowego w regionie i potem często w gangsterskich klubach nad morzem. Cóż, w pewnym sensie raz w temacie, na zawsze w temacie.

Wciąż było mi szkoda mojej sekcji starówkowej, ale z dnia na dzień i tu szło coraz lepiej. Zespół się zgrywał, czuł, że dostał swobodę i zaufanie i reagował na to oddaniem i solidnością. Grzesiu pomagał mi tam, gdzie była potrzebna znajomość tematu, a ja pokazywałem, że zależy mi na ekipie i warunkach ich pracy, zebrząc po wszelkich potencjalnych sponsorach a to o nowe meble, a to o remont toalety. Szło jak krew z nosa, ale konsekwentnie wprowadzaliśmy zmiany i robiliśmy z komisariatu coś na kształt instytucji państwowej.

Firma się nie interesowała, miała inne wydatki. Jak choćby regularne remonty wojewódzkiej, które zdawały się wchodzić jeden w drugi i przez to nigdy nie kończyć.

Powiedzieć, że nowy teren był specyficzny, to nic nie powiedzieć. Szczególnie było to widoczne w poniedziałki, czyli ustalony dzień, w którym komendant przyjmował interesantów. Co tam się wtedy działo!

Regularnie, co tydzień, przychodziła na przykład pani domagająca się wszczęcia postępowania w sprawie sąsiadów, którzy jej zdaniem zawłaszczyli ponemiecki skarb ukryty w ścianie dzielącej ich mieszkania. Jak twierdziła, robiąc remont, odkryła w tejże ścianie pustą wnękę, a że jej zdaniem od strony sąsiadów dziura była załatana, ani chybi wyjęli skarb i go zabrali, nie dzieląc się. Oczywiście wszelkie próby racjonalnej rozmowy spełzały na niczym, więc dla świętego spokoju raz w tygodniu szedł do niej dzielnicowy.

Inna pani, pod pięćdziesiątkę, skarżyła się na sąsiada inżyniera, który według niej skonstruował urządzenie emitujące pobudzające seksualnie fale i uruchamia ów wynalazek w sobotę. Ona jest na te fale podatna i przez to

w niedzielę jest tak seksualnie wyeksploatowana, że nie może chodzić. Z przeprowadzonych ustaleń wynikało, że sąsiad rzeczywiście jest inżynierem, pani się w nim kocha i go pożąda, i próbuje wszelkimi sposobami przekonać do siebie. Nawet policją. To też długo była jedna ze stałych bywalczyń, aż w końcu Zbyszek nie wytrzymał i powiedział jej, że sprawa jest za duża jak na zwykły posterunek i trzeba by z tym do UOP-u. Myślał, że to zamknie temat, ale nie, bo kobieta tam poszła i zażądała rozmowy z szefem. A że ten znał się ze Zbyszkiem, a kobieta wysypała się, kto jej polecił takie rozwiązanie, zadzwonił później z pretensjami.

- Ciebie już do reszty pojebało? Kogo mi tu przysyłasz? Co mam z nią zrobić, przeruchać?!

- Tego akurat pani ma aż nadto - odparł nasz komendant.

- Nie słyszałeś? Co niedzielę czuje się, jakby przeleciała ją drużyna piłkarska.

Ostatecznie w zamknięciu sprawy kobieciny pomógł nam jakiś nawalony typ, który po pijaku spadł z dachu domu, w którym baba mieszkała. Zbyszek zasugerował, że to ona go na ten dach wpuściła i będzie trzeba wszcząć śledztwo, a ona więcej się już u nas nie pojawiła.

Z tym właśnie walczyliśmy najczęściej. Z paranoją lub urojeniami, z delirką i demencją starczą. Ale choć czasem się wkurzaliśmy, czasem śmialiśmy, jak było zgłoszenie - działaliśmy. Skoro obywatel ma takie właśnie problemy, trzeba im było zaradzić.

W tym czasie, na początku nowej służby, moje kontakty i źródła wciąż były silne, więc nieustannie na polecenie wojewódzkiej pozyskiwałem i przekazywałem wiadomości na temat miastowych. Moje informacje były dobre i rokujące, ale co z tego, skoro grzęzły gdzieś, nie

przekładając się na żadne porządne realizacje. Wkrótce zresztą okazało się dlaczego. Gliniarz zajmujący się tematem, ten zresztą, który zawsze najusilniej zachęcał mnie, bym szukał więcej i kopał głębiej, bo moje cynki są takie dobre, został aresztowany za współpracę z miastowymi. Okazało się, że cokolwiek bym podesłał, robiło natychmiastowe kóleczek i trafiało do tych, których próbowałem wystawić. Nic dziwnego, że miastowi nie czuli się moimi rewelacjami zagrożeni. W zasadzie w żadnej chwili nie byli.

Między innymi ta sprawa, ale też fakt, że z nowym miejscem zatrudnienia miałem z czasem coraz słabsze dojścia, sprawiły, że przestała mnie tak bardzo zajmować przestępczość zorganizowana. Miałem swoją robotę i na niej zamierzałem się skupić.

Jak masz psa do pilnowania wyjątkowo trudnego rejonu, albo olewasz wykonywanie obowiązków, albo liczysz się z tym, że będzie się czasem zachowywał jak groźne zwierzę. Jeden z dzielnicowych po pijaku spuścił łomot facetowi w barze, bo próbował mu coś wyjaśnić, a tamten go przedrzeźniał. Dopiero starając się załagodzić tę sprawę z poszkodowanym - na dzielnicowego Stasia wpłynęła skarga, groziła mu dyscyplinarka - dowiedzieliśmy się, że tamten go nie przedrzeźniał, tylko próbował zrozumieć, bo był... Holendrem.

Innym razem przyszedłem na służbę inspekcyjną w niedzielę i mało nie zastrzeliłem Rafała z poszukiwaczy, bo byłem przekonany, że ktoś się włamał i buszuje w kwitach. Okazało się, że nie, że to mój człowiek posuwa na kanapie jakąś laskę. Powiedziałem mu wtedy, że gównu mnie obchodzi, kogo stuka, ale nie może tego robić w pomieszczeniach służbowych. Udał, że rozumie, i powiedział, że więcej tego nie robi, a ja udałem, że mu uwierzyłem.

Wreszcie chyba najlepszy numer odwalili mi wydziałowi w dużym składzie. Robiliśmy jakąś integrację, ale kulturalnie i bez patologii, a więc zakończoną dość wcześnie. Mnie i kilku innym wystarczyło, ale ekipa w składzie Mietek, Sowa, Trzcina, Jankes, Monia i Rafał wyraźnie mieli większe potrzeby, które zaspokoić mogło tylko miasto. Tak trafili do dyskoteki Quinn, w której nagle jedno z nich - dziś sami nie wiedzą które - wdało się w przepychankę z kimś przy barze. A że wydziałowi byli zespołem, szybko okazało się, że zaczynasz z jednym,

zadzieras z wszystkim. Tyle że druga strona miała tak samo. Zaczęły się przepychanki, najpierw słowne, potem dosłowne, wreszcie ktoś rzucił, że tu nie ma miejsca i lepiej przed lokal.

Wyszły oba składy, za nimi masa kibiców, a że ekipy były zawzięte i żadna się w tańcu nie pierdoliła, szybko polała się krew i nastąpiły poważniejsze obrażenia. I wtedy, jakoś mimochodem, wyszło, że ci z przeciwka są psami. Walka natychmiast zamarła.

- Ale jak to, kurwa, psami? - ryknął bodaj Jankes. - Z której jednostki?

Tak wyszło, że dwa wydziały kryminalne urządziły sobie na parkingu dyskoteki regularną, krwawą bójkę ku uciesze gawiedzi. Cóż, przynajmniej ci, co tyle narzekają, że płacą na nas ze swoich podatków, dostali wreszcie za te pieniądze coś, na co mogli popatrzeć. Na pewno wyszło ich taniej niż dowolna gala sportów walki.

Sprawa doszła do komendanta i do mnie wyłącznie dlatego, że po pierwsze, widzieliśmy ich obrażenia, które w oczywisty sposób wywołały pytania, a po drugie, w wyniku rozróby trzech tamtych wzięto po akcji chorobowe i ich szef zaczął drążyć. Skończyło się jednak na umoralniających pogadankach i kontrolowanym opierdolu, który naszych oczywiście pouczył, ale też nie odebrał satysfakcji. Wszyscy nasi stali bowiem, po tamtej trzech zległo. To o czymś mówi i coś znaczy.

Hardość i waleczność naszej psiarni przydawała się bardzo, bo Trójkąt Bermudzki nie otrzymał swej nazwy dzięki zamięłowaniu mieszkańców do kolorowych wakacyjnych spodenek. Po prostu jeśli ktoś chciał wzbudzić strach i posłuch wśród ludzi stamtąd, zahartowanych w codziennej udręce, musiał być wyjątkowo bezwzględny skurwysynem wykorzystującym każdą słabość oponenta.

I owszem, bywało tak, że naszą pozorną słabością było prawo wiążące nam ręce, ale to, jak wiele razy mówiłem, czyniło nas tymi dobrymi. Nie widziałem też sensu w tym, by dla jednego czy dwóch wyników warto było robić coś, co raz, że napsuje w papierach, a dwa – siądzie w głowie.

Fakt faktem, że choć wydawało mi się, że nic mnie już nie zaskoczy, na nowym rejonie widziałem rzeczy, których totalnie się nie spodziewałem zobaczyć.

Ot, choćby taka sprawa. Ktoś buchnął dwa wozy na mieście i trzymał je na naszym terenie. Dom z zabudowaniami gospodarczymi, trochę na uboczu, obok wałów przeciwpowodziowych, niby w mieście, a jakby na wsi, więc dobre miejsce na kryjówkę. Przyczailiśmy się, choć zima wtedy dawała białym na wszystkie strony jak kokainowy baron na szesnastce syna i było cholernie zimno. Ale nic, taka robota.

Siedzimy więc poukrywani, a tu nagle z chaty wytacza się chyba gospodarz, chwiejnym krokiem przez śnieg idzie do szopy i tam, nie kłopotząc się zamykaniem za sobą drzwi, opuszcza spodnie i zaczyna... jebać kozę. Byliśmy w takim szoku, że zdążył skończyć, zanim się otrząsnęliśmy.

Swoją drogą, auta faktycznie były u gościa na warsztacie, jedno całe, drugie już w częściach, więc go zawinęliśmy, żeby pogadać. Tematem głównym była paserka, ale jakoś ciężko nam było, cholera, na niej właśnie się skupić.

Jeśli kogoś przy okazji ciekawi, jak na początku nowego tysiąclecia miały się imprezy na posterunkach, powiem, że zależy gdzie. Nie wszędzie były takie możliwości, tu i tam kontrole przychodziły częściej, a i nowi szefowie nie znajdowali zrozumienia dla naszych potrzeb.

Ja byłem z tej starej gwardii, która przymykała oko na wódeczkę, ale i pilnowała, by oprócz roboty ludzie

znajdowali też w firmie chwilę wytchnienia. Ot, na przykład gdy kupiłem sobie nowy telewizor, ten stary, zdezelowany, ale kolorowy, przyniosłem do roboty. Postawiłem u samochodziarzy na metalowej szafie i był dla wszystkich do przerw przy kawie czy ciastkach. Któregoś dnia o ten telewizor właśnie poszło.

Wszedłem kiedyś do roboty, zrobiłem u siebie poranną kawę nad papierami i przeszedłem do samochodziarzy, gdzie odbywały się nasze odprawy. Jeszcze zanim wszedłem, zaskoczyła mnie cisza. Zwykle był gwar, a tu nic, nawet szeptów. Pomyślałem, że może ich nie ma, ale wszedłem, a oni wszyscy siedzą i patrzą na mnie.

Rozejrzałem się, wszędzie leżały śmieci. Na stole rower przytwierdzony na sztywno do dwóch zestawionych ze sobą biurerek, a pod szafą jakaś podejrzanie wyglądająca drewniano-metalowo-szklana kupka. Stosik znaczy. Zidentyfikowałem w nim, jak się identyfikuje wyjątkowo zmasakrowane zwłoki, swój telewizor marki Telefunken.

- Co się stało? - zapytałem. Ale cisza w odpowiedzi zasugerowała mi, że pytanie było zbyt ogólne. Spróbowałem więc precyzyjniej: - Co ten rower robi na biurku?

Ale i na to nikt mi nie mógł odpowiedzieć. Zamiast więc drażnić, wzruszyłem ramionami i poinformowałem ich, że skoro nie chcą powiedzieć mnie, to mamy inspektorat i on, jako policja w policji, raz-dwa dowie się szczegółów, których chętnie posłucham.

Moi wiedzieli, że to blef, bo nie miałem takich rzeczy w zwyczaju, ale i tak po kwadransie z kawałkiem zjawilo się u mnie czterech skruszonych z Grześkiem na czele.

- Weź nigdzie nie dzwoń - powiedział mój zastępca. - Przyznajemy się, zrobiliśmy wczoraj małą wódeczkę, trochę się nam rozrosła i narozrabialiśmy. Zaraz sprzątniemy.

Spojrzałem na nich, na te mordy wpół do skacowania, za piętnaście do otrzeźwienia, i pokręciłem głową.

- Ja, kurwa, wszystko rozumiem, ale rower? Skąd on się tam wziął?

- Chyba jest przyklejony - zauważył któryś.

- Jak przyklejony, sam się przykleił?

Okazało się, że żaden nie wiedział.

- A telewizor?

- Spadł z szafy.

- I tak się rozbił w drobny mak?! - Nie dowierzałem.

- Bo szafa spadła na niego.

- Nadal nie powinien tak...

- Ze trzy albo pięć razy.

- Że co? Przecież w dziesięciu byście jej nie podnieśli! - rzuciłem, na co dwie z tych sponiewieranych gęb uśmiechnęły się smutno, uzmysławiając mi, że wciąż nie znam ich wszystkich dość dobrze.

Sprawa rozeszła się po kościach, a wszyscy chlejący rzucili się i kupili w lombardzie nowy telewizor. Ja wygłosiłem pogadankę, przestrzegłem przed następną taką akcją, a oni powiedzieli, że rozumieją. Sprawy toczyły się niby po staremu, ale ja nadal byłem wściekły. Przede wszystkim o takie przegięcie, a ponadto, że tak się przede mną kryli. Zdecydowanie nie traktowali mnie, jakbym był jednym z nich.

Akcje z chlaniem rzeczywiście przycichły i tylko sporadycznie dochodziło do mnie, że coś się działo. A to wybili dziurę w drzwiach, gdy świętowali odejście Billa, a to poszła fama, jak mój zastępca podczas ogniska wydziałowego zakładał się po pijaku, że przepłynie wiosenną, pełną jeszcze kry Odrę z jednego brzegu na drugi. Szumieli, bo musieli, ale z czasem to przycichło i wieści o podobnych ekscesach dopływały do mnie coraz

rzadziej.

Coraz lepiej natomiast zgrywaliśmy się jako wydział. Sekcje generalnie skupiały się na swoich specjalizacjach, pomagając jednak innym na prośbę - czyli tak jak powinno być. Kiedyś robiliśmy wspólnie robotę dla dwójki, czyli rozpracowanie serii włamań, które zaczęły się od zoologicznego. Ta pierwsza akcja była zrobiona metodą na strop, polegającą na wejściu do piwnicy i wyłamaniu lewarem stropu, dzięki czemu przez dziurę w podłodze włamywacze dostawali się do środka. Potem włamywacze szli już niemal noc w noc i każdorazowo ginęły fajki, alkohole, słodycze. Odpaleni kapusie poszli w miasto i przynieśli dość zaskakujące nowiny. Naszą bandą włamywaczy okazały się trzy typki w wieku... jedenastu i dwunastu lat. Wszyscy z rodzin patologicznych, robili część dla siebie, ale większość dla starych. Rozpracowywanej sprawie nadaliśmy kryptonim „Mała Yakuza” i ostatecznie udowodniliśmy smarkom dwadzieścia włamów, z czego oczywiście nic sobie nie robili, bo prawo mówi jasno, że kto nie ma trzynastu lat, nie popełnia przestępstwa. Ledwie nas opuszczali, zamieszanie robiło się na nowo, bo trzaskali kolejne miejsca, a my próbowaliśmy ich powstrzymywać w miarę możliwości. Nie mogliśmy ich nieustannie obstawiać, bo brakowało nam ludzi, a takich jak oni mieliśmy mnóstwo. Na Trójkacie była masa patologii, a wyręczanie się dziećmi w podobnych procederach zdarzało się nagminnie.

Szef tej naszej Małej Yakuzy, Adaś, był skądinąd bardzo rezolutnym, niezwykle sympatycznym chłopcem. Uśmiechał się, złapany współpracował i opowiadał nam co, gdzie i z czym, z entuzjazmem, jaki miałby zwyczajny dzieciak streszczający wyjątkowo interesujący dzień w szkole. Czuł się u nas swobodnie, bo przecież wracał regularnie, poznał

nas wszystkich przez te lata, my też byliśmy dla niego mili i z każdą wizytą go ostrzegaliśmy, że jest coraz starszy, że sąd nie będzie w przyszłości tak pobłażliwy. Ale ani nasze gadki, ani ośrodki wychowawcze, które w końcu zaliczył, nie pomogły. Gdy już raz poszedł do pierdła, wracał tam regularnie jak do nas.

Kiedyś pokusiłem się o przeliczenie, ile smarkateria trzasnęła u nas włamów, i wyszło mi, że około trzystu. Trzeba im było przyznać, szczyłom - wiele razy ratowali nas przed królową statystyką.

Mówiąc poważnie, było nam ich po ludzku szkoda. Myśleliśmy wiele razy o tym, na kogo wyrosłyby te maluchy, gdyby dano im jakąś szansę, stworzono możliwości, pokazano alternatywy wobec tego, co uskuteczniłi zwykle pijani starzy. Może mając wybór, choć część z nich zdecydowałaby się na pójsie inną drogą i wyrwanie z zakłętego kręgu?

Snuliśmy takie rozważania, aż któregoś dnia zrodził się w mojej głowie pomysł na zorganizowanie dwutygodniowych wakacji poza domem dla tych wszystkich dzieciaków, które jeszcze nigdy nie wyjeżdżały. Zło może się brać ze złego przykładu, ale dojrzewa w nudzie i beznadziei tych samych zniszczonych podwórek, dnia ciągnącego się od świtu do nocy w identyczny, pozbawiający wszelkich złudzeń sposób. To, czego im wszystkim było trzeba - no, może oprócz rozpoczęcia gry w życie jeszcze raz, przy innym rozdaniu kart - to wyrwania się z marazmu i spędzenia przynajmniej części czasu wolnego od szkoły w sposób atrakcyjny i konstruktywny.

Poszedłem z tym pomysłem do Zbyszka. Ten, najpierw przeciwny, po namyśle uznał, że to może i niegłupie.

Wyraził co prawda wątpliwość, czy uda mi się zgromadzić na to fundusze - o żadnym płaceniu czy choćby współpłaceniu ze strony rodziców dzieciaków nie mogło być przecież mowy - ale dał mi wolną rękę i obiecał pomóc, jeśli coś będzie w jego gestii.

Z jego zgodą poszedłem na żebrzy i po którejś z kolei rozmowie, przekonywaniu o zaletach inicjatywy, o tym, ile może zrobić dobrego dla tych maluchów, a jednocześnie dla wizerunku policji, wyębniłem od skarbnika finansowanie pobytu na obozie - to jest wyżywienia i spania - dla osiemdziesiątki dzieciaków. Mając to, co najważniejsze, wyprosiłem u jednej z firm przewozowych autokary, a potem u szeregu sponsorów pieniądze na profesjonalnych opiekunów. Tak się w tym dziadowaniu rozpedziłem, że dostałem jeszcze dodatkowo nagrody na obozowe konkursy i szkolne uposażenie dla wszystkich dzieciaków, by miały coś, gdy już wrócą do domów.

Po zapewnieniu podstaw zająłem się uzgadnianiem programu. Ważne było, żeby niezbędne pogadanki równoważyć zabawami i atrakcjami, które zainteresują dzieci, zaangażują je i przy okazji pokażą nas w innym świetle, niż zwykli przedstawiać ich rodzice. Kilka miesięcy szykowania, aż w końcu całość zyskała konkretny termin i nazwę: Letnia Akademia Policyjna.

Problemy zaczęły się już w dniu wyjazdu. Przy usadzaniu dzieciarni w autokarach zorientowaliśmy się, że nie ma kilkorga z nich. Szybka akcja radiowozami do domów i okazało się, że nabombieni rodzice zapomnieli o temacie. Pakowaliśmy więc maluchy w małe plecaczki, w radiowozy i do nas. Ruszyliśmy.

Reszta kłopotów wysypała się na miejscu. W każdej chwili wychodziły kwestie, których albo nie przewidzieliśmy, albo nawet wzięte zawczasu pod uwagę przerażały skalą

problemu. Dzieciaki nie miały w co się ubrać, czym umyć, regularnie moczyły łóżka, opychały się jedzeniem w sposób niewyobrażalny, podkradając je z kuchni, gdy nikt nie patrzył, a potem odchorowywały to w łóżkach. Ale jednocześnie chłonęły wiedzę i angażowały się w program. Z początku nieufnie, bywało też, że ulegały podwórkowym prowodyrom, robiąc głupoty, ale z czasem wykazywały się coraz większą karnością, entuzjazmem i otwarciem na wiedzę. Gdy wracały do domów, roześmiane, obładowane prezentami, pełne historii, które potem niosły się po podwórkach, wiedzieliśmy, że było warto. Oczywiście nie łudziliśmy się, że długofalowe skutki będą jakieś spektakularne, ale cieszyła nas każda zmiana. A jeśli organizowanie takich akcji regularnie miałoby pomóc choć jednemu z nich wyjść na dobrą drogę, to warto się starać. Warto robić kolejne edycje.

W następnym roku przyłożyłem się organizacyjnie jeszcze bardziej, a sponsorzy, zachęceni powodzeniem pierwszej Akademii, dali jeszcze więcej i na obóz pojechało już sto dwadzieścioro dzieciaków. Potem akcją zainteresowały się media i zaczęły chwalić pomysł i cenną inicjatywę. Oczywiście nie mnie jako pomysłodawcę i organizatora, tylko Zbyszka. Załapał się ponoć zresztą na jakąś nagrodę od gazety za taką szlachetność i nawet się nie zająknął, że jedyne, co zrobił przez te lata, to nie stawał okoniem. Wypomniałem mu to kiedyś, ale tak się zmieszał i zaczął kręcić z odpowiedzią, że dałem mu spokój. Bo choć oczywiście takie zawłaszczenie pomysłu trochę uwierało, ale dostałem prezent z pierwszej edycji, który był dla mnie wystarczającą gratyfikacją za całą tę robotę. Odręcznie zrobioną laurkę, na której widniało osiemdziesiąt podpisów.

Oczywiście niektóre spośród tych dzieciaków zawitały

u nas w końcu jako klienci. Wpływ środowiska był silniejszy, a nawet najlepsze dwa tygodnie nie mogły im wyrównać pozostałych pięćdziesięciu. Z prawdziwą dumą i radością stwierdzam jednak, że to były pojedyncze przypadki. Nie wiem, jak nasi podopieczni poradzi sobie ostatecznie życiowo, ale choć oczywiście żaden nie miał taryfy ulgowej, u nas na dechach pojawiła się ich tylko garstka.

Tymczasem w policji źle się działo. Prewencjusze będący w łasce królowej statystyki parli na stołki i zdobywali ich coraz więcej. Na znaczeniu zyskiwali dzielnicowi, mimo że w zasadzie nie łapali przestępców. Wydział kryminalny natomiast przestał być jakimkolwiek wyznacznikiem prestiżu, a stawał się coraz bardziej zapchajdziurą dla kolejnych inicjatyw wymyślanych, by poprawić policyjny wizerunek czy też windować cudze słupki.

Sypała się też, podkopywana zwłaszcza przez nowych dowódców z politycznego klucza, policyjna zawodowa solidarność. Nagle liczyło się nie to, jakim jesteś psem i jak się sprawdzasz w robocie, ale za kim jesteś, na kogo głosujesz i któremu z polityków się podlizujesz. Ktoś powie, że tak było zawsze? Nie, nigdy na taką skalę. W którymś momencie te gierki zaczęły się toczyć wokół naszego komendanta Zbyszka. Były one o tyle niesmaczne, że nie mogąc go ruszyć zawodowo, bo bardzo dobrze sobie radził, próbowano go podkopać poprzez sprawy osobiste, i to w sposób tak nieładny i uporczywy, że w końcu Zbyszek odpuścił i w stopniu podpułkownika przeszedł na emeryturę. Cóż, przynajmniej nie odbyło się to w coraz powszechniejszej formie powiadamiania o odwołaniu ze stanowiska... esemesem. Tak, nawet zasłużeni policjanci z wieloletnim stażem mieli okazję w taki sposób dowiadywać się o zmianie swojego statusu. Nawet gówniarze zrywający z wakacyjną miłością wiedzą, że takie załatwienie sprawy to szczyt żenady. Ale nasi nowi przełożeni byli najwyraźniej nienależycie wykształceni także na tym polu.

Naturalną kolejną rzeczą Zbyszka zastąpić powinien Adam, jego dotychczasowy zastępca, ale tu czekała nas niespodzianka, będąca zresztą jedną z pierwszych jaskółek nadchodzących zmian. Na miejsce komendanta do naszej placówki ściągnięto jakiegoś faceta z małego miasteczka na drugim krańcu Polski. A ponieważ częścią naszej pracy jest pozyskiwanie informacji z wszelkich dostępnych źródeł, zanim nowy szef się zjawił, wiedzieliśmy już, że był on wykładowcą w jednej ze szkół policyjnych, z której musiał odejść w trybie niezwłocznym, w atmosferze skandalu. Podobno molestował tam słuchaczki i gdy sprawa wyszła na jaw, ktoś ze znajomych musiał mu szybko uratować tyłek, uciekając się do użycia metody powszechnie stosowanej przez biskupów wobec pedofilów w sutannach - jak najdalej od miejsca zdarzenia i nikomu ani słowa, może fama nie pójdzie.

Tyle że poszła. A oprócz tego bardzo szybko wyszło, że nasz nowy komendant to człowiek skrajnie wręcz niekompetentny. Nie tylko nie znał się na swojej robocie, ale też nie zamierzał się jej uczyć, bo wystarczyło mu informowanie nas, kogo to on nie zna i jak może nas załatwić jednym pstryknięciem. Bo przecież jego dobry kumpel, komendant główny, nie odmówiłby mu takiej drobnej przysługi jak pozbycie się jakiegoś tam kundla z Wrocławia.

Na komendzie zapanowały też zupełnie nowe zwyczaje. Kiedyś normą było, że naczelnicy mieli łatwy dostęp do komendanta, zjawiali się w razie pilnych potrzeb i uderzali wprost do niego. Gdy raz próbowałem to zrobić za nowego szefa, sekretarka podniosła larum, że teraz trzeba się anonsować, że ona najpierw musi zadzwonić, poczekać na odpowiedź. Patrząc na nią jak na stukniętą i mówię, że dzielą nas od komendanta drzwi, a to naprawdę pilna

sprawa. Ale nie, mam czekać. Zadzwoiła, komendant zajęty. Postąpiłem więc dwie minuty i poszedłem sobie, a decyzję podjąłem sam. Zresztą mogłem to zrobić od początku, bo jeśli nie było czegoś na piśmie, nie miało znaczenia, czy się z nim coś uzgodniło czy nie. Jak nie wyszło, tylko ty byłeś winien, bo on zapomniał, że z tobą rozmawiał. Jak wyszło, to nawet jeśli coś działo się wbrew jego woli, i tak szedł pierwszy po laury.

Tak było zresztą z Letnią Akademią, gdy najpierw poszedłem do niego, by mu opowiedzieć o akcji, a on stwierdził, że absolutnie nie będziemy robić takich rzeczy, bo - tu cytat - „nie jesteśmy agencją turystyczną”. Oczywiście go zlałem, akcja doszła do skutku, a były to już czasy, gdy temat rokrocznie podejmowały media, więc kiedy się udało, kto wbił się w mundur i brylował w telewizji? Siedział i tokował, jaka to byłaby szkoda zaprzepaszczając taką inicjatywę, ile trzeba było wysiłku i inne brednie... Tymczasem największym wysiłkiem było powstrzymanie bęcwała od szkodzenia!

To zresztą z czasem stało się moim priorytetowym zadaniem w pracy. Stanować bufor między moimi ludźmi a komendantem, tak by przynajmniej oni mogli wykonywać swoją pracę w spokoju. Z tym, że ja do domu już raczej spokojny wracać nie będę, powoli się godziłem.

Z czasem po jednostce zaczął nam regularnie łązić jakiś cywil. Początkowo tylko nam migał, ale z każdą kolejną wizytą czuł się coraz swobodniej - zaglądał do pokoi, zagadywał policjantów. Gdy dyżurny raz zrobił mu jakieś problemy, dostał takie zjeby od komendanta, że reszta się nauczyła - typ jest nietykalny.

Facet był jakimś biznesmenem i coś tam na boku kręcił z naszym szefem. Któregoś razu przychodził do

komendanta, anonsuję się, jak na nowe wymogi przystało, a tu nagle widzę, a z biura szefa wychodzi... kelner. Niesie jakieś tace, patery, wszystko na cateringowy wózek. Sekretarki na moje nieme pytanie, co tu się odwała, pokręciły tylko głowami.

- Komendant ma imieniny - powiedziała jedna. - Rotacyjnie przyjmuje gości, a ten ich obsługuje.

Absolutnym szczytem był jednak nie catering w biurze, a kolacyjki na mieście. Fundowane przez kolegę biznesmena, miały miejsce w wykwintnych lokalach, a zapraszonym na nie koleżankom policjantkom nasz komendant nakazywał, by były miłe dla jego kolegi! Moja dobra znajoma funkcjonariuszka powiedziała, że gdy to usłyszała, zamurowało ją i do dziś ma do siebie żal, że mu wtedy po prostu nie dała w pysk.

Inną ciekawą opowieść przynieśli chłopaki z prewencji - o tym, jak komendant wpakował im na patrol do wozu swojego piętnastoletniego syna z fałszywą blachą i zabawkową spluwą, żeby sobie młody wziął udział w paru interwencjach i zobaczył, jakie to fajne i ekscytujące. Myślałem, że to żart, ale nie. Nie była to też jednorazowa akcja, bo młodemu spodobało się interweniowanie na tyle, że w pewnym momencie jeździł regularnie, ciągle z nowymi załogami.

Potem temat smarka wypłynął jeszcze raz. Akurat byłem na urlopie, a gdy z niego wróciłem, tematem numer jeden stała się przeprowadzka szefa, do której komendant zagonił prewencję i kilku kryminalnych, by mu w połowych mundurach nosili meble na ósme piętro. Bez windy, bo nie działała, i z tym małym gnojkiem, mówiącym im, co i gdzie mają nosić. Że tam nie doszło do jakiegoś wybuchu, do dziś się dziwię.

Żonie komendanta chłopaki wozili radiowozem na

kogutach kanapki do pociągu, a gdy komendant jechał do siebie, na drugi koniec kraju, na weekend, zabierał kogoś, kto mu nosił bagaże.

Myliłby się jednak ten, kto by powiedział, że nasz komendant nic nie robił. On działał wręcz nieustannie: na imprezach, rautach, spotkaniach z ważnymi osobistościami. Cały czas budował sobie pozycję i kontakty, aż w końcu udało mu się wspiąć w górę, do jednostki nadrzędnej. Z jednej strony krew nas zalewała, że ktoś taki awansuje, z drugiej odetchnęliśmy z ulgą, bo przynajmniej u nas miało szansę trochę znormalnieć.

Po odejściu gwiazdora komendantem został Adam, zastępca poprzedniego. Uważaliśmy, że to dobrze, bo znaliśmy go, wiedzieliśmy, jak się z nim pracuje, i mieliśmy go za porządnego faceta i dobrego glinę. On też wiedział, czego nam trzeba, a czego nie, i nie wpięprzał się w robotę, gdy nie musiał, tylko robił swoje.

Jego zastępca, bo na tym miejscu zrobił się wakat, miał zostać wyłoniony w drodze konkursu, który jednak okazał się zwykłą farsą i fikcją, bo czas był taki, że na stanowisko nie miał szans nikt, kto nie był klasycznym BMW, czyli Biernym, Miernym, ale Wiernym. Gdy więc dowiedzieliśmy się, że do nas na zastępcę przyjdzie jakaś babka, plecak miejskiego, szybko zrobiliśmy wywiad, z kim mamy do czynienia.

Kobieta pochodziła z wioski koło Wrocławia. Krótco zajmowała się niełatami w jednym z komisariatów, a później, już podczepiona pod komendanta, poszła najpierw do powiatu, a teraz do nas. Jak niosły wieści, podobno, choć drobna, była w stanie przepić niejednego chłopca. Tyle plotek.

Gdy przyszała, faktycznie drobna babeczka w stopniu

podkomisarza, pod swoją opiekę dostała co prawda prewencję, ale nie jest tak, że da się to do końca tak podzielić. Chcąc się wykazać, a może po prostu przyczepić, zaczęła mieszać się w robotę operacyjną i sterować wszystkim ręcznie, jakby się na tym znała. Do tego szefowa, Zosia, bo tak jej było na imię, miała paskudny charakter. Jej zwyczajem było czepianie się poszczególnych osób i tak długie ich nękanie, aż uznawała, że mają dość. A wtedy nawet zasłużeni gliniarze decydowali się przejść na emerytury albo szukać miejsca w innych jednostkach. Doszło do tego, że gdy już widzieliśmy, że kogoś bierze na ząb, w zasadzie w myślach zaczynaliśmy się z tym kimś żegnać. Jej funkcja sprawiała, że nie szanowała nikogo i niczego.

Celowo nie wspominałem do tej pory o swoich poszczególnych awansach, ale tu trzeba wskazać, że w chwili, gdy Zofia pojawiła się u nas, byłem w stopniu majora, podczas gdy ona była podporucznikiem. Zwykle sugerowało to młodszemu stopniem przynajmniej formę odnoszenia się do bardziej doświadczonego kolegi. Dla niej jednak ani stopnie, ani staż, ani nawet fakt, że zaległego urlopu miałem więcej niż ona doświadczenia zawodowego, nie miały najmniejszego znaczenia. To ona była szefową i ona rozdawała wszystkie karty, jednocześnie wymyślając na poczekaniu zasady gry.

Znosiliśmy ją cierpliwie, powtarzając sobie, że przetrzymamy, jak przetrzymaliśmy tamtego bęcwała komendanta, ale w sercu pojawiała się coraz wyraźniejsza obawa, że wobec kierunku, w jakim to wszystko zmierzało, w przyszłości mogło wcale nie być lepiej.

I rzeczywiście, lepiej nie było, bo na komisariatach zaczęły wracać stare czasy. Gdzieś na górze ktoś zaczął

ciąć koszty w najgłupszy możliwy sposób - na zaopatrzeniu jednostek podstawowych. Brakowało więc papieru, długopisów, mydła w łazience. Doszło do tego, że robiliśmy rzutki na środki czystości, by panie sprzątające nie myły podłóg samą wodą.

Z braku benzyny, a potem i sprawnych wozów realizacje musieliśmy robić pieszo albo zapisywać się w kolejce na dwa dostępne auta, by móc wykonać zadanie. To samo w sobie byłoby złe, ale stało się jeszcze gorsze, gdy zwiększono nam rejon, i to o kawał przestrzeni, bo o komisariat, któremu podlegały tereny wiejskie kończące się dziesięć kilometrów przed Oławą.

Jakby tego było mało, od normalnej roboty odciągały nas co i rusz akcje, którymi przełożeni chcieli błysnąć przed opinią publiczną. „Znicz”, „Bezpieczna droga do szkoły”, „Bezpieczne wakacje”, „Bezpieczne ferie”, akcje dotyczące włamań, kradzieży samochodów i kupa innych. Było tego tyle, że nie nadążaliśmy ze spamiętywaniem nazw, a co dopiero szczegółów każdej z nich. Trzeba było jednak brać w nich udział i się pokazać. Kosztem normalnej roboty.

A potem gruchnęło. Mniej więcej po roku ze względu na stan zdrowia komendant Adam zdecydował się na przejście na emeryturę. I się zaczęło!

- Oczywiście jest, panie naczelniku, że w zaistniałych okolicznościach to pan, z racji stażu, doświadczenia i umiejętności, zostanie nowym komendantem - powiedziała do mnie zastępczyni Zofia, przechodząc do sedna zagajonej niby przypadkiem rozmowy. I mówiła te słowa z takim głębokim przekonaniem, że gdybym nie wiedział, co się dzieje, może nawet na chwilę bym się na te jej minki nabrał.

Ja jednak, doświadczony w gromadzeniu informacji,

wiedziałem, że na długo, zanim się u mnie pojawiła, Zofia już rozpoczęła kampanię na rzecz przejścia stanowiska. Wszystkie jej kontakty w wojewódzkiej i miejskiej poszły w ruch, trwało zbieranie danych na mój temat, szukanie haków czy wręcz ich wymyślanie, z założeniem, że przecież takie oskarżenie nie musi się utrzymać długo. Wystarczy do ustanowienia nowego komendanta, wtedy cel zostanie osiągnięty.

Jak na ironię, ani mi było w głowie startować na komendanta. Nie miałem najmniejszej ochoty rezygnować z psiej roboty na rzecz tego nieudolnego politykierstwa, podgryzania się nawzajem, drżenia o stołek i wymyślania akcji dla poprawy wizerunku. Od jakiegoś czasu polityczne mianowania sprawiły, że z nielicznymi wyjątkami, im wyżej w strukturach, tym głupiej, mniej kompetentnie, za to bezczelniej i z większą pogardą dla podwładnych. Wizja uczestniczenia w jednej z tych już legendarnych odpraw, w trakcie których miejski darł się na kierowników jednostek, wyzywając ich od tępych chujów i durni, ot tak, bez większego powodu, napawała mnie obrzydzeniem.

Gdy powiedziałem Zofii, że nie zamierzam się ubiegać o stanowisko, ta potrząsnęła głową z udawanym przejęciem.

- Ależ przecież to nie może być nikt inny, panie naczelniku! No bo kto?

- Jest mi to obojętne - odparłem. - Zależy mi tylko na mojej robocie.

To było kłamstwo, bo oczywiście wcale nie było mi obojętne. Nie chciałem, żeby stało się niemal nieuniknione, czyli żeby to ona została komendantką. Cała ta rozmowa była próbą odwrócenia uwagi od jej działań i knowań i pozornie dyskretne wywiady na temat planów jej największego konkurenta. Widziałem po oczach, że mi nie

wierzy, i nastawiałem się na to, że będzie mnie uważnie obserwować, jednocześnie nie ustępując w wysiłkach, by zebrać na mnie możliwie największy arsenał.

Gdy w końcu - a jakże - została komendantką, łaskawie zaproponowała mi stanowisko jej zastępcy. Odmówiłem, bo u nas zastępca zajmował się prewencją, a mnie to nie interesowało, a ponadto nie ufałem babie za grosz. Powiedziałem, że chcę zostać tu, gdzie jestem, a ona przystała na to, choć wyraźnie była wściekła, że jej odmawiam. I jeśli do tej pory nie byłem jeszcze jej wrogiem, właśnie się nim ostatecznie stałem.

W ramach ciekawostki dodam, że w ciągu kolejnych dwóch lat bez specjalnie spektakularnych osiągnięć i wbrew wszelkim regulaminom pani podporucznik Zofia została komisarzem, a następnie nadkomisarzem, czyli kapitanem. Potrzebowała jeszcze dwóch lat, by zrównać się ze mną i zostać majorem. Równość i równiejszość. Jak u Orwella.

Tymczasem na ulicy pojawiły się dopalacze. Kurewstwo straszliwe, eksperymentalne substancje chemiczne dystrybuowane w punktach ksero bez kserokopiarek i sklepach z pamiątkami bez pamiątek, zmieniające swój skład właściwie dwa dni po tym, jak któryś środek został wpisany na listę zakazanych. Nieprzewidywalne w działaniu, wywołujące poważne zatrucia i powodujące ogromne spustoszenia w organizmach, były, w przeciwieństwie do narkotyków, oficjalnie dostępne, a ich dystrybutorzy karani jedynie mandatami służb sanitarnych. My, mimo ogromnej presji społecznej, a tym samym presji przełożonych, długo nie mogliśmy z nimi zrobić w zasadzie niczego, bo do tego potrzebny byłby ktoś z prokuratury, kto ma jaja.

Na szczęście prokurator Maciek, z którym pracowałem w poprzedniej jednostce, właśnie wtedy przeszedł do naszej prokuratury i znowu działaliśmy na tym samym terenie. Ja wtedy od jakiegoś czasu zbierałem już tematy, mówiąc moim chłopakom, by przy rozliczaniu każdego ćpuna dowiadywać się, czy zażywał dopalacze, a jeśli tak, gdzie je kupował i czy w wyniku ich zażycia wylądował w szpitalu. Ponadto docieraliśmy do tych, którzy nie byli naszymi klientami, ale na sto procent zaliczyli zatrucie i szpitalne leżakowanie. Tych pytaliśmy przede wszystkim, gdzie ten syf kupili. Już z górką takich kwitów - wszystkie jednoznacznie wskazywały na pewien dość pustawy lombard w okolicy - poszedłem do prokuratora Maćka z zapytaniem, czy wchodzi z nami w temat. Podstawą do sprawy karnej miał być artykuł Kodeksu karnego dotyczący

narażenia zdrowia i życia wielu osób, dobrze mu znany.

Widziałem, jak porusza nozdrzami i jak błyskają mu oczy. Był jak pies, tylko innej rasy. Pies myśliwski, który zwęszył krew.

- Wchodzę w to - powiedział.

I niedługo potem, pewnego popołudnia pod lombardem stała się, w celu zrobienia realizacji wieńczącej kawał pracy operacyjnej, dziarska ekipa w składzie: ja, Sowa, dwóch niegdysiejszych prewencjuszy - Piotrek i Marcin, oraz Tomek. Ten ostatni trafił do nas z miejskiej w wyniku konfliktu z tamtejszym naczelnikiem i wstawiennictwa Sowy. Był tak gruby, że gdy któregoś razu miał dostać medal, udawał, że jest chory, bo nie był w stanie wcisnąć się w żaden znaleziony dla niego mundur, obowiązkowy podczas takich uroczystości. Swoją drogą, ta sprawa należała właśnie do Tomka, który szykował pod realizację nieomal gotowca w przerwach między drzemkami, zmuszając przy okazji wszystkich kolegów z sekcji, by robili za niego kwity, bo sam nienawidził pisać.

Weszliśmy do środka, a tam szyba z otworem, drzwi do gościa zamknięte, zamki, że ani rusz. Założyliśmy oczywiście, że jak tylko damy się gościowi ruszyć, spróbuje się pozbyć syfu, więc od razu podszedłem do tego okienka, przystawiłem szmatę i powiedziałem:

- Nawet nie drgnij bez polecenia, bo będą kłopoty.

Chłopak zamarł.

- A teraz powoli wstań i otwórz do siebie drzwi.

Wstał i otworzył. Dopiero gdy weszliśmy i powiedziałem, że ma nam wydać wszystkie pudełka z dopalaczami, zaczął się stawiać. Robił to niemal automatycznie, wyuczonymi formułkami - od razu było widać, że ktoś go instruował, jak gadać z psami. Na jedno pytanie jednak przygotowany nie był.

- Skoro to lombard, dlaczego nic tu nie ma? - chciałem wiedzieć, a on się na chwilę zamknął. Wtedy przeszukaliśmy ladę i szafki i od razu znaleźliśmy kilka opakowań syfu.

Wziąłem do ręki jedno i pomachałem nim.

- Jest coś jeszcze w lokalu?

- Nie ma - odparł chłopak. - Ja nawet nie wiem, co to jest ani skąd się wzięło.

- Aha. - Skinąłem głową i kontynuowaliśmy, w obszar poszukiwań włączając i jego samego. Po kieszeniach miał poupychane kilka sztuk, w butach kolejne.

Ja tymczasem zacząłem czytać, co napisano na opakowaniu. A tam, że to substancja do likwidowania wilgoci w komputerze.

- Jak to działa? - zapytałem.

Na to był przygotowany.

- No, trzeba wysypać do komputera i to wchłonie wilgoć.

Spojrzałem na niego zdziwiony.

- Naprawdę? Wsypałbyś to do komputera? - zapytałem, a ponieważ nie odpowiedział, kontynuowałem: - A w butach? Czemu trzymałeś to w butach?

- Bo mi się nogi pocą, to, żeby wilgoć...

- Ale przecież nawet nie rozpakowałeś. Jak to ma zadziałać, przez opakowanie?

Umilkł, ale ja już nie potrzebowałem z nim gadać, bo chłopaki ujawnili ukrytą wnękę w ścianie, a w niej ze dwieście opakowań. Wtedy chłopak zaczął mięknać, mówiąc, że szef coś przywozi, ale on tam nie wie, bo tylko tu pracuje.

Zarekwirowaliśmy towar, zawinęliśmy chłopaka - a potem i jego brata, który też handlował, tyle że w innym punkcie - a prokurator Maciek oddał syf do analizy i wyszło, że zawiera narkotyki znajdujące się na liście środków

zabronionych. Dobry początek, ale jeszcze nie sukces. Do tego trzeba było powołanej przez proroka grupy specjalistów jako biegłych, którym co prawda praca zajęła kilka miesięcy, ale ostatecznie wydali opinię, że środki zawarte w dopalaczach zagrażają życiu i zdrowiu osób, które je zażywają.

Trochę to wszystko trwało, ale w końcu Maciek, jako odważny, zdeterminowany prokurator, zmontował solidny akt oskarżenia za handel narkotykami i narażanie życia i zdrowia wielu osób. W międzyczasie nam udało się znaleźć szefa tego bałaganu, który do tej pory gdzieś nam umykał, i jemu też, nie tylko jego chłoptasiom, przedstawiono te zarzuty. Temat wyszedł, a choć sprawa sama w sobie nie była wielka, przełamała zakłęty dopalaczowy krąg. Prokurator krajowy na podstawie naszego postępowania i Maćkowego aktu oskarżenia opracował zalecenia dla wszystkich prokuratur w całym kraju, a Maciek złapał swoje pięć minut, jeżdżąc po kraju i zapoznając prokuratorów ze specyfiką walki z dopalaczami.

Przy okazji był jedynym człowiekiem, który podziękował nam za nasze zaangażowanie w sprawę. Co więcej, wysłał oficjalne podziękowanie na ręce wojewódzkiego, miejskiego i naszej komendant. Dwa pierwsze pozostały bez odpowiedzi, a gdy zapytałem Zofię o trzeci, powiedziała, że tak, otrzymała list, ale właściwie jeszcze nie wie, co ma z nim zrobić, więc na razie jest w szufladzie. I tam pozostał.

W tym miejscu warto nadmienić, że nadszedł czas, gdy uznałem, że już nie chcę organizować integracyjnych wyjazdów. Kroplą przepełniającą czarę goryczy była wspólna integracja całej jednostki, którą zaplanowałem i zorganizowałem w ośrodku w górach. Zgłosiło się

kilkadziesiąt osób, co brzmiało całkiem fajnie, ale ostatecznie skończyło się na tym, że zamiast miło spędzonego czasu doprawionego wódką było nieustanne, niekontrolowane chłanie bez cienia kultury, z wyciąganiem sobie nawzajem wszystkich przykrych rzeczy i ze skargami zarządców miejscówki na rzygających wszędzie, upodlonych glińiarzy i zostawienie miejsca w opłakanym stanie.

W przeszłości bywało różnie, ale nigdy aż tak, więc uznałem, że nie ma co zaklinać rzeczywistości. Na mniejszą skalę, umacniając dawno zawiązane więzi? Wciąż można. Ale nie da się glińiarską metodą zintegrować ludzi, którzy nie trzymają się psich zasad.

Któregoś słonecznego i ciepłego poranka ściągnięto mnie do pracy nieco wcześniej. Samo w sobie nic nadzwyczajnego, ale liczyło się to, co usłyszałem.

- Przyjeżdżaj, chyba mamy zabójstwo.

- Jak to chyba? Mamy albo nie mamy - powiedziałem, ale w odpowiedzi usłyszałem:

- Nie na telefon. Przyjeżdżaj.

Więc wsiadłem w samochód i wkrótce wiedziałem, w czym rzecz i skąd konspiracja.

Kilka godzin wcześniej, o świcie, nasz dyżurny dostał zawiadomienie od pracowników stacji benzynowej na Krakowskiej, że grupa młodych mężczyzn zawinęła przeszło dwadzieścia butelek piwa, wynosząc je w torbach. Informacja poszła do radiowozu patrolującego ulicę, a ten, ze względu na wczesną porę i wiążące się z tym pustki, reagował na każdy ruch.

Po paru minutach policjanci zobaczyli, jak przy zbiegu Krakowskiej, Kościuszki i Traugutta idzie w stronę rzeki Oławki młody chłopak z przepastnym workiem na śmieci. Podejrzewając, że to może być jeden ze złodziei, chłopaki podjechali do niego, a następnie Andrzej, Skaju, kazał mu się zatrzymać. Chłopak nie próbował uciekać i wykonał polecenie, zdjął także worek z pleców i położył go na ziemi. Nie zabrzczało.

Oczy chłopaka były mętne, wzrok utkwiony gdzieś między policjantami. Stał spokojnie, jakby czekał na decyzję, ale nie odpowiadał na żadne pytania. Ani co jest w worku, ani jak się nazywa i czy ma dokumenty. Poinformowany przez Skaja, że musi się z nimi udać na komisariat, grzecznie

wsiadł do radiowozu, nie oglądając się na worek. Ten Andrzej wrzucił do bagażnika.

Wstępne czynności policjanci wykonywali przy tylnym wyjściu z jednostki, obok zejścia do piwnicy, pod schodami. Tam właśnie zaprowadzono chłopaka i położono obok niego jego worek. Skaju usiadł przy znajdującym się tam stoliku i zaczął wstępne ustalenia, ale ponieważ chłopak nie odzywał się ani słowem, tylko wzruszał ramionami, kolega zaprzestał pytań i sięgnął do worka. I wtedy zrobiło mu się słabo, i szarpnęły nim torsje. Cudem powstrzymał się, by nie zwymiotować do środka, gdzie znajdowały się strzępy skóry, włosów, ręka i inne nieidentyfikowalne na pierwszy rzut oka fragmenty ludzkiego ciała unurzane we krwi.

Skaju odskoczył od worka i głośno zawołał dyżurnego, który zorientowawszy się, o co chodzi, natychmiast przekazał wiadomość do miejskich, szefowej i wezwał technika kryminalistyki. Siedzący nieopodal chłopak przyglądał się całemu temu zamieszaniu swoimi mętnymi oczami bez śladu jakiegokolwiek emocji.

Gdy zjawił się technik, rozłożono na folii na podłodze zawartość worka, a ta jednoznacznie wykazała, że ofiarą bądź jedną z ofiar – wtedy jeszcze nie było wiadomo, czy to szczątki tej samej osoby – jest kobieta. Świadczyła o tym skóra z tułowia z kobiecymi piersiami. Oprócz nich i wspomnianej wcześniej ręki w worku znajdował się również kawałek nogi, jakieś wnętrzności i coś, co przypominało indiański skalp.

Gdy się zjawiłem, właśnie podczas tych oględzin, było już wiadomo, że chłopak mówi, bo w pewnej chwili przyduszony, przyznał, że szczątki należą do jego matki. Wziąłem więc chłopaka na górę, by podjąć kolejną próbę rozmowy i wyduszenia z niego czegoś więcej. I tym razem zaczął mówić, choć ograniczał się do ścisłych odpowiedzi

na proste pytania.

Miał na imię Krzysztof. Mieszkał niedaleko, jakieś trzysta metrów od jednostki.

- Gdzie reszta zwłok?

- W domu.

Uznałem, że skoro tak, możemy pogadać później. Kazałem go odprowadzić, a teraz na szybko zmontowaliśmy ekipę do oględzin. Zorganizowała się grupa śledcza, dojechał drugi technik i medyk sądowy. Poszliśmy do starej kamienicy, gdzie jak ustaliliśmy, Krzysztof mieszkał z matką i siostrą. Technicy zaczęli swoją pracę, a my odczekaliśmy, aż skończą z oględzinami i obfotografowaniem drzwi z zewnątrz, a następnie je otworzą.

Jeden z techników wszedł do środka, ja tylko zajrzałem. Wejście sąsiadowało bezpośrednio z kuchnią, bez przedpokoju. Naprzeciwko było przejście do kolejnego pomieszczenia. Technik nie poszedł jednak w głąb, tylko zaraz za progiem skręcił w lewo i po chwili wrócił do nas, informując, że leży tam kilka worków podobnych do tego, którego zawartość była właśnie badana na komendzie, i wszystkie zawierają fragmenty ludzkich szczątków.

Weszliśmy do środka i chcąc nie chcąc, zajrzeliśmy do worków, dostrzegłem w nich kolejne kawałki rąk i nóg, a także głowę. Rozejrzałem się po zaniedbanym mieszkaniu, ale nigdzie nie zauważyłem narzędzi, którymi dokonano rozczłonkowania, sama kuchnia wyglądała natomiast tak, jakby ktoś ją niedawno częściowo uprzątnął.

Uznałem, że mam już wszystko, i zostawiłem techników, by kontynuowali oględziny, a sam wróciłem na komisariat, by ponownie porozmawiać z Krzysztofem. Byli z nami wtedy jeszcze dwaj inni policjanci, dla zabezpieczenia, bo co prawda chłopak na razie zachowywał się spokojnie, ale musieliśmy brać pod uwagę, że może się to zmienić

w każdej chwili.

Zacząłem dość delikatnie, jeszcze raz prosząc go, by się przedstawił, powiedział, gdzie mieszka, a potem, by nakreślił swoją sytuację życiową. Okazało się, że siostra, o której wspomniał wcześniej, była od niego starsza i wyprowadziła się jakiś czas temu, nie mogąc znieść gderania czepiającej się o wszystko matki.

W którymś momencie zaproponowałem Krzyskowi herbatę i papierosa. Jeszcze bardziej się wtedy uspokoił i zaczął odpowiadać coraz śmielej. Zbliżał się więc moment, gdy należało skierować rozmowę na temat zdarzenia, choć ostrożnie, bo sądząc po jego zachowaniu, chłopak niewątpliwie miał jakieś poważne zaburzenia psychiczne.

Na razie jednak odpowiadał logicznie i składnie, więc stopniowo wchodziliśmy głębiej. Powiedziałem mu wprost, że wiemy, że zabił matkę, ale chcemy wiedzieć, dlaczego to zrobił. Odparł, że zabił ją, bo ciągle się go czepiała, wszystkiego zabraniała i nieustannie czegoś od niego chciała. Więc gdy wieczorem matka stała przy kuchni, on zaszedł ją od tyłu i zdzielił kijem tak mocno, że matka umarła. Wtedy zdał sobie sprawę, że musi pozbyć się ciała, porąbał je na kawałki i zapakował w worki. Te planował wyrzucić do rzeki.

Miałem przyznanie, opis zdarzenia i motyw. Wszystko, czego mi trzeba, ale póki co bez szczegółów. Dałem się chłopakowi wygadać do końca, opowiedzieć to po swojemu, ale gdy skończył, zaraz przycisnąłem jeszcze raz, mocniej, tym razem oczekując konkretów.

Okazało się, że Krzysztof nie zabił pod wpływem impulsu, tylko zawczasu wszystko zaplanował. Kupił nóż, tasak i piłkę, znalazł nawet specjalny kombinezon i maskę, by zabezpieczyć się przed bryzgającą krwią. Zakupów dokonał z własnych pieniędzy, które sam uzbierał. Nie wie, skąd mu

przyszło do głowy, żeby rozwiązać wszystko akurat w taki sposób. Może widział to na filmie? Albo w internecie? Nie pamiętał.

Nie wybrał też szczególnego dnia, po prostu czekał na sprzyjające okoliczności, a gdy takie się nadarzyły i matka akurat była zajęta, rzeczywiście zaszedł ją od tyłu, ubrany w kombinezon, i zdzielił kilka razy pałką tak, że upadła na ziemię. Gdy mimo ciosów dawała ciągle oznaki życia, usiadł na niej i dusił tak długo, aż przestała oddychać. Wtedy sięgnął po tasak i zaczął odrąbywać matce głowę, ale ostrze po przecięciu skóry sprężynowało, nie dając efektu. Podsunął więc drewniany klocek pod jej szyję i w ten sposób, zadając kilkadziesiąt ciosów, odrąbał głowę. Ręce, które nacinał nożem, a potem rąbał tasakiem – zaczynając od dłoni, potem przedramiona, wreszcie całe ramiona – następnie odejmował od korpusu. Z nogami postąpił podobnie: stopy, łydki, uda. Wszystko szło mu ciężko i wymagało bardzo dużego wysiłku fizycznego.

W następnej kolejności odciął matce piersi i zastanawiał się, jak rozczłonkować korpus. Zaczął od ponacinania go i wyjęcia narządów; te, które były głębiej, wyławiał przez zanurzenie całej dłoni. Następnie porąbał tasakiem żebra, oderwał wiszące płaty skóry i wszystko popakował do worków. Zajęło mu to całą noc; spotkanie z patrolem miało miejsce mniej więcej kwadrans po tym, jak skończył sprzątać.

Pamiętam, że siedziałem naprzeciwko niego i raz po raz czułem, że z trudem powstrzymuję torsje. Jedną kwestią było bestialstwo, którego się dopuścił, ale drugą, równie przerażającą, spokój i beznamiętny ton jego opowieści, w której wyjawiał te wszystkie makabryczne szczegóły. I jeszcze to, że pamiętał je tak dokładnie i objaśniał z detalami. Niech za dowód, jak bardzo poruszyła mnie

tamta rozmowa, posłuży to, że do dziś pamiętam dokładnie nie tylko sprawę, ale i kolejność poszczególnych podejmowanych przez Krzysztofa czynności.

- Zdążyłeś pozbyć się któregoś z worków? - zapytałem na koniec.

- Nie - odparł. - Ten był pierwszy.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś?

- Tak.

- Czujesz wyrzuty sumienia?

Spojrzał na mnie, przekrzywiając głowę jak zdziwiony ptak.

- Nie, dlaczego?

Niedługo potem zakończyliśmy czynności. Odnaleźliśmy też siostrę, która najpierw nie wierzyła w to, co jej przekazaliśmy, a potem wpadła w histerię. Ostatecznie to ona jednak zajęła się pogrzebem matki.

Krzysztof został doprowadzony do sądu, a ten zamknął go na trzy miesiące. Biegli, którzy go przebadali, stwierdzili całkowitą niepoczytalność podczas dokonywania czynu i poważne zaburzenia, przez co nie mógł odpowiadać za swoje czyny. Został zamknięty w zakładzie dla psychicznie chorych i tam pewnie dożyje swoich dni.

Atmosfera w pracy nieustannie gęstniała. Sprzyjały temu nieustanne boje o stołki i to, że każda zmiana rządzących wiązała się ściśle z mniejszymi bądź większymi porządkami na górze i sporym zamieszaniem na każdym niższym szczeblu drabiny. Do nas docierały echa wstrząsów i na nas leciało całe gównno konsekwencji zmian.

Szeregowa policja też się zmieniała. Z każdym kolejnym odchodzącym na emeryturę gliniarzem, z każdym nowym pojawiającym się na progu jednostki odchodziły w niepamięć dawna solidarność i zasady, wypierane coraz mocniej przez wywoływaną sztucznie rywalizację, parcie na awanse, nawet kosztem podkradania sobie spraw, sukcesów, uchoi.

Gdy pojawiał się problem, ważniejsza niż droga służbowa okazywała się znajomość z którymś z funkcyjnych i możliwość załatwienia sprawy u niego. Przypadki, które można było załatwić od ręki na poziomie sekcji, stawały się więc sprawami całego komisariatu, niektóre powodowały, że w konflikt włączały się kolejne osoby, narastała agresja.

Komendant Zofia zdawała się czerpać z tego zamieszania satysfakcję. Można było odnieść wrażenie, że podoba jej się skonfliktowanie wewnątrz jednostki, bo dzięki temu mogła sprawować nad wszystkim coś na kształt kontroli. Dzielić i rządzić. Podjudzać, zapraszać do siebie i napuszczać jednych policjantów na innych, których akurat nie darzyła sympatią. Stare psy jeszcze umiały się ponad tym dogadać, po prostu ze sobą rozmawiając. Młodzi dawali się wpuszczać raz za razem.

Gdy coś jej nie szło, Zofia udawała się do komendanta

miejskiego, a ten wysłuchiwał jej żalów, ale nie działał ani w jedną, ani w drugą stronę, o czym wiedzieliśmy, bo wszyscy plotkowali i wieści niosły się z prędkością błyskawicy. Takie zachowania są znamienne w wyjątkowo niestabilnych sytuacjach i z taką właśnie mieliśmy tu do czynienia.

Niejakim ratunkiem od tego wariactwa były dla nas spotkania w starym gronie kumpli ze Starówki, oczywiście w puszczy u Zwierzaka. Zjeżdżaliśmy się tam nadal co roku, na jesieni, na tydzień czy dwa.

Kto konkretnie się tam zjawiał? Śpioch, będący naczelnikiem prewencji w jednej z jednostek miasta, Wrona, który przeniósł się gdzieś do Warszawy, Cyberkot, będący wówczas jakimś naczelnikiem w cebosiach, Student, z komendanturą którejś z jednostek na mieście.

Byli także emeryci. Miętus, który poszedł na zieloną z dyżurnego, Ogórek z prewencji, Biały z kryminalnych, Pompejusz i Sojka z cebosiów.

Składu puszczańskiego dopełniał gospodarz Zwizak, nasza chluba, najpierw w wojewódzkiej, następnie w szefostwie cebosiu, wreszcie nasz człowiek w Europolu na stałe mieszkający w Hadze.

Robiliśmy w puszczy to co zawsze. Piliśmy, gadaliśmy, zbieraliśmy i obrabialiśmy grzyby. Umacnialiśmy się wzajemnie w przekonaniu, że wciąż jesteśmy dla siebie ważni i możemy na sobie polegać. Że łączą nas przeżyte wspólnie sprawy, tysiące godzin służby, stawanie ramię w ramię przeciwko zwyrodnieniom naszego miasta. Ten czas w puszczy był z jednej strony wspaniały, bo pokazywał, że udało nam się zbudować trwałą więź, ale i nieodmiennie powodował przygnębienie, gdy po tych dwóch tygodniach musiałem wrócić i zobaczyć jeszcze ostrzej i wyraźniej relacje panujące między obecnymi

gliniarzami.

I patrząc na to wszystko, w jednym z tych momentów nie mogłem powstrzymać myśli, że to wkrótce pierdolnie. Musi.

Gdy przyszedłem, wezwany pod koniec służby, do mieszkania wisielca, ten leżał już odcięty na podłodze. Zajmował się nim Wojtek, lekarz sądowy, podczas gdy ekipa dochodzeniowa gromadziła ślady. Pomędzy nimi biegał, łasząc się i chcąc się bawić, wielki, choć wciąż młodziutki rottweiler. Już od wejścia było widać, że należy do właściciela mieszkania, bo jednym z elementów stałego wystroju zagraconego przedpokoju była zamocowana do ściany gruba drewniana belka z przybitym do niej kawałkiem liny ozdobionej węzłami. Lina była obśliniona i postrzępiona, co znaczyło, że tak zaprojektowana psia zabawka rzeczywiście wzbudzała zainteresowanie zwierzaka.

Gdy się zjawiłem, na miejscu był już prokurator. Fakt, że okazał się nim Maciek, przyjąłem z prawdziwą radością. Stanąłem obok niego i spojrzałem na ciało chłopaka ubranego w tiszert i luźne dresowe spodnie ubabrane w kroku. Podobno, jak zdążyłem się dowiedzieć, wiele wskazywało na samobójstwo, bo i wieszanie przygotowane w konkretny sposób, i drzwi, gdy nasi się zjawili, były ponoć zamknięte od wewnątrz.

- Cześć, co mamy? - zapytałem mimo to.

I tu niespodzianka, bo klęczący nad ciałem Wojtek podniósł się i powiedział:

- Mamy to na pewno problem. Ktoś mu elegancko, chirurgicznym cięciem, podejrzewam, że skalpela, chlasnął penisa, i to tak głęboko i szeroko, że wyłażą jelita.

- Aha - mruknąłem, bo takie rozwiązanie jakby trochę kładło się cieniem na teorii o samobójstwie. Szybko

zarzuciłem temat dyżurnemu i przez niego dowiedziałem się, że nasz denat był zamieszany w różne przestępstwa, narkotyki i kartotekę ma u nas całkiem solidną. Przekazałem te wiadomości Maćkowi i widać było, że natychmiast uruchomiły one jego prorocze wizje.

- To mogą być porachunki - powiedział. - To by było nawet w stylu tych gości od narkotyków, trochę jak Gomorra. Wieszają, a przy tym symbolicznie odbierają męstwo, obcinając jaja, by dać nauczki innym, którzy mogliby w przyszłości chcieć...

- Czy jesteś pewien, Wojtek, że te jajca chlaśnięto mu profesjonalnie - przerwałem mu, zwracając się do lekarza. Ten się skrzywił.

- Nie, tak sobie pierdolę - burknął obruszony. - Przecież nie mówiłbym, gdybym nie był pewien.

Skinąłem głowę, ale musiałem wyglądać na nieprzekonanego, bo Maciek spojrzał na mnie, marszcząc czoło.

- Co jest? Co ci chodzi po głowie?

- Kurde, Maciek, to się kupy dupy nie trzyma. Te porachunki w sensie - stwierdziłem. - No bo zobacz, ciało wisiało tutaj, tak? Wysoko, nisko?

Wojtek, łypiąc na mnie nieufnie, pokazał. Uznałem, że dość nisko.

- Tutaj obok jest zabawka dla psa, dyndająca lina - pokazałem. - I teraz wyobraźmy sobie: pies jest młody, głupi, lata sobie po chacie, czasem wpada na zabawkę. Jego pan się wiesza i dynda. Pies nie wie, że to coś złego, myśli, że to rodzaj zabawy. Więc rzuca się na pana...

- Ściąga mu gacie i zabiera się do robienia loda - zadrwił Wojtek. - No weź, Adam, przecież koleś ma nietknięte gacie na dupie. Jak chcesz to z psem powiązać?

- Bardzo prosto - odparłem. - Gacie są na gumce, tak?

Pies skacze na pana, a że jest ciężki i się zsuwa, może łapą przyhaczyć i częściowo też zsunąć te spodnie. Wtedy dostrzega fujarę, trochę jak jego wcześniejsze gryzadło, chwytą, wieszają się całym ciężarem, a lekki nie jest i rwie. Uścisk szczęki te psy mają taki, że jakbyś gilotyną sieknął, mógłby i urwać, i nawet trochę flaków przy okazji wyjąć.

- Tak, a potem zażenowany nagością pana podciągnął mu spodnie z powrotem? - drwił lekarz.

- Nie musiał, spodnie są na gumce. Jeśli zsunęły się do połowy uda, mogły podjechać potem z powrotem. Co ty, nigdy tak nie miałeś?

Uśmiechnąłem się, Wojtek nie.

- Skalpel albo ostry nóż, panie prokuratorze. Precyzyjne cięcie - zwrócił się do Maćka. Ten podrapał się po głowie.

- Psia teoria brzmi interesująco, ale sprawdzamy jednak miasto - zdecydował w końcu. - Sprawdzamy biznesy, kontrahentów, wszystkich, którzy mogliby mieć do klienta jakieś zale.

- Tak jest - powiedziałem. Był wieczór, druga po świcie dobra pora na ewentualne zatrzymania. Trzeba było działać szybko, bo dwudobowy zegar już tykał. - Tylko ja bym jednak zabrał psa do bazy i oddał na obserwację do schroniska. Zobaczycie, że w srace będzie miał ludzkie tkanki, bo to jego robota.

- Dobra, niech tak będzie. - Maciek, lekceważąc miny Wojtka, uznał, że to chyba najlepszy z możliwych kompromisów w tej wymianie poglądów. - No to już, panowie. Działamy.

Ruszyliśmy do akcji, a Maciek, jak przystało na proroka z powołania, jeździł z nami. To, jak bardzo mnie to cieszyło, doskonale świadczy o patologii systemu, bo takie zachowania powinny być normą. Prokurator zawsze powinien uczestniczyć w czynnościach, udzielając

wskazówek, co w danej sytuacji pomoże mu potem w pracy, ale nade wszystko zwyczajnie obserwując, dzięki czemu dogłębnie poznawał sprawę i mógł ją potem należycie przedstawić w sądzie, a nie dukać z kartki, nie wiedząc, o czym właściwie mówi.

Zatrzymaliśmy najpierw dwóch typków, biznesowo najmocniej związanych z denatem, ale po szybkiej obróbce już wiedzieliśmy, że nic do sprawy nie wniosą. Na oku mieliśmy jeszcze trzeciego, agresywniejszego gościa, w dodatku szefa małej ekipki, który jak szumiało miasto, miał do naszego wisielca jakieś pretensje i kilka razy mu groził. Ustaliliśmy, że mieszka ze swoją kobietą, fryzjerką, na Ołbinie i często szarogęsi się w jej zakładzie. Pojechaliśmy tam, ale było już zamknięte.

Uznaliśmy, że teraz odpuszczamy, bo było już naprawdę późno, i rano robimy wjazd na chatę dziewczyny. Tak też uczyniliśmy, a w środku zastaliśmy naszego gościa, jego kobietę oraz jej matkę i dzieci. Facet coś zaczął pyszczyć i się awanturować, ale wskazałem mu prokuratora, mówiąc, że w razie skarg nie musi daleko chodzić. To go uciszyło.

Maciek natomiast zarządził przeszukanie, szczególnie pod kątem ciuchów poplamionych krwią i ewentualnych narzędzi zbrodni. Gdy okazało się, że w jednym z pomieszczeń suszą się na sznurku rzeczy typka, prokurator, mimo protestów, kazał zabezpieczyć także filtr pralki. Potem zabraliśmy typka do firmy, pogadaliśmy, ale nic nam nie powiedział. Upchnęliśmy go więc wraz z kolegami na dechach. Potem jeszcze chwilę bawiłem się z psem denata, który wciąż tkwił na posterunku, w osobnej klatce, czekając na przewiezienie do schroniska, i jak wszyscy, pojechałem do domu.

Następnego dnia miała miejsce sekcja zwłok, po której

Maciek zadzwonił do mnie i oznajmił rozbawionym tonem, że miałem rację. Nie było żadnego chirurgicznego cięcia, przyrodzenie zostało odgryzione przez zwierzę i nasz rottweiler idealnie do tego pasował. Niedługo potem zadzwonił do mnie skruszony Wojtek.

- Dałem dupy - powiedział. - Ale to naprawdę wyglądało na chirurgiczne cięcie.

- Wierzę. Zacisk szczęki jak gilotyna - powiedziałem mu, nie chcąc się nad nim pastwić. Bo i satysfakcja, którą czułem, nie była złośliwa. Ot, po prostu cieszyło mnie, że w tej sprawie dał o sobie znać mój psi nos. Ten rodzaj doświadczenia i intuicji, które nabywa się, gdy człowiek przestaje się wszystkiemu dziwić i zaczyna z zastanej sytuacji wyciągać wnioski, choćby i na pierwszy rzut oka nieprawdopodobne. Tego nauczył mnie jeszcze Kaziu, gdy u niego terminowałem, a potem rozwijałem tę umiejętność nieustanną praktyką i obserwowaniem bardziej doświadczonych kolegów. Inaczej nie da się tego nauczyć, co było o tyle pechowe, że polityczna nagonka na stare psy znające te wszystkie sztuczki trwała w najlepsze i słano nas na trawę jednego po drugim. Młodzi powoli nie mieli się już od kogo uczyć.

Nie wiem, co ostatecznie stało się z psem. Na pewno umieszczono go w osobnym kojcu w schronisku i zabezpieczano jego odchody, w których potem rzeczywiście ujawniono ludzkie tkanki. Ale czy ktoś go później zabrał, czy go uśpiono... Nie mam pojęcia. Obstawiam, że jeśli jednak poszedł do adopcji, nikt mu tego feralnego epizodu w kartę nie wpisał.

W owym czasie na komisariacie szefowa Zofia właśnie finiszowała z konsekwentnym dobijaniem psychicznym kolejnego z naszych. Tym razem był to Andrzej, Skaju, człowiek, który jeszcze niedawno, pusząc się jak paw, wszem wobec rozpowiadał, jak udało mu się zatrzymać Krzysia matkobójcę. Nic, że był to przypadek, bo przecież wiadomo, że skoro taki łut szczęścia przytrafił się właśnie jemu, też o czymś świadczy. Wiadomo wszak, komu szczęście zwykło sprzyjać.

Ale takie zachowanie Skaja, choć nie tak odległe, stanowiło już przeszłość. Teraz krył się, snuł po kątach i zapadał w sobie. Był na celowniku.

Zaczęło się ponoć od tego, że na jednej z imprez integracyjnych urządzanych przez panią komendant w miejsce tych, które kiedyś robiłem ja, pijany w trzy dupy Skaj zaczął coś do niej krzyczeć, wylewając frustracje na jej metody pracy. Niemal wszyscy byli już wtedy nie tyle pijani, co upodleni - taki charakter miały te nasiadówki, wyzwajające w policjantach jednostki nie chęć integracji, a wszystko, co najgorsze - ale akurat siedząca z żandarmami Zofia trzymała się na tyle dobrze, by kontaktować i zachować urazę.

Od tej pory nie było odprawy, na której nie kwestionowano by pracy Skaja. Nie było minięcia się z nią na korytarzu bez połajanki. Po komisariacie ruszyły na temat Skaja plotki i brudy, on sam stał się dla wielu młodych policjantów trędotowym - nikt nie chciał podpaść jako kolejny - a jego papiery ze spraw wpadały w łapy kontroli tak często, że pewnie sprawdzający znali je lepiej

niż sam Skaj. No i oczywiście mógł zapomnieć o zawodowym załatwieniu czegokolwiek z kimkolwiek, bo nawet jeśli coś szło bokiem, a Zofia się dowiadywała, ucinała temat. Bezwzględnością i zaciętością doprowadziła w końcu do tego, że Andrzej najpierw kilka razy wziął chorobowe, a ostatecznie zdecydował się przejść na emeryturę.

Przestrzeń przed lufą komendant Zofii na moment opustoszała. Ale tylko na moment, bo następny byłem ja.

Wprowadzone jakoś w tamtym czasie przepisy zmuszające nas do deklarowania zawczasu przypuszczalnych wyników na przyszły rok - jakbyśmy mogli przewidzieć liczbę zabójstw czy rozbojów - w okresie rozliczeniowym stawały się prawdziwym cierniem. Dochodziło do sytuacji, gdy mając mniej ujawnionych zabójstw, niż deklarowaliśmy - nie zabójców, zabójstw, czyli czynów mogących stanowić w ogóle podstawę do wszczęcia działań operacyjnych - zastanawialiśmy się z chłopakami, czy nie wyjść na miasto i nie załatwić kilku przechodniów dla poprawienia statystyk.

A skoro nie byliśmy, co oczywiste, ulubieńcami królowej, wysługiwano się nami przy wspieraniu innych służb. I tak w okresie sprawozdawczym zaczynała się zwykle gonitwa z kończeniem postępowań przez dochodzeniowców. Decyzją komendant Zofii zostały stworzone do każdej sprawy listy osób niezbędnych do przesłuchania, aby postępowania mogły zostać zakończone. W ogromnej większości trafiali na owe listy świadkowie, którzy rzekomo nie stawiają się na wezwania.

Dziesiątki osób z całego miasta, które musieliśmy nagle, kosztem własnej roboty, odwiedzać i ścierać. Dochodzeniowcy przynosili mi takie listy i gówno ich

obchodziła reszta, mimo że na przykład jeden miał potencjalnego świadka piętro wyżej od miejsca, gdzie codziennie chodził jeść na przerwie!

No to lataliśmy po mieście, pieszo, bo przecież nie było sprawnych aut, a jedyne wówczas działające przeznaczono na użytek procesowców. W wielu domach okazywało się, że owo niestawienie się na wezwanie sprowadzało się do tego, że nikt niczego nie dostał, nie przyszło żadne pismo ani nawet nie telefonowano. Ludzie od nas dowiadywali się o trwających postępowaniach i jak deklarowali, dawno by się stawili, gdyby mieli pojęcie, że są potrzebni.

List przybywało i w końcu było ich tyle, że aby się z nimi obrobić, musiałem albo zacząć wymagać od ludzi bzdurnych nadgodzin, albo ruszyć w teren osobiście. Latałem więc, ja, major, dla wysługujących się mną sierżantów i aspirantów, którym nie chciało się ruszyć w teren. I nie że byli zawałeni robotą, bo oni czekali na wyniki naszych działań!

Oczywiście sytuacja nie przeszła niezauważona. Ludzie na mieście, zarówno w innych jednostkach, jak i w półświatku, nie mogli uwierzyć, że coś takiego się dzieje. Zaczęły o nas, a szczególnie o mnie, krążyć plotki i żarty, respekt zdobywany latami na ulicy leciał na łeb, na szyję.

Im bardziej jednak zwracałem na to uwagę Zofii, tym mocniej przykręcała śrubę. W pewnym momencie nabrała obrzydliwego zwyczaju wzywania mnie do siebie natychmiast, niezależnie od tego, co robiłem. Gdy się zjawiałem, zadawała pytanie o jakąś pierdołę, interesowała się, czy słyszałem to czy tamto albo chciała poznać szczegóły jakiegoś rozliczenia. Wszystkie te sprawy albo nie były pilne, albo były w aktach, albo można je było załatwić w minutę przez telefon. Ale jej, wiedzieliśmy o tym oboje, chodziło o owo „natychmiast”.

Gdy szedłem w teren, mogłem się spodziewać przynajmniej kilku telefonów z zapytaniem: „A gdzie pan jest, naczelniku?”. I nawet jeśli raz podana odpowiedź sugerowała, że szybko nie wrócę, po jakimś czasie dzwoniła znowu. Niczym jakaś groteskowa parodia upierdliwej kochanki.

W końcu nie wytrzymałem i poprosiłem ją, by do mnie przyszła. Zjawiła się u mnie, nieco zaskoczona, a ja usiadłem za biurkiem i zapytałem, o co jej chodzi i czego właściwie ode mnie chce, że się tak zachowuje.

Gdy stwierdziła, że nie wie, o czym mówię, wyjaśniłem, że lubię jasne i klarowne sytuacje, a ta, która ma miejsce obecnie w pracy, jest od mojej definicji klarowności odległa tak bardzo, jak to tylko możliwe. Zapytałem, jaki ma problem i czy to jest moment, gdy mam sobie, kosztem wydziału, szukać nowej roboty.

I do dziś nie wiem, czy podała mi wtedy prawdziwy powód, dając dowód jakiegoś kompletnego zidiocenia, czy też po prostu to było pierwsze, co jej przyszło do głowy, ale w odpowiedzi na wszystkie zarzuty powiedziała:

- Nie odebrał pan ważnego telefonu z wezwaniem. To niedopuszczalne.

Miała częściowo rację. Dwa czy trzy miesiące wcześniej faktycznie nie odebrałem w nocy telefonu od dyżurnego, bo wyjątkowo miałem wyciszony aparat. Dodajmy, aparat prywatny z numerem opłacanym przeze mnie, bo mimo charakteru mojej pracy nie doczekałem się telefonu służbowego. Tyle że nawet jeśli uznać, że to problem - a umówmy się, daleko temu było do poważnego uchybienia jakimkolwiek zasadom - mowa o pojedynczym przypadku sprzed kilku miesięcy, a ona w odwecie podkopywała mój autorytet absolutnie wszędzie, dzień w dzień.

- Pani komendant - powiedziałem w końcu. - Zaznaczę to

jeszcze raz, bo może wciąż się pani obawia. Nie zamierzam pretendować do pani stanowiska. Chciałbym w spokoju wykonywać swoją pracę, zgodną ze specyfiką wydziału. Uważam, że ze względu na wysługę lat i doświadczenie należy mi się nie tylko szacunek, ale i zaufanie, zwłaszcza że nigdy nie dałem nikomu choćby cienia wątpliwości, że mogę być niełojalny. Czy możemy przyjąć, że uznaję pani zwierzchnictwo w pełni, a pani, że jestem doświadczonym kryminalnym i wiem, jak prowadzić swój wydział?

- Możemy - stwierdziła w końcu i uścisnęliśmy sobie ręce. Co oczywiście w jej przypadku nie znaczyło absolutnie nic.

Nie minęły nawet dwa dni, a wszystko, łącznie z telefonami, gdzie jestem, było po staremu. Zaczynałem mieć tego dość, jak wielu moich kolegów, którzy dawno już odpuścili i poszli na emerytury. W przeciwieństwie do nich ja się jednak nigdzie nie wybierałem. A przynajmniej nie miałem tego w planach.

Któregoś dnia w godzinach popołudniowych dostałem informację od dyżurnego, że szefowa każe nam się udać na ulicę Hercena, gdzie ujawniono zwłoki kobiety. Przyjąłem, już się nawet nie dziwiąc tej skomplikowanej drodze komunikacji. W normalnej sytuacji po prostu zadzwoniłaby do mnie, ale wtedy nie przeszłoby to przez telefon dyżurnego, a więc też nie zostałyby oficjalnie nagrane, czego najwyraźniej chciała. Liczyła pewnie, że coś mi się wyrwie, coś nieopatrnie rzucę, a wtedy będzie miała pretekst, by mi jeszcze bardziej dowalić.

Ja jednak nie dawałem się na to łapać.

- Przyjąłem, natychmiast udaję się na miejsce - powiedziałem i rzeczywiście tak właśnie zrobiłem.

Ulica Hercena była jedną z tych spokojniejszych, ze starą, ale zadbaną zabudową. W okresie przedwojennym musiały to być piękne budynki ze wspaniałymi, okazałymi apartamentami, zajmującymi całe piętra. Obecnie większość tych wielkich mieszkań rozparcelowano na szereg mniejszych.

Dotarliśmy tam w pięciu. Jeszcze zanim weszliśmy przez bramę, rozejrzałem się i zobaczyłem, że obok znajduje się Urząd Celny z zewnętrznym monitoringiem. Zakodowałem to sobie na później, bo takie rzeczy mogą się czasem przydać. Potem ruszyliśmy do wskazanego mieszkania na samą górę.

Na półpiętrze tuż przed najwyższą kondygnacją, obstawioną teraz przez dwóch mundurowych, siedział na oko dwudziestoletni chłopak. Trzęsąc się i płacząc, krył twarz w dłoniach, raz po raz zasysając powietrze

zasmarkanym nosem. Uznałem, że choć na pewno ma związek ze sprawą, nie ma sensu z nim na razie rozmawiać, musi mu najpierw trochę przejść. Od mundurowych dowiedziałem się, że to chłopak ofiary i że to on ujawnił jej zwłoki, znajdujące się na strychu. Lekarz pogotowia już przybył, stwierdził zgon, ekipa dochodzeniowa, lekarz medycyny sądowej i prokurator byli jeszcze w drodze.

Zapytałem, z czym mamy do czynienia, i patrolowcy pokrótce streścili sytuację. Dziewczyna, około dwudziestu lat, znaleziona za starą wersalką na strychu. Widoczne ślady wleczenia na podłodze. Rany od noża w postaci cięć na szyi. Tyle widzieli, ale sami nie wchodzili dalej, więc bezpośrednio przy ofierze była tylko ekipa pogotowia.

Wysłałem swoich ludzi na rozmowy posesyjne do sąsiadów, a także, pamiętając o monitoringu urzędu, kogoś, by zabezpieczył nagrania z kamer. Sam natomiast postanowiłem najpierw opanować histerię chłopaka na schodach, a potem z nim porozmawiać. Miał na imię Michał i studiował na jednej z wrocławskich uczelni. Jego dziewczyna, ofiara, miała na imię Jola, też studiowała. Żadne z nich nie mieszkało w tym domu, ale umówili się tutaj, bo chcieli wejść na dach budynku.

Gdy wyraziłem zdziwienie, wyjaśnił mi, że to taka nowa moda, młodzi ludzie typują budynki na terenie miasta, wchodzą do nich, idą na samą górę, a potem robią zdjęcia i opisują w sieci wrażenia, jakie wywołała widziana z tej konkretnej perspektywy panorama miasta.

Umówili się tutaj, na strychu, w samo południe. On przyszedł spóźniony kilka minut, ale wydawało mu się, że jest pierwszy, bo Jolki nie było. Zobaczył ją dopiero po chwili, za wersalką, w kałuży krwi. Dskoczył do niej, próbował ocucić, nie dostrzegając ran, a może niekoniecznie uznając je za śmiertelne. W panicznym

odruchu zaczął nią potrząsać, a potem wezwał pogotowie i policję.

Zapytałem go, czy widział kogoś na strychu, miał kogoś na schodach, ale zaprzeczył. Powiedział też, że na górze drzwi były otwarte, więc nie potrzebował klucza, by się dostać do środka, ani nie musiał się włamywać, co w razie potrzeby planowali z Jolą zrobić.

W międzyczasie wrócili moi. Z rozmów nic nie wynikało, a nagrań nie dało się zabezpieczyć, bo trzeba było dopiero wezwać fachowca od ich sprzętu. Poleciałem im więc zabrać Michała do bazy, jeszcze raz przepytąć i sporządzić notatkę. Poszli, po drodze mijając się z operacyjno-dochodzeniową i dwoma technikami kryminalistyki. Ci pierwsi ruszyli działać, dochodzeniowiec posuwał się powoli w głąb w ślad za nimi.

Potem, gdy wszystko było już udokumentowane, wszedłem i ja. Tuż przy drzwiach na zakurzonej podłodze dostrzegłem kropelki krwi. Sporo więcej jej było rozbryzganej na pobliskich belkach. Po wejściu, na prawo i pięć metrów w głąb, zobaczyłem starą, sfatygowaną wersalkę, a za nią wciśnięte ciało kobiety.

Wojtek, medyk sądowy, ten od sprawy z rottweilerem, teraz klęczał przy ciele i robił notatki. Jego zdaniem kobieta nie została zgwałcona, a śmierć nastąpiła przez wykrwawienie. Na szyi miała dwa głębokie cięcia z lewej i prawej strony.

Cofnąłem się i analizując ślady, próbowałem wywnioskować, co tu dokładnie zaszło. Swój pomysł skonsultowałem z Wojtkiem.

- Hej, myślę, że do zdarzenia doszło przy samym wejściu. Sądząc po układzie tych cięć, wydaje mi się, że dziewczyna mogła stać przodem i z kimś rozmawiać, ale w pewnym momencie się odwróciła i wtedy ten ktoś chlasnął ją nożem

z prawej. Zaskoczona, odwróciła się ponownie, a wtedy sprawca chlasnął jeszcze raz, z drugiej strony. Weź no popatrz na te rozbryzgi. Tak sugerują, nie? I stąd, jak widzę po śladach, zaciągnięto ją za wersalkę.

Wojtek analizował to wszystko przez chwilę, uważnie przyglądając się śladom krwi.

- Może być tak, jak mówisz - stwierdził w końcu. - Sądząc po odcieniu na belkach, to faktycznie krew tętnicza.

Ustaliliśmy, że przyjmujemy w tej chwili taką wersję przebiegu wydarzeń, wróciłem do bazy z nieustannie szumiącym z tyłu głowy przeświadczeniem, że coś mi tu nie pasuje. Na razie była to tylko rozmyta migawka przeczucia, ale nauczyłem się ufać swojemu psiemu nosowi.

Podzieliłem swoich ludzi na kilka grup. Pierwszej poleciłem zdobyć billingi połączeń z ostatnich dni z telefonów zarówno Jolki, jak i Michała, powiedziałem też, że zależy mi, by podano mi ich lokalizacje na podstawie danych operatora. Drugą grupę wysłałem ponownie do celnego, tym razem zaznaczając wyraźnie, że mają mi nie wracać bez nagrań. Oczywiście te nie musiały niczego rozstrzygać, sprawca wciąż mógł dostać się do budynku wejściem od strony podwórza, ale przynajmniej wykluczylibyśmy jedną drogę.

Wreszcie trzecią ekipę posłałem na uczelnię, by zrobiła wywiad środowiskowy na temat Michała i Joli, jakie było każde z nich z osobna i jaką stanowili parę.

Sam natomiast jeszcze raz wziąłem się za Michała. To był już ten moment, kiedy moje przeczucia zaczynały się krystalizować, przyjmować konkretną formę. Upraszczając to równanie z wieloma niewiadomymi, szukałem takiego rozwiązania, które nie generowałoby dodatkowych pytań, a jednocześnie wyjaśniało większość zadanych. To jedna z ważniejszych rzeczy w naszej pracy, pilnować, by

wyobraźnię trzymać na wodzy i używać tylko wtedy, gdy inne metody zawiodą. Brzytwa Ockhama - oto, co każdy pies powinien mieć na wyposażeniu.

Zgodnie ze wszystkim, co udało mi się w tej sprawie zebrać i uporządkować w głowie, sprawca siedział właśnie przede mną z zaczerwienionymi, napuchniętymi oczami i wyglądał jak siedem nieszczęść.

Postanowiłem, że nie zacznę z grubej rury, tylko popracuję nad jego zaufaniem. Byłem miły, cierpliwy, słuchałem go uważnie i nie zadawałem niewygodnych, podważających jego słowa pytań, tak by czuł, że ma kontrolę nad sytuacją. Jeśli to rzeczywiście on, a z minuty na minutę miałem co do tego coraz mniej wątpliwości.

Niby jest wiele opracowań dotyczących technik przesłuchiwania, niby się tego człowiek uczy na zajęciach, ale gdy przychodzi co do czego, działają tylko pojedyncze wyuczone sztuczki, reszta to nabywana z doświadczeniem umiejętność adaptacji do sytuacji i improwizowania. Trzeba szanować przeciwnika, nie zakładać, że jest głupi, bo zwykle nie jest. Należy też pamiętać, że wie, co zrobił, i wiele spośród jego wypowiedzi będzie skalkulowanych na to, by się jakoś wywinąć. Czasem wystarczy do tego jedno kłamstwo na dziewięć zdań prawdy. I wtedy nie można dać się złapać.

Rozmawialiśmy więc, a ja w międzyczasie dostawałem od swoich informacje na temat już ustalonych rzeczy. Pierwszym wyraźnym zgrzytem w opowieści chłopaka był moment jego zjawienia się na miejscu. Mówił o tym, że się spóźnił, tymczasem na monitoringu - jeszcze niezabezpieczonym, ale już obejrzanym - widać było wyraźnie, że wszedł do bramy około wpół do dwunastej.

Do tego doszły billingi i wiadomości od operatora, wedle których chłopak od rana pisał esemesy i dzwonił do Joli,

stojąc pod domem, w którym mieściło się mieszkanie wynajmowane przez dziewczynę do spółki z koleżanką. Dlaczego, skoro już tam był, nie wszedł na górę? Rozmowę ze współlokatorką Joli ustawiliśmy na szczycie aktualnych priorytetów.

Ja, cały czas jako ten dobry glina, prowadziłem rozmowę z Michałem łagodnie, sprawiając wrażenie, że łykam wszystko. Jednocześnie, weryfikując na bieżąco informacje, wiedziałem, że kłamie i puszczają wszystkie szwy tego, co sobie zawczasu przygotował. Zbierałem te rozbieżności, by w odpowiednim czasie nimi uderzyć.

Dwa ustalenia sprawiły, że uznałem, że to już. Pierwszym było odkrycie przez chłopaków, że Michał niedawno kupił na targowisku nóż, bardzo solidny, typu wojskowego. Drugi stanowiła rozmowa ze współlokatorką ofiary, która zeznała, że owszem, Michał i Jolka byli wcześniej parą, ale dziewczyna stwierdziła, że chłopak zachowuje się dziwnie, więc kilka tygodni temu z nim zerwała. On nie przyjmował tego do wiadomości, wystawał pod jej domem, nękał telefonami i esemesami, prosił o spotkanie, aż w końcu Jolka uznała, że z nim porozmawia, by zamknąć ten temat raz na zawsze.

Gdy powiedziałem mu, że wiemy, że to on zabił dziewczynę, był zaskoczony, ale nie wytrąciło go to z równowagi. Zaczął oczywiście zaprzeczać i negować wszystko, co mówiłem, próbując na szybko znaleźć wytłumaczenie dla każdego mojego zarzutu. Ja jeszcze nie uderzyłem wszystkim, co mieliśmy, tylko stopniowo przykręcałem śrubę. Liczyłem na to, że się w tym wszystkim, co mówi, zagmatwa, zapłacze i w końcu podda. On jednak szedł w zaparte tak długo, że w końcu powiedziałem mu, jak na podstawie ustaleń ja to wszystko widzę. Że był zazdrosny o Jolkę, że chciał, by do niego

wróciła, i że postanowił, że albo będzie z nim, albo już z nikim. W dniu morderstwa umówił się z nią właśnie na tym strychu, gdzie chciał porozmawiać, dać jej jeszcze szansę. Gdy jednak ona się zjawiała, wciąż twierdząc, że to koniec i że ma go dość, zabił ją, atakując tak, jak to opisałem Wojtkowi na miejscu zdarzenia. Potem zawlókł ją za wersalkę i zadzwonił po karetkę i policję, a sam wprowadził się w stan histeryczny, co ludziom jak on – z zaburzeniami psychopatycznymi – przychodzi zwykle z łatwością.

Nawet wtedy się nie poddał i nie złamał. Widziałem, jak pod czaszką mózg pracuje mu na najwyższych obrotach, jak szuka drogi, którą można by jeszcze z tego uciec. Gdy powiedziałem, że weźmiemy jego ubrania do analizy, zapewnił, że ślady będą, bo przecież potrzasał dziewczyną, sprawdzając, czy żyje.

Woziliśmy się tak jeszcze długo, aż w końcu złamał go, zmęczonego, Mietek, który na mój dyskretny znak przejął rolę złego gliny. Huknął na dzieciaka, ten skulił się w sobie i po krótkim ostrzale kurew w końcu pękł i opisał swoją wersję wydarzeń, która od mojej różniła się detalami i nieudolnymi próbami zabarwienia wszystkiego na romantyczny róż. Gdy skończył, pozostało już tylko ustalenie, dlaczego – co wykazały nagrania z monitoringu – wyszedł z budynku przed telefonem do nas i gdzie znajduje się narzędzie zbrodni.

Ale to już nie były odpowiedzi na tę długą, męczącą noc. To mogło poczekać. Około trzeciej nad ranem zameldowałem miejskiemu, który sobie tego zażyczył, że mamy przełom w sprawie i schwytaliśmy sprawcę, a potem pojechałem do domu.

Nóż znaleźliśmy w fosie; dopełnił on materiał dowodowy. Sprawa poszła pod sąd i skończyła się wyrokiem kilkunastu

lat w zakładzie karnym. W sądzie Michał nie wyglądał na załamane - w końcu udało mu się osiągnąć przynajmniej jeden z celów. Jeśli nie z nim, Jola nie miała być już z nikim.

W końcu nadszedł rok 2016. Skłamałbym, mówiąc, że to, czego w policji dokonała nowa władza, było w swych założeniach czymś nieznanym – wszak wszystkie te sztuczki ze zmienianiem struktur pod siebie znaleźliśmy już doskonale – ale bezsprzecznie skala wprowadzanych przez nich zmian, w połączeniu ze ślepą nienawiścią do wszystkich, którzy mieli jakikolwiek związek z aparatem państwowym przed osiemdziesiątym dziewiątym, sprawiły, że policja pogrążyła się w największym chaosie, jaki przyszło mi obserwować. Dokładając do tego sytuację w mojej jednostce, nieustanną grę szefowej w podchody, zacząłem się coraz bardziej frustrować, męczyć i doszedłem do wniosku, że może wystarczy. Może już czas pójść śladem kolegów na zasłużoną emeryturę i odetchnąć trochę od czasem dławiącej obroży?

Jak się okazało, i ten wybór został mi odebrany. Po zrobieniu czystek na wszystkich stołkach wyższych niż mój – a czystki były tak kuriozalne, że ustawą dezubekizacyjną objęły nawet kolegę, który milicjantem był przez sześć dni i tyle dni miał szmatę z emblematem MO, zanim zmienił się system – nowi szefowie mianowani z partyjnego klucza zabrali się do porządków niżej.

Zacząłem tę opowieść od tego, w jaki sposób pożegnałem się ze służbą, a tu dodam tylko, że wielu moim kolegom, znakomitym gliniarzom, nie dano nawet szans na zachowanie twarzy. W obawie o to, czy komuś nie odwidzi się wypłacanie im emerytur, bez specjalnych podziękowań – byliśmy, w różnym stopniu, ale wszyscy, tymi psami, które egoistyczne oszołomy przywiązują do drzew przed wyjazdem na wakacje. Staliśmy się bezpieczni.

Epilog

Nadszedł koniec lutego 2017. Do tego czasu rozliczyłem się z dekad służby, zdałem sprzęt i broń, przeszedłem przez niezliczoną liczbę pokoi, zbierając niezliczoną liczbę podpisów i pieczętek. Jeśli statystyka była naszą królową, biurokracja była jej siostrą, wtrącającą się we wszystko księżną, zupełnie zbędną, ale objawiającą się wszędzie i domagającą nieustannej adoracji. Ale zebrałem to wszystko, przyklepałem ostatnie kwity, zdałem i odszedłem wreszcie się wypaść.

Potem było jeszcze przyjęcie pożegnalne, które zorganizowaliśmy wspólnie we trzech, bo razem odchodziliśmy: ja, zastępca komendantki Tomek i dyżurny jednostki Robert. Na imprezie zjawilo się ponad siedemdziesiąt osób. Zacząłem powoli etap łapania dystansu.

Oczywiście nie z natychmiastowymi efektami, bo wciąż jednak w jakimś stopniu utożsamiam się z firmą, ale przynajmniej nie muszę się już osobiście wstydzic, gdy wychodzi sprawa jak ta z pobiciem tego młodego chłopaka, Igora. Czułem gniew, jak każdy empatyczny człowiek, ale jednocześnie, zapytany, mogłem wskazać powody agresji i frustracji, która doprowadziła do takiej tragedii. Absurdalne obsadzanie stołków niekompetentnymi ludźmi z politycznego klucza, całkowity brak związku przyczynowo-skutkowego między jakością wykonywanej pracy a systemem nagradzania, zupełnie nieuzasadnione wybuchy agresji przełożonych, mobbing, nieustanne podkopywanie, brak kogokolwiek, kto uczyłby młodych gliniarzy fachu - dokonano wszak radykalnych czystek - lub

choćby radzenia sobie z presją medialną czy społeczną. Nic z tego oczywiście nie usprawiedliwia dokonanego bestialstwa, ale doskonale je tłumaczy. Ktoś w kontekście prawdziwych czworonogów powiedział, że nie ma złych psów, są tylko źli panowie. I choć w przypadku policjantów złe psy się zdarzają, generalnie powiedzenie to pozostaje w mocy.

Minął jakiś czas, powoli przyzwyczajałem się do życia w cywilu, łapałem oddech, zrobiłem się spokojniejszy i bardziej zrelaksowany. Mogłem się skupić na rzeczach, które zawsze chciałem zrobić, tych, które zacząłem i których nie mogłem skończyć, wreszcie nauczyć się odpoczywać aktywnie, w podróżach, twórczo - czego dowodem jest ta książka - czy wreszcie tak zwyczajnie, normalnie, na leżaku z piwem w jednej ręce i książką w drugiej.

Coraz mniej myślałem o służbie, a żal i gorycz wywołane tym, jak mnie potraktowano, powoli znikwały. I wtedy właśnie, któregoś dnia, zadzwonił do mnie Sowa.

- Słuchaj, skontaktowała się z nami jakaś babka o imieniu Maria. Zostawiła swój numer i bardzo prosiła, byś w miarę możliwości się z nią skontaktował.

- Po co? - zapytałem trochę nieufnie.

- Podobno jest z Kanady, ale chce przyjechać i spotkać się z tobą.

- Specjalnie z Kanady?

- Nie no, nie wiem, ale to dla niej ważne, bo ponoć uratowałaś jej syna w jakiejś galerii.

Nie miałem pojęcia, o co chodzi, ale zdecydowałem się to sprawdzić i skontaktować z panią Marią, a ona zaraz przypomniała mi całą sprawę. Faktycznie przed dwoma laty zwróciła się do mnie, błagając o pomoc w odnalezieniu jej

syna, studenta informatyki, który pewnego dnia postanowił bez żadnego konkretnego powodu wyjechać do Polski, bo – jak stwierdził – poczuł taką potrzebę. Potem zupełnie zniknął jej z radarów, docierały do niej tylko strzępki informacji mówiące o tym, że żył jak bezdomny, snując się po noclegowniach, dworcach, gdzie jak mówili ci, co go widzieli, dużo czytał i wydawał się jakiś nieobecny.

Kobieta była przekonana, że to jakieś zaburzenie psychiczne, pozałatwiała w Kanadzie jakieś badania, obserwacje, no ale żeby te mogły dojść do skutku, trzeba było chłopaka na nie doprowadzić. I tu, z racji tego, że ktoś ostatnio widział Marcina – tak miał na imię – w Pasażu Grunwaldzkim, pojawiła się błagalna prośba do nas.

Zgodziłem się pomóc i pojechaliśmy do galerii, gdzie mimo tłumu dość szybko udało mi się chłopaka wypatrzyć na jednej z ławeczek. Wygląd zgadzał się z rysopisem, więc podszedłem, miło zagadując:

- Pan Marcin?

Uniósł głowę i zapytał, czy się znamy.

- Nie, ale jestem z policji i szukamy pana, bo pana matka umiera z niepokoju. Poprosiła nas, żebyśmy pana znaleźli i pomogli panu.

Rozmawialiśmy chwilę, aż zgodził się z nami pojechać. Na miejscu rozmawialiśmy jeszcze dłużej i tak od słowa do słowa udało mi się go przekonać, że może jednak przyda mu się badanie psychiatryczne, które pozwoli ocenić, czy aby na pewno nie potrzebuje żadnej pomocy. Gdy się wreszcie zgodził, załoga radiowozu z prewencji zabrała go do lekarza.

Następnego dnia zadzwoniła pani Maria i kiedy dowiedziała się, jak załatwiliśmy sprawę, prawie się popłakała i zapewniła mnie o dozgonnej wdzięczności.

- Proszę tak nie mówić – powiedziałem. - To był mój

obowiązek i z mojej strony żadna łaska.

- Tak pan mówi? - odparła. - Zapewniam pana, że sprawa toczyła się kilka miesięcy i wszyscy policjanci, z którymi rozmawiałam, uważali dokładnie odwrotnie.

Gdy się z nią po tych dwóch latach spotkałem na kawie, przywitała mnie kwiatami. Powiedziała, że jej syn już jest po leczeniu, ma się bardzo dobrze, skończył studia i podjął bardzo dobrą pracę w zawodzie. Lekarz prowadzący wyrażał zadowolenie, że udało się chłopaka sprowadzić. Gdyby tak się nie stało, mogłoby się to skończyć bardzo różnie, bo zaburzenie było poważne.

- Dziękuję panu jeszcze raz. Dla pana to może mała rzecz, ale dla mnie ogromna - powiedziała.

To nie była dla mnie mała rzecz... te podziękowania.

Ktoś kiedyś poprosił mnie, bym podsumował swoją służbę. Kto wie, może nawet od tego zaczął się pomysł na tę książkę? Zastanawiałem się przez chwilę, jak to ująć, i doszedłem do wniosku, że przez całe życie starałem się być jak najlepszym psem, pomagać ludziom, być kreatywnym i efektywnym. Ciągle się uczyłem, rozwijałem umiejętności, zdobywałem wykształcenie, uczyłem innych wszystkiego, czego nauczono mnie, byłem lojalny wobec swoich, ale przede wszystkim wobec ideałów, z którymi szedłem przez to moje psie życie. Dziś, już jako bezpański, myślę, że mimo wielu pięknych chwil i kilku zmian na dobre, które udało mi się tu i tam wprowadzić, jednak nie było warto.

Moje podsumowanie brzmi więc tak: na początku mojej drogi wszystko mi mówiło, że powinienem zostać przestępcą, a ja wybrałem psią służbę. I nie jestem przekonany, czy był to dobry wybór.